



**CLAIRE DOUGLAS**

# Ktokolwiek widział

AUTORKA  
BESTSELLEROWEJ  
KSIĄŻKI  
**SIOSTRY**

wydawnictwo  
**ab**

**Claire Douglas**

**KTOKOLWIEK WIDZIAŁ**

**przełożyła Katarzyna Roslan**



Tytuł oryginału: *Local Girl Missing*

Copyright © Claire Douglas 2016

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Roslan, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

## Spis treści

Czwartek1. Frankie2. Sophie

Piątek3. Frankie4. Sophie5. Frankie

Sobota6. Frankie7. Sophie8. Frankie9. Sophie10. Frankie

Niedziela11. Sophie12. Frankie13. Sophie14. Frankie15. Sophie16.  
Frankie17. Sophie18. Frankie19. Sophie20. Frankie21. Sophie22. Frankie23.  
Sophie

Poniedziałek24. Frankie25. Sophie26. Frankie27. Sophie28. Frankie29.  
Sophie

Wtorek30. Frankie31. Sophie32. Frankie33. Sophie34. Frankie35. Sophie36.  
Frankie37. Sophie38. Frankie39. Frankie40. Sophie

Epilog. Sophie

Podziękowania

Czwartek

Luty 2016

Dowiaduję się, że nie żyjesz, w posępne, bure popołudnie, zaraz po lunchu.

Wibruje moja komórka, jakiś nieznany numer. Odbieram, nie odrywając się od stosu papierów, nad którymi siedzę.

– Francesca Howe? – Męski głos w słuchawce wwierca mi się w pamięć, w jej najdalsze zakątki. Jego ciepła, swojska barwa nie ma nic wspólnego z minimalistycznym biurem na ostatnim piętrze hotelu rodziców ani z widokiem na wieżowce londyńskiego City. To głos z przeszłości – z naszego rodzinnego miasteczka w Somerset, gdzie o świcie skrzeczą mewy, fale uderzają o molo, a w powietrzu unosi się zapach smażonej ryby z frytkami.

– Daniel? – pytam przez zaciśnięte gardło i wolną ręką chwytam za skraj biurka, jakbym się chciała zakotwiczyć tu, w tym gabinecie, w teraźniejszości, żeby nie runąć głową w dół, ruchem wirowym nie spaść w przeszłość.

Przychodzi mi na myśl tylko jeden powód, dla którego Daniel może do mnie dzwonić po tylu latach.

Są jakieś wieści. O tobie.

– Kopę lat – mówi skrzepowany.

Skąd wziął mój numer? Wstaję i chwiejnie podchodzę do zalanego deszczem okna. Nogi mi się trzęsą jak świeżo narodzonemu źrebakowi. Czuję, jak przy każdym urywanym oddechu powietrze napływa mi do płuc.

– Chodzi o Sophie?

– Tak. Znaleziono ją.

Ślina zbiera mi się w ustach.

– Ona... żyje?

Chwila ciszy.

– Nie. Znaleźli... hm... – Głos mu się łamie.

Próbuję sobie wyobrazić, jak on teraz wygląda – ten twój starszy brat. Wtedy był wysoki i chudy, ubierał się na czarno, miał ciemne włosy i pociągłą, bladą twarz. Niezdrowy wygląd. Trochę jak wampir z filmu dla nastolatków. Wiem, że teraz za wszelką cenę stara się zapanować nad emocjami. Nie, chyba nigdy nie widziałam, żeby płakał: wtedy, gdy zaginęłaś – nie; wtedy, gdy po paru dniach intensywnego przeczesywania zarośli i wysyłania łodzi na morze policja postanowiła przerwać akcję poszukiwawczą – też nie; i gdy wygasło ogólne zainteresowanie sprawą, ponieważ na skraju starego molo znaleziono twój granatowy but i stwierdzono, że wpadłaś do Kanału Bristolskiego i zostałaś zmieciona przez fale – również nie. Nie płakał nawet wtedy, kiedy wszyscy prócz

nas zaczęli o tobie, Sophie Rose Collier, zapominać, o raz nieśmiałej, raz zabawnej dwudziestojednolatce z Oldcliffe-on-Sea, która pewnego wieczora zniknęła z klubu. O tobie, która płakałaś przy starych reklamach w telewizji, uwielbiałaś Jarvisa Cockera i nie potrafiłaś się powstrzymać przed zjedzeniem wszystkich ciastek z paczki za jednym podejściem.

Daniel chrząka.

– Znalezione szczątki, wypłynęły w Brean. Część... – Zawiesza głos. – No, to by się zgadzało. To ona, Frankie, ja to wiem. – Dziwnie słuchać, jak mówi do mnie Frankie. Ty też tak do mnie mówiłaś. Już od lat nie jestem Frankie.

Próbuję sobie nie wyobrażać, jaką część ciebie znaleziono wśród tego, co morze wyrzuciło w Brean Sands. Nie cierpię myśleć o tobie w ten sposób.

Nie żyjesz. To fakt. Już nie jesteś zaginiona, nie mogę się dłużej łudzić, że straciłaś pamięć i gdzieś sobie spokojnie żyjesz, na przykład w Australii albo lepiej w Tajlandii. Zawsze chciałyśmy podróżować. Pamiętasz nasze plany, że z plecakami objedziemy całą Azję? Nie cierpiałaś długich zim. Całymi godzinami marzyłyśmy, że kiedyś uciekniemy przed ostrym, bezlitosnym wiatrem, przewiewającym na wskroś nasze miasteczko, trzęsącym gołymi gałęziami drzew i rzucającym na nasze drogi piach, który później zgrzytał między zębami. Oldcliffe poza sezonem, bez turystów, którzy wnosili tu życie i zgiełk, było szare i nieciekawe.

Wkładam palec między szyję a kołnierzyk. Brakuje mi powietrza. Przez uchylone drzwi widzę Nell, która stuka w komputer. Rude włosy ma ułożone w misterny kok na czubku głowy.

Wracam do biurka, osuwam się na obrotowe krzesło. Czuję, że telefon przy uchu jest gorący.

– Tak mi przykro – mówię prawie do siebie.

– W porządku, Frankie. – W tle słyszę gwizd wiatru, szum opon rozbryzgujących kałuże, niezrozumiałe głosy przechodniów. – Przecież to musiało kiedyś nastąpić. Byliśmy na to przygotowani. – Skąd on do mnie dzwoni? Z jakiego miasta lub miasteczka? Gdzie się podziewa twój starszy brat? – Jej szczątki będą musiały zostać zidentyfikowane. Formalnie. To trudne, zważywszy, że tak długo – bierze głęboki wdech – tak długo znajdowały się w wodzie. Ale policja ma nadzieję to zrobić najpóźniej w połowie przyszłego tygodnia.

– Czy policja... – przełykam żółć – wie, jak zginęła?

– Frankie, teraz już za późno, by to stwierdzić. Śledztwa nie przeprowadzono, bo nie znaleziono ciała. Założyli, że się upiła i wpadła do morza, że w ogóle nie powinna była się znaleźć na moło. Sama wiesz, jak to szło. – W jego głosie słyszę nutkę złości. – Ale ja w to nie wierzę. Ktoś musi wiedzieć, co się wtedy stało. Jak skończyła moja siostra.

Mam ochotę wbić palce we włosy i mocno pociągnąć. Powstrzymuję się.

Zamiast tego przesuwam po biurku przycisk do papieru, przestawiam w inne miejsce ramkę ze zdjęciem, na którym siedzę na kucyku, a obok mnie dumnie stoi tata z gigantycznym uśmiechem na twarzy. Zawsze byłam dla niego Francescą.

– Czemu tak sądzisz?

– Tamtej nocy czegoś się bała. Mówiła, że ktoś nie daje jej spokoju.

Krew uderza mi do głowy. Kurczowo ściskam słuchawkę.

– Co? Nigdy o tym nie wspominałeś.

– Mówiłem policji, ale uznali, że to nieistotne. Ona była roztrzęsiona, w obłędzie. Doszedłem do wniosku, że pewnie coś wzięła, sama wiesz, jaki wtedy mieliśmy wybór, chciałeś, to miałeś. Ale Sophie nigdy nie brała narkotyków. Wiem na pewno. Zawsze to wiedziałem, w głębi duszy. Porządna z niej była dziewczyna. Najlepsza. – Urywa.

On nie wie, że obie brałyśmy amfę na Ashton Court Festival, tym festiwalu muzycznym koło Bristolu, prawda, Soph? Kazałaś mi przysiąc, że nigdy mu nie powiem – wtedy, gdy siedziałyśmy na trawie, słuchałyśmy koncertu grupy Dodgy, gadałyśmy jak najęte i z każdą chwilą coraz bardziej się nakręcałyśmy.

Zamykam oczy i przypominam sobie tamtą ostatnią noc. To było w Piwnicy. Stałaś w kącie i patrzyłaś, jak wszyscy skaczą w rytm piosenki *Born Slippy*. Mam tę datę wyrytą w pamięci – sobota, szóstego września 1997. Stałam po drugiej stronie parkietu, rozmawiałam z didżejem, ale gdy odwróciłam wzrok i spojrzałam przez zasłone gęstego dymu, który unosił się w powietrzu, ciebie nie było, zniknęłaś, rozplynęłaś się w tłumie. Nie wyglądałaś ani na przerażoną, ani na specjalnie zmartwioną. Gdybyś miała jakiś kłopot, na pewno byś mi się zwierzyła. Prawda?

Byłam twoją przyjaciółką. Najbliższą. Wszystko sobie mówiłyśmy.

– Pomożesz mi, Frankie? – pyta Daniel. W jego głosie nagle pojawia się kategoriyczny ton. – Chcę się dowiedzieć, co się z nią stało. Ktoś wie więcej, niż się przyznaje. Molo...

– Molo było w fatalnym stanie. Przegniłe, niebezpieczne i stał znak z zakazem wstępu...

– Wiem. Ale i tak tam chodziliśmy, prawda? Tylko nie chce mi się wierzyć, żeby poszła sama. Ktoś musiał z nią być...

Teraz mówi niczym desperat. Serce mi się kraje. Mnie było trudno przestać rozpamiętywać wydarzenia tamtej nocy, robiłam to latami, a co dopiero mówić o nim... Twojemu bratu musiało być nieznośnie ciężko. W głowie kłębiły mu się pytania bez odpowiedzi, nie dawały spać po nocach, nie pozwalały normalnie żyć.

– Ludzie nie chcą ze mną o tym gadać. Ale z tobą, Franks... może tobie by coś powiedzieli.

No pewnie, że chcę to dla ciebie zrobić. Opiekuńczy starszy brat, jak zawsze. Niczego innego bym się po nim nie spodziewała.



– Nie wiem. Nie byłam tam, od kiedy się wyprowadziliśmy do Londynu... – Na samą myśl o powrocie przechodzą mnie ciarki. Przez cały okres dorastania marzyłam tylko o tym, żeby wydostać się z klaustrofobicznego nadmorskiego miasteczka, w którym się wychowaliśmy, miasteczka, gdzie mieszkały po trzy pokolenia każdej rodziny i gdzie dziwnie na ciebie patrzono, jeżeli miałeś większe aspiracje.

Z miasteczka, w którym nie zapomina się ciemnych sekretów przeszłości.

I się ich nie wybacza.

– Proszę cię, Frankie. Ze względu na stare dzieje. Była twoją najlepszą przyjaciółką. Miałyście tych samych znajomych, obracałyście się w tych samych kręgach. Nie chciałybyś, żeby wszyscy się wreszcie dowiedzieli, co się z nią naprawdę stało?

– Oczywiście, że chcę – mówię. Czy rzeczywiście mogłabym tam wrócić? Po osiemnastu latach? Postanowiłam sobie, że moja noga już nigdy nie postanie w tym mieście. Ale w sumie czy mam wybór? Wzdycham z rozczarowaniem, ale staram się to stłumić. – Kiedy mam przyjechać?

Narzucam na siebie czerwony wełniany płaszcz i świeżym, energicznym i przekonującym głosem informuję Nell, że źle się czuję i idę do domu. Nell gapi się na mnie wielkimi oczami, bo nigdy nie choruję. Ale ja ignoruję troskę na jej twarzy i wychodzę z biura, po czym – jak najszybciej się da na wysokich obcasach i w wąskiej ołówkowej spódnicy – wybiegam na deszcz i zatrzymuję taksówkę. Wsuwam się na tylne siedzenie. Zimne skórzane obicie przylega mi do łydek i nadal kręci mi się w głowie. Jedziemy do Islington.

Nagle poraża mnie ostateczność twojej śmierci.

A więc już po wszystkim.

Potem przypominam sobie rozmowę z Danielem i spokój, z jakim nalegał, bym wróciła do Oldcliffe i pomogła mu odgrzebać przeszłość. Tłumię dreszcz, który chce mną wstrząsnąć.

Nigdy nie będzie po wszystkim.

Pamiętam, kiedy cię poznałam, Soph. To był wrzesień 1983, miałyśmy po siedem lat. Przyszłaś pierwszy raz do naszej szkoły i wychowawczyni, pani Draper, przyprowadziła cię do klasy. Miałaś proste, rzadkie włosy i brzydkie niebieskie okulary, te bezpłatne, na fundusz. Wydawałaś się samotna i opuszczona. Podkolanówki, kiedyś może białe, a teraz szarawe, zrolowały ci się i osunęły do kostek. Twoje chude, wystające kolano było zaklejone brudnym plastrem, a ze szkolnej spódnicy zwisała długa zielona nitka. Kiedy pani Draper poprosiła, żeby osoba, która chce się z tobą zaprzyjaźnić, podniosła rękę, nie zastanawiałam się ani sekundy. Sprawiałaś wrażenie, że kogoś potrzebujesz.

Kiedy wchodzę, dom wydaje się ogromny i uporządkowany – jakbym na niego patrzyła cudzymi oczami, twoimi. Co byś teraz myślała? Spojrzałybyś na mój

dwupiętrowy, szeregowy, typowo miejski dom i stwierdziła, że się świetnie urządziłam? Czy droczyłabyś się ze mną jak kiedyś, że jestem córeczką tatusia, uśmiechając się przy tym ciut złośliwie, dokładnie tak samo jak Daniel?

Zatrzymuję się przed lustrem w holu. Spogląda na mnie trzydziestodziewięcioletnia kobieta biznesu. Włosy mam ciemne i błyszczące, bez cienia siwizny, dzięki fryzjerowi oczywiście, parę zmarszczek rysuje się wokół zielonych oczu. Powiedziałałabyś, że się zestarzałam? Pewnie tak. Ty nigdy nie będziesz musiała się o to martwić. Na zawsze zachowałam młodość. Wieczna dwudziestolatka.

Odwracam się od własnego odbicia. Pora zacząć się pakować. Biegnę na górę, do sypialni. Daniel już załatwił mi nocleg. Jego znajomy wynajmuje turystom apartamenty, a ponieważ jest luty, czyli poza sezonem, da mi zniżkę. Pojadę tam jutro rano.

Muszę zrobić coś konstruktywnego. Wyciągam z górnej półki szafy torbę podróżną z logo Louisa Vuittona, otwieram ją i kładę na łóżku. Pytania galopują mi w głowie niczym konie na wyścigach. Na ile dni się spakować? Jak długo to potrwa? A potem uderza mnie całkiem nowa myśl: jak ja to wszystko wytłumaczę Mike'owi?

Jestem na dole, w kuchni, obieram i siekam jak szalona, kiedy Mike krzyczy z holu słowa powitania. Zrobił mi tę kuchnię w zeszłym roku, w ramach przyjacielskiej przysługi, zanim zostaliśmy parą, choć znałam go już wcześniej, z czasów, gdy pracował przy wykończeniu nowego hotelu. Masywny, postawny, o jasnych włosach i mocnej szczęce – spodobał mi się od razu, choć wiedziałam, że nie mamy ze sobą wiele wspólnego. Teraz białe lśniące fronty szafek i grube eleganckie blaty przypominają mi nas – z wierzchu porażają nowością i czystością, ale drzwiczki kolebią się na zawiasach, a w jednej z szafek jest pęknięcie.

Nastawiłam głośno radio – chcę, żeby Rachmaninow mnie zalał, ukoił moje nadszarpnięte nerwy. W tym samym celu nalałam sobie duży kieliszek merlota. Wstawiłam już dwa prania, spakowałam się na jutro i zaczęłam robić obiad. Mike jest zdezorientowany, nie tylko dlatego, że zastał mnie w domu – zwykle do późna siedzę w biurze – lecz przede wszystkim dlatego, że gotuję.

– Wszystko w porządku, Fran?

Fran. To o wiele bardziej dorosłe niż Frankie czy Franks. Imię, które pasuje do kogoś światowego, dojrzałego, bardzo odległego od Frankie z mojej przeszłości.

– Płaczesz?

– Nie, to tylko cebula – kłamię, wycieram ręce w fartuch i podchodzę do niego. Wyciągam szyję i całuję wciąż opalony policzek, rozkoszując się dotykiem szorstkiego zarostu. Pachnie pyłem budowlanym, cegłami i betonem.

Mike odpycha mnie delikatnie od siebie.

– Jestem brudny, idę pod prysznic. – Omija mnie i wychodzi z kuchni. Parę

minut później słyszę nad głową szum wody.

Przy obiedzie opowiadam mu o tobie.

– Nigdy wcześniej o niej nie wspominałaś – mówi z ustami pełnymi marchewki i wołowiny.

To prawda, nigdy nikomu o tobie nie mówiłam, Soph. Ani Mike’owi, ani znajomym z pracy, ani nielicznym bliższym osobom, które do siebie dopuściłam, ani nawet byłemu mężowi. Byłyśmy – jesteśmy – ze sobą tak nierozzerwalnie związane, że każda rozmowa na twój temat oznaczałaby powrót do starej mnie. A ja już nią nie jestem, musiałam zacząć od nowa, wymazać przeszłość. Tylko w ten sposób mogłam uporać się z tym, co się stało.

Upijam duży łyk wina.

– W dzieciństwie to była moja najlepsza przyjaciółka – mówię i drżącą ręką odstawiam kieliszek na stół. Biorę widelec i popycham nim ziemniak, żeby wpadł do sosu. – Byłyśmy sobie bardzo bliskie, papużki nierozłączki, tak nazywała nas mama. Ale osiemnaście lat temu Sophie nagle zaginęła. Dziś się dowiedziałam, że odnaleziono jej ciało. A raczej szczątki. – Odkładam widelec. Nie mam apetytu.

– Po takim czasie? To jakaś ściema. – Mike kręci głową, jakby się zastanawiał, czy to naprawdę ściema, a ja nie mogę odczytać, co się dzieje za tymi jego jasnymi oczami.

Myślę – mam nadzieję – że mnie o ciebie zapyta: jak się poznałyśmy, jak długo się znałyśmy, jaka byłaś, ale on tego nie robi. Nigdy się nie dowie, że kiedy miałyśmy dziewięć lat, wymyśliłyśmy układ taneczny do piosenki *True Blue* Madonny; że byłaś pierwszą osobą, której powiedziałam, że całowałam się z Simonem Parkerem za szkolną szopą na rowery; że wypłakiwałaś mi się w rękaw, ponieważ tęskniłaś za tatą, którego prawie nie pamiętałaś; że kiedyś tak cię rozśmieszyłam, gdy siedziałaś mi na ramionach, że posikałaś mi się na szyję. W milczeniu popijam te wspomnienia czerwonym winem, a Mike dalej je – metodycznie przeżuwa mięso, miele i miele, jakby był betoniarką.

Czuję nagłą chęć, by mu chlusnąć winem w twarz, tylko po to, by sprowokować jakąś reakcję. Moja koleżanka Polly twierdzi, że Mike jest zbyt przyziemny, by cokolwiek odczuwać. Może to i prawda. Nie przypuszczam, żeby był celowo okrutny. Natura po prostu nie wyposażyła go w potencjał emocjonalny dorównujący moim potrzebom, a raczej – moim problemom.

Ciekawe, czy przyszło mu do głowy, że nasz związek jest martwy, nie działa. Żałuję, że go poprosiłam, żeby się do mnie wprowadził, ale akurat się trafił, kiedy miałam gorszy okres, a poza tym chyba było mi go szkoda, bo mieszkał w jakiejś rudery w Holloway razem z o połowę od siebie młodszymi studentami. No a potem, trzy tygodnie temu, kiedy właśnie miałam usiąść i z nim o tym pogadać, zadzwoniła mama z wiadomością o wylewie taty. Powinnam była posłuchać rady taty. Wielokrotnie mnie ostrzegał: dobrze się zastanów, zanim

pozwolesz się komuś do siebie wprowadzić, bo jak już zaprosisz go do siebie, do swojego domu i do całego życia, zwiążesz się finansowo i emocjonalnie, mocno, na supeł, trudno będzie się go pozbyć. Teraz brakowało mi energii, by ten supeł rozplątać. Wstałam od stołu i zgarnęłam jedzenie do śmieci.

Opowiadam Mike'owi o swoich planach, gdy szykujemy się do spania.

– Brat Sophie, Daniel, załatwił mi mieszkanie, mam się tam zatrzymać. Apartament wakacyjny – mówię, zdejmując spódnicę i rzucając ją na oparcie krzesła.

Mike siedzi w łóżku. Ma nagą, umięśnioną i prawie nieowłosioną klatkę piersiową. Wciąż mi się podoba, wciąż mi na nim zależy, tylko po prostu wiem, że nasz związek donikąd nie prowadzi.

– Tak na zawołanie? – Unosi krzaczastą brew, przyglądając się, jak rozpinam koszulę.

Wzruszam ramionami.

– Jest poza sezonem, a przecież wiesz, że nie cierpię hoteli. – Całe dni spędzam w hotelu, bo w nim pracuję, więc ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest pobyt w hotelu lub pensjonacie. Zatrzymuję się tylko w prywatnych lokalach, bez wyżywienia, na uboczu i z dala od turystów.

– Ale dlaczego akurat teraz? Przecież mówisz, że zaginęła osiemnaście lat temu. Po co było tyle czekać, żeby się dowiedzieć, co się stało?

Czuję rosnące poirytowanie. Dlaczego on nie rozumie, że odnalezienie szczątków to moment przełomowy?

– Bo dopiero teraz wiemy na pewno, że ona nie żyje – odwarkuję.

Jest skonsternowany.

– Nigdy nie byłem w Oldcliffe-on-Sea – mruczy pod nosem, skubiąc nieistniejący przyszc na ramieniu. Jeżeli to ma być aluzja, że chce mi towarzyszyć, mam zamiar ją zignorować.

– Niewiele straciłeś. – Wciągam przez głowę jedwabną koszulkę na ramiączkach. Nie ma mowy, nie chcę, żeby ze mną jechał. Potrzebuję przestrzeni, oddechu.

– Fajnie musiało być dorastać nad morzem.

Uśmiecham się sztywno i próbuję nie wzdrygnąć się na wspomnienie dzieciństwa w cukierkowym, różowym szkaradzieństwie z widokiem na morze. Dzięki Bogu tata miał wystarczająco dużo rozsądku i oszczędności, żeby przed bumem na rynku nieruchomości sprzedać hotel i kupić dom w Londynie. Odchylam kołdrę i wślizguję się do łóżka obok Mike'a.

– Długo cię nie będzie? – Przyciąga mnie do siebie i wtula twarz w moją szyję.

– Niezbyt – odpowiadam i gaszę lampkę. – Mam nadzieję, że tylko parę dni. Nie mogę na długo zostawić hoteli, zwłaszcza że tata... – Przetykam ślinę. Wciąż

nie potrafię powiedzieć tego na głos. Mój tata, zawsze taki silny i sprawczy, teraz przypomina swój własny cień i już kolejny dzień leży w szpitalnym łóżku, nie mówi i prawie się nie rusza. To dla mnie wciąż świeże i bolesne. Odsuwam się, udaję zmęczenie i odwracam się plecami do Mike'a.

Leżę bez ruchu i czekam, aż usłyszę miarowe chrapanie i poczuję na sobie ciężar jego bezwładnej ręki. Wtedy zdejmuję szlafrok z haczyka na drzwiach, idę na palcach do kuchni i nie zapalając światła, siadam za stołem. Nalewam sobie następny kieliszek czerwonego wina. W powietrzu wciąż unosi się zapach mięsa z warzywami. Mruga małe czerwone światełko zmywarki, a ciche pikanie oznajmia, że urządzenie zakończyło pracę. Dziwnie to brzmi w ciemnym, pustym pomieszczeniu.

Przez lata tak bardzo się starałam prowadzić uporządkowane życie, odnosić sukcesy, iść do przodu, nie myśleć ciągle o tobie. Zamknąć się w kokonie. Ale teraz mój kokon zaczyna się pruć, rozplątywać, a kiedy to się dokona, stanę obnażona przed całym światem.

Jason. To imię nagle wskakuje mi do głowy, samoistnie, bez zaproszenia.

Upijam duży łyk wina, ale serce i tak mi wali. Ponieważ prawda wyjdzie na jaw, Soph, a razem z nią nasz mroczny sekret z tamtych czasów. Ta jedna jedyna rzecz, której nie mogliśmy nigdy nikomu powiedzieć. Nigdy.

Czwartek, 26 czerwca 1997

Jest późno. Nie przypuszczam, żeby pisanie o tej porze miało jakiś sens, jestem wykończona. Ale muszę to zrobić teraz, żeby do rana niczego nie zapomnieć.

Frankie wróciła!

Dziś wieczorem ją spotkałam. Stała przy barze w klubie Mojo, w towarzystwie dwóch gości, których nie znam (jeden, nawiasem mówiąc, rewelacyjny). Była do mnie odwrócona plecami, ale od razu wiedziałam, że to ona. Wszędzie rozpoznałabym te włosy. Nadal wyglądają jak idealnie ciemna, połyskliwa kurtyna. Włosy lalki – o, tak mi się zawsze kojarzyły. Grube, błyszczące włosy porcelanowej lalki. Frankie miała na sobie sztuczne (a przynajmniej mam taką nadzieję) futro w kolorze wielbłąda i czarne botki do kolan. Poczułam znajome ukłucie zazdrości – wyglądała jeszcze lepiej, niż ją zapamiętałam. Sama ubrałam się w dżinsy i sportowe buty, nic dziwnego, że od razu poczułam się nieciekawa i niemodna (choć buty były nowe, granatowe, Gazelle Adidasa – wieki o takich marzyłam!).

Nagle Frankie odwróciła się, wbiła we mnie spojrzenie i na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Przeprosiła chłopaków i ruszyła do mnie przez tłum, który rozstępował się przed nią niczym przed gwiazdą z lat sześćdziesiątych. Francesca Howe. Frankie. Moja najlepsza koleżanka. Wszyscy pozostali natychmiast zniknęli w tle, jakby ich postacie były czarno-białe i tylko ona jedna w kolorze.

– Sophie! Boże, nie wierzę! To ty? – krzyczała, podskakując z przejęcia i wymachując rękami. Chyba już się wstawiła, chociaż było dopiero wpół do dziewiątej. Ale zawsze miała słabą głowę.

Porwała mnie w ramiona i zanurzyłam się w gęstej chmurze jej perfum. Yves Saint Laurent Paris – jej sztandarowy zapach, jeszcze z czasów szkolnych. Nos miałam wciśnięty w jej staromodne futro. Pachniało stęchlizną, kulkami na mole i sklepem z używanymi ciuchami.

Odsunęła mnie od siebie i zlustrowała spojrzeniem z odległości wyciągniętej ręki.

– Jeju, ale się zmieniłaś. Coś niesamowitego – westchnęła, a ja wiedziałam, że ma na myśli moje pasemka, wymodelowane brwi i soczewki zamiast okularów. – I jaka jesteś wysoka! Czuję się przy tobie jak karzeł – roześmiała się.

Nie chciałam się przyznawać, że ja z kolei, stojąc przy niej, wydawałam się sobie monstrualna. Ona jest maleńka i drobna jak Kylie Minogue, ale z wielkim

biustem. W szkole zawsze jej tego zazdrościłam. Bo ja nadal jestem płaska jak deska.

– Mów, co się z tobą działo. – Uniosła idealnie wyskubaną brew i próbowała obliczyć, ile to już lat temu opuściła naszą szkołę.

Ja pamiętałam doskonale. To był rok 1993, cztery lata temu.

– Serio, tak dawno? – zapytała z niedowierzaniem, kiedy jej powiedziałam.

Odeszła pod koniec dwunastej klasy. Rodzice zabrali ją z naszego marnego ogólniaka na rok przed maturą i przenieśli do wypasionej szkoły z internatem w Bristolu, żeby tam przygotowała się do egzaminów. Przyrzekłyśmy sobie, że będziemy w kontakcie, i przez jakiś czas rzeczywiście byłyśmy, ale z czasem Frankie coraz rzadziej przyjeżdżała do domu. W końcu zaczęłam się martwić, że uzna moje listy za prowincjonalne i durne – prowadziła przecież światowe życie w wielkim mieście, w Bristolu, a jej nowe koleżanki nosiły tak wyszukane imiona jak Millicent i Jemima. Jak się do tego miało osiedle, na którym mieszkałam (i wciąż mieszkam, jak wracam z uniwerku) z mamą i Danielem? W końcu nasza korespondencja wygasła. Spotkałyśmy się dopiero po maturze. Potem, w lecie, też widziałyśmy się parę razy, ale sytuacja zrobiła się krępująca, bo ja dostałam się na studia do Warwick, a Frankie musiała wziąć udział w rekrutacji dodatkowej. Oczywiście nie mówiła tego na głos, ale wiedziałam, że tak myśli – że powinno być na odwrót, bo to ona skończyła świetną prywatną szkołę. Ja natomiast byłam pierwszą osobą z całej rodziny, która miała studiować.

Spodziewałam się, że przyjedzie na wakacje, ale prawie nie pojawiała się w domu. Raz spotkałam jej mamę w supermarkecie. Powiedziała mi, że Frankie z jakimś „dzianymi znajomymi z tego samego kierunku” wspólnie wynajęli dom, w którym mogą mieszkać przez cały rok, nie tylko w czasie roku akademickiego. Marii najwyraźniej się to nie podobało. Napomknęła, że to pomysł ojca Frankie, który zawsze ją strasznie rozpuszczał. Osobiście nie winiłam Frankie, że nie przyjechała do domu. Skąd. Gdybym miała gdzie spędzić wakacje, też bym tu nie wracała.

Czasem się zastanawiałam, czy przypadkiem nie dlatego się nie pojawiła, że powrót tutaj za bardzo by ją bolał. Przypominałby jej – a w zasadzie to ja bym jej przypominała – co się stało z Jasonem, kiedy miałyśmy po szesnaście lat. Po tamtym wydarzeniu między nami już nigdy nie było tak samo. Przedtem zawsze mogłyśmy sobie wszystko powiedzieć, a potem okazało się, że już nie – nie możemy o nim rozmawiać, bo samo wspomnienie jego imienia przywołuje ohydztwo tego, co zrobiłyśmy.

– Jak tam Warwick? – spytała. – Ty to zawsze miałaś łeb. Skończyłaś literaturę angielską, prawda? Tak jak zawsze chciałaś.

Skinęłam głową. Ta jej nadmierna uwaga zaczynała mnie trochę krępować. Ale Frankie już taka była. Posiadała wrodzony dar – sprawiała, że w jej

towarzystwie drugi człowiek czuł się jak pępek świata.

– A ty? Co u ciebie?

Machnęła ręką. Paznokcie miała pomalowane na bladoniebiesko. Makabrycznie to wyglądało – jak u trupa w kostnicy.

– W końcu wylądowałam w Cardiff. Zarządzanie biznesem. – Wzruszyła ramionami. – Tata tak chciał.

– Super – powiedziałam, ale w duchu pomyślałam: co za nuda. – Zostajesz na lato?

Wzięła mnie pod rękę.

– Tak. Tata nalega, żebym robiła karierę w hotelarstwie. – Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać. – Akurat. A ty? – Jej głos brzmiał bardziej wytwornie niż kiedyś, połykała końcówki, jakby ekskluzywna szkoła z internatem spiłowała u niej charakterystyczne dla West Country, południowo-zachodniej Anglii, ostre „r”.

– Nie wiem. Szukam pracy. Najchętniej w wydawnictwie. – Nie chciałam wspominać o wątpliwościach, które nękały mnie nocami: że nigdy nie znajdę porządnej posady, że na zawsze utknę w Oldcliffe, jak moja mama i brat, i że będę sterceć w śmierdzącej tłuszczem smażalni przy plaży razem ze zboczonym Stanem, mimo że „mam łeb”, jak to ujęła.

Frankie nic takiego by się nie przydarzyło, nigdy w życiu. Mnie może lepiej poszły egzaminy i dostałam się na szacowniejszy uniwersytet, ale to jeszcze niczego nie przesądzało. Kiedy się ma bogatych rodziców, którzy obsypują cię forszą, nie trzeba się przejmować takimi rzeczami. Te trzy lata w Warwick mogły być moją jedyną szansą na wydostanie się z tego miasta.

– Nie wiesz, jak mi cię brakowało, Soph. – Nagle spoważniała i obrzuciła mnie ciepłym spojrzeniem. – Szkoła bez ciebie to już nie było to samo.

Zgadzałam się z nią. Ciężar jej nieobecności przygniatał mnie z taką siłą, że wolałam o tym nie myśleć. Była moją najlepszą koleżanką. Jedyną przyjaciółką.

Wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do baru, wyciągnęła plik banknotów i zamówiła dwa cydry Diamond White. Przez następną godzinę gadałyśmy jak nakręcone o dawnych czasach, o naszej ulubionej muzyce i zespołach. Zawsze miałyśmy takie same upodobania. Kiedy rozmawiałyśmy, ostatnie trzy lata po prostu zniknęły i zrobiło się tak, jakbyśmy się widziały wczoraj. Opowiedziała mi o nowym klubie o nazwie Piwnica, dopiero co otwartym, gdzie grali niezależną muzykę, i obiecywała, że razem tam pójdziemy. Zanim się obejrzałam, barman wołał, że zbiera ostatnie zamówienia. Rozejrzałam się za Helen, koleżanką, z którą tu przyszłam, ale już dawno zniknęła. Frankie zamówiła nam jeszcze po jednym cydrze i stuknęłyśmy się butelkami.

– Nasze zdrowie, Soph! Za to ostatnie lato! Bo potem zacznie się prawdziwe życie. Praca, obowiązki. Będziemy dorosłe.



Nie od razu wróciliśmy do domu. Trzymając się pod rękę, rozchichotane i podchmielone, kluczyliśmy uliczkami w stronę plaży. Przycupnęliśmy na murku i patrzyliśmy, jak fale chlupoczą nam u stóp. W powietrzu unosiła się wilgoć, jak to po gorącym dniu. Nie mogliśmy się nagadać.

Wróciłam do domu nieźle po północy i do tej pory nie mogę zasnąć – jestem zbyt podekscytowana.

Wróciła. Moja przyjaciółka. Tak za nią tęskniłam. Na studiach było fajnie i poznałam mnóstwo świetnych ludzi. Ale nikogo, kto by jej dorównał.

Frankie ma swoje miejsce we wszystkich moich najdroższych wspomnieniach z dzieciństwa. Pamiętam, jak mnie uczyła jeździć na rolkach; jak nocowałyśmy w jej przytulnym pokoiku na poddaszu hotelu; jak jadłyśmy brunch w eleganckiej hotelowej jadalni z widokiem na morze (nie tak, jak się jadało u mnie, z talerzami na kolanach, przed telewizorem); jak przesiadywałyśmy z piwem na starym moło; jak wymyślałyśmy układy taneczne do piosenek Madonny i Five Star i jak siedząc w ostatniej ławce, naśmiewałyśmy się z peruczki pani Marrow.

Jest też obecna w tych najgorszych wspomnieniach. To minus każdej długiej znajomości, takiej jak ta moja z Frankie. Ale nie pozwolę, żeby mi to zepsuło humor, bo wciąż przepełnia mnie radość.

To będzie najlepsze lato w moim życiu!

Piątek

Niebo jest szare i ponure, gdy jadę przez centrum Old-cliffe-on-Sea. Chmury wiszą tak nisko, że gdyby wyciągnąć rękę, można by ich dotknąć. Po mojej lewej stronie piach jest brązowy jak błoto, morze ma kolor brudnej wody po zmywaniu, a odpływ sięga tak daleko, że muszę zmrużyć oczy, żeby wypatrzeć miejsce, gdzie kończy się ląd, a zaczyna woda. Po plaży spaceruje parę samotnych postaci w kaloszach, rzucają patyki chudym, mokrym psom. Wiatr mocno przyciska im kurtki do pleców.

Mijam okolicę, gdzie kiedyś mieściło się kąpielisko. W dzieciństwie spędzałyśmy na nim całe lato. Mój tata uczył nas pływać. Teraz nic tu nie ma, teren wydaje się porzucony i żałosny jak wystawiony do wiatru zakochany. Za to umiejscowione trochę dalej wielkie, eleganckie miejskie molo z okazałą fasadą w stylu art déco i jaskrawoczerwonym sztyldem prawie się nie zmieniło.

Po drugiej stronie drogi stoją, zwrócone fasadami do morza, wiktoriańskie hotele i pensjonaty. Mijam ten, który kiedyś należał do nas i w którym upłynęło moje dzieciństwo, o cukierkowych, różowych ścianach, teraz przemalowanych na bardziej gustowny bladoniebieski kolor.

Ścisłe centrum stało się trochę bardziej światowe – pomiędzy dyskontami i barami z fast foodem pojawiło się kilka eleganckich kawiarni i lepszych restauracji – ale ogółem miasto niewiele się zmieniło. Jak gdyby czas się tu zatrzymał gdzieś w latach pięćdziesiątych. Niestety, nie zniknęły salony z automatami do gry, z głośną, zgrzytliwą, dokuczliwą muzyką i oślepiającymi, wiecznie mrugającymi światłami. Jako dzieci je uwielbialiśmy. Byliśmy w stanie przepuścić tu wszystkie pieniądze.

Wyobrażam sobie, że jest lato i miasteczko tętni życiem, jak dawniej pełne turystów. Nadmorską promenadą przechadzają się pary, dzieci budują zamki z piasku, emerycy tłoczą się na ławkach, spoglądają na morze, piją herbatę z termosów i jedzą domowe kanapki, a zakochani trzymają się za ręce w gondoli diabelskiego młyna. Dziś Oldcliffe przypomina wymarłe miasto. Miasto duchów. I przywołuje wszystkie złe, niechciane wspomnienia.

Oddalam się od centrum. Jadę dalej szosą wzdłuż wybrzeża, bardziej w lewo. I wreszcie je widzę. Wiktoriański relikt sterczący nad wzburzonymi falami niczym zmurszały potwór na stalowych nogach, które sprawiają wrażenie, że zaraz się pod nim załamia. Stare molo. Miejsce, w którym zniknęłaś. Uwielbiałaś to molo, a ja go nienawidziłam. A teraz nienawidzę go jeszcze bardziej. Zbliżywszy się, widzę, że jest w jeszcze gorszym stanie, niż pamiętam. Nieco dalej rozciąga się spore osiedle, na którym dorastaliście – ty i Daniel. Wszystko jest doskonale znajome, jakbym miała mapę wyrytą w mózgu.

Zjeżdżam range roverem w dół, nad zatoczkę, gaszę silnik, siedzę i gapię się na molo. Zalewają mnie wspomnienia. Jako nastolatki spędzałyśmy tu mnóstwo czasu, najpierw z Jasonem, a potem z Danielem i jego znajomymi. Molo zostało oficjalnie zamknięte w 1989 roku, ale to nam nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Mieliśmy tu spokój. Godzinami przesiadywaliśmy z puszkami piwa i słuchaliśmy Blur i Oasis na moim discmanie. Nigdy nie zapuszczaliśmy się zbyt daleko, a już na pewno nie do starego, opuszczonego pawilonu na samym końcu długiego, szerokiego pomostu. Zналиśmy krążące plotki o duchach – o robotniku, który spadł z dachu i teraz nawiedza budynek po nocach, oraz o kobiecie w staromodnej koszuli nocnej, która dowiedziawszy się o zdradzie męża, rzuciła się do morza razem ze swoim nowo narodzonym dzieckiem. Wątpiliśmy w prawdziwość tych historii, ale i tak lubiliśmy się nimi straszyć.

Teraz molo jest ogrodzone i opustoszałe, a przy wejściu widnieje ogromny czerwony napis: NIEBEZPIECZEŃSTWO! WSTĘP WZBRONIONY, choć przez prowizoryczne ogrodzenie i tak można by bez większego trudu przejść. Gdyby ten płot istniał za naszych czasów, jestem pewna, że nie stanowiłby dla nas żadnej przeszkody.

Siedzę jeszcze chwilę, słucham stukania deszczu o dach i przednią szybę i obserwuję fale. Z furją biją o brzeg, toczą pianę niczym wściekły pies. Po drodze, przed wjazdem do miasteczka, zatrzymałam się na stacji benzynowej. Już nie nazywa się Elf jak dawniej, Soph, teraz to Shell. Przy drzwiach stał stojak z gazetami. Nagłówek lokalnego szmatławca krzyczał: SZCZĄTKI LUDZKIE ODNALEZIONE NA PLAŻY. Jakie to okropne, mówić o tobie tak bezosobowo.

Nigdy nie zapomnę, jak dowiedziano się o twoim zaginięciu. Następnego dnia twoja mama, odkrywszy, że nie wróciłaś na noc do domu, wszczęła alarm. Początkowo przyszło jej do głowy, że pewnie przenocowałaś u mnie lub u Helen, czekała więc i czekała, ale gdy bezskutecznie obdzwoniła wszystkie koleżanki, w końcu powiadomiła policję. Było to prawie po dwudziestu czterech godzinach od czasu, kiedy cię ostatnio widziano. Policja wszystkich przesłuchiwała, straż przybrzeżna przez parę dni prowadziła poszukiwania, ale ty po prostu zapadłaś się pod ziemię. Znaleźli tylko jeden z twoich adidasów, tuż przy wejściu na stare molo. Potem śledztwo umarło śmiercią naturalną. Policja najwidoczniej przyjęła, że spadłaś z molo i utonęłaś. Niczego oficjalnie nie stwierdzono. Twoja rodzina nigdy nie domagała się dochodzenia, wobec czego wciąż jesteś uważana za „zaginioną”.

A teraz... ciągle mam przed oczami nagłówek tej gazety. Muszę parę razy mrugnąć, żeby go odpędzić.

Czas ruszać. Już prawie trzecia i nie mogę dłużej odwlekać spotkania z Danielem. Niechętnie włączam silnik i już mam odjeżdżać, gdy nagle coś przyciąga mój wzrok. Jakiś ruch na molo. Ktoś tam jest, wychyla się przez balustradę, i to tak mocno, jakby zaraz miał się stoczyć do wzburzonego morza.

Widać tylko ciemny zarys postaci, wiatr szarpie długimi włosami i wściekle uderza nimi o twarz w kształcie serca, więc to chyba kobieta. Podobna do ciebie. Żołądek podchodzi mi do gardła. To nie możesz być ty, nie. To nie może być nikt. Molo jest ogrodzone, deski przegniłe, dziurawe. Nie da rady tam dojść.

Nagle przez szare chmury przedziera się popołudniowe słońce, oświetla molo i prawie mnie oślepia. Świeci tak ostro, że muszę zamknąć oczy, a pod powiekami widzę czarne plamy. Kiedy otwieram oczy, niebo jest znowu szare, a molo – puste. To tylko światło ze mną igrą.

Apartament do wynajęcia mieści się na samym szczycie klifu, a okna wychodzą akurat na stare molo. Z wyschniętymi ustami skręcam w prawo. Nie jadę już drogą wzdłuż wybrzeża, tylko w górę, stromą uliczką. Mój samochód świetnie sobie radzi na dziurach w asfalcie. Teren staje się płaski, a ja powoli posuwam się wzdłuż krawężnika, aż dostrzegam Willę Beauforta, cytrynowo-biały apartamentowiec w stylu wiktoriańskim, z ogromnymi oknami w wykuszach i ozdobnymi mansardami o spiczastych dachach. Stoi w szeregu prawie identycznych budynków w pastelowych kolorach. Ich okna wychodzą na zatokę i stare molo, a same domy przywodzą na myśl siedzące obok siebie zgorzkniałe ciotki wystrojone na niedzielę. Ta część miasteczka zawsze cieszyła się większym prestiżem – eleganckie domy na ogrodzonym terenie, przeznaczonym wyłącznie dla mieszkańców – mimo widoku na rozpadający się teraz pomost.

Z chrzęstem żwiru pod kołami wjeżdżam na podjazd i parkuję obok złotego vauxhalla. Na murku obok drzwi siedzi mężczyzna. Założył nogę na nogę i gryzmoli coś w notesie. Od razu wiem, że to Daniel – mimo że minęło tyle lat. Linia podbródka, długi nos i ten sam ciemny kosmyk, który ciągle musiał sobie zgarniać z oczu. Słyszając mój samochód, podnosi wzrok i wkłada długopis za ucho. Na jego twarzy maluje się wyczekiwanie.

Ręka lekko mi drży, gdy zaciągam ręczny. Dlaczego powrót tutaj kosztuje mnie tyle nerwów? W porównaniu z tym prowadzenie spotkań, łagodzenie sporów z trudnymi klientami oraz uspokajanie rozczarowanych pracowników to pikus. Wsiadam z samochodu. Staram się to zrobić z gracją, choć jestem w dżinsowych rurkach i szpilkach. Zimne powietrze wita mnie ostrym policzkiem w twarz.

– Frankie?

Daniel wstaje i podchodzi do mnie powoli, nadal szczupły, długonogi i nieprzeciętnie wysoki. Ma na sobie czarne dżinsy, długi ciemny płaszcz i zamotany po samą brodę szalik w paski. Wsuwa notes do kieszeni. Nic się nie zmienił – z daleka wygląda jak dwudziestotrzylatek, którego pamiętam z dawnych lat, ale kiedy się zbliża, widzę, że czas złagodził, a jednocześnie wypełnił jego ostre rysy i przyprószył prawie czarne włosy nieregularną siwizną. Ma zmęczoną cerę, nie tak świetlistą jak w młodości. Poznałam go, gdy szalał po osiedlu na swoim bmx-ie i starał się zrobić na nas wrażenie. Miał wtedy dziewięć lat. Teraz ma

czterdzieści jeden i jest bardzo męski. Myśl ta sprawia, że oblewam się rumieńcem.

Obejmujemy się z wyczuwalnym skrępowaniem. Przygląda mi się, a potem robi krzywą minę. Ciekawe, czy jest rozczarowany, że nie wyglądam tak jak kiedyś.

– Prawie nic się nie zmieniłaś, Frankie Howe – mówi. Jest uroczy jak zawsze. – Wciąż wyglądasz jak dama. Prawdziwa lady.

I nagle znowu tam jestem, w twoim pokoju, Daniel rozsiada się na łóżku i droczy się z nami, z drwiąco uniesioną brwią i błyskiem w szarych oczach.

Śmieję się.

– Już zapomniałam, że tak na mnie mówiłeś. Lady Frankie.

– Ha, przecież byłaś z wyższych sfer. – Odgarnia włosy znajomym gestem, tak ujmującym, że czuję łyzy pod powiekami. Mrugam, jestem na siebie zła. Nigdy nie płakałam z byle powodu, to była twoja domena. Zawsze ci przygadywałam, że chyba mieszkasz za blisko studni.

– No co ty, z jakich wyższych sfer – zaprzeczam zakłopotana. Wychodzi mi to bardziej szorstko, niżbym chciała, wiem jednak, że nie ma sensu obstawać przy swoim. Nigdy nie miało. Byłam dziewczyną z dużego hotelu, a ty i Daniel – dzieciakami z osiedla z lat sześćdziesiątych, z dziurawymi chodnikami i zaniedbanymi garażami.

Daniel wyławia klucz z kieszeni.

– Zapraszam, lady Frankie – droczy się. – Pokażę ci twój pałac.

Idę za nim długim korytarzem. Sufity są wysokie, z ozdobnymi gzymsami, a schody wyłożone miękką wykładziną w kolorze herbatników. Na parterze widzę dwoje drzwi naprzeciwko siebie.

– Ty na pierwszym piętrze – mówi, widząc, że zatrzymuję się przed pierwszymi drzwiami po lewej.

Idę za nim po schodach na przestronny kwadratowy podest. Tam znajduje się kolejnych dwoje drzwi, a między nimi małe łukowate okienko. Wyglądam na zatokę.

– Och, co za widok – mówię, choć w środku robi mi się lodowato. Nie chcę codziennie patrzeć na to molo. Nie chcę ciągle przypominać sobie miejsca, w którym zaginęłaś. W którym zginęłaś, poprawiam się.

Wyczuwam, że podchodzi bliżej i ustawia się tuż za mną. Czuję jego rękę na ramieniu.

– Przykro mi, że widok jest akurat na to molo – mówi, jakby czytał mi w myślach. – Założyłem, że raczej nie będziesz miała ochoty mieszkać w hotelu w centrum, a te apartamenty są naprawdę świetne, w sam raz dla prawdziwych dam – żartuje, łagodząc napięcie.

Odwracam się, by na niego spojrzeć. Nasze nosy prawie się stykają.

– W porządku – kłamię. – Słusznie zrobiłeś, no i przecież wpadłam tu tylko

na chwilę. – Milknę i spoglądam mu w oczy. Coś się między nami zmienia. Powietrze gęstnieje od treści, które nie zostały wypowiedziane przez ostatnich osiemnaście lat.

Daniel pierwszy odwraca wzrok i kieruje się ku mieszkaniu po lewej. Na lśniących białych drzwiach błyszczy chromowana czwórka. Daniel cicho wkłada klucz do zamka i otwiera drzwi. W środku pachnie stęchlizną. Mieszkanie za długo stało zamknięte.

Oprowadza mnie, a ja idę za nim. Apartament jest przyjemny, ma duże, przestronne pokoje i ściany pomalowane na neutralne, zgaszone kolory. W sypialni z widokiem na śmietniki stoi niezbyt szerokie podwójne łóżko. Duże okno wykuszowe w salonie wychodzi na wzburzone szare morze. Mahoniowa podłoga skrzypi pod stopami. Stylowe umeblowanie sugeruje, że miejsce jest przeznaczone raczej dla par niż rodzin z dziećmi, wskazują też na to bladoszare welwetowe obicie sofy i szklany blat niskiego stolika. W kącie stoi duży telewizor, a naprzeciwko kanapy znajduje się żeliwny piecyk, przy którym ułożono naręczce dREW. Wnętrze jest luksusowe, ale ma martwy klimat i pachnie stęchlizną, wielotygodniowym zastojem.

– Jest tylko jedna malutka sypialnia, ale kumpel mówi, że możesz zostać do przyszłego piątku. Potem jest zarezerwowane, kto by się spodziewał. Ktoś przyjeżdża na długi weekend. W przeciwnym razie mogłabyś zostać dłużej.

Próbuję nie zblednąć. Przerażeniem napawa mnie myśl o paru dniach pobytu tutaj, a co dopiero o całym tygodniu.

– Nie jestem pewna, jak długo zostanę, Daniel. Wiesz, zajmuję się teraz hotelem, bo tata... On...

Czuję, że Daniel obok mnie zamiera.

– Czytałem o tym – odzywa się i odwraca, by na mnie spojrzeć. – To musiał być dla was wstrząs.

Spoglądam na niego ze zdziwieniem. W prasie ukazała się tylko maleńka wzmianka, wciśnięta między informacje ze świata biznesu. Miałam nadzieję, że nikt jej nie zobaczy, a już na pewno, że nie zobaczy jej nikt, kto by nas pamiętał z Oldcliffe. Tata wciąż jest taki dumny, nawet teraz.

– Rzeczywiście. Wylew był poważny... – Z trudem przełykam gulę w gardle.

Daniel muska palcami moje ramię, po czym zabiera rękę i wsuwa ją do kieszeni, jakby sobie nie ufał.

Nie mówię mu, że według mnie tata umrze. I że ciąży na mnie odpowiedzialność za dwa działające hotele i otwarcie trzeciego. Że nie mam czasu tu siedzieć i szukać wiatru w polu i że robię to tylko dla niego, Daniela, ze względu na stare dzieje. I dla ciebie. Dla nas obu.

– Ile mieszkań jest w tym budynku? – pytam, podchodząc do okna. Na

dworze zrobiło się prawie ciemno.

Daniel idzie za mną.

– Dwa na górze i dwa na dole. Teraz nie ma turystów, więc chyba tylko to na dole jest w tym tygodniu zajęte. – Robi minę. – Ale dasz sobie radę, co? Sama w takim wielkim, ponurym gmaszysku? – Śmieje się.

Czuję się, jakbym dostała obuchem w głowę. Jego śmiech brzmi tak znajomo. Dokładnie jak twój.

– Nie wierzę w duchy – prychem z dezaprobatą.

– W Grete, która lamentuje nad swoim nowo narodzonym dzieckiem, żeby ukarać niewiernego męża, też nie?

– Spadaj – parskam śmiechem i poufale szturcham go w ramię. – Nic się nie zmieniłeś, co? Wciąż się zachowujesz jak natrętny starszy brat, tylko byś się drażnił.

Daniel wzrusza ramionami, ale widzę, że jest zadowolony. A potem doznaję olśnienia. Przecież po twoim zniknięciu musiało mu brakować tej siostrzano-braterskiej więzi. Może moja obecność przypomni mu ciebie, nasze wspólne dzieciństwo. Czy naprawdę potrzebuje mojej pomocy, by po tak długim czasie odkryć prawdę o twoim zaginięciu? Czy może po prostu chciał, żebym przyjechała, bo mu przypominam wszystko, co mieliśmy?

I wszystko, co utraciliśmy?

Daniel idzie do samochodu po moją torbę, a ja zasłaniam okno. Czarna sylwetka moło rysuje się na tle ciemniejącego nieba. Dwie stylizowane lampy przy wejściu oświetlają połamane deski i rozwalającą się konstrukcję niczym światła rampy scenę. W oddali majaczy kopuła pawilonu – atramentowa plama na horyzoncie. Ciarki przechodzą mi po plecach i szczerze zaciągam zasłony.

Wracam do kuchni, żeby zrobić nam herbatę, i z miłym zaskoczeniem stwierdzam, że Daniel, a może właściciel apartamentu, kupił mi parę podstawowych produktów – chleb, mleko, herbatę.

– Nie pamiętam, czy słodzisz – mówię, wracając do salonu z dwoma kubkami w rękach.

Daniel siedzi na kanapie, moją torbę postawił sobie u stóp. Rozpalił też w piecyku.

– Nie muszę, i tak jestem słodki. – Szczerzy zęby i bierze ode mnie kubek. – Dzięki.

– To ty kupiłeś mleko i herbatę?

Wzrusza ramionami.

– Myślałem, że ci się przydadzą. Czegoś ty naładowała do tej torby? Waży chyba tonę.

– Naprawdę chciałbyś wiedzieć? – przekomarzam się. – Dzięki. Za to mleko i herbatę... – Dotykam jego ramienia, ale on sztywnieje, więc cofam rękę i nie



kończę.

Daniel obejmuje kubek długimi palcami, dmucha na herbatę i upija łyk.

– Więc co się z tobą działo przez te wszystkie lata? – pytam, siląc się na lekki ton.

Marszczy czoło i zaciska palce na kubku. Dostrzegam na trzecim palcu jego prawej dłoni prostą srebrną obrączkę i zastanawiam się, kto mu ją włożył. Z początku milczy, nie odpowiada i boję się, że go czymś uraziłam. Zwykle intuicyjnie dopasowuję się do nastrojów innych i wiem, kiedy zadać właściwe pytanie lub wystosować komplement, który przełamie lody. Szczerze mówiąc, jestem z tego dumna, w pracy ta umiejętność często okazuje się bezcenna. Nie mam jednak pewności, jaka etykieta obowiązuje w sytuacjach takich jak ta. Co się mówi bratu swojej najlepszej koleżanki dzień po tym, kiedy się dowiedział, że odnaleziono jej szczątki? Jakiego typu rozmowa byłaby teraz na miejscu?

Spogląda na mnie znad krawędzi kubka.

– Cóż, w pewnym momencie trochę nie mogłem się odnaleźć. – Wzrusza ramionami, ale widać, że jest skrępowany. – Zresztą sama wiesz, jak było.

Kiwam głową. Pamiętam, jak się o niego martwiłaś. Nie zdał egzaminu gimnazjalnego i nie przejawiał żadnej ochoty, by znaleźć pracę. Bałaś się, że na zawsze utknie w Oldcliffe-on-Sea.

– No a potem stwierdziłem, że jednak trzeba podążać za marzeniami. Czyli iść w stronę muzyki – kończy.

O nie, tylko nie to.

– Wciąż grasz w zespole? – Pamiętam ten ich zespół. Był beznadziejny, ale i tak co weekend występowali w Bristolu, w byle jakich pubach. Daniel grał na gitarze, wcale nie najgorzej, tylko ten ich frontman Sid strasznie fałszował. Niestety, nikt nie miał serca mu o tym powiedzieć.

Daniel rechocze.

– Nie, skąd. Stwierdziłem, że lepiej mi idzie pisanie o muzyce. Więc poszedłem na studia, skończyłem dziennikarstwo i zostałem dziennikarzem muzycznym.

– No, no. Więc wydostałeś się z tej dziury?

– Nie udawaj takiej zaskoczonej. A co myślałaś, że się ze mną działo? Pracowałem w McDonalddie? Czy zacząłem brać heroinę? – śmieje się drwiąco.

– No nie – odpowiadam, ale bez przekonania.

– W każdym razie przez parę lat byłem dziennikarzem muzycznym, pracowałem najpierw w „Melody Maker”, a potem w „Q”. Mieszkałem w Londynie i świetnie się bawiłem. – Uśmiecha się do tylko sobie znanych wspomnień. – A teraz jestem naczelnym tutejszej gazety.

– Wróciłeś tu? – W moim głosie brzmi pogarda, choć chciałam ją ukryć.

Piorunuje mnie wzrokiem, w jego oczach dostrzegam wrogość.

– No pewnie, dopiero niedawno, ale tu jest mój dom i czuję, że jestem blisko Sophie. Nie mogę wечно uciekać. Zresztą ty też nie.

Zmieszanie każe mi spuścić wzrok.

– Nie mogłam zostać – mówię w podłogę. – Kiedy rodzice kupili hotel w Londynie, zdawało się, że najlepiej będzie jechać z nimi. Zacząć od początku. Nie myśl o mnie źle, Dan.

– Nie myślę o tobie źle. Przecież przyjechałaś i jesteś, nie? Teraz, kiedy pojawiła się potrzeba – odpowiada szorstko.

Podnoszę wzrok. Daniel patrzy na mnie po swojemu, tak jak kiedyś. Przenikliwie, na wylot. Zawsze żartowałaś, że się we mnie podkochuje, i zdarzało się, że sama tak myślałam. Nigdy, przenigdy nie rozważałam możliwości, że coś mogłoby między nami zaistnieć. Flirtowałam z nim, no jasne. I w pewnym momencie – przez bardzo krótki czas – zastanawiałam się, czy nie pozwolić mu się pocałować. Ale to się działo tamtego lata, kiedy poznałyśmy Jasona.

Upijam łyk herbaty. Czuję, że płoną mi policzki.

Daniel w końcu przerywa ciszę.

– A ty? Co u ciebie? Poszczęściło ci się w życiu, co? – Uśmiecha się, ale trudno mi odpowiedzieć tym samym.

Hm, poszczęściło. Pewnie wszyscy tak myślą, patrząc na moje życie. Mam pieniądze, piękny dom, dobrą pracę jako dyrektor sieci hoteli. Ale coś we mnie umarło – tej nocy, gdy ty zniknęłaś, Soph.

Daniel patrzy na mnie z wyczekiwaniem, więc serwuję mu stałą śpiewkę: o małżeństwie z szefem funduszu hedgingowego, którego uwielbiałam; o tym, jak chcieliśmy mieć dzieci, a ja nie mogłam zajść w ciążę; o jego sztampowym romansie ze znajomą z pracy i w końcu o rozpadzie naszego związku. Nie wspominam, że kasa otrzymana po rozwodzie pozwoliła mi na zakup nowego hotelu ani że mam problem z zaufaniem do mężczyzn, nawet takich zacnych i solidnych jak Mike.

Podczas mojego monologu Daniel popija herbatę i co jakiś czas kiwa głową na zachętę.

– Przykro mi to słyszeć, Franks – mówi, kiedy milknę. – Ja się nie ożeniłem. Po prostu nigdy nie pojawiła się odpowiednia kandydatka.

Rzucam krótkie spojrzenie na obrączkę, którą nosi na palcu. W jego życiu musiał być ktoś wyjątkowy. Daniel uśmiecha się z żalem, a mnie trzepocze serce. Co w nim takiego jest? Chyba smutek i miłość do ciebie rozwinęły u niego inteligencję emocjonalną, której kiedyś zupełnie był pozbawiony. W młodości zgrywał udręczonego artystę, ubierał się na czarno i słuchał ponurej muzyki, co pozostawało w sprzeczności z jego pogodnym usposobieniem. Stanowił przeciwieństwo twojego chłopaka, Leona, wечно zamyślonego, poważnego i recytującego pełne niepokoju wiersze.

– Powiem ci, jaki mam plan – odzywa się nagle. – Musimy pogadać ze wszystkimi ludźmi, którzy tamtej nocy kręcili się w pobliżu. Wiem, że to ambitny zamysł, ale może ktoś coś pamięta, choćby nawet z pozoru małego. Masz tylko tydzień, więc lepiej weźmy się do tego od razu.

Już otwieram usta, by zaprotestować, że nie mam całego tygodnia, bo muszę jak najszybciej wracać do Londynu. Ale na jego twarzy maluje się coś, co każe mi je szybko zamknąć.

– Masz coś przeciwko? – Świdruje mnie wzrokiem i mam wrażenie, że czyta moje najgłębsze myśli.

Tak, mam coś przeciwko, nawet mnóstwo; natłok pracy nie pozwala mi opuścić jednego dnia w biurze, nie mówiąc już o całym tygodniu. Ale jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało okrutnie? Żeby nie zabrzmiało tak, jakby mi na tobie nie zależało?

Przełykam więc herbatę i kręcę głową, dając Danielowi znak, że nie, nie mam nic przeciwko.

– Dobrze – odpowiada – bo właśnie odebrałem kolejny telefon z policji. Wiedzą już więcej. O tym, co znaleźli.

Natychmiast pocą mi się dłonie.

– I?

– Po latach przebywania w morzu ciało Sophie się rozłożyło, Franks. Ale znaleźli stopę. Sądzą, że to stopa kobiety, ze względu na rozmiar. Stopa jest w bucie. W adidasie. Podobno stopy w obuwiu z gumową podeszwą mogą przetrwać w wodzie dziesiątki lat, ponieważ ryby nie mają do nich dostępu.

– Boże.

Jest bledszy niż zwykle.

– Pobrali ode mnie próbkę DNA. Poprosili, żebym w środę rano zjawił się w komisariacie, wtedy będzie wynik badania. No i oczywiście muszą sprawdzić, czy adidas pasuje do tamtego znalezionej na moło. Wciąż jest w aktach sprawy jako dowód. Pójdiesz ze mną? Bo wiesz... sam chyba nie dam rady.

Wygląda na tak bezbronny, że mimo wszystko cieszę się, że mnie potrzebuje, że życzy sobie mojego towarzystwa.

– Jasne, że pójdę.

Wracam myślami do butów, które wtedy na sobie miałaś. Uwielbiałaś je. Słynne, klasyczne Gazelle Adidasa.

Daniel wstaje.

– Będę się zbierał. Ale zjawię się jutro skoro świt, świeżutki i pachnący – odzywa się nienaturalnie ożywionym głosem. – O wpół do dziesiątej, powiedzmy, może być? Na początku wpadniemy chyba do Leona, co?

Ze zdumienia omal nie krztuszę się herbatą. Do Leona? Danielowi chyba coś się pomyliło. Leon wyjechał z Oldcliffe parę tygodni po tym, jak zaginęłaś.

– Chyba nie – mówię z udawanym żalem i też się podnoszę. – Leon, jak słyszałam, pracuje za granicą. Szkoda. Kogo masz następnego na liście?

Daniel z powątpiewaniem unosi brew.

– Słyszałem, że wrócił, Frankie. Myślałem, że wiesz.

Skóra na głowie mi cierpnie i padam z powrotem na kanapę.

Gdybym wiedziała, że będę zmuszona znów zobaczyć Leona, w życiu bym się nie zgodziła tu przyjechać.

Piątek, 4 lipca 1997

Ten przystojniak, którego w zeszłym tygodniu widziałam z Frankie, nazywa się Leon McNamara. Jest półkrwi Irlandczykiem, tak jak ja, ale ma włosy koloru czekolady i najbardziej zdumiewające niebieskie oczy, jakie w życiu widziałam. Dokładnie ten sam odcień co moje levisy pięćset jedyńki – indygo.

Leon. Uwielbiam to imię. Brzmi tak niezwykle. O wiele fajniej niż Daniel, James czy Simon, niż pierwsze lepsze męskie imię, które przychodzi mi do głowy. Ale nie chodzi tylko o imię. Jest całkiem niezależny, co się przejawia między innymi w muzyce, której słucha (wykracza poza Oasis, nawiasem mówiąc, lubi zespoły, o których w życiu nie słyszałam, takie ze zwierzętami w nazwach: Buffalo Springfield i The Byrds, a nawet The Animals!). Jest cichy i poważny. No i czyta. To znaczy nie „Playboya” i „NME” jak Daniel, tylko książki, klasykę, *Wielkiego Gatsby’ego* i *Perswazje*. Czyli Jane Austen, do diabła! Ale nie jest pretensjonalny, nie gada bzdur tylko dlatego, że świetnie brzmią, jak to robią niektórzy ludzie z uniwerku. Jego inteligencja jest naturalna, niewymuszona. Dorastał na osiedlu, mniej więcej takim samym jak nasze, tylko w Brean. Ma w sobie mnóstwo sprzeczności: z jednej strony studiuje informatykę, a z drugiej – pisze wiersze i czyta Jane Austen.

I do tego jest obłędnie przystojny!

Jest tylko jeden minus. Zaraz wyjaśnię.

Frankie przedstawiła mi go wczoraj w Piwnicy. Odkąd się przypadkowo spotkałyśmy, widzimy się prawie codziennie. Tak jak za dawnych lat. Jakbyśmy się nigdy nie rozstawały. Może tak się właśnie dzieje, jeśli ludzie znają się równie długo jak my? Mają wrażenie, że widzieli się wczoraj, choć naprawdę minęły lata?

Frankie pracuje u rodziców w hotelu od dziesiątej do czternastej – zmienia pościel i sprząta pokoje przed przyjazdem nowych gości. Dobrze jej za to płacą, o wiele lepiej niż mnie za podawanie turystom oślizgłej ryby i tłustych frytek w smażalni. Tak to już jest, jak się pracuje u rodziców. Ja kończę o trzeciej, więc całe popołudnia mamy dla siebie. Kiedy jestem z Frankie, znów czuję się jak nastolatka. Robimy wszystko to co dawniej: łazimy po wielkim molo, gramy na automatach, wałesamy się po plaży, jemy watę cukrową i gadamy o życiu i przyszłości. Wieczorem często przesiadujemy w pubie, najczęściej Pod Mewą, bo tam jest tanie piwo, choć w środku śmierdzi mokrą sierścią, ale pod koniec tego tygodnia, jak już zaczęła nam się kończyć zarobiona kasa, chodziłyśmy z Danielem i jego kumplami z zespołu, Sidem i Ade’em, na stare molo. Zabieraliśmy red stripe’a w puszkach i siedzieliśmy tam godzinami, opowiadaliśmy sobie historie

o duchach, zwłaszcza tę o Grecie i jej dziecku. Na koniec tak się bałam, że cieszyłam się, że wracam do domu z Danielem, a nie sama.

No ale odbiegam od tematu. Wracajmy do dzisiejszego wieczora. Do Leona.

Piwnica jest super, robi wrażenie, a dodatkowo w czwartek jest tani wstęp. Nadal nie wierzę, że kiedy byłam na studiach, Oldcliffe zrobiło się nowoczesne i ma taki boski klub. Mieści się (cha, cha) w piwnicy jednej z dużych restauracji, prowadzi do niego oddzielne wejście, podziemne, i puszcza tam muzykę, którą uwielbiam. Poza tym wewnątrz jest małe i totalnie zadymione. Frankie zna tam chyba każdego – nie wiem skąd, ale jest tak samo popularna jak dawniej. Zwłaszcza wśród chłopaków. A potem przedstawiła mnie Leonowi.

Stał przy barze z kuflem piwa. Miał na sobie jasnobrązową skórzaną kurtkę, ciemne dżinsy i jasne zamszowe buty do kostki, a kiedy skierował na mnie swoje przenikliwe błękitne spojrzenie, to jakby mi ktoś przyłożył pięścią w brzuch. Ale on chyba ledwie mnie zarejestrował. Wymamrotał niewyraźne „cześć” do wnętrza swojego kufła. Frankie cała się wokół niego owinęła i zamówiła dla nas po cydrze. A potem zaczęła gadać z jakimś innym gościem, zostawiając mnie i Leona razem, skrępowanych i milczących.

– Często tu wpadasz? – spytałam desperacko, zreflektowałam się i dodałam naprędce: – Oczywiście to nie mój interes. Tylko twój. O ile masz interes – zaplątałam się i oblałam rumieńcem.

On też z początku nie wiedział, co ze sobą począć, ale szybko się rozluźnił i w jego oczach zagrały wesołe iskierki. Oboje naraz parsknęliśmy śmiechem i to ostatecznie przełamało lody.

– Rety, co za wpadka – próbowałam obrócić to w żart. – Nie obraż się. – Zaczepianie atrakcyjnych chłopaków nigdy nie było moją specjalnością.

– Spoko, nic się nie stało – odparł i spojrzał na mnie tak, jakby mnie pierwszy raz zobaczył. – Skąd się tu wzięłaś? Chyba cię wcześniej nie widziałem.

– Znikąd, mieszkam tu od dziecka, tylko przez ostatnie trzy lata byłam na studiach.

– A, to wszystko wyjaśnia – odpowiedział, podając mi butelkę cydru, którą popchnęła w jego stronę Frankie. Przy okazji musnął palcami moją rękę.

Przeszły mnie ciarki. Za nim widziałam Frankie – robiła do mnie słodkie minki. Czulałam, że jestem purpurowa.

– Mieszkam tu dopiero od niedawna – powiedział, na szczęście niczego nie dostrzegając. – Pochodzę z Irlandii. Kiedy miałem osiem lat, przeprowadziliśmy się do Brean, a rok temu do Oldcliffe. Mój brat Lorcan ma mieszkanie na osiedlu. Zahaczyłem się u niego i jego dziewczyny. – Siłą woli powstrzymałam pisk zachwytu (nie do wiary!), bo sama też mieszkałam na osiedlu. – Nawet mi to pasuje. Nie narzekam, przynajmniej robię, co chcę. – Wyjaśnił, że prawie skończył zaoczną informatykę, raz w tygodniu jeździ na zajęcia do Bristolu, a w pozostałe

dni pracuje w dziale informatycznym lokalnej firmy ubezpieczeniowej.

W jego nosowym akcencie z West Country słyszało się lekką irlandzką nutę. Powiedziałam mu, że moja mama też pochodzi z Irlandii.

Popijałam swój cydr i słuchałam Leona. A potem ni stąd, ni zowąd wyznałam, że moim marzeniem jest praca w wydawnictwie.

– Chcesz pisać?

Zgarnęłam włosy z twarzy i rzuciłam nonszalancko:

– Niekoniecznie, mogę robić cokolwiek, o ile cały dzień będę otoczona książkami i słowami.

– Masz coś nagranego? Bo dyplom już zrobiłaś, tak?

– Dyplom – tak, nagranego – nie, cały czas szukam. W zeszłym roku w wakacje zdobyłam trochę doświadczenia, więc przynajmniej mam coś do CV. Na razie czekam na jedną rozmowę kwalifikacyjną. Zaprosiło mnie małe wydawnictwo. Z Londynu.

Po jego minie widziałam, że zrobiłam wrażenie.

– Super. A co to za praca?

– Asystentka redaktora. W przyszłości chciałabym być wydawcą, ale to nie takie proste, jest straszna konkurencja. – Nie mogłam się przemóc, żeby mu powiedzieć o dwóch rozmowach kwalifikacyjnych, które zakończyły się porażką, nie wspominając już o setkach listów motywacyjnych, które do tej pory wysyłałam.

– Ja chciałbym zostać poetą, ale rodzice kazali mi zdobyć „normalny zawód”. – Pokazał cudzysłów palcami. – Nie widzieli potrzeby, żebym szedł na studia.

– Ale nie mają nic przeciwko informatyce?

Wzruszył ramionami.

– Nie przeszkadza im, że studiuję, ponieważ zarabiam. Poza tym uważają, że informatyka ma perspektywy. Komputery to przyszłość i tak dalej. – Powiedział to tak, że od razu zrozumiałam, że naśladuje rodziców. Mimo żartobliwego tonu przez jego twarz przemknął cień. Posmutniał. Przez moment sprawiał wrażenie dojrzałego, starszego.

Zapagnęłam nagle go uściskać, dodać mu otuchy.

– Usiądziemy? – Wskazał na kąt sali, gdzie właśnie zwolnił się stolik.

Skinęłam głową. Marzyłam tylko o tym, by wreszcie oddalić się od Frankie, która ciągle stała za plecami Leona i gadała z jakimiś chłopakami, ale co chwila nachylała się do mnie i robiła głupią minę.

– Więc piszesz wiersze? – spytałam, kiedy już usadowiliśmy się przy stole.

Oboje wcisnęliśmy się do kąta i oparliśmy o siebie ramionami. Czułam jego wodę po goleniu, CK One Calvina Kleina. Zawsze miałam świetny wdech.

Leon skinął głową i upił łyk piwa.

– Wiersze, teksty piosenek. Choć niestety nie gram na żadnym instrumencie.

– Znasz mojego brata, Daniela Colliera? Gra na gitarze, w zespole. Jest samoukiem.

Leon zmarszczył czoło.

– Chyba coś mi się obilo o uszy – rzekł.

Zabrzmiało to niepokojąco, bo w Oldcliffe większość ludzi słyszała o moim bracie, podobnie jak większość ludzi znała Frankie. Oboje są towarzyscy, łatwo nawiązują kontakty, nie to co ja.

Potem gadaliśmy o muzyce i wymienialiśmy swoje ulubione zespoły. Kiedy się przyznałam, że w życiu nie słyszałam o Buffalo Springfield, obiecał mi pożyczyć ich album.

– Jez to straszny dupek, ale trzeba mu przyznać, że za konsolą wie, co robi – rzekł, kiedy didżej puścił utwór Bluetonesów.

Roześmiałam się.

– Czemu mówisz, że dupek?

Leon wzruszył ramionami.

– To chyba widać. – Didżej ze słuchawkami na uszach pochylał się nad swoim sprzętem i równocześnie gawędził z ładną blondynką w bardzo krótkiej spódniczce i butach na grubym koturnie. – Zawsze kręcą się koło niego dziewczyny. Tylko dlatego, że jest didżejem.

– O, czyżbyś był zazdrosny? – zaśmiałam się.

Prychnął i pociągnął łyżek piwa.

– Na pewno nie dziś, kiedy siedzę przy jednym stoliku z najładniejszą dziewczyną w całym barze.

– Weź, nie czaruj! – Szturchnęłam go w ramię, a on odwrócił głowę i spojrzał na mnie tak przenikliwie, że zamarłam. Wstrzymałam oddech. Wpatrywał się we mnie, jego twarz była coraz bliżej.

– No, wreszcie was mam, tu jesteście! – Frankie przerwała nam magiczną chwilę i stanęła nad nami we władczej pozie, z rękami na biodrach. – Trajkoczesz jak zwykle, Soph. Chodź, musimy potańczyć. Leci twoja ulubiona piosenka.

*Babies* zespołu Pulp. Nawet nie zwróciłam na to uwagi. Zanim zdążyłam zaprotestować, wyciągnęła mnie zza stołu. Rzuciłam Leonowi przepaszające spojrzenie, ale on tylko wzruszył ramionami, zaśmiał się i wrócił do piwa. A ja miałam ochotę kopnąć Frankie w piszczel.

– Czemu musisz się wtrącać? – syknęłam, kiedy byliśmy już na parkiecie. – Tak nam się dobrze gadało.

Jej zielone oczy nagle spoważniały.

– Leon to nic dobrego, Soph. To nie facet dla ciebie.

Zagotowałam się ze złości.

– Skąd akurat ty możesz to wiedzieć? Co, Frankie? – Przestałam tańczyć, chciałam za wszelką cenę jej udowodnić, że się myli.



Lekceważąco machnęła ręką. Wciąż trzymała swoją butelkę cydru.

– Jest trochę pokręcony. Jakiś taki, no, przenikliwy. I natarczywy. Musi postawić na swoim. Jeżeli wiesz, o co mi chodzi.

Byłam wstrząśnięta.

– Co?

– Oj, nie to miałam na myśli – odpowiedziała, widząc moją przerażoną minę.

– Nie zrobił mi nic złego.

– No to co miałaś na myśli? Byliście parą?

Potrząsnęła grzywą czarnych włosów i upiła łyk z butelki.

– Nie, ale on by chciał – zaśmiała się, czym mnie jeszcze bardziej rozwścieczyła. Kiedy stwierdziła, że nie kupiłam żartu, spoważniała i przestała tańczyć. – Chodzi o to, że... – Zawahała się. – No dobra, powiem. Jak go poznałam, bardzo mi się spodobał. To było z miesiąc temu, tak około... Całowaliśmy się, a potem był zbyt natarczywy. To wszystko.

– Chciał się z tobą umówić?

– Jasne. Jest przystojny, ale nie w moim typie. Nie ma perspektyw ani ambicji. – Otworzyłam usta, by zaprotestować, chciałam się za nim wstawić, ale mnie zignorowała. – No, w pewnym sensie można powiedzieć, że mnie napastował. Na koniec musiałam mu wyjaśnić, wielkimi literami, że nie jestem zainteresowana. Trochę mu pogrozić. Dopiero wtedy do niego trafiło.

Załamalam się.

– Ale teraz wszystko gra? – spytałam. Przypomniałam sobie, że przecież tydzień temu widziałam ich razem w Mojo. Tego samego dnia, kiedy się pierwszy raz spotkałyśmy.

Jej wargi wykrzywiły się w półuśmiechu, jakby skrywała jakiś sekret.

– Ha. Z jego strony nie od razu było to takie oczywiste. Ale teraz można już chyba powiedzieć, że tak. Gra. Między nami pokój. – Nieświadoma, jakiego narobiła mi w duszy zamętu, znowu zaczęła tańczyć, z zamkniętymi oczami, skupiona na sobie.

Miałam ochotę tupnąć ze złości, ale nie do końca rozumiałam dlaczego. Przecież to nie wina Frankie, że spodobała się Leonowi. Kiedy tańczyłyśmy, obrzuciłam ją uważnym spojrzeniem. Krótka czarno-biała sukienka, długie czarne buty. Prawdziwy kociak rodem z lat sześćdziesiątych. Nic dziwnego, że faceci na nią lecą. Ja nie mam przy niej żadnych szans.

Próbowałam namierzyć Leona w zadymionej sali, ale mimo że rozglądałam się na wszystkie strony, nigdzie go nie dostrzegłam. Wyszłyśmy tuż po pierwszej. Frankie przez całą drogę gadała o Jezie, który (jakżeby inaczej!) zaprosił ją na randkę.

Dopiero dziś rano znalazłam w kieszeni płaszcza kartkę. Leon musiał przekupić szatniarza, bo skąd by się tam wzięła. Złożony bilet, już nieważny,

z oderwaną wejściówką. Po jednej stronie numer miejsca i tak dalej, a z tyłu – nagryzmołona na skrawku wolnego miejsca krótka wiadomość. SPOTKAJMY SIĘ NA STARYM MOŁO, W PIĄTEK O 19.

Pierwszy raz od przyjazdu jestem sama w mieszkaniu, i mimo że nie widziałam Daniela od osiemnastu lat, brakuje mi jego obecności i podnoszącego na duchu gadania. Spotkanie z nim to jedyna rzecz, dla której warto było wracać do tej zabitej dechami dziury.

Na wysokim suficie przesuwają się cienie. W salonie panuje chłód, deski podłogowe są zimne. Dorzucam parę drewna do pieca. Kulę się przy szybie, patrzę, jak płomienie tańczą, sięgają coraz wyżej, liżą wnętrze komina. Wdycham zapach płonącego drewna, smakuję dym w gardle.

W uszach dźwięczą mi słowa, które Daniel rzucił na pożegnanie. Nie dość, że Leon jest w miasteczku, to jeszcze jutro będę musiała się z nim spotkać. Naprędce wymyślam wszelkie możliwe wymówki, które pozwoliłyby mi się jakoś z tego wykręcić i wrócić do domu: kłopoty w jednym z hoteli, pogorszenie stanu taty, pożar u mnie w domu. To na nic, mimo że pomysłów mam sporo, wiem, że i tak będę towarzyszyć Danielowi. Dlaczego? Bo w przeciwnym razie Leon mógłby wygadać rzeczy, które absolutnie nie powinny wyjść na jaw. Sprawy dotyczące przeszłości. Nie mogę tak ryzykować.

Mam tylko nadzieję, że dotrzymałaś naszej tajemnicy, tak jak obiecałaś. Że nie byłaś na tyle głupia, żeby się zwierzyć Leonowi.

Czuję przeciąg na karku. Czemu ciągle mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje? Nagły powiew wiatru szarpie okienną futrynę i wyje w kominie, prawie gasząc ogień, a ja wzdrygam się ze strachu, bo brzmi to, jakby duch próbował wtargnąć do środka. Staram się nie myśleć o widoku za ciężkimi kremowymi zasłonami. Ciemna, niezgrabna sylwetka niszczącego starego molo przywołuje wspomnienia wydarzeń, które rozegrały się tam lata temu. Deszcz wali w szybę jak szalenciec uzbrojony w nóż.

Zdecydowanie muszę się napić.

Idę do kuchni i biorę butelkę czerwonego wina, którą postawiłam obok mikrofalówki. Wiedziałam, że czekają mnie stresujące dni, zadbałam więc o wystarczający zapas alkoholu. Siadam przed telewizorem, ale obraz jest zamazany i skacze, pewnie z powodu tej okropnej pogody. Złości mnie to, więc wyłączam. Jak ja przetrwam do rana? Dlaczego się na to zgodziłam? Cóż, dobrze znam odpowiedź.

Może powinnam była wynająć pokój w którymś z hoteli w centrum – z widokiem na kiczowate, odpicowane miejskie molo, deptak i plażę. W hotelu podobnym do tego, w którym się wychowałam. Może i taki luksusowy apartament ma wyższy standard niż byle pensjonat w mieście, ale tkwić tu samotnie, hen wysoko na klifie, w dodatku zimą, to żadna przyjemność, zwłaszcza dla kogoś tak

bojaźliwego i z taką przeszłością jak ja. Czuję się tu odizolowana od świata. Dlaczego, kiedy jestem sama, nagle stają mi przed oczami wszystkie horrory i straszne programy, które w życiu oglądałam?

Z tęsknotą myślę o swoim domu w Islington. Nie, nie chodzi o to, że jestem przyzwyczajona do wiecznego towarzystwa. Zawsze mieszkałam sama, oczywiście z wyjątkiem okresu krótkiego małżeństwa i nie licząc paru przelotnych współlokatorów. Jednak w Londynie dodają mi otuchy znajome odgłosy miasta: prawie nigdy nieustający szum ulicy, trąbienie samochodów, wycie policyjnych syren, krzyki nastolatków i odległy huk samolotów. To wszystko mi przypomina, że jestem wśród ludzi, w sercu cywilizacji. W Londynie nigdy nie panuje cisza, nawet w środku nocy. Już zapomniałam, że cisza może ogłuszać.

A potem myślę o Mike'u, o jego zapyłonych spodniach roboczych i ubłoconych butach, o tym, jak roznosi brud po holu i bałagani w kuchni. Myśl, że w najlepsze urządzuje u mnie w domu, nagle mnie irytuje.

Jakby za sprawą telepatii w tej samej chwili odzywa się mój telefon, a ekran podświetla się, pokazując jego imię.

– Mike? – W tle słyszę gwar, szcęk kieliszków i cichą muzykę. Czyli jest w barze.

– Chciałem się tylko upewnić, czy dojechałaś – mówi.

Miły gest, ale obrazuje wszystko, co w naszym związku jest nie tak. Mike chce ode mnie tego, czego nie mogę mu dać. Zaangażowania, dzieci. Nigdy nie padły między nami słowa o miłości, ale wiem, że on ją czuje. Wisi między nami w jego pocałunkach, w częstych ukradkowych spojrzeniach, w tym, jak nakręca sobie na palce moje włosy, kiedy razem słuchamy muzyki lub oglądamy telewizję. A ja nie mogę odwzajemnić jego uczuć. Jak miałabym się przyznać, że mi się podoba, ale nie stać mnie na żadne poświęcenia? Przynajmniej dla niego? W głębi duszy wiem, że to nie facet dla mnie. Powiem ci prawdę, Soph – kiedy go poznałam, było mi go żal. Wiesz, jaka jestem, nie potrafię obojętnie przejść obok zagubionej duszy.

Mówię mu więc, że tak, dojechałam bezpiecznie, i właśnie zaczynam opowiadać, na jakim odludziu jest apartament, ale on mi przerywa. W jego głosie wyczuwam podniecenie.

– Wiesz co, tak sobie pomyślałem, że może bym do ciebie wpadł na parę dni, dotrzymał ci towarzystwa? Co? Nie podoba mi się, że jesteś sama jak palec. Do tego na bezludziu. Prawie nigdy razem nie wyjeżdżamy, zawsze do późna siedzisz w pracy, a ja w tej chwili nie jestem aż tak zajęty...

Myśl o tym, że mógłby tu teraz przyjechać, napawa mnie przerażeniem.

– Przyjechałam pomóc Danielowi, Mike, zrozum. Nie po to, żeby sobie zrobić romantyczne wakacje. Z tobą. – Mówię to bardziej szorstko, niż zamierzałam.

– Fran... – Sygnał zanika, podchodzę więc do okna, żeby złapać zasięg, ale słyszę tylko urywane strzępki jego słów: – ...odpychasz... nie chcesz ze mną być?... powiedz szczerze... czasem taka oschła...

– Nie mam zasięgu, nic nie słyszę – mówię głośno, a potem połączenie się urywa. Opadam na kanapę. Wciąż ściskam komórkę, a wiatr dalej wyje za oknem. Potem nalewam sobie kolejny kieliszek wina. Nie wiem czemu, ale zaczynam myśleć o Jasonie.

Pamiętasz, jak poznałyśmy Jasona? Mama go przyjęła do pomocy w kuchni – potrzebowała kogoś, kto by smażył bekon, przyrządzał kaszankę i fasolkę. A Jason chciał zostać kucharzem. Miał siedemnaście lat, czyli o rok więcej niż my, i był najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego przeciętna szesnastolatka miała szansę w życiu zobaczyć. Szatyn o brzoskwiniowej, jakby muśniętej słońcem cerze. Wtedy był czerwiec, ale nietypowo upalny, i przyszliśmy prosto z plaży, z solą we włosach i piachem w mankietach zawiniętych džinsowych szortów. Pachniałyśmy kremem do opalania i wata cukrową, ciągnęłyśmy za sobą ręczniki i torby plażowe i plotkując o chłopakach, wkroczyłyśmy do hotelowej jadalni. On tymczasem siedział przy jednym z drewnianych stołów i z poważną miną odpowiadał na pytania mojej mamy, która przeprowadzała z nim rozmowę kwalifikacyjną. Starał się (jak mi się później przyznał) sprawiać wrażenie dojrzałego i odpowiedzialnego – bardzo zależało mu na wakacyjnej pracy. Wciąż dokładnie pamiętam, co miał na sobie, kiedy pierwszy raz na niego spojrzałam: koszulkę khaki ze słońcem z przodu i luźne džinsy. I nieśmiertelniki na szyi. Jason uwielbiał takie gadzety, prawda, Soph? Miał je na sobie tej nocy, kiedy zginął.

Płacze jakieś dziecko, a właściwie nie płacze, tylko zawodzi, piskliwie i uporczywie. Wybija mnie to ze snu. Musiałam przysnąć na kanapie, głowę mam na fioletowej poduszce, a szyję wygiętą pod dziwnym kątem. Siadam, masuję bolesne miejsce i rozprostowuję kości. Na stoliku przy kanapie stoi pusta butelka po winie. Spoglądam na zegarek, druga. W piecyku wygasło, jest lodowato. Ciekawe, skąd dochodzi ten płacz. Odnoszę wrażenie, że zza ściany, a może z innej kondygnacji, choć przecież Daniel mówił, że wszystkie mieszkania, z wyjątkiem tego bezpośrednio pode mną, są puste.

Z trudem zwlekam się z kanapy. Mam sztywne ręce i nogi, zdrętwiałe stopy. Zasłony w oknie wykuszowym są szeroko rozsunięte, stanowią idealną oprawę dla widoku na stare molo, które przypomina teatralną dekorację. Bursztynowe światło dwóch wiktoriańskich lamp, wciąż dumnie trzymających straż u wejścia, rozprasza rzadką, półprzezroczystą mgłę. Szczerze mówiąc, jestem prawie pewna, że zasłaniałam to okno. Podchodzę do szyby, spoglądam na molo i na niespokojne morze w oddali. Już, już mam zdecydowanym szarpnięciem zaciągnąć zasłony, gdy nagle, przez eteryczną mgiełkę, widzę ciebie. Stoisz na molo w świetle lamp, w długiej sukience, wiatr szarpie twoimi jasnymi włosami i rzuca ci je na twarz.

Kilka razy mrugam. To nie może być prawda, oczywiście, że nie. Za dużo wypiałam, jestem półprzytomna. Kiedy drugi raz spoglądam na molo, nikogo tam nie ma. Wiedziałam.

Nigdy nie wierzyłam w straszne historie o duchach, które opowiadałyśmy sobie w młodości. Ale teraz, mimo że jestem w stanie racjonalnie myśleć, czuję przebiegający po plecach dreszcz i pospiesznie zasłaniam okno. Tak, żeby już nie widzieć molo. Ani ciebie.

By się trochę oderwać od myśli o pobycie w Oldcliffe, wyciągam z torby laptopa, kładę go sobie na kolanach i staram się podgonić robotę. Mam strasznie dużo na głowie w związku z otwarciem nowego hotelu – nadzoruję wystrój wnętrz, zatrudniam personel. Szczęśliwie tata jeszcze przed wylewem przyjął naprawdę rzetelnego menedżera, Stuarta, który czuwa nad całością, ale ja już wtedy wzięłam na siebie tyle obowiązków, że rodzice równie dobrze mogli się wycofać. Teraz mama nie dałaby rady w nic się włączyć, bo cały czas przesiaduje u taty. Czuję się winna, że mnie tam nie ma.

Po drodze tutaj zatrzymałam się na krótko w szpitalu.

W sali było nienaturalnie ciepło i pachniało gotowanymi warzywami z lekką domieszką środka dezynfekcyjnego. Na widok taty zachciało mi się płakać. Leżał bez ruchu na szpitalnym łóżku, pod kroplówką. Mój silny, sprawczy ojciec, obiekt mojego podziwu i największy autorytet, teraz skurczony, wysuszony, stary. Od wylewu minęły już ponad trzy tygodnie, a jego stan niewiele się poprawił.

Kiedy weszłam, mama prawie nie zareagowała, ledwie uniosła głowę. Nawet się nie zdziwiła, że przyjeżdżam tak wcześnie – zwykle bywam u taty dopiero po pracy. Dalej się koło niego kręciła: ocierała mu skroń, gładziła po siwiejących włosach, zwilżała usta gąbką. Po jej sztywnych, wyprostowanych ramionach i zaciśniętych ustach poznałam, że jest ze mnie niezadowolona. Zapewne sądzi, iż za rzadko go odwiedzam. Chciało mi się krzyczeć, że przecież doglądam rodzinnego interesu, a kiedy już raz na parę dni przyjdę, to zachowuje się tak, jakby wcale sobie nie życzyła moich odwiedzin. Ale przełknęłam urazę i wytłumaczyłam sobie, że jestem tu dla taty, nie dla niej. Przyciągnęłam krzesło do łóżka. Plastikowe nogi zgrzytnęły o podłogę, a mama się skrzywiła.

– Musisz to ciągnąć, Francesco? – rzuciła ze zbolałym wyrazem twarzy.

Zignorowałam ją i wzięłam tatę za rękę. Była ciężka i zimna.

– Tato – zaczęłam niskim głosem. Wiedziałam, że mnie słyszy, bo otworzył oczy. – Jak się dziś czujesz? Wygodnie ci?

Mrugnął do mnie dwa razy, co oznaczało, że tak. Jedno mrugnięcie to nie. Parę dni wcześniej lekarz powiedział, że nastąpiła pewna poprawa po lewej stronie ciała, ale nie wiadomo, czy zmiany dalej się będą cofać. A jeżeli tak, to co wtedy?

Uśmiechnęłam się i lekko ścisnęłam jego rękę. Nie byłam pewna, w jaki sposób to odczuwa.

– Tak się cieszę.

Próbował odwzajemnić uśmiech, ale jego wargi tylko wykrzywiły się w brzydkim grymasie.

– Robię sobie parę dni wolnego. Jadę do Oldcliffe, uwierzysz? Po osiemnastu latach. Ale wiesz, tato, właśnie odnaleziono szczątki Sophie i jej brat... Pamiętasz go? Daniel. Chce, żebym wróciła i pomogła...

Przerwał mi gardłowy jęk wydobywający się z ust chorego. Mrugał zawzięcie i odgadłam, że chciałby coś powiedzieć. Mama podeszła do nas pospiesznie i omal nie wywracając mojego krzesła, zmusiła mnie do wstania.

– Już dobrze, Alistair, kochanie, już dobrze. Nie denerwuj się.

Byłam bliska łez.

– Nie martw się, tato – mówiłam kojąco przez ramię mamy. – Jadę tylko na parę dni, hotele zostają w dobrych rękach. Wiesz, że Stuart jest niezawodny.

Tata wciąż wydawał z siebie ten okropny odgłos, który odbijał się echem od ścian i wywoływał ciarki.

– Chyba lepiej już idź – powiedziała mama, nawet się do mnie nie odwracając. – Tylko niepokoisz ojca.

Ale teraz, kiedy siedzę sama w apartamencie, nęka mnie straszne, nieodparte przecucie, że tata, mój odwieczny opiekun, wcale nie wyrażał swojej obawy o hotele. Próbował mnie ostrzec, żebym tu nie przyjeżdżała.

Przeraża mnie samo wspomnienie desperacji w jego oczach. Dla odwrócenia uwagi próbuję uruchomić internet. Cha, cha, nie ma wi-fi. Załamuję się. Nie będę mogła korzystać z sieci. Dobrze, że przynajmniej mam cztery giga w komórce. Wyciągam telefon z torebki, ale i tu kłapa – brak zasięgu. Nie wiem, czy to z powodu złej pogody, czy po prostu nigdy go tu nie ma. Ze złością rzucam laptopa i telefon na kanapę.

Staram się nie myśleć o tym, że nie mam zasięgu, internetu i jestem całkowicie odcięta od świata, od Londynu, od życia. To dziwne, ale dochodzące z dołu dziecięce wrzaski zaczynają przynosić mi ulgę. Przynajmniej wiem, że nie jestem tu sama w czasie burzy, że nie ja jedna nie śpię, i dzięki temu czuję się trochę bardziej normalnie. Mimo że minęło tyle lat, wciąż łudzę się nadzieją, że pewnego dnia to moje dziecko rozplacze się za ścianą. W głębi serca wiem, że to niemożliwe, ale marzyć podobno trzeba.

Nie mam nic więcej do roboty, więc przebieram się w koszulę nocną i kładę do łóżka. Wirujecie mi w głowie: ty, Leon i Jason. Duchy mojej przeszłości. Dziecko wciąż się drze, i to coraz bardziej dokuczliwie. Kiedy wreszcie zasypiam, śniesz mi się, Soph. Stoisz na skraju moła, jedną nogę masz bosą, drugą – w adidasie. Jesteś ubrana w zwiewną białą sukienkę do kostek, co kompletnie nie ma sensu, bo przecież tamtej ostatniej nocy miałaś na sobie dzinsy. Zbliżam się ostrożnie, odwracasz się do mnie i wydajesz przeszywający krzyk. Budzę się

gwałtownie i siadam w pościeli, wyprostowana i napięta jak struna. Cała się trzęsę, a koszulę mam mokrą od potu.

Dziecko piętro niżej wciąż zawodzi, jakby ktoś mu złamał serce.

Rano burczy mi w brzuchu, a uporczywy dźwięk klaksonu bynajmniej nie łagodzi bólu głowy. Poirytowana, zamasyście rozsuwam zasłony i ze zdziwieniem stwierdzam, że na podjeździe stoi rzeź Daniela. Sam Daniel podnosi wzrok, spostrzega mój nos przyciśnięty do szyby i gestem przyzywa mnie na dół.

Przyglądam włosy przed lustrem, które wisi nad żeliwnym piecykiem, maluję usta, łapię torbę i czym prędzej wychodzę z mieszkania. W korytarzu panuje cisza. Dziecko, które całą noc nie dawało mi spać, wreszcie padło. W apartamencie numer jeden najwidoczniej zatrzymała się rodzina, która zdecydowała się na urlop poza sezonem, choć z tego, co słyszałam nocą, nie sądzę, by był to urlop udany.

Kiedy już prawie docieram na dół, słyszę, jak zamykają się drzwi tamtego mieszkania. Szkoda, że nie zeszałam dosłownie sekundę wcześniej, bo poznałabym sąsiadów i się przedstawiła. Świadomość, że bezpośrednio pode mną mieszka rodzina, sprawia, że jest mi trochę lepiej, czuję się mniej samotna, choć przecież wcale ich nie znam.

Mam wyjść z budynku, kiedy na wycieracze po wewnętrznej stronie drzwi dostrzegam brązową kopertę A4. Jest wilgotna i trochę pognieciona. Mój wzrok przyciąga nazwisko, wyraźnie wypisane dużymi drukowanymi literami. FRANCESCA HOWE. Podnoszę ją, zaintrygowana. Bez znaczka. Kto by do mnie pisał?

Rozdzieram kopertę. Hm, ciekawe, w środku jest tylko pojedyncza kartka. Przebiegam ją wzrokiem i ogarnia mnie przerażenie. Wydrukowany dużą, pogrubioną czcionką napis składa się z trzech wyrazów. Koperta i kartka wyslizgują mi się z dłoni i spadają na podłogę napisem do góry, więc w dalszym ciągu widzę złowieszcze zdanie:

**WIEM, CO ZROBIŁAŚ.**



Sobota

Stoję na klatce schodowej i gapię się na list. Litery skaczą mi przed oczami. Kto i skąd mógłby wiedzieć, że tu jestem? Przyjechałam dopiero wczoraj po południu, a ktoś już zadał sobie trud, by wydrukować tę złowieszczą notkę i podrzucić mi ją pod drzwi. Wczoraj koło szóstej, kiedy wychodził Daniel, na pewno jej nie było, bo odprowadziłam go aż na dół. Stałam w progu, gdy pod siekącym deszczem biegł do samochodu, zgarbiony, by przykryć ciemnym wełnianym płaszczem również głowę. Czy ktoś tkwił w ciemności, mókł i mnie obserwował? Dreszcz przechodzi mi po plecach.

Te słowa mogą oznaczać tylko jedno: ktoś wie. Przyrzekłyśmy sobie, że nigdy nikomu o tym nie powiemy. Tymczasem ktoś musi wiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy zginął Jason.

Gwałtowne stukanie do drzwi sprawia, że podskakuję, jednym ruchem zgniatam list i kopertę i wciskam je do torby. Dopiero wtedy otwieram. W progu stoi Daniel w tym samym co wczoraj czarnym płaszczu, z brodą wciśniętą w pasiasty szalik i rozzłoszczonym spojrzeniem.

– A ty jak zwykle zawieszona, Franks – mruczy niechętnie. – Wiesz, ile już siedzę w samochodzie i na ciebie czekam? Co robiłaś?

Waham się, czy pokazać mu kartkę. W końcu nikt poza nim nie wie, że się tu zatrzymałam, prawda? A jeżeli wczoraj wieczorem to on przyszedł tu znowu i ją podrzucił? A jak nie wczoraj, to dziś rano, a potem uciekł do samochodu i udawał, że dopiero podjechał? Logika podpowiada mi wprawdzie, że Daniel nigdy by czegoś takiego nie zrobił, bo jest po mojej stronie, tak jak zawsze, postanawiam więc na razie zachować to dla siebie. Mamroczę tylko pod nosem jakieś przeprosiny i idę za nim przez podjazd na ulicę, gdzie zaparkował, a potem wsiadam na miejsce pasażera. Potrzebny mi jeszcze ten anonim. Jakbym nie dość przejmowała się perspektywą spotkania z Leonem. Zaczyna mnie boleć głowa. Jestem zmęczona i spięta.

– Wiesz – odzywa się Daniel, jadąc po zalanych deszczem ulicach w dół, w stronę szosy biegnącej wzdłuż wybrzeża. Zdaje się zupełnie nie zauważać mojego złego nastroju. – Tak naprawdę nigdy nie lubiłem Leona.

Ze wszystkich sił staram się wypchnąć z głowy myśli o liście i Jasonie. Daniel nie spuszcza wzroku z drogi i tak mocno ściska kierownicę, że pod jego bladą skórą pokazują się niebieskie żyłki.

– Dziewczyny leciały na niego jak ćmy do światła. Raz spytałem Sophie, co w nim widzi, a ona na to, że jest taki głęboki. – Daniel lekceważąco prychnął. – Głęboki jak jasna cholera! Raczej humorzasty. Albo wyciszony. Albo dziwak.

Uśmiecham się.

– Wiesz, jaka ona była. Marzycielka. Romantyczka. Mówiła, że Leon przypomina bohaterów jej ulubionych książek, tajemniczych i posępnych. Heathcliffa i pana Darcy’ego.

Nigdy do końca nie rozumiałam, co miałaś na myśli. Czytanie powieści mnie nie interesowało, a już na pewno nie klasyki, którą pochłaniałaś tak samo jak mój tata. Najchętniej cały czas siedziałabyś z nosem w książce. Strasznie mnie to irytowało, kiedy razem nocowałyśmy. Wolałaś czytać, niż plotkować.

Ciągle przynudzałaś, że Leon ma smak artystyczny, jeśli chodzi o literaturę, nie wspominając o jego okropnych wierszach, które cię tak zachwyciły. Raz jeden przeczytałam. Znalazłam go na twojej szafce nocnej, wepchnięty między strony *Anny Kareniny*, a może *Jane Eyre*, wszystko jedno. Nie myszkowałam, ale akurat byłaś w łazience, a ja nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zerknąć. Był jakiś pokręcony, naiwny i intensywny, przynajmniej moim zdaniem. I to całe gadanie o byciu razem aż do śmierci. Koń by się uśmieł.

Zerkam na Daniela. W twoim bracie zdecydowanie nie ma nic głębokiego. Zawsze był otwarty, bezpośredni i nie skrywał emocji, a wręcz przeciwnie – wystawiał je na pokaz. Nadal są równie dobrze widoczne jak reklamy przy drodze.

Niemożliwe, żeby to był twój brat, prawda, Sophie? On nie napisałby anonimu – to metoda dla tchórzy. A Daniel to jedna z najbardziej odważnych i uczciwych osób, jakie znam. Pamiętam, opowiadałaś, że jak miał osiem lat, dostał w brzuch od ojca, bo chciał zasłonić matkę, nad którą stary się pastwił. I chociaż się martwiłaś, że nie chce się uczyć i tylko szwenda się bez celu, to byłaś dumna, że nigdy nie ściemnia i nie okłamuje mamy, bo widział, ile razy robił to wasz ojciec.

Zamykam oczy i szczypię się w czubek nosa. Daniel wciąż gada o Leonie.

– Był taki natarczywy. Zaborczy. Pokłócili się tej nocy, kiedy zginęła. Rozstali się. A potem, dosłownie parę tygodni po jej zaginięciu, spieprzył za granicę, niby że do pracy. Nieważne. Może z tobą zechce gadać.

Wcale nie byłabym taka pewna, miałam ochotę odpowiedzieć, ale milczałam. Nagle uderzyła mnie nowa myśl: może to Leon jest autorem listu?

Pika mój telefon. Wkładam rękę do torby, która stoi u mych stóp. Przyszedł esemes od Mike’a. Otwieram go i aż się wzdrygam. „Dobrze wiedzieć, że jesteś taką bezduszną krową, Fran. Dzięki za ostrzeżenie”. Wrogość bijąca z tego krótkiego tekstu jest dla mnie takim szokiem, że na chwilę wstrzymuję, a potem gwałtownie wypuszczam powietrze.

Daniel odwraca się w moją stronę. Ma zmarszczone czoło.

– Coś się stało?

– Nic, to tylko esemes od byłego chłopaka – wyjaśniam, starając się ukryć emocje, i wsuwam telefon do torby.

Opieram się o siedzenie, zamykam oczy i masuję skronie. Dopiero teraz do

mnie dociera, co tak naprawdę zrobiłam wczoraj w nocy. Jęczę w duchu. Po pijanemu zadzwoniłam do Mike'a, a kiedy nie odbierał, nagrałam mu się na pocztę, informując, że nasz związek właśnie się zakończył i że proszę, aby do mojego powrotu wyprowadził się z domu. Nie przypuszczałam, że w ogóle dostanie tę wiadomość, bo zasięg był naprawdę kiepski, ale, jak widać, dostał. Szczerze mówiąc, już od pewnego czasu chciałam z nim skończyć, ale po tym, co spotkało tatę, długo nie znajdowałam w sobie siły, by zmierzyć się z tematem. Był to z mojej strony egoizm. Przez mnie Mike trwał w przekonaniu, że nasz związek ma rację bytu, choć sama nie widziałam dla niego przyszłości. Ty na pewno byś mi doradziła, żebym zerwała już dawno, Soph. Przyjazd tutaj dał mi ku temu doskonałą okazję. Mimo to nie ma usprawiedliwienia dla osoby, która robi to po pijanemu i przez telefon, a właściwie przez wiadomość głosową.

– Wczoraj w nocy zerwałam z chłopakiem, przez telefon – mówię z zamkniętymi oczami. – Upiłam się i powiedziałam o dwa słowa za dużo. Nie przyjął tego zbyt dobrze.

– A – rzuca ze zrozumieniem Daniel, ale nie podejmuje tematu.

– Już od jakiegoś czasu nosiłam się z tym zamiarem. – Denerwuje mnie osadzający ton, który wyczułam w jego krótkim „a”, i chcę się wytłumaczyć. Dalej masuję skronie. – Ale nie powinnam była tego robić przez telefon, no i tym bardziej na gazie. Nie za dobrze to rozegrałam.

Otwieram oczy i widzę, że Daniel złośliwie się uśmiecha.

Prostuję się.

– Co?

Daniel się śmieje.

– Nic się nie zmieniłaś, lady Frankie. Dalej, gdzie się pojawisz, tam łamiesz serca.

– Nie... nie miałam zamiaru...

– Ty nigdy nie masz zamiaru – mówi drwiąco.

Przyglądam się jego profilowi, kanciastej szczęce, długiemu nosowi i pasmu ciemnych włosów, które ostro kontrastują z bladą skórą. Czy jemu też złamałam serce? Lata temu?

– Nieważne. Leon nie wie, że przyjdziemy, więc...

– Co? – Ból głowy nagle staje się nieznośny. – Co masz na myśli, mówiąc, że nie wie, że przyjdziemy? Myślałam, że wszystko zaplanowałeś.

Daniel jest wyraźnie skrępowany.

– No wiem, ale nie widziałem się z nim od lat. Nigdy się nie lubiliśmy. Nie pamiętasz, co się stało? – Widząc po mojej minie, że nie, wyjaśnia: – Ścieliśmy się, podbiłem mu oko. – Brzmi, jakby był z siebie dumny.

Tak, pamiętam tę bójkę. Wkrótce po tym, jak zaginęłaś, a ja nigdy się nie dowiedziałam, o co poszło. Wszyscy byli podminowani, no i jeszcze ciągle się

kręcił ten detektyw. Martwiliśmy się, co się z tobą stało. Parę dni później na policję zgłosiły się jakieś dzieciaki. Podobno urządziły sobie imprezę na plaży, w pobliżu miejskiego molo, i widziały, jak szłaś deptakiem. Byłaś sama. A potem na starym molo znaleziono twój but, koło złamanej barierki, więc policja założyła, że sobie popiłaś, wracałaś do domu po imprezie i spadałaś.

– A on ci rozciął wargę, o ile dobrze pamiętam.

Daniel błyska do mnie uśmiechem, który odczytuję jako „a nie mówiłem?”.

– Właśnie. Skłonność do agresji.

Potrząsam głową. Jestem poirytowana.

– No to skąd wiesz, że wrócił? Przecież możesz się mylić.

– Nie. Jego brat, Lorcan, powiedział Sidowi. Podobno przyjechał parę dni temu. No to trochę poszperałem. Mieszka u Lorcana, tam gdzie kiedyś, uwierzysz?

– Nie podoba mi się pomysł, żeby się u niego pojawić z nienacka. Po tylu latach.

Pamiętam swoje ostatnie spotkanie z Leonem. To było w lecie, po tym, jak zniknęłaś, a ja z rodzicami przeniosłam się do Londynu. Daniel i twoja mama też już wyjechali z Oldcliffe. Chcieli zacząć od nowa, tak twierdzili. Z dala od smutnych wspomnień. Trudno im się było dziwić. Już nie postrzegano ich jako zwyczajnych ludzi, Daniela i Anne, tylko jako „pograżoną w smutku rodzinę zaginionej Sophie Collier”. Gdziekolwiek się pojawili, spotykali się z litością lub lękiem. W końcu pech bywa zaraźliwy. Ludzie na ich widok przechodzili na drugą stronę ulicy, bo nie wiedzieli, co powiedzieć, plotkowano o nich w sklepach i pubie. Wiedziałam, jak się muszą czuć, bo mnie traktowano podobnie. „O, idzie najlepsza koleżanka Sophie Collier”. Nie zrozum mnie źle, Soph, nie chodzi o to, że nie lubię być z tobą kojarzona. Uwielbiałam być twoją przyjaciółką. Po prostu wszyscy stwierdziliśmy, że nie możemy zostać w miejscu, w którym istniałaś ty, żywo, intensywnie, barwnie. Nie możemy udawać, że wszystko jest jak dawniej, ponieważ twoja śmierć całkowicie zmieniła nasz świat.

Leon musiał czuć się podobnie, bo parę tygodni po twoim zniknięciu zwinął manatki i wyjechał. Chodziły plotki, że podróżuje. Wpadłam na niego jakieś dziewięć miesięcy później, przypadkiem, w barze w Soho. Gadaliśmy o tobie. To wszystko miało związek z tobą, Soph, przysięgam. Wcale nie zamierzaliśmy iść do łóżka, byliśmy pijani i markotni, rozpamiętywaliśmy przeszłość. Następnego ranka zniknął, zanim się obudziłam. Zostawił mi kartkę, że to był błąd i że przeprasza. Od tamtej pory go nie widziałam.

Przepraszam, Soph. To było jak zdrada ostateczna.

Daniel nic nie rozumie. Zwłaszcza jeśli chodzi o Leona. I jak ja mam mu to wszystko wyjaśnić. Cokolwiek powiem, zabrzmie perfidnie. Ohydnie.

Wyglądam przez okno, żeby z nim nie rozmawiać. Stare molo spowija mgła, wyłania się z niej tylko jego zarys. Zatoka w tym miejscu wydaje się bardziej szara

niż dalej wzdłuż wybrzeża. Wiktoriańskie domy powoli znikają. Zamiast nich pojawiają się bardziej nowoczesne bryły, bliźniaki. No i w końcu jest – wasze osiedle. Skręcamy w uliczkę. Na rogu brzydkiego, szarego betonowego bloku ciąg okien wystawowych – fryzjer, artykuły dla zwierząt i mały supermarket Co-op. Koło śmietników kręci się grupa wyrostków. Od młodych nas różnią ich tylko ubrania.

Marszczę brew. Osiedle wygląda gorzej, niż zapamiętałam. A może po prostu przez te lata aż tak niszczało. Mimo wszystko życzyłam Leonowi lepszego losu. Uderza mnie nagła myśl.

– Nie mieszkasz już tu, prawda, Dan? – pytam.

Odwraca się do mnie, na twarzy ma pogardę.

– Nie, już nie. Ale nawet gdyby, to co? Nie bądź taką snobką, Frankie.

Czuję, jak się rumienię. Naprawdę? Jestem snobką?

Daniel skręca w lewo. Doskonale pamiętam tę uliczkę. Tylko parę przecznic dalej mieszkałaś ty.

Parkuje przed numerem pięćdziesiątym dziewiątym, skrajnym domem z trzech szeregowców. Przed garażem stoi na ceglach zardzewiałe renault. Widzę, że brakuje mu kół. Za naszych czasów w tej samej roli występował wrak forda cortiny. Pamiętam, że go nie cierpiałam.

– Miejmy nadzieję, że Leon rzeczywiście się tu zatrzymał. – Daniel chce otworzyć drzwi, ale w panice chwytam go za rękaw.

– Daniel... czekaj... powinieneś coś wiedzieć...

Zamiera z palcami na klamce.

– Co, Franks? – pyta łagodnym głosem i mam przemożną chęć mu wszystko opowiedzieć, ale nie jestem w stanie znieść myśli, że kiedy się dowie, opuszczą go wszelkie złudzenia co do mnie. Zauważa, że się waham, i zabiera rękę z klamki. – Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć, prawda? Zrozumiem.

Przygryzam wargę. Nie jestem gotowa, by wyznać mu prawdę. Mam tylko nadzieję, że Leon będzie siedział cicho.

– Frankie?

– Nieważne. Kiedy indziej.

Widzę, że przez twarz Daniela przemyka cień rozczarowania. Potem twój brat w milczeniu gramoli się z astry. Nie mam wyboru, muszę zrobić to samo, mimo że instynkt nakazuje mi nie ruszać się z miejsca.

Stoję na chodniku przed domem. Pada drobny deszcz. Z garażu obłazi czerwona farba, odsłaniając gołą blachę. Wszystko jest bardziej szare, wyblakłe i mniejsze, niż pamiętam – jakby świat wokół mnie się skurczył.

Osiedle zostało zaprojektowane w ten sposób, że do domów wchodzi się od tyłu, od strony garaży, przez tylne ogródki. Kiedy Daniel otwiera dużą drewnianą furtkę do ogrodu, czuję się tak, jakbym bez pozwolenia wkraczała na cudzy teren

i była obserwowana. W wybujałej trawie stoi zardzewiała dziecinna huśtawka, obok wala się koło od roweru. Ogródek od strony sąsiada okala gęsty żywopłot z cyprysowców, a od strony ulicy – płot. Niski murek odgradza patio wielkości znaczka pocztowego od zapuszczonego trawnika. Idę za Danielem betonową ścieżką i kryję się za jego plecami, kiedy stuka w szybę kuchennych drzwi. Mimo woli wstrzymuję oddech.

Liczę. Raz, dwa, trzy, cztery... Drzwi się otwierają.

I jest. Stoi w progu. Nadal ma śniadą cerę i ciemne falujące włosy, lecz teraz pobłyskuje w nich parę siwych nitek. Ciekawe, czyby ci się spodobał, gdybyś go teraz zobaczyła. Chyba tak.

Przez lata, gdy mieszkałam w Londynie, umawiałam się z bankowcami, prawnikami, lekarzami i biznesmenami – zadbanymi, metroseksualnymi facetami. Aż pojawił się Mike. Przyciągnął moją uwagę, bo emanował takim samym surowym, prymitywnym męskim seksapilem jak Leon i Daniel. Oni mają to w sobie i nie muszą się godzinami szykować w łazience, woskować i golić, przycinać i żelować.

Leon wypełnia sobą całe światło drzwi i taksuje Daniela znajomym przenikliwym spojrzeniem błękitnych oczu.

– Czego chcesz? – pyta.

– Pogadać.

Odwraca się do mnie. Na moment zapada cisza – oboje przyglądamy się mniej lub bardziej subtelnym zmianom, które zaszły w nas przez lata. Wtem, otrząsając się z zamyślenia, mówi:

– Witaj, Frankie. Słyszałem, że wróciłaś.

A więc już wiedział. Ścisną mnie w żołądku. Czy to on podrzucił list? Ale chyba mu nie powiedziałaś, co zrobiłyśmy, co, Soph?

– Hej, Leon. – Próbuję się uśmiechać, ale twarz mam zastygłą i muszę się wielce wysilić, by unieść kąciki ust.

– Wejdźcie – mówi i cofa się, żeby nas przepuścić.

– Kiedy przyjechałeś? – pytam już w kuchni. Jest nienowoczesna – złamana biel na ścianach i rustykalne szafki. Na drzwiach lodówki dziecięcy obrazek przedstawiający kota, przyczepiony magnesem z reklamą promów Stena Line. W powietrzu unosi się zapach mokrej ścierki i mleczka do czyszczenia.

Leon wstawia wodę.

– Parę dni temu. Nie na długo. U Lorcana i Steph jest ciasno. – Krzywi się. – Pięcioro dzieciaków i jeden wnuk.

Chcę go zapytać, skąd się tu wziął, co się z nim działo od czasu naszego ostatniego spotkania, ale nie mogę się zmusić do sformułowania sensownego zdania.

Odzywa się Daniel, jakby czytał mi w myślach.

– A tak w ogóle, co cię tu sprowadza? – pyta szorstkim, jakby zazdrosnym tonem.

Leon wzrusza ramionami.

– Kontrakt mi się skończył. Więc pomyślałem, że tu przyjadę, rozejrzę się, zobaczę, co jest na rynku. Może trzeba będzie zmienić branżę.

„Na rynku”, „zmienić branżę”. Leon z mojej przeszłości tak by nie mówił. To język korporacyjny, domena biznesmenów. W jego słowach pobrzmiwa coś lekko nienaturalnego – jakby się nas spodziewał i przygotował na to pytanie.

– Wejdźcie, przyniosę herbatę. – Pokazuje na drzwi do salonu.

Przystaję, by zamienić z nim choć słowo w cztery oczy, ale on odwraca się do mnie plecami i nie mam wyboru, jak tylko iść za Danielem. To salon z jadalnią, taki sam jak w twoim starym domu. Nad kamiennym kominkiem wisi duży telewizor. Zamiast zasłon w kwiaty, które pamiętam z lat dziewięćdziesiątych, pojawiły się drewniane żaluzje.

Muszę powiedzieć Danielowi o mnie i o Leonie. A jeżeli Leon wyrwie się z tym jak Filip z konopi? Czy Daniel się zdziwi, że mu nie powiedziałam? Straci do mnie zaufanie? Tak, gdyby wiedział, może postrzegalby mnie inaczej, ale jeśli dowie się od Leona, uzna mnie za kłamczuchę.

– Daniel – mówię ściszonego tonem, kiedy siadamy na beżowej kanapie – powinieneś coś wiedzieć, o mnie i o Leonie.

Przenosi na mnie wzrok, a ja pierwszy raz spostrzegam ciemnofioletowe cienie pod jego szarymi oczami.

– Co takiego, Franks?

Już otwieram usta, gdy do pokoju wchodzi Leon z tacą.

– Proszę, cukier i mleko. – Wskazuje tacę niedbałym gestem, po czym siada w fotelu naprzeciwko nas i opiera kostkę jednej nogi na kolanie drugiej.

Doskonale pamiętam tę pozę, jest w niej dziwna delikatność. Dolewam sobie mleka do herbaty i upijam łyk.

– Odnaleziono szczątki Sophie – oświadcza Daniel bez żadnego wstępu.

Nie spodziewałam się, że będzie taki bezceremonialny.

Leon pochyla się do przodu i chwyta za kubek. Widzę, że jego ręce są szorstkie, spracowane. A ty zawsze mówiłaś, że ma dłonie artysty, gładkie i szczupłe.

– Jej szczątki? – powtarza. – Co masz na myśli?

I znów to brzmi nienaturalnie, jakby wygłaszał wcześniej przeciwioną kwestię, jakby już wiedział. To małe miasteczko – jestem pewna, że wieści rozeszły się z prędkością światła. No i ta wiadomość znajduje się na pierwszej stronie lokalnej gazety. Po co więc udaje?

Daniel wznosi oczy do sufitu.

– Co mam na myśli? Przecież ona nie żyje, do cholery.



Leon przenosi wzrok z Daniela na mnie. Ma bladą twarz i zmęczone oczy. Atmosfera w pokoju jest gęsta od niewypowiedzianych słów, niczym chmura nabrzmiała deszczem, który lada moment spadnie. Leon przeciera twarz ręką. Panuje cisza, jedyny dźwięk to tykanie zegara na kominku. Leon kryje głowę w dłoniach. Na chwilę ogarnia mnie przerażenie, że się załamie i straci panowanie nad sobą. Podsuwam się do przodu, odstawiam filiżankę na tacę i kucam tuż przed nim. Kładę mu rękę na kolanie.

– Chyba liczyłeś się z tym, że nie żyje?

Podnosi głowę i świdruje mnie wzrokiem. Ma kamienną twarz.

– Nigdy nie straciłem nadziei. – Jego rysy jeszcze bardziej tężeją i spycha moją rękę z kolana, jakby mój dotyk go mierzył.

Wracam na swoje miejsce i łapię spojrzenie Daniela. Chyba jest wściekły.

– To wszystko jest bardzo wzruszające – rzuca z sarkazmem – ale chciałbym cię, Leonie, prosić, żebyś mi opowiedział, co się wtedy stało.

– Czemu? Chcesz to znowu przerabiać? Od nowa?

– Sądzę, że została zamordowana.

– A policja?

– Policja od samego początku zakładała, że wpadła do morza i utonęła – włączam się. – Na molo było niebezpiecznie. Powinni je ogrodzić, jak teraz.

Leon odchrząkuje. Ignoruje Daniela, patrzy tylko na mnie.

– I być może po prostu wpadła.

Daniel prychnie z pogardą.

– Chciałbyś, żebyśmy w to uwierzyli, prawda?

Leon podrywa się i mocno zaciska pięści.

– Co to ma znaczyć? Masz coś do powiedzenia, mały Danny, to mów, i to zaraz!

Daniel też wstaje. Stoją twarzą w twarz, dzieli ich tylko niski stolik przy kanapie. Scena jest niemal teatralna.

– Dajcie spokój – rzucam.

W innych okolicznościach może i byłoby to zabawne, patrzeć, jak skaczą sobie do oczu. Czy Daniel naprawdę wierzy, że Leon rzeczywiście cię wtedy w jakiś sposób skrzywdził? Czy chodzi o coś innego, głębszego? A może nienawiść Daniela do Leona wynika z zazdrości? Może twój brat sądzi, że wystarczy, że raz spojrzę na Leona, a ucieknę z nim w stronę zachodzącego słońca jak na kiczowatym filmie? To, że tobie się Leon podobał, Soph, nie znaczy, że podoba się wszystkim.

Daniel ma chociaż tyle przyzwoitości, że kiedy z powrotem opada na kanapę, wygląda na skruszonego. Wciąż ściska w dłoni kubek. Kubek z Kłapouchym. To tak absurdalne, że nagle chce mi się śmiać. Powstrzymuję się i zamiast tego rzucam Leonowi ostrzegawcze spojrzenie. Siada.

– Proszę cię, Leon – mówię – po prostu powiedz, co wtedy zaszło, i sobie pójdziemy.

– Już mu wszystko powiedziałem. Dawno. Jemu i policji – odpowiada z nadąsaną miną.

– Ale śledztwa nie przeprowadzono. Wiem, że to było wieki temu. Próbuje się tylko dowiedzieć, co się z nią naprawdę stało. Po co poszła na to molo? Miała się z kimś spotkać? A jeżeli tak, to z kim? Naprawdę jest ci wszystko jedno? – pyta Daniel.

Leon wzdycha.

– Nie jest mi wszystko jedno, to chyba jasne, ale nic nie wiem. Myślałem, że jesteśmy zakochani, aż nagle... – Wbija we mnie twarde spojrzenie, miażdżące. Wiem, co to spojrzenie oznacza. Ono oznacza, że on wie, Soph. Dowiedział się, co zrobiliśmy Jasonowi, i nie mógł ci tego wybaczyć.

– Aż nagle? – naciska go Daniel.

– Aż nagle strasznie się pokłóciliśmy i zerwaliśmy, i tyle.

– O co się tak pokłóciliście? – Daniel nie odpuszcza.

Leon wzrusza ramionami. Cały czas nie spuszcza ze mnie wzroku. Ciemne loki spadają mu na twarz.

– Ty wiesz, Frankie, prawda?

Sobota, 5 lipca 1997

Dowiedziałam się czegoś okropnego. O Leonie. Czegoś, czego wolałabym nie wiedzieć.

A wszystko szło tak dobrze. Wczoraj wieczorem spotkaliśmy się o siódmej przy starym moło. Usiedliśmy na plaży z sześciopakami cydru i gadaliśmy o muzyce, o dzieciństwie, o naszych marzeniach i nadziejach, o pragnieniu, by pewnego dnia wyjechać z Oldcliffe. W pewnym momencie on zapytał o mojego tatę. Spodziewałam się tego pytania, wiedziałam, że kiedyś padnie, a mimo to wywołało u mnie ostre ukłucie gdzieś pod żebrami. I to samo przerażenie, które czułam, kiedy ojciec darł się na mamę i ją bił, a potem tę ulgę, gdy wyszedł z domu i trzasnął drzwiami, i strach, gdy patrzyliśmy z Danielem na krew, która lała się z opuchniętej twarzy mamy na szarobrązowy dywan. Miałam wtedy sześć lat, a mój brat – osiem. Okazało się, że przepełniła się czara goryczy, że mama dłużej nie wytrzyma. Tej nocy uciekliśmy. Spakowaliśmy trochę rzeczy i oddaliśmy się prawie pięćset kilometrów od Durham, aż w końcu dobrnęliśmy do jakiegoś przytułku dla kobiet na obrzeżach miasta. Zmieniliśmy nazwisko na Collier (to nazwisko nosił główny bohater ulubionego filmu mamy, *Gdzieś w czasie*; grał go Christopher Reeve) i o ile mi wiadomo, ojciec nigdy nie próbował nas znaleźć.

Poczułam na sobie badawcze spojrzenie Leona, który czekał na odpowiedź.

– Rodzice rozstali się, jak byłam bardzo mała, i od tego czasu go nie widziałam – odparłam.

Musiał wyczuć, że nie chcę o tym mówić, bo delikatnie ścisnął moją rękę, jakby rozumiał mnie bez słów. Potem weszliśmy na stare moło i całowaliśmy się przy zachodzie słońca. Nigdy nie czułam się z nikim tak blisko. I tak dobrze.

A dzisiaj, po tym, czego się dowiedziałam od Frankie, jest mi po prostu okropnie.

Poszłam do niej po pracy. Wiem, że to śmieszne, ale nie miałam ochoty jej mówić o mnie i o Leonie. Bałam się. Umówiliśmy się u niej, w hotelu, jak skończę swoją zmianę w smaźalni. Znowu był upał, turyści i emeryci tłumnie oblegli miasto, więc miałam opóźnienie. Do hotelu dotarłam dopiero około czwartej.

Hotel byłby elegancki, gdyby nie to, że w latach pięćdziesiątych ktoś wpadł na cudowny pomysł i pomalował elewację na kolor wściekle różowej gumy do żucia. Teraz budynek wyróżniał się na tle innych stojących wzdłuż głównej ulicy zupełnie nie z tego powodu, co powinien.

Drzwi otworzył mi tata Frankie, Alistair. Nie widziałam go od trzech lat, ale zawsze bardzo go lubiłam. Kiedy byłam mała, zawsze się starał, żebym dobrze się

u nich czuła. Zapewne głównie dlatego, że jego córka była jedynaczką i zależało mu, żeby miała towarzystwo, ja natomiast wychowywałam się bez taty i brakowało mi męskiego autorytetu. On zaś był – i nadal jest – przystojny, mądry, inteligentny i świetnie ubrany (jak na ojca!). Muszę przyznać, że jako nastolatka nawet trochę się w nim podkochiwałam.

– Sophie Rose Collier! – wykrzyknął na mój widok. – Co za niespodzianka! Strudzony wędrowiec powraca. A jaki odmieniony!

Ostatnio, kiedy mnie widział, byłam szykującą się do wyjazdu na studia niezgrabną i zakompleksioną osiemnastolatką w okularach i z kościstymi kolanami. Teraz zaprosił mnie do środka i zasypał pytaniami: o uniwersytet, kierunek, przedmioty, przeczytane lektury, ocenę na dyplomie i plany na przyszłość. To mi przypomniało, jak się zawsze interesował moją edukacją.

Już samo to, że znów znalazłam się w hotelu w towarzystwie Alistaira, przywołało wspomnienia z dzieciństwa. Nic się tu nie zmieniło: na podłodze w holu, na schodach i na półpiętrze wciąż leżał czerwony dywan ze złotym fantazyjnym wzorem, ściany nadal były kremowe, w barze stały ciężkie drewniane meble, a z wysokich sufitów zwisały ogromne kryształowe żyrandole. Pachniało woskiem i czerwonym winem.

Alistair usadził mnie w części barowej, na miejscu z widokiem na plażę wypełnioną ludźmi. Wiatr poruszał siatkową firanką, a przez otwarte okno dochodziła kakofonia (słowo na dziś!) dźwięków: rozmowy i krzyki, ruch uliczny i nikła muzyka z salonów gier. Bar był pusty – wszyscy goście albo leżeli na plaży, albo wałęsali się po deptaku. Choć z jednej strony miałam ochotę tu siedzieć i miło gawędzić z Alistairem, to z drugiej rozpaczliwie pragnęłam jak najszybciej zobaczyć się z Frankie, bo wiedziałam, że mam jej do powiedzenia coś, z czego na pewno nie będzie zadowolona, i chciałam mieć to już za sobą.

– Jak sądzisz, nie za wcześnie na lampkę wina? – spytał ku memu zdziwieniu ojciec mojej przyjaciółki i podszedł do półkolistego baru.

Mimo że mam dwadzieścia jeden lat, mama nigdy nie proponuje mi alkoholu, bo sama nie pije. To cały Alistair – zawsze traktował mnie jak dorosłą, darzył szacunkiem. Nawet kiedy byłam małą, wysłuchiwał mojego zdania w taki sposób, jakby było istotne. Nie chodzi o to, że mama mnie nie słuchała – nie, moja mama jest kochana – tylko zawsze tak ciężko pracowała. Nigdy nie miała łatwo, sama wychowała dwójkę dzieci.

Właśnie otworzyłam usta, by odpowiedzieć, gdy do pokoju wtargnęła Frankie i odebrała mi uwagę Alistaira. Jak zwykle wyglądała fantastycznie. Krótka sukienka w kwiaty miękko układała jej się wokół nóg, gruby warkocz zwieszał się na plecy i była już trochę opalona (to dzięki włoskim genom, bo jej mama pochodzi z Neapolu). Zawsze czułam się przy niej blada i chuda. Alistair w żartach nazywał mnie gwiazdą północy, a Frankie – różą południa. Zawsze pragnęłam być różą

południa.

Wstałam, żeby się z nią przywitać. Dopadła do mnie paroma susami, z oczami rozszerzonymi z podniecenia. Ciekawe, co mi miała do powiedzenia, bo wyglądała, jakby nie mogła się doczekać. Jaka szkoda, że za chwilę będę musiała popsuć jej nastrój.

– W takim razie zostawię was same, dziewczęta – rzekł jej tata, ale zauważyłam, że nalał sobie wina.

Wychodząc, przystanął w drzwiach i odwrócił się, oparł o framugę i zlustrował mnie spojrzeniem. Och, tak, Alistair nigdy się nie spieszył.

– Sophie, a może chciałabyś u nas pracować? Przydałaby nam się dodatkowa para rąk. Zaraz zaczną się wakacje, przez następne dwa miesiące mamy pełne obłożenie.

Serce zadrżało mi z radości. Wiedziałam, ile zarabia Frankie.

– A co miałabym robić?

– Och, nic nadzwyczajnego, jak to w hotelu. Ścielić łóżka, sprzątać brudne filiżanki i podawać czyste, trochę odkurzać i tak dalej. – Z lekceważeniem machnął ręką.

Frankie zarzuciła mi ręce na szyję.

– Będziemy razem pracować, Soph, ale super!

Alistair posłał jej pobłażliwy uśmiech, a ja poczułam ukłucie zazdrości, że moja przyjaciółka ma tatę, który ot tak, za pstryknięciem palców, potrafi sprawić, że coś staje się rzeczywistością. I umiła córce życie.

– Świetnie. Możesz zacząć od jutra?

Pomyślałam o smaźalni i jej właścicielu, Stanie, z wielkim brzuchem i bulwiastym nosem, gapiącym się na mnie – tak samo jak na wszystkie młode kobiety w Oldcliffe – lubieżnie znad dorsza, i bez namysłu potwierdziłam.

Alistair uśmiechnął się na pożegnanie i znikł, a Frankie wzięła mnie pod rękę i ruszyłyśmy na plażę. Nieuważnie słuchałam, jak trajkocze o Jezie, że obiecał do niej zadzwonić, i cały czas myślałam, jak to zrobić, żeby jej powiedzieć o Leonie.

– I patrz, co mi tata kupił – przypomniało jej się i zatrzymała się w pół kroku na środku chodnika, wywołując pomstowanie idącej za nami kobiety z wózkiem. Frankie nawet nie zwróciła na to uwagi. Była zbyt zajęta grzebaniem w przepastnym słomkowym koszyku plażowym. Po chwili wyciągnęła z niego telefon komórkowy, nokię, a ja znów poczułam ukłucie zazdrości. – Komórkę! Nawet nie wiesz, ile go błagałam. Farciara ze mnie, co? – Wręczyła mi aparat, a ja oglądałam go, jakby przybył z innej planety. – Płacę tylko za wykorzystane minuty. Tata kupił mi kartę za dziesięć funtów, na początek.

Jedno mnie zastanawia, Frankie zawsze opowiada, że tata jej coś kupił, a nie obydwójce rodzice, jakby mama nie miała w tym udziału, a to, że bez przerwy krząta się wokół hotelu – sprząta, porządkuje, gotuje – się nie liczyło. Owszem,

lubię Alistaira, ale on zawsze stoi i gawędzi z gośćmi z kieliszkiem czegoś mocniejszego w ręku, a jego żona w tym czasie haruje w kuchni jak wół. Tata Frankie często wydaje się zakłopotany, jakby trafił do własnego hotelu przez przypadek i nie mógł się odnaleźć wśród ciągle zmieniających się gości, ale z drugiej strony bez trudu się z nimi zapoznaje i prowadzi miłe, niezobowiązujące rozmowy. Sprawia wrażenie, jakby myślał, że jego życie potoczyło się nieco inaczej, niż się spodziewał. Frankie mi kiedyś powiedziała, że hotel należał do jej dziadków ze strony mamy, którzy po przejściu na emeryturę przekazali go swojej córce, ich jedynemu dziecku. Alistair był wykładowcą angielskiego, kiedy się poznali. Ciekawe, czy żałuje, że rzucił pracę, by prowadzić hotel – mimo oczywistych zalet tego interesu.

Wiedział, że od dziecka uwielbiałam czytać. Frankie nie bardzo, więc jej tata po kolei podsuwał mi całą swoją klasykę. Ciągle mam na półce jego *Rok 1984* i *Wielkie nadzieje*. Otrzymanie nowej powieści od Alistaira zawsze było dla mnie świętem. Każdą czytałam z wielką uwagą i starałam się przewidzieć, w którą stronę potoczy się nasza dyskusja, gdy już skończę. Uważałam, że to wielka szkoda, że już nie uczy.

Oddałam jej telefon.

– Wygląda super, ale do kogo będziesz dzwonić? Znasz w ogóle kogoś, kto ma komórkę?

– Nie wiem, ale przecież ludzie mogą do mnie dzwonić z domu, nie?

– Mnie nie pytaj, nie mam zielonego pojęcia, jak to działa – zaśmiałam się.

Frankie wrzuciła telefon z powrotem do koszyka i ruszyłyśmy dalej. Doszłyśmy do murka odgradzającego plażę od deptaka i usiadłyśmy na nim przodem do morza. Drażniły mnie hałasy: krzyki dzieci brodzących w płytkiej wodzie, pisk mew czyhających na byle kąsek, zgrzytliwa muzyka z automatów do gry po drugiej stronie ulicy, szum fal uderzających o brzeg, wszechobecny gwar, dzwonienie nieco oddalonego diabelskiego młyna, ustawianego co lato na plaży. Dość, żeby wywołać ból głowy. Czasem tęskniłam za spokojnymi zielonymi polami hrabstwa Warwick. Tutejszy wieczny harmider również przyczyniał się do tego, że miałam ochotę na zawsze opuścić to miejsce.

– Podoba ci się mój nowy lakier? – spytała Frankie. Zdjęła klapki i rozczapierzyła palce stóp. Paznokcie miała pomalowane na ciemnoliliowo. – Nazywa się Dolly Mixture. Fajny, nie?

Wiedziałam, że muszę jej powiedzieć tu i teraz.

– Wczoraj wieczorem spotkałam się z Leonem – wypaliłam znienacka.

Poczułam, jak Frankie sztywnieje. Nawet palce jej stóp zamarły. Odwróciła się do mnie. Kocie oczy miała zmrużone, a nozdrza przeciwnie, rozszerzone.

– Ty z Leonem? Jak to? Kiedy?

Wyjaśniłam jej. Opowiedziałam, jak znalazłam w kieszeni kartkę i że

spotkaliśmy się na starym molu.

– Mieszka dwie ulice ode mnie, nie uważasz, że to niesamowite?

Zrobiła dziwną minę.

– Nieszczerólnie. Miasteczko nie jest duże.

– No niby tak, ale...

– Nie wiesz, jaki on jest – przerwała mi lodowatym tonem. Nawinęła sobie pasmo włosów na palec i mocno pociągnęła. Już zapomniałam o tym jej nawyku. Robiła tak w szkole, kiedy się czymś bardzo zdenerwowała.

Jej natychmiastowa reakcja i ton pełen lekceważenia mnie ubodły.

– Zdaje mi się, że wiem – odparłam.

– Skąd możesz wiedzieć? Bo spędziłaś z nim wczoraj parę godzin?

Tak, właśnie stąd, miałam ochotę odpowiedzieć, ale nie zrobiłam tego.

– Sprawia wrażenie, że jest w porządku – odparłam za to.

– Już się z nim bzyknęłaś?

Najeżyłam się.

– Nie twój interes.

Oczywiście, że się nie bzyknęłam – na pierwszej randce? – ale nie chciałam jej tego mówić.

Zrobiła wielkie oczy.

– Kiedyś wszystko sobie mówiłyśmy – odezwała się piskliwie, tonem nadąsanej księżniczki. – Pamiętasz, jak straciłaś dziewictwo z Jamesem Forresterem? Mnie pierwszej powiedziałaś.

Już otworzyłam usta, żeby jej uświadomić, że od czasu, kiedy powierzałyśmy sobie wszystkie tajemnice, zwłaszcza te dotyczące życia miłosnego, minęły całe trzy lata, a ja nie jestem już przygłupią dziewczyną w okularach, z aparatem na zębach i niezrobionymi włosami, która spięła z jej ust każde słowo, lecz stałam się kimś innym, niezależnym, wyszłam z jej cienia, wyjechałam na studia i bez jej pomocy ułożyłam sobie życie całkiem od nowa. Ale wyglądała na tak przybitą, że zrezygnowałam. Czy oszukiwałam samą siebie? Przecież przez cały ostatni rok liceum i potem przez trzy lata studiów czułam się jak bez ręki lub nogi. Nie cierpię tej myśli, ale to prawda: obecność Frankie dodaje mi pewności siebie, zapewnia poczucie sprawczości. Wiem, że gdyby była ze mną na uczelni, bawiłabym się znacznie lepiej i podejmowałabym ryzyko, którego bez niej nie śmiałam nawet rozważyć.

– Chciałam ci powiedzieć...

– Aha, więc wszystko ci jedno, co mi się przytrafiło?

– No to powiedz, co ci się przytrafiło? – spytałam piskliwym, rozdrażnionym głosem. – Przecież cię nie napastował, prawda? Podobałaś mu się, ale go nie chciałaś, a on nie miał zamiaru tak łatwo odpuścić. I co z tego? – Nie cierpię otwartych konfrontacji, zwłaszcza z Frankie.

– I co z tego? – powtórzyła, naśladowując mój ton. Odkręciła się przodem do deptaka i zeskoczyła z murka, gwałtownie wsuwając stopy w klapki. Zarzuciła koszyk trochę wyżej, tak że znalazł się w zgięciu łokcia. – Cóż, jeżeli nie widzisz problemu, to okej. Ale pamiętaj. Ostrzegałam cię.

Odwróciłam się twarzą do niej i przerzuciłam nogi nad murkiem.

– Dzięki, Frankie, ale jestem już duża. Potrafię o siebie zadbać – powiedziałam, siląc się na spokój. Kłóciłyśmy się tyle razy w życiu, przecież znamy się od czasu, gdy miałyśmy po siedem lat, ale od naszego powtórnego spotkania obie robiłyśmy wszystko, by nic między nami nie zgrzytało, niczym zakochani w pierwszej fazie związku.

Frankie przez chwilę milczała. Patrzyła na mnie badawczo, jakby się zastanawiała, czy warto być ze mną szczerą. Zmarszczyła brwi.

– Zamierzasz się z nim spotykać?

Wzruszyłam ramionami.

– Naprawdę go lubię, Franks. A on mnie.

– W takim razie powinnaś coś wiedzieć. O nim – rzuciła.

Westchnęłam. Spodziewałam się dramatycznej, przesadzonej relacji o tym, jak ją napastował.

– Aha. Co takiego? – spytałam, splatając ręce na piersi, jakbym chciała się osłonić przed jej słowami. Nie byłam jednak zupełnie przygotowana na to, co usłyszałam.

– Leon jest kuzynem Jasona.



W drodze powrotnej Daniel milczy. Wciąż leje, a niebo przypomina grubą białą kołdrę chmur, które połknęły koniec starego molo.

Zatrzymuje się przed apartamentowcem i nie gasząc silnika, wpatruje się w dal. Dom stoi pogrążony w ciemności, a gęste krzewy oddzielające go od sąsiedniego budynku są cierniste i czarne.

W oddali spostrzegam kobietę w długim płaszczu. Idzie w naszą stronę, nad głową trzyma parasol. Odwracam się do Daniela. Ma posępną minę, więc jeszcze raz odtwarzam sobie w myśli rozmowę z Leonem. Czy powiedziałam coś nie tak? I co miał na myśli Leon, mówiąc, że chyba wiem, czemu zerwaliście? Robił aluzje do Jasona? Wygadałaś mu, Soph?

Jeżeli tak, jestem w stanie to zrozumieć. Pod elektryzującym spojrzeniem Leona człowiek miał wrażenie, że brakuje mu powietrza. Raz powiedziałaś, że jego oczy sięgają w głąb duszy, i dokładnie rozumiałam, o co ci chodzi.

Kto wie, co bym odpowiedziała, gdyby akurat nie zadzwonił mi telefon. Wygrzebałam go z torby, a kiedy okazało się, że to Stuart, wymruczałam przeprosiny, wyjaśniając, że to ważna sprawa służbowa, i pospiesznie wyszłam na dwór.

Stałam w ogrodzie. Nogi mi marzły w moich niepraktycznych butach. Stuart bardzo przeproszał, że niepokoi mnie w weekend, ale ktoś coś pokręcił z dużym zamówieniem i groziło nam, że otwarcie nowego hotelu poważnie się opóźni. Wyjaśniłam mu, jakie ma możliwości i co ma robić. Próbowałam rozmawiać spokojnie i swobodnie, mimo że w środku czekali na mnie Leon z Danielem. Dziwnie się czułam, odbierając służbowy telefon tutaj, w Oldcliffe, bo nałożyły się na siebie dwa różne światy. Musiałam na chwilę wypchnąć z głowy ciebie, Daniela i Leona i skupić się na tym, co mówi Stuart. Nie wiem, jak długo rozmawiałam, ale w końcu wyczułam za plecami czyjąś obecność. Odwróciłam się i stwierdziłam, że Daniel wierci butem dziurę w trawniku i stara się udawać, że nie podsłuchuje.

– Oddzwonię później – powiedziałam do Stuarta. – Ale pamiętaj, skontaktuj się z dostawcą. W razie czego przeproś, że nie miałeś o niczym pojęcia. I przekaż Paulowi, żeby uważał, bo to już nie pierwsza wpadka. – Wrzuciłam komórkę do torby. Obecność Daniela oddalała mnie od znajomego świata londyńskich interesów, a przybliżyła z powrotem do Oldcliffe.

– Chodź, idziemy stąd – rzucił krótko Daniel. Z poważną miną ruszył do samochodu, stawiając tak długie kroki, że musiałam za nim biec.

Od tamtej pory nie odezwał się do mnie ani słowem.

– Coś się stało? – pytam go teraz. W panującej w samochodzie ciszy mój głos brzmi zbyt donośnie.

– Co on miał na myśli? – chce wiedzieć Daniel. – To znaczy Leon. Kiedy mówił, że ty wiesz, czemu zerwał z moją siostrą?

Nie spuszcza ze mnie wzroku. Mam świadomość, że muszę być z nim szczerą.

Tylko jak to zrobić? Bo Leon niekoniecznie musiał pić do sprawy Jasona. Być może miał na myśli coś zupełnie innego.

– Może byśmy poszli gdzieś na lunch? – proponuję. – I pogadali?

Daniel w końcu się do mnie odwraca. Widzę, że łagodnieje.

– Nie wiem, Franks... Powinienem dziś zajrzeć do redakcji... i...

– Ej, daj spokój. Przecież musisz coś zjeść.

– Serio? W takim razie jak mógłbym odmówić damie? – śmieje się, ale ten śmiech wydaje mi się dziwnie wymuszony.

– Co się stało, Dan?

Ramiona mu oklapły, sprawia wrażenie psychicznie wypompowanego.

– Nie wiem, Franks. Po prostu się martwię, że to wszystko na nic. Szeroko rozpościera ręce w bezradnym geście. – Że nigdy się nie dowiem, co się stało z moją siostrą.

– Daniel... – zaczynam i milknę. – Możliwe, że nigdy się tego nie dowiemy – mówię cicho, wyciągam rękę i dotykam jego ramienia.

Zamyśla się i strąca moją dłoń.

– Nie. Z tym się nie pogodzę. Muszę się dowiedzieć, Frankie. – Na jego twarzy maluje się ból. Ogarnia mnie chęć uśmierzenia go pocałunkiem.

Coś przychodzi mi do głowy.

– Co się stało z twoją mamą? – Anne staje mi przed oczami, choć ze względu na to, że minęło tyle lat, jej obraz jest niewyraźny, przypomina poźółkłą i zamazaną fotografię. Pamiętam kobietę w niebieskim pielęgniarskim fartuchu, o przedwcześnie postarzałej twarzy i włosach rozjaśnionych zbyt mocno w stosunku do karnacji. Ciężko pracująca samotna matka, rodzic pogrążony w smutku.

– Wszystko dobrze, zważywszy na to, co się stało. Po tej sprawie z Sophie mama wróciła do Irlandii i zamieszkała z siostrą. Na farmie. Potem poznała Tima. Dobry człowiek. Od dawna są małżeństwem. Czasem ich odwiedzam, ale mama nawet nie chce słyszeć o powrocie tutaj. Wierzy, że to był tragiczny wypadek, Sophie poślizgnęła się i wpadła do morza. Czyli podziela zdanie policji – mówi ze smutkiem. Zdaje się wycieńczony.

– Może to i prawda – przyznaję cicho. – Może to był tragiczny wypadek.

– Nie. Tam chodziło o coś więcej.

– Skąd wiesz?

– Bo znam, znałem moją siostrę, Frankie. Byliśmy sobie bliscy. I wiem, że przed śmiercią nie była sobą, coś ją nurtowało. Zdecydowanie coś u niej nie grało.

I żałuję – żałośnie kręci głową – z całego serca żałuję, że wtedy nie zwróciłem na to specjalnej uwagi. Ale byłem zbyt zajęty sobą, pochłonięty swoimi sprawami. A teraz, z perspektywy czasu, jestem przekonany, że coś się wydarzyło.

– Perspektywa czasu to świetna sprawa. Tylko pamiętaj, że wtedy sam byłeś prawie dzieckiem. Dwadzieścia trzy lata, co to jest? A ja? Ja, jej najlepsza przyjaciółka, nie zorientowałam się, że coś nie gra?

Hm, to niezupełnie prawda.

W odpowiedzi Daniel wzdycha.

– Co Leon miał na myśli? O co się pokłócili? – pyta znowu.

Niespokojnie wiercę się na siedzeniu. Nie mogę mu tego zdradzić. Ale coś muszę odpowiedzieć.

– Ostrzegałam Sophie przed Leonem. Mówiłam jej, że to dzikus, że nic dobrego z tego nie wyniknie... – odzywam się niepewnie. Robi mi się niedobrze.

– Czemu? – Wbija we mnie twarde spojrzenie.

– Bo... bo się do mnie przystawiał, a kiedy mu odmówiłam, nękał mnie, nie dawał mi spokoju. Do tego stopnia, że zaczęłam się go bać, Dan.

Jego twarz tężeje.

– I jeszcze coś. – Zmuszam się, żeby to powiedzieć, ale jest mi strasznie głupio. – Przespałam się z nim. Niecały rok po wypadku Sophie. Tylko raz. Wpadliśmy na siebie. W Londynie. Czuliśmy się ze sobą jakoś związani. Jej osobą. Upiłam się i...

– On to wykorzystał.

Wzdycham.

– Nie wiem. Chyba wykorzystaliśmy się nawzajem. Tak myślę.

Daniel znowu się ode mnie odwraca. Oboje patrzymy na zbliżającą się kobietę z parasolem. Ma kręcone siwe włosy i nosi okulary. Przemaszerowuje przed naszym samochodem i kieruje się ku Willi Beauforta. Walczy z parasolem, jakby bawiła się w przeciąganie liny z niewidzialnym przeciwnikiem. Zatrzymuje się przed drzwiami i wkłada rękę do torby, szuka klucza. A może to ona jest autorką anonimu? W końcu znajduje klucz i otwiera drzwi. To musi być jedna z osób, które zatrzymały się na parterze. Może to babcia tego dziecka, które wrzeszczało całą noc? Strzepując parasol, rzuca krótkie spojrzenie w naszą stronę. Zostawia ociekający parasol na schodku i zamyka za sobą drzwi. Parę minut później zapala się światło w mieszkaniu na dole.

– Jedźmy do pubu – proszę. – Zastanowimy się, co dalej. Mam tylko parę dni, pamiętasz? Nie mogę tu długo zostać.

Daniel uśmiecha się i natychmiast zaczyna przypominać zadowolonego z siebie, pyskatego chłopaka z moich wspomnień.

– Dobra, jak zwykle mnie namówiłaś, lady Frankie.

Wrzuca bieg, a ja ponownie zapinam pas. Ogarnia mnie ulga, że nie muszę

od razu wracać do mieszkania, że spędzę tych parę godzin gdzie indziej. Kiedy Daniel zawraca, zauważam coś kątem oka. Prostuję się jak struna. Do szyby w wykuszowym oknie mojego apartamentu przylepiona jest czyjaś twarz. Patrzy na nas. Krew zastyga mi w żyłach. Czy to ty? Wykręcam szyję, żeby lepiej widzieć, ale Daniel już zjeżdża w stronę szosy wiodącej wzdłuż wybrzeża.

Pub Pod Mewą przez ostatnich dwadzieścia lat prawie się nie zmienił. Tapeta w staromodny bliskowschodni drobny wzorek, czerstwi, rumiani panowie nad piwem przy barze, każdy ze śmierdzącym psem u stóp, zapach frytek, octu i mokrej sierści w powietrzu – wszystko dokładnie tak samo, jak pamiętałam. Nawet sztuczne ptaki zwisające z sufitu i wypchana mewa na parapecie nadal tu są. Czuję się trochę, jakbym właśnie wysiadła z kapsuły czasu.

Pub leży na uboczu, na obrzeżach miasteczka, jego okna wychodzą na wzburzone morze i pasek plaży, zwężający się coraz bardziej, w miarę jak idzie się wzdłuż wybrzeża, a na wysokości starego moła całkiem zanikający. Przy stoliku w kącie samotnie siedzi mężczyzna w średnim wieku. Czyta gazetę i pije piwo. Włosy mu zrzedły, a brzuch urósł, ale od razu rozpoznaję kto to. To Lorcan, brat Leona.

Daniel kiwa głową do facetów przy barze i obsługującej ich kobiety. Jest dorodna, biuściasta, starsza ode mnie, z przedziałkiem pośrodku i mysimi lokami. Przyczajam się za Danielem z nadzieją, że Lorcan mnie nie zauważy.

– O, Daniel, witaj skarbie – woła kobieta z charakterystycznym dla południowo-zachodniej Anglii akcentem. – Dawno cię nie widziałam. Pewnie cały czas ślęczysz w redakcji, co?

Daniel szczyrzy zęby.

– Sama wiesz, jak to jest, Helen. Praca, praca i jeszcze raz praca. Zero rozrywki.

Helen rechocze i dopiero teraz mnie dostrzega. Patrzymy na siebie i doznaję olśnienia. Już wiem, kim ona jest.

Helen Turner, twoja koleżanka z osiedla.

Jej rubaszna twarz poważnieje.

– Frankie? Ho, ho, ho. – Cmoka i z niedowierzaniem kręci głową. – A więc plotki, że wróciłaś, są jednak prawdziwe.

Wiem, że nie powinnam się dziwić, że plotki o moim przyjeździe już krążą po Oldcliffe, ale i tak się dziwię. Zapomniałam, jak to jest mieszkać w małej społeczności. Wtedy coś do mnie dociera. Oblewa mnie nagły pot, robi mi się duszno. Przecież w zasadzie każdy, kogo pamiętam z dawnych czasów, mógł mi podrzucić ten list. Wszyscy już wiedzą, że przyjechałam.

Helen rzuca mi nieprzyjazne spojrzenie znad kufła, który właśnie myje, co mi przypomina, jak bardzo mnie nie cierpiała za czasów szkolnych. Zawsze podejrzewałam, że jej wrogość bierze się z zazdrości. O ciebie, bo to ona chciała

być twoją przyjaciółką. Musiała się bardzo ucieszyć, kiedy przed maturą odeszłam ze szkoły. Pamiętam jej opryskliwość, kiedy po tych paru latach rozłąki znowu się spotkałyśmy i natychmiast stałyśmy się sobie równie bliskie jak kiedyś. Wiem, że czułaś się winna, więc w sobotnie wieczory ciągnęłyśmy ją ze sobą do Piwnicy. No ale Helen zawsze się za tobą wszędzie włókła. Stanowiła dodatek do twojego życia.

Nigdy nie należała do piękności, a na domiar złego czas nie okazał się dla niej łaskawy. Morskie powietrze bezlitośnie obeszło się z jej cerą, choć dawniej gładka i czysta, teraz była zaczerwieniona, z rozszerzonymi porami.

– Jak się masz, Helen? – witam się. Mój głos, pozbawiony akcentu, brzmi w tym zapytaniem miejscu niemal rażąco.

– Aj, nie udawaj wielkiej damy – chichocze w odpowiedzi, a faceci przy barze rubasznie jej wtórują. – Ho, ho, ho, patrzcie, jaka elegantka.

Rzeczywiście, w czarnych spodniach, czerwonym wełnianym płaszczu i jedwabnym szalu czuję się tu za bardzo wystrojona.

– No to mów, co cię sprowadza.

Z irytacją stwierdzam, że płoną mi policzki.

– Ja, no cóż...

– No powiedz to, powiedz, wszyscy jesteśmy ciekawi – włącza się jeden z gości, niski, krępy, łysy i w okularach. Wygląda jak postać z gry, w którą często grałyśmy w dzieciństwie, Zgadnij Kto To.

– Przyjechała do mnie – wtrąca się Daniel.

Twarz Helen tężeje.

– Serio? Nie miałam pojęcia, że jesteście w kontakcie. – Barmanka wzrusza ramionami, jakby sama odpowiadała sobie na pytanie. – Cóż, ludzie bywają dziwni. Siadajcie wreszcie, to podam wam coś do picia. Co dla ciebie, Frankie?

– Poproszę białe wino – mówię. – Stołowe, lampkę – dodaję, zanim zdąży zrobić kolejną kąśliwą uwagę, na przykład czy nie wolę szampana.

– A ja piwo, dzięki, Helen. – Daniel bierze mnie pod łokieć i kieruje między stoliki, szepcząc mi przy tym do ucha: – Ona może być niezłym źródłem informacji. Przyjaźniła się z Sophie, prawda?

– Niezupełnie – odpowiadam sztywno, rozzłoszczona zachowaniem tego babsztyla, docinkami na temat mojego stroju i akcentu oraz domniemanego snobizmu.

Nie mamy wyboru. Czy tego chcemy, czy nie, musimy przejść obok stolika Lorcana. Ten podnosi wzrok i nasze oczy się spotykają. Odkłada gazetę, ociera usta wierzchem dłoni.

– Tak myślałem, że to ty – mówi głośno.

Daniel zatrzymuje się i odwraca.

– Frankie Howe – kończy brat Leona.

Wcale nie, nazywam się Francesca Bloom, mam ochotę krzyknąć, ale

wyobrażam sobie złośliwą reakcję Helen oraz facetów przy barze i słowa zamierają mi na ustach. Przyglądam się Lorcanowi. Ma na sobie poplamione farbą ogrodniczką. Choć jest bratem Leona i kuzynem Jasona, nie dorównuje im urodą. Tak jakby rodzice przekazali mu wszystkie najgorsze geny, a Leonowi – najlepsze. Jako dwudziestoparolatek był chyba na swój sposób przystojny. No i miał ten charakterystyczny dla Irlandczyków łobuzerski urok, za którym przepadają niektóre kobiety. Co z tego, skoro jego oczy – choć też przeszywająco niebieskie, jak oczy brata – są osadzone zbyt blisko siebie, nos jest za bardzo haczykowaty, a podbródek za długi, by Lorcan zasługiwał na miano atrakcyjnego faceta.

I wtedy wraca do mnie nagle wspomnienie. Jesteśmy w Piwnicy, on szczypie cię w tyłek, ty go dobrodusznie odpychasz. Dobrodusznie? A może źle zapamiętałam? Miałyśmy trochę w czubie, to było osiemnaście lat temu, ale teraz, kiedy o tym myślę, to na twojej twarzy widzę coś innego, już nie poufałą kokieteryję, lecz powagę, a w twoich roześmianych oczach dostrzegam strach. Potem przychodzi Leon, odciąga go, pada kilka ostrych ciosów i Lorcan chyłkiem wycofuje się z zadymionego i zatłoczonego pomieszczenia.

Tak, podobałaś się Lorcanowi. Nie do wiary, że po prostu o tym zapomniałam. Podobałaś mu się i chciał cię wyrwać. Ciebie, dziewczynę swojego brata.

– Wszystko w porządku, Frankie? – Zatraskany głos Daniela wdziera się głęboko w moje myśli.

Lorcan gapi się na mnie z zagadkowym uśmiechem.

– Słyszałem, że wróciłaś – mówi, prezentując braki w uzębieniu.

– Leon ci mówił?

Ale on tylko dalej się uśmiecha i klepie się po nosie.

– To małe miasteczko, wieści błyskawicznie się rozchodzą. – Czyżbym o tym nie wiedziała? Składa gazetę i wpycha ją sobie pod pachę. – Dobra, na mnie już pora. Nie mogę spędzić całego dnia na pogaduszkach. Gadu-gadu, a robota czeka. Maluję domy. – Wstaje, a ja ze zdumieniem podnoszę wzrok. Rany, jaki on wysoki. Już zapomniałam. Nawet wyższy od Daniela, i do tego mocny w barach, wygląda na silnego.

Odsuwam się z drogi, żeby mógł przejść. Oboje patrzymy w ślad za nim.

– Nie zazdroszczę osobie, u której maluje – mówi oschle Daniel. – Ten facet jest niespełna rozumu.

Parskam śmiechem. Dobrze, że już sobie poszedł. Siadamy przy stoliku, który zwolnił, a Helen przynosi nam napoje i przyjmuje zamówienie. Kiedy odchodzi, pochylam się do Daniela i szepczę:

– Przypomniałam sobie coś. Odnośnie do Lorcana.

Daniel upija łyk piwa.

– Boże, tego mi było trzeba. Co takiego?

– Sophie mu się podobała. Próbował ją podrywać w Piwnicy. Wkurzył się, bo Leon mu przywalił pięścią.

– Nie był już wtedy żonaty?

– Był, ale co z tego? Pamiętam, jak mi Leon mówił, że jego brat to babiarz. Patrzy na mnie badawczo znad kufla.

– Co ty mówisz? Sądzisz, że może mieć coś wspólnego ze śmiercią Sophie?

– Nie wiem. Słuchaj, sam mówiłeś, że się kogoś bała. Może właśnie jego?

Twarz Daniela poważnieje.

– Może dostał fioła na jej punkcie, wyszedł za nią z baru i... Był tam, wtedy, tamtego dnia?

Szukam w pamięci.

– Nie wiem... Nie pamiętam... Zawsze myślałam, że...

– Że co?

– No nie wiem, że się z kimś umówiła na tym moło. Z kimś, kogo w Piwnicy nie było. – Daniel marszczy czoło, a ja dodaję: – Czemu wyszła z klubu, nikomu nic nie mówiąc? Jak nie ona, nie uważasz?

– Owszem – potwierdza. W jego głosie słyszę ból i zniecierpliwienie. – I właśnie dlatego zdecydowałem się na tę cholerną akcję, Frankie. Bo to było zupełnie nie w jej stylu.

Upija kolejny łyk. Zapada cisza, każde z nas oddaje się własnym myślom. Nadchodzi Helen z pieczonymi ziemniakami w mundurkach. Podając nam talerze, mój naumyślnie stawia tak mocno, że trochę surówki ześlizguje się na obrus. Zbieram ją i znacząco wsuwam z powrotem na miejsce, ale ona udaje, że tego nie widzi.

– Wiesz co? – odzywa się Daniel z ustami pełnymi jedzenia i wskazuje ruchem głowy na Helen. – Musimy z nią pogadać. – Barmanka nuci sobie coś pod nosem, ścierając stoliki. – Przecież była tamtego wieczora w Piwnicy. Wiem, bo Sid się z nią przespał.

– Sid?

– No, nie pamiętasz? Ten wielki, parę lat ode mnie starszy, grał z nami w kapeli. Śpiewał do dupy. Teraz są małżeństwem. I prowadzą ten pub. Zresztą to ich własność.

– Pamiętam Sida. Nie da się zapomnieć tego fałszu. – Dziobię widelcem w ziemniaku. – Tylko się dziwię, że wtedy poszła z nim do łóżka. Nie wspominając o tym, że w ogóle za niego wyszła. – Nie chodziło jedynie o brak słuchu, nabijaliśmy się też, że taką fizjonomię, jaką ma Sid, zdolna jest pokochać wyłącznie rodzona matka.

– E, nie, gość jest w porządku. Tak czy inaczej, Helen może coś pamiętać. Warto spróbować.

Czy to możliwe, żeby Helen wiedziała o tobie więcej niż ja?

– To takie wkurzające – mówi Daniel głośnym szeptem, kiedy wychodzimy z pubu.

Znowu zaczęło padać. Morze jest rozszalałe, fale biją w oślizgłe, pokryte glonami skały. Daniel kroczy przede mną do samochodu, drobię za nim na obcasach. Przed samymi drzwiczkami nagle się zatrzymuje.

– Dlaczego wciąż mi się zdaje, że ludzie wiedzą więcej, niż są skłonni zdradzić? – Musi mówić naprawdę głośno, żeby jego głos przebił się przez wiatr i deszcz. – Leon, Lorcan, a nawet Helen. Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywają. – Wyczuwam, że frustracja uchodzi z niego niczym para, tylko dlaczego czuję, że ta złość jest skierowana przeciwko mnie? To nie moja wina, że Helen nie chciała z nami gadać.

Kiedy spyaliśmy ją o tamten wieczór, najpierw uparczywie twierdziła, że niczego nie pamięta, a potem zrobiła zawziętą minę i stało się jasne, że niczego z niej nie wydobydziemy. Wyraz jej twarzy oraz niespokojne zachowanie, a przede wszystkim unikanie kontaktu wzrokowego wzbudziły moje podejrzenia – rzeczywiście, zdawało się, że wie więcej, niż jest skłonna powiedzieć. Nigdy nie miałam do niej zaufania. Już w szkole lubiła mi dokuczać i chyba przez te lata niewiele się zmieniła.

– Tylko nie wpadaj w paranoję – odparłam. – To było dawno temu. – Jak mam mu wytłumaczyć, że dla wielu osób jesteś tylko zwykłą dziewczyną, która kiedyś zaginęła? Ale dla nas kimś znacznie więcej.

– Zdaje się, że powinniśmy jutro odwiedzić Lorcana. Chcę się o nim czegoś więcej dowiedzieć.

Blednę na samą myśl.

– Daniel, jutro jest niedziela. Cała rodzina będzie w domu...

– A mnie ktoś pozbawił rodziny. Może właśnie on. Muszę się dowiedzieć.

Gestem nakazuje mi wsiąść do samochodu, ale kręcę głową.

– Przejdę się. Świeże powietrze dobrze mi zrobi – mówię. Nawet nie ma trzeciej, za wcześnie, żeby wracać.

– Zwariowałaś? Leje jak z cebra. I już zaczyna się ściemniać.

Powiedzieć mu wprost, że wolę pokonać parę kilometrów w deszczu, niż od razu wrócić do tego opuszczonego mieszkania? Weźmie mnie za niewdzięcznicę. Apartament jest w porządku, po prostu leży całkiem na uboczu. Nie wspominając już o tym strasznym widoku z okna.

– Nic mi nie będzie – upieram się.

– Zadzwoń do ciebie – rzuca, siadając za kierownicą. Zatrząskuje drzwi i opuszcza szybę. Marszczy czoło. Włosy i twarz ma mokre od deszczu. – Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

– Daniel, jestem już duża – śmieję się i przypominam sobie, że dokładnie to samo usłyszałam od ciebie, kiedy wyraziłam swoje obawy co do Leona. Gdybyś



mnie tylko posłuchała.

Daniel ciepło się uśmiecha. W jego oczach igrają przyjacielskie ogniki.

– Zawsze byłaś uparta, lady Frankie – mówi rozbawiony.

Coś kłuje mnie w sercu. Tak naprawdę życzyłabym sobie jednego – żeby ze mną wrócił i dotrzymał mi towarzystwa, ale krępuję się to zaproponować. Ta obrączka na palcu sugeruje, że jest z kimś związany. Oczami wyobraźni widzę, jak mnie całuje i rozbiera. Potrząsam głową, żeby obraz się rozwiął. Czuję się winna, że mam takie myśli w związku z twoim bratem.

– Przyjadę po ciebie rano. O wpół do jedenastej! – woła przez otwarte okno i odjeżdża.

Ulice są puściusieńkie. Powietrze pachnie deszczem i wodorostami. Drwiący skrzek mew zataczających kółka nad moją głową przyprawia mnie o ciarki. Już zapomniałam, jak nie znoszę tych cholernych stworzeń – pasożytów morza, jak mawiał mój tato. Nagle staje mi przed oczami taki, jakim widziałam go wczoraj, bezradny w szpitalnym łóżku, i niemal słyszę ten okropny, chrapliwy odgłos, który wydobywał się z jego gardła. Dręczy mnie poczucie, że chciał mi coś powiedzieć.

Idąc chodnikiem, walczę z wiatrem, który próbuje mi wyrwać parasol. W końcu się poddaję, składam parasolkę i wciskam ją do torby, mimo że jest mokra. Deszcz chłosta mnie po twarzy, a wiatr szarpie włosy. Jest w tym jakaś dziwna wolność, myślę, robiąc głęboki wdech, a potem wydech. Stresy ostatnich kilku miesięcy uwalniają się i znikają w deszczu.

Kiedy moje życie stało się takie skomplikowane?

Zatrzymuję się przed hotelem, który kiedyś należał do rodziców. Nie rozpoznałabyś go – nawet mnie ledwie się to udaje. W oknach nie ma koronkowych firanek, które pamiętam z dzieciństwa, zamiast nich pojawiły się drewniane żaluzje. Białoniebieska elewacja wygląda o niebo lepiej niż tamten cukierkowy róż. A mimo to mrużę oczy i prawie widzę mojego tatę, jak dumnie stoi w progu, przygląda się ulicy, kiwa głową przechodniom – rozluźniony, swobodny, w letnich spodniach i lnianej koszuli, młody i przystojny. Och, tato, tato. Poprawiam torbę na ramieniu i szybko odchodzę. Mijam sąsiednie hotele i pensjonaty, aż docieram do jaskrawych, migających świateł salonu z automatami. Na chwilę przystaję przy wejściu i przyglądam się grupce wyrostków stłoczonych wokół przyszczatego chłopaka, który gra na symulatorze motocykla, hałaśliwie mu doradzają, jak ma jechać.

Wychodzę z powrotem na ulewę. Łomot muzyki i wrzaski tych dzieciaków towarzyszą mi jeszcze, gdy przekraczam ulicę i kieruję się ku brzegowi.

Wicher ciska mi piachem w twarz. Powoli idę pustym deptakiem, mijam wieżę ratusza ze złotą iglicą i nieczynne kąpielisko. Odcinek plaży, na którym latem stoją trampoliny, diabelski młyn i spiralna zjeżdżalnia, jest pusty. Skręcam za róg, moje obcasy stukają po betonie. Przede mną majaczy teraz ciemna, ciężka

sylwetka starego molo. Ta część miasteczka jest spokojniejsza. Sklepiki i kawiarenki zaraz się kończą i tylko kilka większych hoteli dzieli mnie od wspinaczki krętą alejką do Willi Beauforta. Postanawiam jeszcze tam nie wracać. Idę dalej deptakiem, przy którym stoją dziwaczne metalowe ławki, i co chwila spoglądam na coraz mniej odległy, znajomy kształt starego molo. Jestem przemoczona do suchej nitki, ale nic mnie to nie obchodzi.

Czuję, że w kieszeni wibruje mi telefon, bo dzwonka nie słyszę – zagłuszają go grzmot morza i bębnienie deszczu. Na ekranie wyświetla się imię Mike'a. Odbieram, choć jest mi nieswojo i nie mam ochoty. Cóż, Mike zasługuje na coś więcej niż wiadomość głosowa zostawiona po pijanemu.

– Hej – mówię lekko drżącym głosem.

– Fran? To ja, Mike – odzywa się niepewnie. Kiepsko słyszę, więc odwracam się plecami do morza i zasłaniam ręką drugie ucho, by wygłuszyć huk fal. – Wszystko dobrze?

A więc pyta, co u mnie, mimo że jest zły. Czyli mu zależy.

– Przepraszam – mówię do słuchawki, powstrzymując łzy. – Przepraszam za tę okropną wiadomość, którą ci nagrałam. Masz rację, tchórz ze mnie.

– Ostatnio sporo przeszłaś – odpowiada, a ja psychicznie przygotowuję się na błagania, żebym to jeszcze raz przemyślała, żebym przyjęła go z powrotem. Okazuje się, że niepotrzebnie. – Rozumiem. Chciałem tylko zapytać, czy mogę u ciebie zostać do końca tygodnia. Kiedy cię nie będzie.

Waham się i przelykam rozczarowanie. Nie chcę go, ale to, że nie walczy, uraziło moją dumę. Najbardziej by mi odpowiadało, gdyby wyniósł się od razu, ale czy żądając tego, nie okazałabym się potworem bez serca? Zawsze myślałaś, że źle traktuję swoich chłopaków, Soph. To dlatego, że nigdy nie znalazłam tego jedyne. Myślałam, że znalazłam... ale on mnie nie chciał.

– Mam nadzieję, że niedługo wrócę – mówię cicho.

– Mój kumpel ma pokój, do którego będę mógł się wprowadzić, ale dopiero w przyszły weekend.

Zaczynam tracić zasięg. Krzyczę, że jeśli chodzi o mnie, to okej, może mieszkać do weekendu. Potem sygnał zanika. Stoję i gapię się w telefon. Deszcz zalewa ekran. Po chwili wrzucam komórkę z powrotem do kieszeni.

Już po wszystkim, zdecydowanie, i mimo że na początku Mike się gniewał, w głębi serca on również zdaje sobie z tego sprawę. W duchu balansuję gdzieś na pograniczu ulgi i rozczarowania.

Idę dalej. Opustoszałe ulice idealnie odzwierciedlają mój nastrój. Jest dopiero po czwartej, ale przez tę ulewę już zrobiło się prawie ciemno. Zaczynam się czuć nieswojo, wokół żywego ducha, jestem samiuteńka. W oddali widzę słupy lamp strzegących wejścia na stare molo. Podnoszę wzrok – ich bursztynowy blask rozprasza mrok i podświetla krople deszczu na tle grafitowego nieba. Za plecami

słyszę kroki i przyspieszam, choć siłą woli zmuszam się, by nie panikować. Owszem, jest ciemno, ale nie późno, a przecież dzień w dzień chodzę sama po Londynie. O co chodzi z tym miejscem, że wywołuje u mnie ciarki na plecach?

Oglądam się przez ramię, ale przez zasłonę ulewy widzę tylko niewyraźną postać w kapturze, ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym, spodniach i solidnych butach do wędrowek. To może być zarówno mężczyzna, jak kobieta, choć wzrost i drobna postura każą sądzić, że jednak kobieta. Nie wiem, co napawa mnie takim strachem – agresywna postawa, nieprzyjazny wygląd czy może determinacja, z jaką spieszy w moją stronę? Instykt każe mi biec. Szybko pokonuję ulicę i wspinam się stromą dróżką do Willi Beauforta. Kroki za mną też przyspieszają. Serce mi łomocze. Czy ktoś mnie śledzi?

Biegnę dalej, czego nie ułatwiają mi wysokie obcasy. Nie pozwalają się rozpędzić, poza tym cały czas wpadają w dziury i co chwila się potykam. Odgłos kroków za mną się utrzymuje. Chyba słyszę, jak ktoś mnie woła po imieniu, ale niekoniecznie, równie dobrze to może być złudzenie wywołane wyciem wiatru. Zdyszana i spocona docieram na szczyt wzgórza, ale nie zatrzymuję się nawet na chwilę. Kroki są coraz bliżej. Muszę jeszcze przyspieszyć. Mam słabe nogi, wciąż się potykam, lecz nie ustaję i nie oglądam się za siebie, aż w końcu dopadam do drzwi. Trzęsącymi się rękami grzebię w torbie w poszukiwaniu klucza. Wyobrażam sobie lodowate palce, które za moment zacisną mi się na ramieniu. Klucz nie daje się przekręcić, dławię w gardle krzyk i próbuję znowu. Na szczęście drzwi ustępują i z ulgą wpadam do holu.

Kiedy odwracam się, by zamknąć drzwi, widzę postać stojącą na końcu podjazdu. Częściowo zasłania ją mój samochód. Na głowie ma kaptur, a ręce w kieszeniach. Mimo że nie widzę jej twarzy i nie jestem w stanie rozpoznać kto to, dostrzegam kosmyk jasnych włosów, którymi wiatr uderza o twarz w kształcie serca.

Sobota, 5 lipca 1997

Leon to kuzyn Jasona. Jestem zdruzgotana. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Może podświadomie lgnę do Leona, ponieważ przypomina mi Jasona. Mają tę samą urodę – ciemne włosy i niebieskie oczy – taką irlandzką, która mnie zawsze pociągała, której nie potrafiłam się oprzeć. Był taki czas, kiedy myślałam o Jasonie codziennie – po tym, jak umarł. Poczucie winy tak strasznie mnie dręczyło, że w końcu czułam się jak pusta skorupa siebie samej. A potem się wyprowadziłam, pojechałam na studia i próbowałam zapomnieć o Jasonie. Tak jakby był ukochaną zabawką, którą zepsułam, lecz której nie potrafiłam wyrzucić, więc wepchnęłam ją głęboko do szafy. Wiedziałam, że tam jest, ale starałam się o niej nie myśleć.

Ale odkąd wróciłam, nurtują mnie te uporczywe myśli, i to zawsze wtedy, kiedy się ich najmniej spodziewam. Na przykład gdy bezmyślnie gapię się na *Sąsiadów*, suszę włosy lub czytam książkę. Nagle mnie w takich chwilach nachodzą.

Co za cholerna ironia, że pierwszy raz całowałam się z Leonem w tym samym miejscu, w którym umarł jego kuzyn.

Pytałam Frankie, jasne. „Skąd wiesz? Jesteś pewna, że się nie mylisz? Mówił ci, że jest kuzynem Jasona?”. I co ważniejsze: „Czy on wie, co zrobiliśmy?”.

Wkurzyły ją te pytania – jeszcze bardziej niż dotychczas. „No jasne, że nie wie, do ciężkiej cholery – syczała. – Uważasz, że jestem taką idiotką, żeby mu powiedzieć?”. Chwyciła mnie za rękę i na siłę pociągnęła deptakiem, przez cały czas mruczac mi do ucha, że wiadomość jest pewna, bo pochodzi od jej mamy, i że muszę się trzymać z dala od Leona, jeżeli chcę, żeby nasz sekret się nie wydał.

Problem polega na tym, że chyba nie jestem w stanie trzymać się od niego z dala. Czy mogę z nim być i nigdy nie wyjawić, co zrobiliśmy? Miałyśmy po szesnaście lat, byłyśmy jeszcze dziećmi. Głupimi podrostkami. Kochaliśmy się w Jasonie. Obydwie bez przerwy zabiegałyśmy o jego uwagę. Skąd mogłyśmy wiedzieć, jak to się skończy?

I dlaczego wciąż mi towarzyszy to złowrogie przecucie, że przeszłość zniszczy mi przyszłość?

Ponieważ prawda jest taka: to nasza wina, że Jason nie żyje.

Przez tyle lat strzegłyśmy tajemnicy.

Razem z Frankie zabiłyśmy Jasona.

Włączam wszystkie światła i powtarzam sobie w duchu: „Uspokój się, nie bądź głupia”. Ale i tak wewnętrznie cała dygoczę. Ledwie się przełamuję, by w myśli ująć to w słowa: to ty mnie śledziłaś. Na zdrowy rozum wiem, że to nie mogłaś być ty. Bo nie żyjesz. A w duchy nie wierzę. Odmawiam wiary w duchy.

Kiedy jednak wchodzę do salonu i rzucam torbę na podłogę, natychmiast do mnie dociera, że ktoś tu był. Trudno to wyjaśnić, ale to się czuje. W powietrzu unosi się inny, obcy zapach. Bardziej kwiatowy. Zasłony, które rano odsłoniłam, są teraz zaciągnięte, a książka, którą czytałam i zostawiłam na kanapie otwartą, grzbietem do góry, jest zamknięta i równiutko ułożona na szklanym stoliku. Serce wpada mi w galop. Wcześniej, siedząc w samochodzie Daniela, miałam wrażenie, że widzę twarz w oknie. Twoją twarz. Przekonałam samą siebie, że to tylko para wodna przyjmuje dziwne kształty i igra z moją wyobraźnią.

Przechodzą mnie ciarki. Nigdy nie chorowałam psychicznie, choć byłam świadkiem epizodów głębokiej depresji mamy, zwłaszcza dawniej, we wcześniejszym dzieciństwie. Nazywaliśmy je „epizodami”, a właściwie to tata je tak nazywał. Nigdy ci o nich nie wspominałam, Soph. Próbowałam wyprzeć je ze świadomości. Mama na wiele dni znikła w sypialni. Nie była nawet w stanie wstać czy się ze mną zobaczyć, dopóki tata nie zmusił jej do wizyty u lekarza, który zwiększał jej dawkę leku lub zapisywał inny. Parę razy musiała gdzieś wyjechać na terapię. Tata nigdy mi nie mówił dokąd, bo chciał mnie chronić, ale podejrzewam, że spędzała ten czas na oddziale psychiatrycznym lub w szpitalu. Kiedy wracała, czuła się już normalnie – aż do następnego razu. Każdy z tych epizodów traktowała tak, jakby się nigdy nie zdarzył, nie przyjmowała go do wiadomości i z nikim o nim nie rozmawiała. Może rzeczywiście w jej głowie wcale nie istniały. Ale nie przeszły bez echa. Miały swoje konsekwencje – przez lata utworzyły między nami przepaść, tak głęboką, że nie dało się jej zasypać, natomiast ja bardzo zbliżyłam się do taty. Przy nim zawsze wiedziałam, na czym stoję. Jego uczucia względem mnie były pewne i niezmiennie. Nie przypominały chwiejnych emocji, które przejawiała mama – albo kochała aż do przesady, albo pozostawała całkowicie obojętna. W końcu ta obojętność wygrała. Lecz ja w głębi duszy zawsze się obawiałam, że to po niej odziedziczę. Że pewnego dnia też zaczną mi się przytrafiać „epizody”.

Szybko wyciągam z torby telefon i wybieram numer Daniela. Przełącza mnie prosto na pocztę głosową.

Ze złością odrzucam komórkę na kanapę. Nakazuję sobie głęboko oddychać. Skoncentrować myśli. Nie należę do osób, które wpadają w histerię lub pochopnie wyciągają wnioski. Wszystko musi mieć swoje racjonalne wytłumaczenie. Zawsze. Kobieta, którą widziałam, pewnie mnie nie śledziła, a pech chciał, że z wyglądu

przypominała ciębie. Wystraszyłam się i spanikowałam. A zasłony? Może dziś rano zapomniałam je rozsunać? Byłam zmęczona i kręciło mi się w głowie z niewyspania. Książkę też pewnie sama odłożyłam na stolik. Może właściciel apartamentu zatrudnia sprzątaczkę, ale tę myśl z miejsca odrzucam. Sprzątaczkę normalnie porządkują apartamenty wakacyjne pomiędzy wizytami kolejnych gości, a nie w trakcie ich pobytu.

Przez kilka następnych godzin próbuję się czymś zająć. Zjadam dwa tosty i oglądam jakiś dumny talk-show w telewizji. Ktoś mnie śledził, to nie mógł być zbieg okoliczności. Ta osoba stała na końcu podjazdu i patrzyła, jak otwieram drzwi. Londyńska ja od razu podeszłaby i zapytała wprost, o co chodzi, ale ponieważ jestem tu, gdzie jestem, a nie w Londynie, zachowuję się jak dawna ja. Nie chcę wracać do czasów, gdy byłam niepewną siebie Frankie. Teraz jestem Fran – kobietą asertywną, konkretną i spełnioną. Oraz dorosłą.

To miejsce mi nie służy. Za dużo tu wspomnień, za dużo duchów.

Kiedy budzę się następnego dnia rano, czuję się jak w surrealistycznej wersji *Dnia świstaka*. Dziecko znowu zaczęło się drzeć w środku nocy, a każdy jego krzyk dźgał mnie prosto w serce. Tak strasznie chciałam mieć dzieci, że przez lata to pragnienie mną władało, stało się moją obsesją, przybrało postać tęsknoty tak wielkiej, że gotowa byłam zrobić niemal wszystko, by się tylko spełniło. Spotykały mnie jednak zawód za zawodem, poronienie za poronieniem, a potem w ogóle przestałam zachodzić w ciążę. Leczyliśmy się na bezpłodność i kiedy wreszcie się udało, za trzecią próbą, wpadłam w ekstazę. Nie trwała ona długo, bo już po paru tygodniach, dosłownie kilka dni przed USG na koniec pierwszego trymestru, znowu poroniłam. Nigdy nie zapomnę straszliwego bólu wywołanego stratą tego ostatniego dziecka – zarówno fizycznego, jak psychicznego. Wraz z krwią i skrzipami, których gwałtownie pozbywało się moje ciało, z mego serca zniknęły ostatnie strzępki nadziei. Czułam, że to kara za Jasona. Nie zasługiwałam na szczęście.

Na każdym rogu wpadałam na płodną matkę otoczoną wianuszkami dzieci – chyba po to, by przypomnieć mi o tym, czego sama nigdy nie zaznam. Pół roku później Christopher zostawił mnie dla koleżanki z pracy. Zawsze byłam ciekawa twojego zdania o nim, to znaczy o Christopherze. Lubię myśleć, że byś go nie cierpiała, nazwałabyś go zadowolonym z siebie dupkiem za to, że mnie zdradzał. Podczas szczerzej rozmowy obiecał mi, że z nią zerwie i będzie porządnym mężem. Ale okazało się, że na to już za późno. Nie potrafiłam mu wybaczyć, więc kazałam mu się wynieść i poprosiłam o rozwód. Od tamtego czasu nikomu nie pozwoliłam się do siebie zbliżyć. Nawet Mike'owi. Ale minęły już trzy lata, Soph, i teraz pragnę znowu się zakochać.

No i tak właśnie się dzieje, gdy się budzę w środku nocy. Mam wtedy mnóstwo czasu na rozmyślanie, nurzanie się w żalu nad sobą i rozpamiętywanie.

Więc aby wyciszyć ten dziecięcy, nieutulony płacz, ale też wspomnienia, biorę dwie tabletki nasenne i popijam je kieliszkiem wina, po czym zapadam w ciężki, niezdrowy sen na kanapie. A teraz mam straszną migrenę.

Biorę prysznic, wkładam dzinsy i sweter i żałuję, że nie wzięłam innych butów, tylko te bezsensowne, niepraktyczne krótkie botki na szpilce, które muszę w kółko nosić. Na widok trzech butelek po winie, równo ustawionych na kuchennym blacie, przypominam sobie, że trzeba zrobić zakupy.

Podgrzewam w mikrofalce miseczkę owsianki, kiedy rozlega się pukanie. Podskakuję przestraszona. Nikt nie dzwonił domofonem. Na palcach idę do drzwi, próbuję nie stukać obcasami, i patrzę przez wizjer. To Daniel, zniekształcony przez soczewkę.

Otwieram drzwi na całą szerokość.

– Skąd się tu wzięłaś? Przecież cię nie wpuszczałam!

Niezmieszany, wzrusza ramionami.

– Pani z dołu mnie wpuściła. Akurat wychodziła, gdy stałem przed drzwiami. Czemu tak na mnie patrzysz?

– Nie podoba mi się, że wpuszcza kogo popadnie, nawet nie sprawdzając kto to. Skąd wiedziała, że jesteś moim znajomym? Mógłbyś być pierwszym lepszym nie wiadomo kim.

– Boże, Franks. Opanuj się.

Jak mam mu powiedzieć o anonimie i o osobie, która mnie wczoraj śledziła, nie wyjawiając informacji o przeszłości i Jasonie? Nagle czuję się bardzo samotna.

– Dobra, wejdź już – mówię i przepuszczam go w progę. – Jeszcze nie skończyłam śniadania. – Idzie za mną wąskim korytarzem do kuchni. – Chcesz trochę owsianki?

Kręci głową. Grzywka mu przy tym podskakuje na lewo i prawo.

– Nie, dzięki. Już jadłem.

Stoję przy blacie i pakuję sobie owsiankę do ust, łyżka za łyżką. Czuję się dziwnie onieśmielona tym, że Daniel na mnie patrzy. Po paru kęsach odstawiam wciąż do połowy pełną miskę do zlewu.

– Nie, nie, skończ spokojnie śniadanie. – Przestrzeń między nami jakby się kurczy, w małej kuchni nagle robi się za ciasno. Wzrok Daniela pada na puste butelki po winie. – Niech to, Franks, widzę, że sporo wypijaś.

– Spędziłam tu dwie noce, dwie samotne noce, podczas których nie pozostawało mi nic innego, tylko pić. Wczoraj próbowałam do ciebie dzwonić. Ale od razu przełączyło mnie na pocztę.

Daniel gapi się na mnie bez słowa. Na jego twarzy maluje się zdziwienie.

– Nie mam zarejestrowanych żadnych połączeń. Ale tu jest często kiepski zasięg. – Jego rysy łagodnieją. – Przepraszam. – Podchodzi i bierze mnie za rękę. – To ja cię poprosiłem, żebyś tu przyjechała – niepewnie spogląda mi w oczy –

i przyjechałaś. Jestem ci za to wdzięczny. Przepraszam, nie sprawdziłem się jako kompan. Powinienem wieczorem dotrzymać ci towarzystwa, ale to nie takie proste – odchrząkuje i lekko się rumieni – bo ktoś ze mną mieszka, kobieta. Dopiero od niedawna... – Urywa.

Ach, więc ma dziewczynę. Przełykam rozczarowanie, ale ono nie znika, tylko sadowi się w mojej piersi, ciężko kładzie się na sercu.

Następne słowa wypowiada niskim, schrypniętym głosem:

– Ona wie, co kiedyś do ciebie czułem.

Podnoszę wzrok i patrzymy sobie w oczy. Nigdy się nie przyznał, ale zawsze wiedziałam. Choć było to powodem częstych docinków z twojej strony, podobało mi się, że Daniel mnie adoruje, mimo że sama nie odwzajemniałam jego uczuć. Czy całe nasze życie potoczyłoby się inaczej, gdybym wtedy odpowiedziała na jego zaloty? Sęk w tym, że dawniej widziałam w nim kogoś zupełnie innego. Tylko i wyłącznie twojego wkurzającego starszego brata. Wstyd przyznać, Soph, ale kiedy byliśmy młodszy, uważałam, że nie jest dla mnie wystarczająco dobry. Nie miał większych ambicji ani parcia na sukces, wolał całymi dniami obijać się bez celu, a wieczorami wcielać się w gwiazdę rocka. Dopiero teraz do mnie dotarło, kogo straciłam. Kogoś, kto potrafi mnie rozśmieszyć, życzliwego i lojalnego towarzysza, słowem – dobrego przyjaciela. Wiem, co teraz powiesz – przecież Mike oferuje mi dokładnie to samo. I to prawda. Ale nie czuję się przy nim tak jak przy Danielu.

Przysuwam się i dotykam jego policzka. Jest zimny i szorstki.

– Daniel... – mrużę. Wciąż patrzymy sobie w oczy, minimalnie przybliżyłam twarz do jego twarzy, chcę, nie – muszę – poczuć jego usta na swoich. Kiedy moje wargi są tuż-tuż, Daniel odskakuje jak oparzony.

– Frankie... ja nie mogę. Przepraszam. – Odwraca się i przeczesuje ręką włosy. – Nie jesteś... ja nie... kurwa. – Kopie w szafkę kuchenną.

Stoję i bezradnie obserwuję wewnętrzną walkę, którą ze sobą toczy.

– Daniel, nic się nie stało. Wiem, że z kimś jesteś. Nie powinnam była próbować. Przepraszam.

Odwraca się gwałtownie i znowu na mnie patrzy, tylko teraz oskarżycielsko.

– Naprawdę cię kiedyś kochałem – mówi i żałośnie kręci głową. – Lepiej zejdę do samochodu, tam poczekam.

Krzywię się, kiedy trzaska drzwiami, wychodząc.

Przez następnych dziesięć minut próbuję zebrać się do kupy. Maluję się, ogarniam kuchnię. W końcu jestem gotowa. Boję się zejść po schodach, bo oczyma duszy widzę na dole kolejny anonim. Z ulgą stwierdzam, że wycieraczka jest pusta. Ze skrzynki na listy sterczy natomiast brązowa koperta. Przypomina wystawiony język. Przygotowana na najgorsze, wyszarpuję ją z metalowego uścisku. Nie jestem zdziwiona, gdy widzę, do kogo jest zaadresowana. Rozdzieram ją. Brzuch mnie



boli, skręca mnie w jelitach. Tym razem pośrodku pustej kartki wydrukowano pogrubioną czcionką jedno słowo:

**MORDERCA**

Niedziela

Niedziela, 13 lipca 1997

Od czasu, gdy Frankie wyjawiała mi tę swoją rewelację, spotkałam się z Leonem trzykrotnie. Za każdym razem miałam zamiar z nim zerwać, ale nie dałam rady.

Wczoraj wieczorem, na naszej ostatniej randce, byłam już naprawdę zdeterminowana. Jak mogę to dalej ciągnąć, skoro zrobiliśmy to, co zrobiliśmy?

Wciąż nawiedzają mnie koszmary. Przebłyśki wspomnień z tamtej sierpniowej nocy. Byłyśmy młode i głupie, miałyśmy po szesnaście lat. Ja pierwszy raz w życiu na poważnie się upiłam, bo Frankie ukradła alkohol z baru w hotelu rodziców. Poszliśmy we trójkę na stare moło, żeby się nawalić przy muzyce, z dala od ludzi, gdzie nikt się do nas nie przyczepi. Obie byłyśmy święcie przekonane, że jesteśmy w nim zakochane. Teraz, kiedy o tym myślę, aż mnie skręca z zażenowania. Jak mogliśmy mu się tak narzucać? Skąd niby miałam podstawy, by sądzić, że mu się podobam? Dziś wiem, że nadzieja na romans z Jasonem była absurdalna. Może gdybym wtedy nie zachowywała się tak naiwnie, do niczego by nie doszło. I Jason nadal by żył.

Wiedziałam, że nigdy, ale to nigdy nie zdołam wyznać prawdy Leonowi.

Wina. Poczucie winy zmienia człowieka w kłamcę.

Nieważne, niepotrzebne dygresje. Wracam do ostatniej nocy.

Umówiłam się z Leonem na starym moło. Siedzieliśmy na spróchniałych, zbielałych od słońca i rozgrzanych deskach, a ja myślałam tylko o jednym – że właśnie w tym miejscu dobiegło końca życie Jasona. Wreszcie, po paru puszkach red stripe'a, poczułam przyływ odwagi i postanowiłam poruszyć temat.

Leon dziwnie na mnie spojrzał, gdy spytałam go o Jasona, i zmarszczył czoło.

– Znałaś go? – chciał wiedzieć.

Świdrując mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem, w skupieniu słuchał mojej opowieści o tym, jak to Jason pracował w hotelu rodziców Frankie i jak obie się z nim zaprzyjaźniłyśmy. W pewnej chwili wziął mnie za rękę i zaczął lekko masować moją dłoń kciukiem.

– Jego śmierć to był dla nas wszystkich wielki szok – rzekł, gdy zamilkłam. Nie patrzył już na mnie, teraz koncentrował się na odłupanym kawałku drewna obok swojego kolana. – Razem dorastaliśmy, był ode mnie tylko o pół roku starszy. Uważałem go nie tylko za kuzyna, lecz także za przyjaciela. Znalezione go w morzu. Utopił się. Podobno w jego krwi stwierdzono wysoką zawartość alkoholu. Dlatego umarł. Ale często się zastanawiałem, czy przypadkiem nie zrobił

tego celowo. No wiesz. Czy nie odebrał sobie życia.

Słuchałam z przerażeniem. Omal nie wyrzuciłam z siebie całej wstrętnej, ohydnej prawdy. Poczucie winy mnie dławilo. Musiałam przygryźć wargę, żeby zahamować potok słów, nie dać im popłynąć.

– Czemu... – Tak mi zaschło w gardle, że ledwie zdołałam się odezwać. Przełknęłam ślinę i zaczęłam jeszcze raz: – Czemu uważasz, że mógł się zabić?

– Jason zawsze lubił sobie popić. Sporo też brał. Jego mama, siostra mojego ojca, była alkoholizką. Kiedy miał siedemnaście lat, wykopała go z domu. Dlatego tu przyjechał. Żeby zacząć od nowa. Nie miał łatwo, Soph.

Pamiętam, jak Jason opowiadał nam o swoich rodzicach, a zwłaszcza o ojcu, którego nazywał próżniakiem. Sporo nas łączyło. Pewnie dlatego tak bardzo go polubiłam. Poza tym był moją pierwszą miłością. Niestety, Frankie też się w nim zabujała.

I to ona mu się bardziej podobała, to było jasne jak słońce. Owszem, mieliśmy dużo wspólnego, pochodziliśmy z podobnego środowiska. Często siadywaliśmy razem i gadaliśmy – w jakimś spokojnym miejscu na plaży lub na molo. Czasem odnosiłam wrażenie, że podczas tych naszych sesji filozoficznych Frankie czuje się wykluczona. Kiedy tylko widziała nas pogrążonych w rozmowie, próbowała odwrócić naszą uwagę. (Chociaż nigdy się do tego nie przyznała, to nie byłoby w jej stylu. Frankie nie lubiła przyznawać się do słabości!). Ale ja zawsze wiedziałam, że Jason traktuje mnie tylko jak koleżankę. Nic więcej.

– A co się stało z jego młodszą siostrą? – spytałam. – Zawsze wspominał o niej z takim zachwytem. – Widziałam ją tylko raz, na pogrzebie, żałośnie stała przy jakiejś starszej kobiecie. Miała ze dwanaście lat i wielkie błękitne oczy, takie same jak Jason, śliczna dziewczynka.

Leon podniósł głowę i spojrzał na mnie łagodnie.

– Mieszka z nami, dobrze sobie radzi. Chyba jest szczęśliwa. Teraz ma szesnaście lat. Moi rodzice ją uwielbiają, zawsze chcieli mieć córkę. – Jego uśmiech zbladł. – Hej, skąd ten smutek?

Zaczęłam mrugać, by powstrzymać łzy.

– To... to takie tragiczne, co się stało. Z Jasonem.

Ścisnął moją rękę, a potem wciągnął mnie sobie na kolana. W jego silnych ramionach czułam się bezpieczna.

– Miał pod górkę. Nie było mu łatwo – mruknął mi w szyję. – Należał do dzieciaków, które nie mogą się odnaleźć. Wiesz, jeśli chodzi o płęć. Próbował to rozgryźć, zrozumieć.

Wyprostowałam się, odchyliłam i spojrzałam mu w twarz. Rękami wciąż trzymałam go za szyję.

– Co masz na myśli?

– Jason był gejem. Nie wiedziałaś?

Na mojej twarzy musiały się odmalować wstrząs i niedowierzenie.

– Gejem? Ale przecież Frankie mu się podobała. Byłam tego pewna... i...

Leon pokręcił głową. Falujące włosy spadły mu na twarz.

– Nie. Nie podobała mu się. Miał sporo koleżanek, ale nie był zainteresowany kobietami. Zwierzył mi się, jak mieliśmy po czternaście lat. Twierdził, że zawsze wiedział.

Nie miałam pojęcia. Tyle razy siadaliśmy razem i rozkładaliśmy świat na czynniki pierwsze. Szkoda, że mi tego nie powiedział.

Dziś w pracy (rzuciłam robotę w smażalni u Stana i codziennie prócz wtorków pracuję w hotelu!) powiedziałam to Frankie. Pomagałam jej zmieniać pościel na szerokim podwójnym łóżku. Zamarła z kapą w rękę i zbladła jak ściana. To było niezwykle. Już się bałam, że zwymiotuje. Długo nie mogła dojść do siebie. Było mi jej żal. Zapewne tak samo jak ja sądziła, że Jason ją kochał. Może właśnie to ją trzymało przy życiu, pomagało pokonać wyrzuty sumienia. A ja jej to odebrałam. Kiedy odzyskała panowanie nad sobą, warknęła na mnie, żebym nigdy nie ważyła się powiedzieć Leonowi, co zrobiliśmy. A następnie wyparowała z pokoju i zostawiła mnie samą z tym wielkim łóżem.

Potem nie odzywała się do mnie aż do końca dnia – jakby to przeze mnie Jason był gejem. Albo była wściekła, że nie zerwałam z Leonem, na co miała nadzieję. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze potrwa mój związek z Leonem. Wiem, że na pewno nie ma przyszłości – bo z dzielącą nas wielką tajemnicą nie damy rady go utrzymać.

Ręka, w której trzymam list, zaczyna mi się trząść. Nie mam nad tym żadnej kontroli. Patrząc na nią oszołomiona, zdaje się, że żyje własnym życiem. Mam wrażenie, że jestem w potrzasku, czuję się jak bezbronne zwierzę, które nie może zrobić nic poza oczekiwaniem na kolejny ruch drapieżnika.

Już dawno próbowałam pochować wspomnienie Jasona i tego, co lata temu zrobiłyśmy, Soph. Dołożyłam wszelkich starań, by odwrócić bieg mojego życia i zmienić swoją tożsamość. Zaczęłam całkiem od nowa – przeniosłam się do Londynu, gdzie doprowadziłam do rozwoju rodzinnej firmy hotelarskiej, co w zdecydowanym stopniu było moją zasługą, nie rodziców. Owszem, to mama zawsze grała rolę siły napędowej naszego biznesu, a tata realizował się w nim towarzysko, ale odkąd oboje nieco się wycofali, ja przejęłam ster i rzuciłam się w wir obowiązków. Powiodło mi się – dzielił nas już tylko krok od otwarcia trzeciego hotelu. I to wcale nie było jakiegoś, jak z czasów naszej młodości, tylko butikowego, z eleganckim wystrojem, designerskimi meblami, wi-fi, białymi puszystymi szlafrokami i markowymi kosmetykami w łazienkach. Takie hotele są otwarte przez całą dobę, zatrzymują się w nich goście wymagający najwyższego standardu, a personel pracuje na kilka zmian i nieustannie się krząta. Dawny hotel moich rodziców wyglądał zupełnie inaczej, cieszył się powodzeniem tylko w sezonie.

Latami uciekałam od przeszłości. Teraz przeszłość mnie dopadła i czuję się zaskoczona, pozbawiona kontroli.

Próbowałam cię przekonać, że związek z Leonem, kuzynem Jasona, to błąd. Strasznie się bałam, że nie zdołasz dochować przed nim tajemnicy. Zawsze byłaś taka życzliwa, lojalna, dobroduszna. Ufałaś ludziom bardziej niż ja, wierzyłaś w nich, zakładałaś, że dorastają do twoich oczekiwań. A co, jeżeli jednak powiedziałaś Leonowi? Czy on wie, że maczałyśmy palce w śmiertelnym wypadku jego kuzyna, i teraz szuka zemsty?

Biorę głęboki wdech i otwieram drzwi. Przemykam przez ulewę i wślizguję się na przednie siedzenie samochodu Daniela. W rękę ściskam kopertę. Nie mogę opanować drżenia rąk.

Daniel ma zaciśnięte usta. Gdyby nie ten list, byłabym skrępowana tą próbą pocałunku.

– Przepraszam – mówi, nie patrząc na mnie. – Ale kiedy cię zobaczyłem po latach... – Zawiesza głos i rumieni się.

Nie odpowiadam, więc odwraca się, by na mnie spojrzeć. Przenosi wzrok na list, który trzymam w ręku.

– Co to?

Bez słowa wciskam mu kartkę, a on szybko przebiega przez nią wzrokiem.

– Skąd to masz?

Wszystko mu opowiadam. O obu listach i o osobie, która mnie wczoraj śledziła.

– Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?

– Nie miałam pojęcia, co powiedzieć i czy mogę ci ufać. – Spuszczam wzrok i szukam chusteczek w torbie.

Rzuca mi ostre spojrzenie.

– Ufać mi? Przecież mnie znasz, odkąd miałaś siedem lat. Co, myślisz, że to ja je podrzuciłem?

Kręcę głową.

– Nie, no jasne, że nie, ale... – Gapię się na niego, szukam oznak, które zdradzałyby, że ma z tym coś wspólnego. Lekko drga mu prawa powieka.

– Co?

– Kiedy do mnie szedłeś – mówię – widziałeś tę kopertę wystającą ze skrzynki?

Marszczy brwi, zastanawia się.

– Chyba nie.

– A więc ktoś ją wsadził, kiedy byłeś ze mną w mieszkaniu.

Pociera brodę.

– Może. Nie wiem. Mogła leżeć w skrzynce, tylko nie zauważyłem. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy zwróciłbym na to uwagę...

Wzdycham.

– Ktoś wie, Daniel. Ktoś wie, co zrobiliśmy z Sophie.

Zapada pełna zdumienia cisza. Zdaję sobie sprawę, co właśnie powiedziałam. Jedynym odgłosem jest walenie deszczu w dach samochodu i miarowy szum wycieraczek. Daniel gasi silnik i odwraca się w moją stronę.

– Co zrobiliście, Frankie?

W tej chwili wiem, że mogę mu ufać. Jeżeli mu powiem, co się stało, to raczej nie pójdzie na policję – ponieważ ty również byłaś w to zamieszana, a przecież nie będzie chciał brukać twojego imienia.

– To była nasza wina – szepczę i drę chusteczkę na strzępy. – Tego dnia, wieczorem, kiedy zginął Jason. Tak, to był wypadek. Ale my tam byliśmy. Razem z nim.

I opowiadam mu krok po kroku wszystko, co, jak sędzę, powinien wiedzieć.

Jasonem jesteśmy zafascynowane od pierwszego wejrzenia – od chwili, gdy go pierwszy raz widzimy u moich rodziców w jadalni. Danielowi oczywiście o tym nie wspominam. Chyba nigdy otwarcie ci nie powiedziałam, jakie wrażenie wywarł na mnie Jason. W sumie nie musiałam, pewnie sama się domyśliłaś, widząc, jak z nim flirtuję. To przez niego odrzuciłam zaloty Daniela. Skąd miałam wiedzieć, że

Jason to gej? Nigdy nam tego nie powiedział, a my, małolaty, nie miałyśmy szansy się domyślić – brakowało nam obycia i doświadczenia. Widziałyśmy w nim tylko przystojnego, seksownego starszego kolegę, który w dodatku miło się do nas odnosił. Do nas. Obu. Tak samo.

Z biegiem dni zaprzyjaźniliśmy się i zaczęliśmy spędzać czas we trójkę. Szwendaliśmy się tu i tam po mieście. Chyba mu nie przeszkadzało, że jest widywany w towarzystwie dwóch rozchichotanych szesnastolatek. Wolał to niż włączenie się z Danielem i jego kumplami. Wiedziałam, że miał trudne dzieciństwo, zresztą ci o nim opowiedział. Chyba odkrył w tobie bratnią duszę, kogoś z podobną przeszłością. Tak szczerze, to nigdy nie sądziłam, że mu się podobasz. Nie obraż się, Soph, ale byłaś wtedy brzydkim kaczątkiem, dopiero potem zmieniłaś się w łabędzia. Miałaś jednak błyskotliwość, inteligencję, analityczny umysł, mogłaś z nim dyskutować o różnych sprawach, spierać się na tematy filozoficzne, które mnie zupełnie nie interesowały. Pod wieloma względami byłaś strasznie naiwna, za to w innych kwestiach – nad wiek dojrzała. Wynikało to stąd, że wychowywaliście się z Danielem praktycznie sami, musieliście sobie radzić i troszczyć się o siebie, bo wasza mama cały czas pracowała. Nie, to nie jej wina, miała pod górkę, i finansowo, i sercowo. Nigdy nie wspominałaś o ojcu, no, czasem tylko nazywałaś go agresywnym draniem. Twoja mama robiła, co mogła, żeby zapewnić waszej trójce godne i spokojne życie z dala od niego.

Był parny wieczór pod koniec sierpnia. Umówiliśmy się we trójkę na starym moło. Zamierzaliśmy się upić. Byliśmy niepełnoletni, a życie w małym miasteczku miało tę wadę, że wszyscy cię znali, wiedzieli, ile masz lat, i nikt nie chciał ci sprzedać alkoholu. Jason lubił sobie wypić – teraz, po latach, zastanawiam się, czy już wtedy miał z tym problem. A więc, częściowo po to, by zrobić na Jasonie wrażenie, postanowiłam wynieść parę butelek z naszego baru w hotelu. Wzięłam wódkę i rum.

Ty upiłaś się pierwsza, pewnie dlatego, że byłaś taka szczupła i drobna. Alkohol dodał ci pewności siebie i zachowywałaś się zupełnie jak nie ty. Byłam w szoku. Żenująco flirtowałaś z Jasonem, siadałaś mu na kolanach i obejmowałaś go za szyję. Jemu to chyba nie przeszkadzało, a może wręcz sprawiało przyjemność. Pamiętam, że patrząc na was, doznałam bolesnego ukłucia zazdrości. Mieszaliśmy alkohol z colą, ale to nie wystarczyło, by osłabić jego działanie. Robiło się coraz później, a my byliśmy coraz bardziej pijani.

Nie pamiętam, kto rozpoczął tę kłótnię. Czy to ja, bo Jason poświęcał ci za dużo uwagi, czy może na odwrót. Zdaje się, że po prostu konkurowałyśmy ze sobą o jego względy – oczywiście na tyle, na ile najlepsze koleżanki są w stanie otwarcie rywalizować. Tylko że jeżeli chodziło o chłopaków, to ja zawsze byłam górą. Lubiłam zwyciężać. No, w końcu ty byłaś lepsza w nauce. Więc mnie należała się palma pierwszeństwa w czym innym. Żeby było sprawiedliwie.



Teraz skręcam tę chusteczkę w dłoniach. Coraz mocniej i mocniej.

– Zaczęłyśmy się sprzeczać – ciągnę. – Ja i Sophie. Jason próbował nas pogodzić. Sophie go odepchnęła, nie mocno, nie zrobiła tego naumyślnie, ale i tak stracił równowagę. Był mocno wstawiony. Stara barierka pękła i spadł do morza, jakieś osiem metrów w dół. Patrzyliśmy z przerażeniem, jak miota się w wodzie. Potrafił pływać, wiedziałyśmy, że potrafi, bo nieraz kąpaliśmy się razem w morzu. Ale, może ze względu na przyływ, a może przez to, że miał dużo alkoholu we krwi, nie dawał rady utrzymać się na wodzie. A my patrzyliśmy na to bezradnie... jak tonął... – Urywam, bo wspomnienie wciąż jest żywe. – Nic nie mogłyśmy poradzić. Tylko gapiliśmy się, jak morze go pochłania. – Nie dałybyśmy rady go ocalić, Dan. Nie dałybyśmy rady. Byłyśmy tak samo zalane jak on, a w tamtych czasach nie miało się komórek. Później się zadręczałam, że nie pobiegłyśmy po pomoc, nie sprowadziłyśmy kogoś z najbliższych sąsiadów. Ale my stałyśmy jak zahipnotyzowane. Sparaliżowane strachem, perspektywą poważnych kłopotów. Więc patrzyliśmy, jak młody mężczyzna, który ma jeszcze przed sobą całe życie, tonie.

W samochodzie panuje absolutna cisza. Jest tak nachalna, że prawie czuję, jak na mnie naciska, jak mnie zgniata i pozbawia oddechu. Czuję się zmiażdżona, jakby ktoś wziął ciężki młot i uderzył nim w ostry i wyraźny obraz mojej osoby, jaki zawsze istniał w głowie Daniela.

W końcu Daniel pyta:

– Sophie powiedziała Leonowi? – Jego głos brzmi szorstko i ochryple, jakby pierwszy raz od lat wyrwał mu się z gardła.

Kręcę głową.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Na pewno ją kusilo. Przecież nie znosiła kłamać. Ale była przerażona. A czemu pytasz? Myślisz, że to on pisze te anonimy?

Daniel wzrusza ramionami, odwraca się ode mnie i wbija wzrok w przednią szybę. Szyby już zaczęły parować, więc zapuszcza silnik. Miarowy odgłos wycieraczek i melodyjne uderzenia deszczu w karoserię działają na mnie uspokajająco.

– Kto wie, Frankie. A co się potem stało? Kiedy już... nie żył?

Zamykam oczy. Wraca do mnie cały szok i okropieństwo tego, co się stało. Ty wymiotowałaś przez barierkę, a potem zaczęłaś wrzeszczeć jak oszalała, tak że musiałam cię z całej siły zdzielić w twarz; chwyciłam cię za ramię i zaczęłam ciągnąć. Nagle całkowicie wytrzeźwiałam i zaczęłyśmy co sił w nogach biec do hotelu. Tata nie spał, siedział w salonie ze szklaneczką whisky i czytał książkę. Goście na szczęście już porzuchodzili się do pokojów. Do dziś mam przed oczami przerażoną twarz taty, kiedy nas zobaczył – potargane, brudne i splakane, a ciebie całą obrzyganą. Słowa „Co się stało?” padły z jego ust jakby w zwolnionym tempie.

Wypuszczam powietrze i otwieram oczy.

– Mój tata. Uciekłyśmy do hotelu i powiedziałyśmy mu. To on nalegał, żeby wszystko zachować w tajemnicy. Nie chciał w to mieszać policji. Mówił, że to był wypadek. Tragiczny wypadek. Nigdy nie pisał o tym mojej mamie.

– Twój tata jest świetny w dochowywaniu tajemnic – mówi Daniel, a ja rzucam mu pytające spojrzenie.

– Mój tata uratował nam tyłki.

– Sama powiedziałaś, że to był wypadek. Kurwa, Frankie, powinnaś była się zdobyć na uczciwość! Przyznać się i może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Może Sophie by nadal żyła. – Z każdym słowem podnosi głos, w kącikach ust zbiera mu się ślina. Chyba nigdy nie widziałam go w takim gniewie.

Łzy płyną mi z oczu, nawet nie próbuję ich ocierać.

– Teraz wiem. Tata po prostu zrobił to, co w danej chwili wydało mu się najlepsze. Miałybyśmy kłopoty, bo zwędziłyśmy mu wódkę. Wszystko trafiłoby do gazet. Tata straciłby pozwolenie na sprzedaż alkoholu – tłumaczę z pretensją, jakby to on miał napisać ten artykuł w lokalnym szmatławcu, mimo że wtedy miał zaledwie osiemnaście lat. – I hotel.

– Nie mogę uwierzyć, że to przede mną ukrywałaś – rzuca Daniel już ciszej, łagodniejszym tonem. Ale wciąż na mnie nie patrzy.

– Nie tylko przed tobą. Przed wszystkimi.

Jego następne słowa mrożą mnie do szpiku kości:

– No chyba jednak nie przed wszystkimi. Ktoś wie, Frankie. I wygląda na to, że szuka zemsty.

Niedziela, 20 lipca 1997

Myślałam, że super będzie się pracowało z Frankie, ale przez cały ostatni tydzień prawie się do mnie nie odzywała. Wiem dlaczego – ponieważ nie zrobiłam tego, co chciała, czyli nie zerwałam z Leonem. Już zapomniałam, jaka ona potrafi być uparta i że zawsze musi postawić na swoim. W czasie tych kilku lat rozłąki myślałam o naszej przyjaźni z rozrzewnieniem. Chyba nie mam żadnego wspomnienia z dzieciństwa niezwiązanego z Frankie, tak samo jak z Danielem. Ale były też chwile, kiedy grała mi na nerwach. Już jako dziecko lubiła się rządzić, a jeżeli postępowałam inaczej, niż ona sobie życzyła, fundowała mi ciche dni. Pamiętam – miałam wtedy dziewięć lat – jak za to, że nie chciałam wyjść się z nią bawić, bo wolałam czytać książki z serii o Malory Towers, które właśnie dostałam, nie odzywała się do mnie cały tydzień.

Wczoraj późnym popołudniem poszłam z Helen na plażę i sama nie wiem, jak to się stało, że się jej zwierzyłam. Opowiedziałam jej, jak Frankie się wkurza, że spotykam się z Leonem, jak oschle mnie traktuje i w ogóle jak dziwnie nam się razem pracuje. Oczywiście ani słowem nie wspomniałam o Jasonie.

Czułam się winna, że po powrocie Frankie odrzuciłam Helen. W szkole, po wyjeździe Frankie, to ona stała się moją opoką. W czasie studiów też nie straciłyśmy kontaktu. Spotykałyśmy się za każdym razem, gdy wracałam do domu na święta lub wakacje. Owszem, Helen potrafiła czasem być trochę opryskliwa, nie miała w sobie tyle energii i pasji co Frankie, ale podobały mi się jej trzeźwe spojrzenie i dystans. Jediną wadą naszej znajomości była jej wielka niechęć do Frankie. W drugiej klasie liceum Frankie i Helen strasznie się pożarły. Pewnego dnia do klasy wpadła Frankie, cała umazana niebieską farbą, i z wściekłością rzuciła się na Helen, która rzekomo zamknęła ją w magazynku przy pracowni plastycznej. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Frankie ma klaustrofobię. Helen oczywiście zaprzeczyła, ale Frankie nie miała wątpliwości, kto to zrobił – według niej bezpośrednio przed zajściem w pracowni były tylko one dwie. Frankie nagłośniła sprawę, trąbiła wszem wobec, co się stało, nazywając przy tym Helen dręczycielką. Nie można powiedzieć, żeby przedtem specjalnie się przyjaźniły, ale przynajmniej zachowywały się wobec siebie przyzwoicie. Helen zawsze twierdziła, że to nie ona uwięziła Frankie, ale ja nie byłam przekonana. Helen potrafi długo żywić urazę.

Leżałyśmy na ręcznikach w cieniu zjeżdżalni. Panował upał i duchota, morze było spokojne, w czasie odpływu. Po mojej prawej stronie w oddali majaczyło stare molo. Trzymało się z boku jak nieśmiały nastolatek na imprezie.

Helen przekręciła się na ręczniku. Miała na sobie szorty i górę od kostiumu, i choć leżałyśmy na plaży dopiero kwadrans, już się przypiekła. Wokół panował ścisk: rodziny się opalały, dzieci taplały się w płytkiej wodzie, nastolatki rzucały frisbee.

– Więc Frankie się na tobie wyżywa, bo chodzisz z Leonem? – spytała Helen, kiedy skończyłam opowiadać. Osłaniała twarz ręką i mrużyła oczy. Słońce wisiało na bezchmurnym niebie niczym żółty balonik.

Wzruszyłam ramionami.

– Uhm, chce, żebyśmy z nim zerwała. Twierdzi, że jakiś czas temu się do niej przystawiał, a kiedy chciała go spławić, zrobił się mało przyjemny.

Helen uniosła brew.

– Serio? Myślisz, że to prawda?

– Dlaczego miałyby kłamać?

– Sęk w tym, że Frankie lubi być w centrum uwagi. Nie spodobało jej się, że tak rozkwitłaś. Zawsze była wobec ciebie zaborcza.

– Sądysz?

Prychnęła.

– No jasne. W szkole nikt nie mógł się nawet do ciebie zbliżyć.

– Wtedy nie podobałam się chłopakom. – Pamiętałam, jak wyglądałam z tym stałym aparatem na zębach i w najtańszych okularach, które dostawało się na receptę.

– Nie chodzi o chłopaków. Przecież ty nie mogłaś się z nikim prócz niej przyjaźnić. Zawładnęła tobą, i to już od pierwszego dnia, kiedy doszłaś do naszej klasy. Byłaś jej przyjaciółką, i basta. Nigdy przedtem nie musiała się z nikim dzielić. A teraz musi. Tobą, z Leonem. I to jej się nie podoba.

Uwierało mnie, że obgaduję Frankie. Zwłaszcza że Helen nie znała wszystkich faktów.

Teraz zaś nabrała rozpędu.

– Dla ciebie nie mogło się lepiej złożyć, że wyjechała. Przynajmniej wyszłaś z cienia. A teraz oczekuje, że zaczniecie dokładnie od tamtego miejsca. Jakby to było wczoraj. Ale przecież ty się zmieniłaś, trzy lata minęły.

Usiadłam, wsunęłam dłonie w rozgrzany piach i zaczęłam przesypywać go między palcami. Wiedziałam, że Helen ma rację. Nawet gdyby Leon nie był kuzynem Jasona, to Frankie też by się nie podobało, że z nim chodzę. Lub z kimkolwiek. Przywykła do tego, że ma mnie na własność.

Helen też się podniosła. Odwróciła się na ręczniku twarzą do mnie.

– Nie możesz dłużej pozwalać sobą kierować, Sophie.

Poczułam się nieswojo.

– Ale ona mną nie kieruje...

– Po prostu jesteś za miła i ona to wykorzystuje. Wpędza cię w poczucie

winy, bo jeśli nie postąpisz zgodnie z jej zachcianką, to masz wrażenie, że sprawiłaś jej przykrość. Robiła to już w dzieciństwie i nadal to robi.

Dalej przesypywałam piasek między palcami.

– W przyjaźni nigdy nie jest tak, że obie strony zachowują się tak samo – zastanawiałam się głośno – prawda? Zawsze jedna dominuje, przeważa, kontroluje. Tak już jest.

Helen zmarszczyła czoło.

– Przyjaźń powinna polegać na dawaniu i braniu. Po równo...

– Nie uważasz, że to trochę naiwne podejście? – wtrąciłam się. – Ludzie są różni, więc siłą rzeczy każda przyjaźń też jest inna. Każdy przyjaciel wnosi coś innego i wydobywa inną stronę naszej osobowości. Tak. W naszej relacji rzeczywiście Frankie zawsze dominowała, więc przypuszczam, że kiedy teraz z nią jestem, trochę staję się mną z czasów dzieciństwa.

Helen zagłębiła rękę w torbie, by wyciągnąć butelkę olejku do opalania Hawaiian Tropic (uwielbiałyśmy go, bo po posmarowaniu natychmiast wyglądałyśmy na bardziej opalone i pachniałyśmy jak pyszne malibu), wycisnęła sobie nieco na rękę i posmarowała już trochę spaloną skórę.

– A jak jest między nami? Jak rozkładają się siły w naszej relacji?

– Nie wiem... chyba mniej więcej po równo. Nie sądzisz? – Kiedy to mówiłam, doskonale wiedziałam, że nie jestem do końca szczerą. Czasem przerażała mnie porywczosć Helen.

– Dokładnie – potwierdziła triumfalnie i zaczęła sobie smarować nogi. Do olejku przyklepał się piasek i łydki jej błyszcząły. Miała skupioną minę. – Nie obraż się, Sophie, ale wcześniej nie stanowiłaś konkurencji. To znaczy, jeśli chodzi o facetów. Ale teraz – zupełnie co innego!

Poczułam, że się rumienię. Gapiłam się na swoje ręce częściowo zanurzone w piasku.

– E tam, Hel.

– Nie no, serio.

– Frankie jest przepiękna.

– Ty tak samo.

Czułam się w tej sytuacji niezbyt komfortowo, ponieważ jakkolwiek by mnie chwalono, w głębi serca nadal uważałam się za chudą dziewczynkę z trądzikiem. Zmieniłam więc temat, zagadałam o Piwnicy i planach na wieczór.

Posiedziałyśmy na plaży jeszcze godzinę, po czym w szortach i klapkach, z ręcznikami i olejkiem do opalania w torbach, posnułyśmy się trochę po miasteczku. Zatrzymałyśmy się przy wejściu na główne moło, kupiłyśmy sobie lody, a potem ruszyłyśmy na główną promenadę. W tle słychać było muzykę z lat pięćdziesiątych.

I wtedy zobaczyłam Frankie. W dzinsowych, obcisłych krótkich spodenkach

i czarnym staniku od kostiumu, eksponującym jej wydatny biust, przepychała się przez tłum i maszerowała w naszą stronę. Mój brat laził za nią z tym wkurzającym wyrazem twarzy, jaki ostatnio przybierał na jej widok – jak wierny, zakochany pies. Mimo upału był ubrany na czarno, chociaż wyjątkowo zmienił sweter i długi płaszcz na koszulkę i dżinsy. Był zarumieniony, a ciemną grzywkę miał mokrą od potu. Frankie nigdy nie wykazywała zainteresowania Danielem, choć na pewno zdawała sobie sprawę, co jest grane. To niesamowite, jak wszystko po nim widać. Równie dobrze mógłby to wypisać wołami na czole.

Zobaczyć ich razem było dość zdumiewające, bo ani on, ani ona raczej nie pokazują się nigdzie w pojedynkę, zawsze są z kimś ze swoich znajomych.

Frankie zatrzymała się naprzeciwko nas. Wyraźnie podenerwowana, chmurnie spoglądała to na ramię Helen splecione z moim, to na lody w naszych rękach.

– Co, wracasz z plaży? – zwróciła się do mnie, całkowicie ignorując Helen.

– Tak, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza – odparłam. Byłam na siebie zła za ten obronny ton, bo chciałam udowodnić Helen, że nie pozwalałam Frankie sobą rządzić.

Twarz Frankie złagodniała, a jej ramiona opadły, jakby uszło z niej napięcie. Teraz, kiedy przede mną stała, wydała mi się bezbronna, taka drobna i mała na tle wielkiego Daniela.

– Słuchaj, Soph, przepraszam, że ostatnio byłam taką zołą. Miałam sporo problemów na głowie. Będziesz dziś w Piwnicy?

Czułam, jak Helen obok mnie sztywnieje. Wysunęła rękę spod mojego łokcia.

– Tak, wybieram się, i Helen też – odparłam. Nie mogłam dopuścić, by poczuła się wykluczona tylko dlatego, że Frankie nagle pstryknęła palcami. To byłoby nie fair.

– To super – odezwała się, dalej unikając wzroku Helen. Pochyliła się i uścisnęła mnie. – W takim razie do zobaczenia.

Wszyscy patrzyliśmy w ślad za nią, a Daniel prawie się ślinił.

– Więc dokąd się wybieraliście? – spytałam, gdy we trójkę wracaliśmy przez miasteczko. Skwar był niemiłosierny, a tłum turystów niespiesznie sunących we wszystkich możliwych kierunkach bynajmniej nie przynosił ulgi.

– Zadzwoń, że chce się ze mną spotkać. – Daniel nonszalancko wzruszył ramionami, ale doskonale wiedziałam, że w głębi duszy jest rozanielony.

– I co, udało ci się ją pocałować? – chciała wiedzieć Helen.

Teraz wydostaliśmy się już z najgęstszego tłumy i zbliżyliśmy do starego molo.

– Nie twój interes – zarumienił się mój brat.

– O Boże, a więc jednak! – wykrzyknęłam. – Widzę to po twojej minie!

– I co, warto było czekać? – drażniła się Helen. – Powiedz, ile lat marzyłeś, żeby położyć łapy na jej boskich cyckach?

Na widok jego zdumionej miny obie parsknęłyśmy niekontrolowanym śmiechem.

– Odwalcie się ode mnie – burknął i odszedł, a my dalej chichotałyśmy jak wariatki.

Ale teraz się martwię.

Daniel kocha Frankie od lat, lecz ona nigdy nie odwzajemniała jego uczuć. Pewnie teraz zrobiła to tylko dlatego, że potrzebowała uwagi.

A jeżeli rzeczywiście pocałowała mojego brata, to tylko po to, żeby się na mnie zemścić.

Już sama nie wiem, do czego ona jest zdolna.

Zatrzymujemy się przed domem Lorcana i nagle ogarnia mnie potworne zmęczenie. Czuję się ciężka, jakby moje ciało było z kamienia.

Myśl o ponownym wejściu do tego domu napawa mnie odrazą. Nie chcę widzieć ani Leona, ani tego świra, jego brata. Jaki to wszystko ma sens? Na co Daniel liczy? Jeżeli nawet któryś z nich wie, co się wtedy stało, to szansa, że nam powie, jest w zasadzie żadna. Chcę jednego: wrócić do domu, do Londynu; i nawet spotkanie z Mikiem wydaje mi się kuszącą perspektywą. Nie powinnam była się zgadzać na przyjazd tutaj. Ale wiem, że myśląc tak, nie jestem ze sobą szczerą. Bo czy dałabym radę odeprzeć pokusę? Nie wykorzystać szansy, by pomóc Danielowi w identyfikacji twojego ciała – przepraszam, twoich szczątków – i wreszcie pozwolić ci odejść?

– No chodź, na co czekasz? – Głos Daniela brzmi ostro, nieprzyjemnie. To jasne, że mi nie wybaczył – i pewnie nigdy nie wybaczy – tego, co mu właśnie powiedziałam o Jasonie. Już nigdy nie spojrzy na mnie tak jak dawniej. Pozbawiłam go złudzeń co do tego, kim naprawdę jestem, kim byłam.

Ale to już ciebie nie dotyczy, prawda, Soph? Ciebie nie ma, zostałam z tym sama. I sama muszę dźwigać ten ciężar. Jak zwykle ja. Zawsze byłam silniejsza, miałam cechy przywódcze, to ja wszystko poukładałam po śmierci Jasona i to ja muszę teraz stawić temu czoła...

Już otwieram usta, by powiedzieć Danielowi, że nie ma mowy, nie wracam do tego przytłaczającego domu, gdy do samochodu podchodzi wysoki mężczyzna i bębni pięścią w maskę. Podskakuję z przerażenia, a Daniel blednie. Nad przednią szybą pochyła się Lorcan. Ma na sobie te same schlapane farbą ogrodniczki, a pod nimi koszulkę z krótkim rękawem. Nie czuje przenikliwego zimna? Znowu wali w karoserię, a Daniel wyskakuje z samochodu.

Moje zmęczenie w jednej chwili pierzcha. Na fali adrenaliny też wysiadam.

– Co, popierdoliło cię? – wrzeszczy Daniel. – Przestań mi tu walić w karoserię!

– Może wolisz, żebym w ciebie walnął? – warczy Lorcan. – Co wy tu, kurwa, robicie? Leon mi mówił, że wczoraj byliście. Nic wam nie mamy do powiedzenia! – Gniew nasila jego twardy akcent z West Country.

Staję przy Danielu i delikatnie ściskam go za ramię. Próbuję go odciągnąć, ale się nie daje.

– Chcę się tylko dowiedzieć, co się stało tamtej nocy, gdy zniknęła moja siostra.

Twarz Lorcana tężeje.

– Niczego się od nas nie dowiesz. Spierdalaj stąd.



Czuję narastające napięcie i podejmuję ostatnią próbę, żeby je rozładować.

– Słuchaj, Lorcan – zaczynam. – Wiem, że Sophie ci się podobała. Pamiętam, jak się do niej przystawiałeś w Piwnicy. Czego od niej chciałeś? Byłeś żonaty... i co by na to powiedziała twoja żona?

Lorcan zbliża się o krok i wymachuje mi pięścią przed nosem.

– Odepierz się, jaśnie pani. Za kogo ty się, kurwa, uważasz? Pojawiasz się po tylu latach i nagle będziesz ze mną zadzierać? Ty głupia suko.

– Dość! – wrzeszczy Daniel, stając między mną a Lorcanem, by osłonić mnie przed jego atakiem. – Zostaw ją w spokoju.

– Żeby mi tu łażyła i oskarżała wszystkich po kolei – warczy Lorcan. W kącikach ust zbiera mu się ślina.

– Nikogo nie oskarża. Chcielibyśmy tylko porozmawiać... wczoraj gadaliśmy z Leonem i bardzo nam pomógł, ale...

Lorcan stanowczo kręci głową, ale kiedy patrzy na Daniela, twarz mu wyraźnie łagodnieje.

– Słuchaj, stary – mówi pojednawczo – przykro mi z powodu twojej siostry, słowo daję. Słyszałem, że odnaleziono jej ciało. Ale nie mam nic wspólnego z jej śmiercią. A teraz zostaw mnie w spokoju. I moją rodzinę.

I zanim któreś z nas zdąży zareagować, odchodzi ścieżką przez ogródek. Drewniana furka zamyka się za nim z hukiem.

Przez dłuższą chwilę gapimy się w tamtą stronę. Potem Daniel odwraca się do mnie i mówi z żalem:

– Z tego się powoli robi jakiś koszmar. Nie przypuszczałem, że będzie tak ciężko. Nikt nie chce ze mną gadać.

– Jesteś teraz dziennikarzem, może dlatego.

– Nie, to nie to... – wzdycha. – Słuchaj, Franks. Wiesz, przyszło mi do głowy, że może lepiej byłoby, gdybyś wzięła się do tego sama. Beze mnie.

– Co?

– No, sama mówisz, że jestem dziennikarzem. I bratem Sophie. Ale ty...

– Ja tu jestem intruzem! – wołam. – Gdzie się pokażę, wszyscy są dla mnie okropni. Słyszałeś Lorcana. Jak mnie nazwał. Jaśnie panią i suką.

Daniel w bezradnym geście przeczesuje włosy ręką.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Stoimy na chodniku, oboje pogrążeni we własnych myślach. Ciszę przerywa dzwonek komórki Daniela.

– Mia? Tak... nie... – Rzuca mi spojrzenie spod ciemnych rzęs, a potem odwraca się do mnie plecami. – Okej, zaraz będę. – Kończy rozmowę i wsuwa telefon do kieszeni. – Muszę jechać – mówi, unikając mojego wzroku. – Jestem potrzebny... w domu.

– A więc Mia... – mówię odruchowo, bez zastanowienia.

Na dźwięk tego imienia w moich ustach twarz Daniela tężeje, a oczy się zwężają. Wygląda teraz dużo starzej, budzi respekt. Widzę, że nie chce jej w to mieszać, i nawet gdy wypowiadam jej imię, to tak, jakbym ją kałała. Daniel zawsze lubił szufladkować ludzi. Rozumiem go, bo mam tak samo. Wiem – uważa, że Mia nie ma nic wspólnego z ponurym światem śmierci, morderstwa i zemsty. Należy do innej rzeczywistości, składającej się z leniwych niedzielnych poranków z kawą i gazetą, trzymania się za ręce przy śniadaniu, romantycznych spacerów i czułych słówek. Czuję ostre ukłucie zazdrości. Fizyczny ból, jak przy niestrawności.

Daniel podchodzi do samochodu i otwiera drzwi.

– Wsiadaj.

Nagle odkrywam, że jestem na niego zła. Zazdrość o Mię obudziła we mnie pragnienie, by go ukarać. Mówię więc, że nie, wrócę pieszo. On wzrusza ramionami i odpowiada, że po tym, jak mnie nazwał Lorcan, to chyba nie najlepszy pomysł. Duchem jest już jednak w domu, mimo że ciałem – wciąż przy mnie. Najwyraźniej martwi się o Mię. Może wcale nie jest w niej zakochany, tak jak myśli lub jak chce myśleć.

Czemu go nie chciałam – wtedy, kiedyś?

Wszystko mogłoby się inaczej potoczyć.

Myliłam się, mówiąc, że nic między nami nie było. Zapomniałam, przypomniałam sobie dopiero dziś rano. Ta chwila bliskości w kuchni przywołała wspomnienia lata, kiedy zginęłaś. Parę pocałunków i macanek na starym moło. Nie seks, nic nawet zbliżonego do seksu. Nie miałam wtedy pojęcia, czego chcę. Chciałam tego, czego nie mogłam mieć, a Daniel podawał mi to na talerzu. A dziś, gdy już wszystko przepadło, pragnę go bardziej niż kiedykolwiek.

– Później do ciebie napiszę. Musimy postanowić co dalej – mówi w pośpiechu.

Zanim odpowiadam, już siedzi za kierownicą. Stoję jak wmurowana i patrzę, jak rusza z piskiem opon.

Idę przez osiedle. Na szczęście z powodu pogody jest zupełnie opustoszałe. Pod całodobowym nie sterczą wyrostki, dzieciaki nie szaleją na rowerach, faceci nie nachylają się nad otwartymi maskami samochodów. Zmierzam w stronę ulicy, na której mieszkałaś. Minęło już ponad dwadzieścia lat, a ja dalej pamiętam, jak się do ciebie szło. Raptem dwie przecznice od Leona. Och, jak bym chciała znowu mieć piętnaście czy dwanaście lat i myśleć tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w twoim pokoju, zaszyć się i słuchać muzyki.

Przechodzę przejściem podziemnym łączącym koniec jednej ulicy z początkiem drugiej. Jestem na obsadzonym drzewami wewnętrznym deptaku, przeznaczonym tylko dla pieszych. Według tego samego lub podobnego projektu budowano osiedla mieszkaniowe w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Przed domami rozciągały się tereny zielone, na których bez obaw mogły bawić się

dzieci, a garaże znajdowały się na tyłach budynków.

Nawet nie wiem, kiedy dochodzę do domu z numerem sto dwadzieścia trzy – środkowego szeregowca pomiędzy dwoma skrajnymi. Jest dużo bardziej zaniedbany niż dawniej. Biała farba łuszczy się na deskach elewacji. Czerwone drzwi zastąpiono białymi, chyba plastikowymi, z szybą. Mimo to ogarnia mnie nostalgia, i to tak silna, że prawie widzę, jak do mnie machasz z okna swojego pokoju – małego, wychodzącego na ulicę, z zasłonkami w pierroty i taką samą narzutą na łóżko, gdzie w wieku ośmiu lat słuchałyśmy Madonny i Five Star, a potem, z czasem, Nirwany i Pearl Jam, a w końcu Blur i Oasis.

Natychmiast do mnie dociera, że nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. W tym mieście, we wspomnieniach. Tak mocno cię czuję, Sophie, że mam wrażenie, że stoisz dosłownie obok mnie lub tuż za mną. Nagle robi mi się zimno, ciarki przechodzą mi po plecach, zaczynam się bać. Muszę się stąd jak najszybciej wynieść.

Odwracam się, prędko przechodzę przez przejście podziemne i krętymi uliczkami lecę do głównej ulicy. Dziesięć minut i jestem w apartamencie. Podjęłam decyzję. Wracam do Londynu. Nie zniosę kolejnej nocy tutaj, sam na sam z myślami i twoim duchem.

Daniel nie zatrzymał się w miejscu, poszedł dalej, jest z Mią. To dobrze. Prawdę mówiąc, nie jestem mu potrzebna. Mia też może z nim iść zidentyfikować twoje szczątki. Napotkał tyle murów, dziwne, że jeszcze się trzyma. A ja chyba raczej nigdy nie będę mogła mu pomóc.

Zaczyna padać śnieg z deszczem. Rozmazane płatki lądują na chodniku i od razu się roztopiają. Morze jest wzburzone, szarobure fale walą w stalowe nogi starego molo. Drzę i głębiej naciągam kaptur, choć i tak wcale mnie nie chroni. Został uszyty z myślą o modzie, a nie o praktycznym użyciu, więc kończy się gdzieś w połowie głowy.

Zatrzymuję się, wyciągam z torby telefon i ściskając go w rękę, idę dalej. Cieszę się, że mam zasięg, chociaż tu, na dworze. Docieram do lamp przy wejściu na molo, staję, opieram się o jedną z nich i piszę esemesa do Daniela. „Daniel, muszę wyjechać. Przepraszam. Wracam do domu. Pa, F.”

Podnoszę głowę i przez gęsty, mokry śnieg widzę ciebie. Stoisz pośrodku molo. Masz na sobie dzinsy, a wiatr szarpie twoimi jasnymi włosami, płacze ci je na twarzy. Gwałtownie wciągam powietrze. Moje oczy cię widzą, choć rozum podpowiada, że to przecież niemożliwe, że nie masz prawa tu być.

Mrugam. Mimo lodowatej aury robi mi się gorąco, a potem patrzę na telefon, który wciąż trzymam w dłoni. Daniel nie odpowiedział. Nagle przychodzi mi do głowy, że mogłabym ci zrobić zdjęcie, by udowodnić samej sobie, że nie oszalałam. Ale kiedy podnoszę wzrok, ciebie już nie ma. Jestem zupełnie sama. Odwracam się na pięcie, naciągam kaptur głębiej na głowę i wlokę się pod górę, do

mieszkania. Rozmiękły śnieg całuje mnie w twarz niczym czyjeś chłodne wargi.

Czemu ciągle cię widuję, skoro nie żyjesz? Albo tracę rozum, albo te historie o duchach ze starego molo, które sobie opowiadałyśmy, są prawdziwe. Nie mam pojęcia, która z tych dwóch możliwości bardziej mnie przeraża.

Niedziela, 27 lipca 1997

Piszę to wcześnie rano. Nie mogę spać, chociaż powinnam, bo jutro muszę iść do pracy. Będę wykończona!

Wszystko zaczęło się wczoraj wieczorem w Piwnicy.

Wieczór zapowiadał się fantastycznie. Leon zaprosił mnie do siebie, bo jego brat i szwagierka mieli wyjść, więc mieliśmy wolną chatę. Domyślałam się, co to oznacza. Seks. O seksie z Leonem fantazjowałam od czterech tygodni, czyli odkąd się poznaliśmy. Włożyłam najlepszą bieliznę (nowy czarny biustonosz Wonderbra i koronkowe stringi), ale idąc do niego, czułam się skrępowana. Przedtem podobala mu się Frankie – dziewczyna o idealnej figurze, prawdziwa klepsydra z wielkim biustem. Stanowiłam jej całkowite przeciwieństwo. Ciekawe, czy będę dla niego atrakcyjna.

Przez cztery tygodnie naszej znajomości całowaliśmy się i trzymaliśmy za ręce, ale Leon nie próbował niczego więcej. Raz położył rękę na mojej piersi, przez koszulkę. Ale do niczego ponad to między nami nie doszło.

No i dzieliła nas kwestia Jasona. Wielka tajemnica, którą skrywam przed Leonem. Ona też nie dawała mi spokoju.

Nieważne. W każdym razie, kiedy otworzył mi drzwi i weszłam do kuchni, napięcie wisiało w powietrzu. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy, kiedy prowadził mnie na górę, do swojego pokoju, w którym pod ścianą stało wąskie łóżko nakryte narzutą z He-Manem, odziedziczoną po starszym bracie. Rozebrał mnie na tej narzucie, powoli ściągnął ze mnie dżinsy i koszulkę. Leżałam w samym staniku i majtkach, lekko drżąc w oczekiwaniu.

Już po wszystkim, wtulona w jego ramiona, gapiłam się w sufit o ozdobnej gipsowej fakturze i zżerało mnie poczucie winy. Wiedziałam, że nasz związek nie ma przyszłości, bo duch Jasona i to, co zrobiliśmy z Frankie, zawsze będzie nad nami wisieć. Próbowałam odeprzeć te posępne myśli i skupić się na tym, co tu i teraz. Mogłabym tak leżeć całą noc, ale nagle łupnęły drzwi i rozległy się podniesione głosy Lorcana i jego żony Steph.

– Widziałam cię, ty pieprzony draniu – krzyknęła piskliwie Steph, a potem coś upadło na ziemię i się rozbiło.

Lorcan też wrzasnął, ale takim grubym głosem, że nie rozumiałam słów.

Leon jęknął, odwrócił się do mnie i oparł na łokciu.

– Chyba się znów pożarli.

– Oni tak cały czas?

– Uhm, hormony ciążowe. W każdym razie mój brat tak twierdzi. Lepiej się

stąd zmywajmy.

Zaczęliśmy się ubierać i poczucie bliskości od razu zmieniło się w skrępowanie. Wsunęłam majtki, niezdarnie plątałam się z biustonoszem, potem wciągnęłam koszulkę i dżinsy. Leon ubierał się odwrócony plecami do mnie. Omal się nie przewrócił, tak szybko wkładał spodnie.

Trzaśnięcie kuchennych drzwi rozniosło się echem po całym domu.

– Poszedł sobie – odezwał się z ulgą Leon. Złapał mnie za rękę i spytał nieśmiało: – Idziemy do Piwnicy?

Przytaknęłam. Przypomniało mi się, że umówiłam się z Frankie i Helen. Na palcach, żeby Steph, która przycupnęła na skraju kanapy, nas nie zauważyła, przemknęliśmy po schodach. Steph jest wysoka i szczupła, ma ciemne kręcone włosy, które spina kłamrą, a brzuch jej tak sterczy, jakby włożyła pod koszulkę wielkiego arbuza. Jej ciemne oczy patrzą poważnie i przenikliwie, zawsze wilkiem, ale jest ładna i młoda, pewnie niewiele starsza ode mnie. Teraz siedziała z rękami na brzuchu i zwieszoną głową. Żałowałam jej całym sercem. Leon się zawahał, ale ostatecznie wsadził głowę przez szparę w drzwiach.

– Steph, wszystko w porządku? – spytał i wszedł do pokoju.

Ja, skrępowana jak diabli, czaiłam się w holu.

Usłyszałam, jak Steph pociąga nosem i mówi, że Lorcan to drań i dupek. Leon przytaknął pod nosem. Wycofałam się z holu i wyszłam przez kuchnię do ogródka, żeby dać im swobodę. Dziesięć minut później pojawił się Leon.

– O, jesteś – rzekł na mój widok z wyraźną ulgą. – Bałem się, że sobie poszłaś.

– Nie chciałam podsłuchiwać. Była taka zdołowana.

– Już jej lepiej. Ale niestety Lorcan często ją tak podle traktuje. No wiesz, Steph jest w tej cholernej ciąży, a on lata za innymi, nie może się powstrzymać. Nie mam pojęcia, co ona w nim widzi.

Wcześniej widziałam Lorcana tylko raz, kiedy przyszłam po Leona. Miał zawziętą minę i prześwidrował mnie spojrzeniem, podobnym do spojrzenia Leona, tylko dużo chłodniejszym, dosłownie na wylot, tak że poczułam się goła. Potem mrugnął lubieżnie i zrobiło mi się niedobrze. On i Steph są małżeństwem od dwóch lat, a znają się od czasów, gdy ona miała piętnaście lat, a on siedemnaście. Wciąż ją zdradza, a ona za każdym razem mu wybacza.

– Ja nie jestem taki jak on – wyrwało się Leonowi.

– Mam taką nadzieję – roześmiałam się – bo gdybyś był, to na pewno wolałabym się trzymać od ciebie z daleka.

Kiedy doszliśmy do starego molo, Leon przystanął. Na jego twarzy malowała się powaga.

– Napisałem wiersz. O tobie. – Wsadził dłoń do kieszeni dżinsów i wyciągnął wymiętą kartkę w linie, po czym wręczył mi ją ze wstydliwym

uśmiechem. – Właściwie to o bratnich duszach. Nie, teraz nie czytaj – dodał pospiesznie, kiedy chciałam ją rozłożyć. – Później, jak wrócisz do domu.

Wepchnęłam kartkę do kieszeni. Byłam poruszona. Nie mogłam się doczekać, kiedy znajdę się sama i przeczytam wiersz.

Leon przyciągnął mnie do siebie i przytulił.

– Wiem, że krótko się znamy – szepnął mi we włosy – ale nie mogę przestać o tobie myśleć, Sophie. Właściwie to myślę o tobie bez przerwy.

Czułam, że się rumienię. Przypomniałam sobie ostrzeżenie Frankie. Pokręcony. Natarczywy. Hm. Podobało mi się to. Że szczerze mówi, co czuje.

– Ja tak samo – wyznałam przez zaciśnięte gardło. W tamtej chwili nie pragnęłam niczego innego, jak tylko przyłgnąć do niego całą sobą, opleść go rękami i nogami, tak by nasze ciała znowu stopiły się w jedno, i już nigdy go nie puścić. Wiedziałam jednak, że to niemożliwe. I że będę musiała się z nim rozstać. W końcu.

Kiedy weszliśmy, Piwnica falowała. Próbowałam wypatrzeć w tłumie Frankie lub Helen, ale małe podziemne pomieszczenia były tak wypchane ludźmi i zadymione, że nie dawało się nikogo rozpoznać. Wszędzie śmierdziało papierosami i starym potem.

– Będzie na mnie zła – powiedziałam, kiedy przepychaliśmy się do baru. Od razu zaczęły mi łzawić oczy, zawsze były wrażliwe. – Obiecałam jej, że będę. I Helen też.

Leon wzruszył ramionami.

– E tam, co jej zależy. Jak ją znam, to już sobie znalazła jakiegoś admiratora do towarzystwa.

Zdrętwiałam z zazdrości. To był idealny moment, żeby go zapytać o Frankie, ale bałam się usłyszeć odpowiedź. Chybabym nie zniosła, gdyby mi powiedział, że był w niej zakochany. A jeżeli nadal coś do niej czuje? Uwielbiałam Frankie, ale nie chciałam już grać drugich skrzypiec. W szkole mi to nie przeszkadzało, w sprawie z Jasonem też nie, ale teraz – owszem. Leon był dla mnie zbyt ważny. Nawet jeżeli nigdy nie będzie mógł być na serio mój.

Długo staliśmy przy barze i czekaliśmy, aż nas obsłużą. Nagle nie wiadomo skąd pojawiła się Frankie.

– O, jesteście – zawołała, wspięła się na palce i objęła nas oboje za szyje. Jej oddech pachniał czymś słodkim, jakby przed chwilą wypijała alkopopa. – Szukam was i szukam. Mówiłaś, że będziesz o dziesiątej, Soph? – Widziałam ją tylko z profilu, ale jej głos brzmiał tak, jakby się dąsała. Trudno, postanowiłam, że nie dam sobie popsuć nastroju. Poszłam do łóżka z Leonem, a on był we mnie zakochany. We mnie. Nie we Frankie. I już.

Leon przeprosił i poszedł do toalety, a Frankie wyciągnęła mnie na parkiet.

– Gdzie byłaś? – próbowała przekrzyknąć The Chemical Brothers.

– U Leona...

– Przespałaś się z nim, co? Mimo wszystko... Jak mogłaś?

– Frankie...

Przestała tańczyć i zastygła z rękami na biodrach.

– To wszystko nie trzyma się kupy, Sophie. Sama wiesz.

Przygryzłam wargę. Chciało mi się płakać, bo miała rację.

Nagle poczułam ręce na talii i biodra ocierające się o moją pupę w rytm muzyki. Krępowwała mnie taka publiczna demonstracja uczuć, zwłaszcza przed Frankie.

– Leon... co ty robisz? Puść mnie!

Dopiero wtedy poczułam zapach. To nie był CK One Calvina Kleina, którego zawsze używał Leon, tylko coś gryzącego, ostrego, nieprzyjemnego dla nosa. Gwałtownie odwróciłam głowę i ze zdumieniem zobaczyłam Lorcana szczerzącego do mnie zęby.

Odepchnęłam go, ogarnięta nagłą i gorącą wściekłością. W co on się, do diabła, ze mną bawi?

– Co robiłaś z moim bratem, hę? Pieprzyliście się, jak weszliśmy... – Jego oddech zionął wódką, a prostackie słowa zlewały się w bełkot. Nie speszyły mnie jednak na tyle, bym nie zauważyła, jak Frankie szeroko otwiera oczy. – Niezła dupa – dodał i klepnął mnie po pośladkach. – Ale cyków zero. Nie to co twoja przyjaciółka...

Frankie chwyciła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Lorcan, przestań być takim kutasem i zostaw nas w spokoju.

– No co? – spytał z miną niewiniątka. – Nie robię nic złego.

Następnie wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. W jednej chwili Lorcan stał przed nami i pożerał nas pożądliwym spojrzeniem, a już w następnej Leon popychał go i wrzeszczał, żeby się odpieprzył. Lorcan był potężny, ale nie próbował się bronić lub uderzyć Leona. Rzucił nam tylko zranione spojrzenie, jakbyśmy były starszymi chłopakami, którzy dręczą młodsze dzieciaki na placu zabaw, wycofał się i został wessany przez tłum.

– Nic się nie stało? – spytał mnie Leon, ignorując Frankie. – Mój brat to straszny dupek, jak trochę wypije.

– Macał ją po tyłku i tak dalej – odezwała się Frankie.

Leonowi stężały rysy i drgnęła szczeka. Byłam wściekła na Frankie, że jeszcze pogarsza sprawę.

– Nic wielkiego się nie stało. – Byłam wściekła na nich oboje, traktowali mnie tak, jakby mnie tam nie było. Ale tak naprawdę zapiękła mnie uwaga Lorcana o moim braku biustu. Miałam nadzieję, że Leon tego nie słyszał.

– Mam ochotę go zatłuc. Jak on śmie się tak zachowywać wobec mojej dziewczyny – rzekł w przestrzeń, nie wiadomo do kogo, zupełnie jakbym była jego



własnością. Owszem, poszliśmy do łóżka, i co, teraz myślał, że jestem jego własnością? Przytulił mnie i pocałował – jakbym co najmniej ocalała z jakiejś katastrofy, a nie wyrwała się z rąk przygłupa o lepkich łapach.

Przez ramię zobaczyłam, że Frankie wywraca oczami i robi minę „a nie mówiłam?”.

Po krótkim czasie wyszliśmy. Leon odprowadził mnie do domu, ale kiedy kluczyliśmy uliczkami, mijając hotele i pensjonaty, a potem przechodziliśmy przez główną jezdnię na nadmorski deptak, głównie milczeliśmy. Po plaży wałęsały się grupy małych z butelkami wódki, słychać było ich śmiechy i porykiwania. Z oddali dochodziły okrzyki kobiet – z klubu Odyseja wysypały się właśnie uczestniczki wieczoru panieńskiego w różowych baletowych spódniczkach, a jedna dodatkowo w welonie. Klub słynął z tego, że odbywały się w nim parady panien na wydaniu.

Leon obejmował mnie za ramiona, a ja oplotałam go ręką w pasie i wsunęłam dłoń do tylnej kieszeni jego dżinsów, ale oboje byliśmy pogrążeni we własnych myślach. W uszach dzwoniły mi słowa Frankie: natarczywy, nieokrzesany, musi postawić na swoim. Ale Leon tylko mnie chronił, prawda? Zachował się jak zwyczajny zazdrosny chłopak. A jego brat – jak prawdziwy złamas.

Przed moim domem Leon jeszcze raz przeprosił mnie za Lorcanę.

– Dosłownie krew się we mnie zagotowała. On cię obmacywał, Soph. Jak śmiał?

– No wiem... ale daj spokój, potrafię się obronić.

Pocałowaliśmy się pod ścianą garażu. Kusiło mnie, żeby go zaprosić do środka – wiedziałam, że mama jest na nocnym dyżurze – ale chciałam też pobyć sama, pomyśleć. Ponieważ to, co zrobił Leon, pozostawiło we mnie niesmak. Szamotanina, rozkrwawiony nos, ciosy... to wszystko przywołało wspomnienia, które tak trudno było mi pogrzebać.

Szykując się do spania, przypomniałam sobie o wierszu wetkniętym do kieszeni. Wyjęłam kartkę i rozprostowałam ją na kołdrze. Zaczęłam czytać i łzy zebrały mi się pod powiekami. Z tych słów promieniowała jego wrażliwość i siła uczucia.

*Rozżarzona kula chyli się ku złotej fali,*

*blask zachodu zmywa brud, brzydotę i mój strach.*

*A po molo spacerują duchy tych, co tu bywali*

*dawniej – zatrzymani w swoich życia dniach.*

*Poprzez mgielkę widzę twą urodę –*

*jak drogowskaz, co wskazuje życia kres.*

*Słońca celem – ta wzburzona woda,*

*naszym – wspólna przyszłość jest.*

Zamykam za sobą ciężkie drzwi wejściowe i opieram o nie głowę. Ogarnia mnie taka sama niemoc jak przed domem Lorcana. W głębi duszy mam nadzieję, że wreszcie spotkam kogoś z rodziny, która zajmuje mieszkanie piętro niżej – po prostu chciałabym wiedzieć, że nie jestem całkiem sama w tym budynku pełnym szumów z rur i tajemniczych trzasków. Niestety, prócz starszej pani, której zamazana postać mignęła mi wczoraj przez zaparowaną szybę samochodu Daniela, nikogo do tej pory nie widziałam.

Ostatniej nocy zwinęłam się na kanapie i czekałam, aż zaczną działać tabletki nasenne. Jestem gotowa przysiąc, że słyszałam kroki na schodach. Wiatr wył za oknem, i to tak, że szyby i ramy drżały, ale kiedy na sekundę ucichł, skrzypnęła deska pod czymś ciężarem. Dziecko już przestało płakać, a ja nasłuchiwałam, dokąd skierują się kroki. Zdawało mi się, że ustały dokładnie przed moimi drzwiami. Z sercem w gardle odgarnęłam kołdrę, owinęłam się nią i poszłam wyrzucić przez wizjer. Było zbyt ciemno i dobrze nie widziałam. Ponieważ dorastałam w hotelu, doskonale wiem, że stare budynki wydają rozmaite odgłosy, powiedziałam więc sobie stanowczo, że to tylko kwestia mojej wyobraźni, i niedługo potem zasnęłam. Dwie nie w pełni przespane noce wywołały jednak w moich emocjach spory chaos.

Zawadzam o coś obcasem. Sprawdzam co to. Na kokosowej wycieracze leży znajoma brązowa koperta formatu A4. Schylam się, żeby ją podnieść. Mam nikłą nadzieję, że tym razem nie będzie zaadresowana do mnie, ale na widok mojego nazwiska wypisanego drukowanymi literami specjalnie się nie dziwię.

Nie wygląda mi to na kolejny list. Jest znacznie cięższe i wyczuwam coś wypukłego.

Rozdzieram papier. W środku pobłyskuje srebrny metal. Moje palce zamykają się na czymś chłodnym i twardym. Wyjmuję z koperty parę zniszczonych nieśmiertelników i kładę je sobie na dłoni.

Jestem w sypialni. Szybkimi ruchami wyrzucam ubrania z szafy i byle jak wpycham je do torby. Ktoś dzwoni domofonem. Idę do okna w salonie i ostrożnie wyglądam. Na żwirowym podjeździe, przy moim range roverze, stoi twój brat. Ma poważną minę. Wiem, że przyjechał, żeby powstrzymać mnie od wyjazdu. I dopiero wtedy do mnie dociera, czemu się tak przygląda. Maskę mojego samochodu została czymś obrzucona, to chyba surowe jaja. Żółtko ostro kontrastuje z czarną metaliczną farbą. Z wściekłością odwracam się od okna.

Wpuszczam Daniela i czekam przy drzwiach, aż wejdzie na górę.

– Dostałem twojego esemesa. Nie możesz wracać do Londynu – oświadcza bez żadnych wstępów. Ciężko dyszy, jego blade policzki są zaróżowione. – Och,

i wygląda na to, że ktoś zbombardował twój wóz zgniłymi jajami.

Bez słowa cofam się w głąb mieszkania. Wyczuwam, że idzie za mną do salonu. Mam zmarznięte stopy, musiałam włożyć dodatkowe skarpetki. Na szklanym stoliku przy kanapie leży brązowa koperta, a na niej – nieśmiertelniki. Siadam, podwijam nogi pod siebie i równocześnie pokazuję mu palcem srebrne blaszki.

– To na mnie czekało, kiedy wróciłam do domu.

Marszczy czoło i podchodzi, bierze je do ręki i ogląda.

– Nieśmiertelniki? Nie rozumiem.

– Jasona.

– Stare nieśmiertelniki Jasona? – pyta ostro, z niedowierzaniem.

– Nie sądzę, że to akurat te, które miał na sobie, gdy... no, gdy... – Nie mogę się zmusić do wypowiedzenia tych słów. – Ale bardzo podobne. Cały czas je nosił, nie pamiętasz?

Daniel mruży oczy, jakby próbował przywołać z daleka wspomnienie Jasona.

– Ledwie. Sam myślałem, żeby sobie takie sprawić. W latach dziewięćdziesiątych był na nie szal. – Gapi się na parę blaszek, które trzyma w ręku.

Wstaję z kanapy i mu je wyrywam.

– Ktoś w tym miasteczku mnie prześladuje, celowo. – Odkładam nieśmiertelniki na stolik. – W przeciwnym razie po co by mi je przysyłano?

– Żeby cię nastraszyć, to jasne – mówi Daniel i podchodzi do okna. – I wszystko wskazuje na to, że to się udaje. Zmykasz z powrotem do Londynu.

Stoi do mnie plecami. Widzę ostry zarys jego nosa i brody. Ciekawe, czy on też widuje cię na molo. Podchodzę i staję obok niego. Teraz, kiedy tu jest, czuję się odważniejsza. Ale ciebie nie ma, molo jest puste, a deszcz zmienia się w śniegową breję.

– Ale nie dlatego. – Wkurza mnie, że sądzi, że to dlatego chcę jechać do domu. – Parę listów to za mało, żeby wyprowadzić mnie z równowagi. I jaja na masce. Żałosne.

– Te jaja to może być sprawka jakichś dzieciaków...

– Ale nieśmiertelniki nie. To już osobiste, Daniel. To musiał zrobić ktoś, kto wie o Jasonie.

Taję przed nim to, że przeraziłam się na twój widok, Soph. Bo co mogłabym powiedzieć, żeby nie wyjść na totalną świruskę? Że cię widziałam, że mnie śledziłaś przez całą drogę do domu, że próbujesz mi coś powiedzieć? Może mnie ostrzec? To brzmi kretyńsko. W duchy nie wierzę, to była zawsze twoja specjalność. Co za cholerna ironia. Zawsze chciałaś uciec z tego miasteczka, a nadal tu jesteś, nawiedzasz je. I mnie też.

Daniel ciężko siada na kanapie. Skórzane obicie trzeszczy pod jego ciężarem.

– Jeżeli się nie wystraszyłaś, to czemu chcesz wyjechać? Zapłaciłaś za pobyt do piątku. Równie dobrze możesz zostać.

– Mam dużo pracy.

– Należy ci się trochę urlopu.

Wywracam oczami.

– Trochę urlopu – pryham.

Siadam obok niego na kanapie. Wciąż mam na sobie płaszcz. Owijam się nim szczelniej, a Daniel wstaje, by rozpalić w piecu. Przyglądam się tańczącym pomarańczowym płomieniom. Ich ciepły bursztynowy blask przepędza szare cienie i zmienia pokój w miły i przytulny.

Zawsze się zastanawialiśmy, jak będą wyglądać te nowe apartamenty w środku. Lubiałaś tę część miasteczka, to molo. Widziałaś w nim coś więcej niż spróchniałe deski i zardzewiałe żelastwo. Porównywałaś je do podstarzałej gwiazdy filmowej – choć wyblakłej, to nadal pięknej. Kiedy na nie patrzyłaś, oczami duszy widziałaś przeszłość: edwardiańskich turystów, panów w słomkowych kapeluszach, kobiety w sukienkach do kostek spacerujące z parasolkami obszytymi falbanką i skośnie ustawionymi nad głowami. Dostrzegając w tym molo coś romantycznego. Ja natomiast widziałam tylko jego brzydotę.

Daniel ujmuje moją dłoń i pociera ją w swoich.

– Jesteś lodowata, Franks, dobrze się czujesz?

– Dobrze. Tylko myślę o Sophie.

Ściska mnie za rękę i mierzy dziwnie przenikliwym spojrzeniem.

– Nie jedź. Proszę cię. Poczekaj, jeszcze parę dni. Ja... – przełyka ślinę, jakby był zażenowany, i lekko się rumieni – ...cię potrzebuję.

– No nie wiem...

– Nie widzisz – mówi nieco głośniejszym głosem – że osoba, która ci to wszystko przysyła, próbuje nakłonić cię do wyjazdu? Bo wie, że jesteśmy już coraz bliżej prawdy.

Parskam gorzkim śmiechem.

– Wcale nie jesteśmy. Nie mamy pojęcia, co się naprawdę wtedy wydarzyło. Niczego się nie dowiedzieliśmy. Jest za późno. Minęło zbyt wiele lat. Powinniśmy sobie dać spokój. Żyć dalej.

Przysuwa się bliżej, tak że stykamy się kolanami, a ja wbrew sobie czuję na plecach dreszczyk pożądania. Wciąż trzyma mnie za rękę, jego twarz jest tuż przy mojej, czuję jego świeży miętowy oddech i ciepły męski zapach, trochę przypominający aromat grzanego wina. Mam ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć go, pocałować. Ale nie śmiem. Nie po tym, co się stało dziś rano.

– To, że tu jesteś, wyprowadza kogoś z równowagi, Franks. Chyba to widzisz. Poświęć jeszcze parę dni. Proszę cię.

– A jeżeli grozi mi niebezpieczeństwo, Daniel?

Odpowiada łagodnym głosem:

– Tu, w tym mieszkaniu, jesteś bezpieczna. Tak samo jak przy mnie.

– Ale ten dom w zasadzie stoi pusty. Cała dzielnica jest opustoszała. Nikogo tu nie ma. Czuję się bardzo samotna.

– Przecież jest ta rodzina na dole.

– Której ani razu nie widziałam, prócz starszej pani wczoraj. Chociaż słyszałam dziecko.

– Pewnie się gdzieś kręcą, raz przychodzą, raz wychodzą. Przynajmniej masz świadomość, że są. Nie jesteś całkiem sama.

– Rzeczywiście, też mi coś. – Dla niego to nie ma znaczenia. Może sobie wrócić do swojej dziewczyny. Ma się do kogo przytulić w nocy.

Myślę o powrocie do Londynu, do codzienności, w której zabraknie mi czasu, by myśleć o czymkolwiek innym niż praca i nowy hotel. A potem przypominam sobie, co obiecałam Mike'owi. Że może u mnie zostać aż do weekendu. Powrót oznaczałby nieuniknione spotkanie, niezręczność, pytania. Może bym zmiękła i znowu dała się wciągnąć w związek, który donikąd nie prowadzi. On ma rację, jestem tchórzem. Nie potrafię stanąć z nim twarzą w twarz. Nie mam wyboru, muszę tu zostać.

Gdybym była ze sobą szczerą, powiedziałabym od razu, że chodzi o coś więcej. Wiem, że twój brat ma dziewczynę, ale gdybym teraz wyjechała, oznaczałoby to pożegnanie z nim, prawdopodobnie na zawsze.

Daniel mówi prosząco:

– I obiecałaś, że w środę pójdziesz ze mną na policję. Na spotkanie ze śledczym. To ten sam co wtedy. Pamiętasz go? Aspirant Holdsworth.

– Ten, co nas przesłuchiwał bezpośrednio po tym, jak zaginęła?

Daniel kiwa głową.

– Wtedy nie był aspirantem.

Pamiętam go doskonale. Wysoki blondyn, z jednym okiem innego koloru niż drugie. Przesłuchiwał wszystkich, zadawał wnikliwe pytania – dopóki nie odnaleziono twojego buta i wszyscy się trochę nie uspokoili. W zasadzie to nie wszyscy, tylko pozostali policjanci, bo wyczuwałam, że ten cały sierżant Holdsworth coś podejrzewa, skoro ciągle wypytuje i wypytuje. Raz, gdy wróciłam do domu, zastałam go w kuchni z mamą, przy herbacie. Kiedy tylko weszłam, oczy mu się zaświeciły i rzucił się mnie przesłuchiwać. Trwało to dobrą godzinę. Dokąd poszłam po opuszczeniu klubu? O której cię ostatnio widziałam? Czy ktoś żywił do ciebie szczególną urazę? Zadawał mi te same pytania tysiące razy. Odkryłam, że zadaje je każdemu w miasteczku, moim rodzicom również. Po paru tygodniach szef

odebrał mu tę sprawę i wszystko ucichło. Aż do teraz.

– Nie odpuszczał. Jakby miał nadzieję, że Sophie została zamordowana, bo to byłby dla niego smakowity kąsek.

– Ale miał rację, prawda? – pyta z powagą Daniel.

Przełykam ślinę. Boli mnie gardło.

– Tego nie wiemy. Mówiłeś mu o swoich podejrzeniach?

Daniel kręci głową.

– Nie... jeszcze nie, ale zaczynam myśleć, że powinienem. Zwłaszcza teraz, kiedy dostajesz te pogróżki. Może mu powiem w środę, kiedy tam pójdziemy.

Cała się napinam. Przeraza mnie myśl o spotkaniu z policją. Przy funkcjonariuszach zawsze czułam się nieswojo. Właśnie wtedy zdaję sobie sprawę, że nie mogę wyjechać. Nie teraz. Nie mogę zostawić Daniela samego. Jestem mu to winna. Chce, żebym z nim poszła. Nie Mia, tylko ja. Ja. To musi coś znaczyć, prawda, Soph?

– Nie wiem, czy powinniśmy w to mieszać policję – mówię. – Zresztą co oni mogą zrobić? A jeżeli ktoś chce mi wyrządzić krzywdę, to po co miałby tak długo czekać? Do tej pory miał mnóstwo okazji.

Staję obok kominka. Kolejne słowa dobieram bardzo ostrożnie.

– Sądzisz, że osoba, która pisze te listy i podrzuca to – zawieszam głos i kiwam głową w stronę leżących na stole nieśmiertelników – wie, co się stało z Sophie?

– Tak sędzę.

– W takim razie to musi być Leon. Bo kto wiedziałby o Jasonie, ba, kogo by ten temat w ogóle interesował, jak nie jego kuzyna? On mi wygląda na człowieka, którego takie rzeczy by cieszyły.

Nie lubił mnie, odkąd ci poradziłam, żebyś się po nim niczego dobrego nie spodziewała, Soph. Jak widać, tamta nasza jednonocna przygoda wcale tego nie zmieniła.

Daniel wzrusza ramionami.

– Może. Nie mam pojęcia. Kto wie, komu Sophie powiedziała. Jeżeli w ogóle.

Marszczę czoło.

– A Helen? W szkole tak mnie nie cierpiała. Raz się pobiliśmy, rozwaliła mi nos. Zamknęła mnie w maleńkim magazynku, chociaż świetnie wiedziała, że mam klaustrofobię. Może Sophie się jej zwierzyła i teraz Helen chce mnie ukarać. Zawsze kręciła się wokół Sophie, zabiegała o nią, kombinowała, jak tu się mnie pozbyć. Sophie była zbyt dobroduszną, nie widziała tego, ale Helen miała w sobie coś perfidnego.

Patrzy na mnie sceptycznie.

– Hm, komuś musiała powiedzieć, bo w przeciwnym razie... – Zawieszam

głos i sugestia wisi w powietrzu. Ja w każdym razie nigdy nikomu nie powiedziałam.

Daniel mówi z wahaniem:

– A twój tata?

Jakbym dostała w brzuch.

– Co masz na myśli?

– Mógł komuś powiedzieć?

– Oczywiście, że nie – pryham. – To on kazał nam przysiąc, że będziemy milczeć. I milczaliśmy. To znaczy przynajmniej ja. Za Sophie nie ręczę. Daniel, ona chodziła z kuzynem Jasona! Wiesz, jaka była dobra i miła. Nie dałaby rady dochować tajemnicy, zataić przed nim czegoś takiego. Wyrzuty by ją zżarły.

To ty zawsze kierowałaś się rozsądkiem i przyzwoitością, Soph. Dzięki tobie stałam się lepszym człowiekiem.

Daniel ściąga brwi.

– To prawda. Ale nie była z nim aż tak długo. No bo ile? Sześć tygodni? Dwa miesiące góra.

Och, ten Daniel. Nie ma o niczym pojęcia. A ja mam. Pamiętam, jak bardzo kochałaś Leona. Wasz związek nie trwał może długo, ale za to był bardzo intensywny.

– Rozstali się parę godzin przed jej zniknięciem – wspominam. – A kiedy ją o to spytałam, nie chciała mi nic powiedzieć. Uciekła z płaczem do łazienki, a Leon wypadł z Piwnicy jak burza.

Daniel się kręci, wyraźnie czuje się nieswojo.

– Myślisz, że mogła mu wtedy powiedzieć, co się stało z Jasonem? I dlatego zerwali?

– Nie mam pojęcia. To znaczy Sophie twierdziła, że Leon ją kocha, ale na mój gust to bardziej przypominało obsesję. Kto wie, co się tam naprawdę działo, w tym ich związku, i dlaczego się rozstali. Ale jeżeli to ona zerwała, nie wyobrażam sobie, żeby Leon tak łatwo odpuścił. Podobno miał alibi, ale...

– Alibi to może mieć każdy. Steph? Lorcan? Wszyscy mogą się nawzajem chronić. Jak dobrze znamy drugiego człowieka, Franks? A zwłaszcza tych, którzy są najbliżej? Przecież to właśnie oni potrafią nas najbardziej zranić.

Podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy.

– Cynik z ciebie. Nigdy tak nie mówiłeś.

– Wiem, ale się zmieniłem. – Daniel wstaje i podchodzi do okna.

Utrata ciebie bardzo go dotknęła, bardziej, niż się spodziewałam. W sumie nic dziwnego, przecież od dziecka byliście sobie bliscy. Zazdrościłam wam tego – waszej zażyłości, bezceremonialnej gadaniny, wzajemnej troski. Muszą go gnębić wyrzuty, że ci wtedy nie pomógł.

Wychodzę z pokoju, idę wstawić wodę. Kiedy wracam, Daniel sprawdza coś



w telefonie i przeklina.

– Co się stało?

Podnosi wzrok. Twarz ma ściągniętą.

– Dostałem wiadomość od Mii. Powiedziałem jej, że idę do pracy. Wiem, wiem... – mówi na widok mojej miny. – Nie powinienem był kłamać, ale czasem jest trochę zaborcza. Martwi się, że spędzam z tobą za dużo czasu.

Jest skrępowany, więc nonszalancko wzruszam ramionami, choć w głębi duszy czuję dreszczyk emocji na myśl, że stanowią zagrożenie.

– Wie, że ją okłamałeś?

– Najwyraźniej tak – odpowiada, odrzucając telefon na kanapę – bo Helen pojawiła się u nas w domu i chciała się z tobą widzieć. Podobno coś sobie przypomniała, coś ważnego, więc Mia jej powiedziała, że jestem tutaj.

Wcale się nie zdziwiłam, że Helen „nagle” przypomniała sobie coś ważnego. Zawsze ci powtarzałam, żebyś jej nie ufała. Wiem, że wczoraj skłamała.

Ciekawe, co takiego wie Helen.

Niedziela, 27 lipca 1997

Zrobiłam coś głupiego i niewybaczalnego. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Kocham Leona i rozumiem, że wczoraj wieczorem uderzył swojego brata tylko dlatego, żeby mnie bronić. Lorcan zachował się jak zbereźna świnia. A na mnie Leon nigdy nie podniósłby ręki. Tylko że... będąc świadkiem zachowania taty wobec mamy, obiecałam sobie, że nigdy nie zakocham się w facecie zdolnym do agresji.

Chyba zawsze zazdrościłam Frankie ojca. Alistair. Człowiek życzliwy i troskliwy. Łagodny i opanowany. Moje uczucia względem niego były skomplikowane. Z jednej strony postrzegam go w kategoriach ojca, a z drugiej jako atrakcyjnego starszego faceta, trochę w typie Kevina Costnera, pierwszego, który kiedykolwiek zwrócił na mnie uwagę, który mnie zapytał, co chcę robić w życiu, jak mi idzie w szkole i czy jestem szczęśliwa.

No więc uwaga... pocałowałam się z nim. Uff, przyznałam się. I szczerze – czuję się fatalnie. Postąpiłam zupełnie jak nie ja ani nie jak osoba, którą chciałabym być. Normalnie nie całuję się z kim popadnie, a tym bardziej z żonatymi mężczyznami lub ojcami moich przyjaciółek. Nigdy nikogo nie zdradziłam.

To się stało w czasie lunchu i od tamtej pory jestem zdołowana.

Właśnie zaczęła się moja zmiana. Ścieliłam łóżko w pokoju numer pięć i wносиłam brudne filiżanki, kiedy nagle pojawił się Alistair. Nie spodziewał się mnie tam, więc mruknął jakieś „przepraszam”, uśmiechnął się i już miał wychodzić, kiedy nagle coś go tknęło – pewnie zauważył moją minę.

– Coś się stało? – spytał, puścił drzwi, żeby się zamknęły, i wszedł trochę głębiej do pokoju.

Krzepiąco ścisnął mnie za przedramię, a jego dotyk sprawił, że przeszedł mnie elektryzujący dreszczyk, jakby prąd. Nagle poczułam, że nie pragnę nikogo innego, tylko dokładnie takiego mężczyzny jak on. Kogoś dojrzałego, silnego, zawsze w dobrym humorze, zabawnego, z pozytywnym spojrzeniem na świat. A nie kogoś, kto zachował się jak Leon. Przypomniało mi się, co zrobił Alistair tamtej nocy, gdy utonął Jason. Pojawiłam się u niego w domu cała zarzygana, spanikowana i roztrzęsiona. „Jesteś w szoku”, powiedział. Okrył mnie kocem, wcisnął mi do ręki szklankę brandy i kazał popijać małymi łyчками, cały czas zapewniając, że wszystko będzie dobrze. Że on tego dopilnuje. I siedziałam, trzęsłam się i popijałam, a jego słowa powoli mnie uspokajały. Frankie też tam była, obok mnie, owinięta drugim kocem, łzy ciekły jej po twarzy. Ale w moich

wspomnieniach tamtej nocy nie ma Frankie. Myślę tylko o Alistairze.

I nagle, nie wiem, jak to się stało, zaczęłam mu opowiadać, o Leonie, że jest kuzynem Jasona, i o poczuciu winy, które nie daje mi się przed nim otworzyć. O tym, jak Leon uderzył Lorcana, i że koniecznie muszę z nim zerwać. Ojciec Frankie usiadł obok mnie i otoczył mnie ramieniem, a ja wylewałam przed nim wszystkie swoje żale jak jakaś pokręcona nastolatka. Och, co to była za ulga. Zrzucić z siebie ten ciężar. Z Leonem nie mogłam być szczerą, ale z Alistairem – tak. Zaczęłam płakać. Wtuliłam twarz w jego koszulę i wdychałam zapach wody kolońskiej, jakiejś drogiej, dorosłej, zmieszany ze świeżym aromatem proszku do prania i wyprasowanego lnu. Zaczął mnie gładzić po włosach, a potem po plecach. Podniosłam głowę, nasze oczy się spotkały i zanim zdążyłam się zorientować, dotknął ustami moich ust i już się całowaliśmy... Na chwilę zapomniałam, kim jestem, kim on jest, pocałunek trwał nieskończoność – nie do wiary, jak on całował. Ale kiedy zaczął dotykać mnie językiem, odsunęłam się, naraz poczułam wstyd. Wpadłam w pułapkę – zadziałała magia chwili i złość na Leona. Nie powinnam była do tego dopuścić. On też był skrępowany, zerwał się z łóżka, wczepił palce w ciemnoblonde włosy i ciągle przeproszał. Powiedziałam, że nic się nie stało, że to moja wina. Wypaliłam, że od dzieciństwa czułam do niego słabość. Przypuszczam, że jako nastolatka w skrytości zawsze fantazjowałam, jak to by było go pocałować. Ale na tym powinno się skończyć – na fantazjach. Wymógł na mnie obietnicę, że nigdy nikomu nie powiem. Kolejna obietnica. Kolejny sekret. Kolejny powód do poczucia winy.

Ale obietnicę złożyłam.

Zdradziłam swoją najlepszą koleżankę i mojego chłopaka. Jak teraz spojrzę w oczy Frankie, jej mamie lub Leonowi, skoro zrobiłam to, co zrobiłam?

Brzęczenie domofonu roznosi się echem po całym mieszkaniu. Daniel, który wciąż stoi przy oknie, przysuwa się do szyby, by zobaczyć kto to.

– To ona, przyszła tu. – Odwraca się i widzę na jego twarzy przestach, ale i podniecenie. Jego srebrzyste oczy błyszczą. – Ciekaw jestem, co sobie przypomniała.

Za nic w świecie nie chcę być świadkiem chwili, kiedy jego nadzieja zmieni się w rozczarowanie. Lubię patrzeć na Daniela, kiedy się tak zachowuje – tak samo jak dawniej, za twoich czasów. Kiedy tryska optymizmem, choćby nawet nieuzasadnionym. Zawsze żywił przekonanie, że życie ułoży się po jego myśli, mimo że zawałił egzamin gimnazjalny i nie miał pracy. Niezły start. Nie chcę, żeby znowu zmienił się w milczącego, ponurego Daniela.

Chwytam nieśmiertelniki i kopertę i znikam w sypialni. Nie mam pojęcia, czemu to robię, ale chowam wszystko pod narzutą. Jeżeli to Helen podrzuciła mi listy – a jest osobą, którą podejrzewałabym o tego typu zagrania – to nie chcę, żeby wiedziała, że mnie wystraszyła. Może zdradziłaś jej nasz sekret? Skąd mam wiedzieć? Wygląda na to, że wcale nie znałam cię aż tak dobrze, jak mi się wydawało.

Podchodzę do domofonu i wpuszczam gościa. Otwieram drzwi i czekam w progu, a Daniel czai się w korytarzu. Mam wrażenie, że wchodzenie Helen po schodach trwa wieki. W końcu ukazuje się na piętrze, lekko zdyszana, z potem nad górną wargą. Jej brązowe włosy do ramion napuszyły się od wilgoci. Ma na sobie niemodną długą spódnicę i wysokie buty, a do tego brązowy wełniany płaszcz, w którym jej nie do twarzy. Jej największym atutem zawsze były oczy koloru melasy.

– Cześć, Frankie – odzywa się obojętnym tonem.

Nie pytam, skąd wie, gdzie się zatrzymałam. Pewnie całe miasto już wie. Czuję się bezbronna i wyeksponowana. Stanowię łatwy cel.

– Witaj, Helen – odpowiadam takim samym tonem. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Wpuścisz mnie?

Otwieram szerzej drzwi i przesuwam się na bok, żeby ją przepuścić. Idąc korytarzem, cicho gwizdże.

– Niezły wypas, co? Ale dla lady Frankie wszystko musi być najlepsze.

Od razu się jeżę. Do tej pory tylko twój brat mnie tak nazywał. Od kiedy to Helen podchwyciła jego styl? Czyżby Daniel z nią o mnie rozmawiał? Już mam na końcu języka, żeby jej kazać się ode mnie odpieprzyć. Wiem, że byłyście zaprzyjaźnione, i zdaję sobie sprawę, że uważałaś ją za sensowną osobę i że została

przy tobie, podczas gdy mnie zmuszono do wyjazdu do tej nadętej szkoły z internatem, której – nawiasem mówiąc – nienawidziłam, ale według mnie zawsze miała w sobie coś z zołzy. Ty tego nie widziałaś. A może nie chciałaś widzieć.

– Daniel! – mówi Helen, dostrzegając go przez moje ramię. – Ciężko cię ostatnio złapać. Byłam już u ciebie w biurze i w domu.

– Serio? A ja myślałam, że dokładnie wiesz, gdzie się podziewamy. – Uśmiecham się, jak najśłodziej potrafię, ale ona ściąga brwi.

– O czym ty gadasz?

– Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

– Stan mi powiedział.

– Stan?

Zawsze twierdziłaś, że Stan to zboczeniec, który cały czas gapi się na ciebie znad patelni, a oczy ma równie zimne i blade jak dorsz, którego podaje.

– Uhm.

– A jemu kto?

– Leon.

Czy wspominałam Leonowi, że tu mieszkam? Chyba nie, ale może Daniel to zrobił. W sumie to bez znaczenia. Anonimy może podrzucać ktokolwiek, każde z nich. Będę musiała jeszcze raz wybrać się do Leona. Ale w tajemnicy przed Danielem. Akurat to muszę załatwić sama.

Helen wchodzi do salonu, wykrzykując słowa zachwytu nad jego wystrojem, podłogami na wysoki połysk, rzuconymi tu i tam poduchami, prawdziwym piecykiem i oczywiście rozległą panoramą morza.

– Założę się, że pobyt tutaj kosztuje majątek – mówi, podchodząc do okna w wykuszu. – Co za widok!

– Nie tak dużo. Jest poza sezonem i Daniel załatwił mi specjalną cenę. – Wolałabym, żeby od razu przeszła do rzeczy.

Odwraca się twarzą do mnie i wzdryga się, jakby przeszedł ją nagły dreszcz.

– Ale strasznie tu chłodno, prawda? Mimo że pali się w tej kociole.

W apartamencie stale panuje ziąb. Zwróciłam na to uwagę. Czy to dlatego, że z nami jesteś, Soph?

Jakby w odpowiedzi na moje myśli nagle wygasa ogień.

– Bo zaraz zacznę się bać! – mówi Helen, spoglądając na popiół. – Wygasło dosłownie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Zaraz rozpalę – mówi Daniel i podchodzi do piecyka.

Obie patrzymy, jak przykuca, a potem majstruje przy drewnie i rozpalce, lecz mimo najlepszych chęci nie udaje mu się na nowo wskrzesić ognia.

Wstaje i bezradnie wzrusza ramionami.

– Zostawmy to na razie. Helen, proszę, siadaj.

Proponuję herbatę. Kiedy wracam z trzema kubkami, z których zwisają

sznureczki z etykietkami herbaty PG Tips (twojej ulubionej, pewnie dlatego Daniel ją wybrał), twój brat i Helen siedzą już obok siebie na kanapie. Stawiam tacę na stoliku, proponuję cukier i mleko. Biorę swój kubek i sadwię się w szarym aksamitnym fotelu przy oknie. Czuję przeciąg – drewniane, przesuwne w pionie okna nie wytrzymują naporu aż takiej wichury. Obejmuję kubek palcami, by rozgrzewał mi zziębnięte dłonie. Naprawdę mam nadzieję, że Danielowi uda się na nowo rozpalić w piecu. Kaloryfery są niby gorące, ale to nic nie daje. Wiatr wyje w kominie.

– Helen, to jaki jest cel twojej wizyty? – pytam prosto z mostu, kiedy wychodzi na jaw, że Daniel raczej tego nie robi.

– Och, więc wyobraź sobie, że coś sobie nagle przypomniałam. Było tak. Przechodziłam obok redakcji, Dan. Wiem, jak ciężko pracujesz, więc pomyślałam, że pewnie tam będziesz, mimo że jest weekend, ale nikt nie otwierał. Więc poszłam do ciebie do domu. Była Mia. Piękna dziewczyna, po prostu śliczna. – Helen posyła mi triumfalne spojrzenie. – No, w każdym razie od niej się dowiedziałam, że jesteś w pracy. Kiedy wyprowadziłam ją z błędu, najpierw wyglądała na trochę zdziwioną, a potem stwierdziła, że w takim razie pewnie jesteś u Frankie. Więc przyszedłam tutaj. Strasznie daleko, Dan. – Śmieje się lekko. – Żałuję, że nie mam prawa jazdy.

Daniel wierci się na kanapie. Sprawia wrażenie skrepowanego. Wie, że w domu czekają go kłopoty. Przyglądam mu się znad krawędzi kubka. Twój brat zawsze był bardzo uczciwy. Może zmienił się bardziej, niż mi się wydaje.

Zaciskam palce na kubku i przenoszę wzrok z Daniela na Helen.

– No to co sobie przypomniałaś? – pytam spokojnym, zrównoważonym tonem, choć naprawdę chce mi się krzyknąć: „Przejdź już, kurwa, do sedna!”.

Helen wydyma wargi, jakby czytała mi w myślach, a potem z głośnym siorbnięciem upija herbatę. Czekam. Nie chcę się pierwsza odezwać. W końcu mówi:

– Parę tygodni przed tym, zanim zginęła...

– Zginęła – poprawia ją Daniel.

– Tak, tak, zanim zginęła, hm, Sophie poprosiła mnie o pomoc.

– O jaką pomoc? – pytam. Trudno mi uwierzyć, że poprosiłabyś o pomoc ją, a nie mnie. Czy ona przypadkiem nie udaje, że wie więcej niż w rzeczywistości, tylko po to, żeby poczuć się ważna? Skupić na sobie uwagę i dodać trochę dramatyzmu?

Helen odchrząkuje.

– Potrzebowała pieniędzy. Była bardzo szczęśliwa, że udało jej się dostać tę pracę w wydawnictwie. Pamiętasz? Miała zostać asystentką redaktora czy coś takiego. No, w każdym razie chciała wyjechać z Oldcliffe na parę tygodni przed rozpoczęciem pracy, ale nie miała forsy.

Daniel ściąga brwi.

– No dobra, i co?

– Jest coś jeszcze. Mówiła, że ktoś jej strasznie zatruwa życie. Jakiś facet. I że dlatego musi wyjechać. Miałam wrażenie, że jest nieźle przerażona.

– Zapytałaś kto to? – chce wiedzieć Daniel.

– Jasne. Ale mi nie powiedziała. Zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie jej ojciec. – Spuszcza głowę, jakby się trochę wstydziła. – Sophie mi o nim opowiadała. Przykro mi, Dan. Mówiła, że był prawdziwym dupkiem.

Jestem wstrząśnięta, że rozmawiałaś o tym z Helen. Myślałam, że tylko mnie się zwierzałaś, i to też nieczęsto, zaledwie parę razy. Nie wiedziałam nawet, jak twój ojciec ma na imię.

– O ile mi wiadomo, nie odzywał się do nas, od kiedy uciekliśmy... – Daniel zwraca się do mnie. – Tobie też o tym wspominała?

Żałośnie potrząsam głową. Nie, do mnie z tym nie przyszłaś. Wybrałaś Helen.

– Kiedy to było? – pytam.

– Powiedziałabym, że jakoś pod koniec sierpnia. Może z tydzień przed tym, jak zniknęła – Helen rzuca szybkie spojrzenie Danielowi – zginęła.

Pochyla się i odstawia kubek. Potem grzebie w stojącej na podłodze torbie, wyciąga z niej kawałek różowego papieru toaletowego i głośno wydymuchuje w niego nos.

– Czuję się paskudnie, że nigdy nic nie powiedziałam. Człowiek po prostu wyłącza myślenie, prawda? Zapomina, że to mogło coś znaczyć. Przez jakiś czas sądziłam nawet, że chodzi o Lorcana. On by pasował do takiego opisu. Nawet dziś. Różne rzeczy się o nim słyszy. Plotki w naszym pubie są na porządku dziennym.

Wyobrażam sobie.

Ociera oczy, ale wiem, że są suche.

– Często się zastanawiałam, czy... – Spogląda na Daniela, jakby nie wiedziała, czy mówić dalej.

– Mów.

– Czy... czy ona może nie popełniła samobójstwa.

– Ona? Nigdy by tego nie zrobiła. – Daniel wstaje. Udziela mi się jego niepokój. – Nie zostawiła żadnego listu, w ogóle nic, tylko ten but wciśnięty między przegniłe deski. – Kręci głową. – Ten cholerny gliniarz podejrzewał to samo, ale mnie się to nie mieści w głowie. Po prostu nie...

– A może wypadła? But jej utknał i wpadła do morza?

Czuję, że Daniel cały się jeży. Choć stara się to ukryć, jest poirytowany, krąży w tę i z powrotem po pokoju. Drżę i szczerzej okrywam się płaszczem. Daniel, chodząc, powoduje dodatkowy przeciąg, a i tak jest strasznie zimno.

– Nie poszłaby sama na moło w środku nocy – mówi. – Sądzę, tak samo jak

Frankie, że z kimś się umówiła.

Helen pociąga nosem.

– Nie no, na pewno masz rację. Chciałabym tylko jakoś pomóc. – Odwraca się do mnie. Na jej twarzy maluje się przekora. – Sophie zawsze była dla mnie miła. Cudowna koleżanka.

Wyczuwam w tym szpilkę. Czyżby dawała mi do zrozumienia, że ja nie byłam dla ciebie dobrą koleżanką?

Czyżby wiedziała więcej, niż mówi?



Niedziela, 27 lipca 1997

Dzwonił Leon. Chce się spotkać, ale się wykręciłam. Tak mnie gnębi sprawa Alistaira, że nie jestem w stanie spojrzeć Leonowi w oczy.

Choć mówię to z wielką niechęcią, muszę przyznać, że Frankie miała rację. Co do wszystkiego, lecz głównie co do Leona. Powinam była jej posłuchać. Z nas dwóch to ona ma lepsze wyczucie. Zawsze wiedziała, o co chodzi w życiu, jak zachowują się ludzie, jak działa świat. Jeszcze w szkole prowadziła mnie przez labirynt zawitych relacji rówieśniczych, dzięki czemu, mimo że byłam nieobyta i ciapowata, nikt mi nigdy nie dokuczał. Dlaczego? Bo byłam najlepszą koleżanką popularnej Franceski Howe.

Pamiętam, jak pierwszego dnia w szkole – czyli zaledwie kilka dni po tym, jak mama zapakowała mnie, Daniela i nasz skromny dobytek do starego forda kombi i wywiozła na drugi koniec kraju – stałam przed całą klasą, gapiło się na mnie dwadzieścia osiem obojętnych par oczu, a wśród nich ona, niczym dorodny pąsowy mak na wielkim polu chwastów. Kiedy nauczycielka spytała, kto się mną zaopiekuje, ze zdumieniem stwierdziłam, że podniosła rękę. Nie mogłam w to uwierzyć: ta piękność o zielonych kocich oczach chciała się ze mną kolegować? No to przyssałam się do niej jak pijawka. Tak też zaczęli mnie przezywać chłopcy: nie okularnica, nie tyka, nie płaska deska (a daję słowo, przez lata musiałam znosić wszystkie te wyzwiska), tylko właśnie pijawka. Bo zawsze byłam przyklejona do Frankie.

Z czasem, w miarę jak dorastałyśmy, zaczęłam dostrzegać, że niektóre dzieciaki się od niej odwracają, twierdząc, że jest snobką i się wywyższa. Ale ja się z tym nie zgadzałam. Bo Frankie pod płaszczykiem światowości i luksusu skrywała zwykłą, niepewną siebie nastolatkę. Pragnęła jednego – być lubiana.

Ochroniała mnie. I tylko to zawsze starała się robić. Fakt, czasem czułam, że mnie to jakoś krępuje, ogranicza, że nie mogę głębiej odetchnąć, dopóki mi nie pozwoli. A potem, po dziesięciu latach przyjaźni, nagle wyjechała, a ja musiałam stanąć na własnych nogach. Rany, jak ja to wszystko strasznie schrzaniłam!

Nie mam pojęcia, jak dalej żyć.

Obserwuję z okna, jak Helen wsiada do samochodu Daniela. Myślę, że staro wygląda, dobrych dziesięć lat starzej, niż ma w rzeczywistości, choć ta pogardliwa mina nie zmieniła się od czasów młodości. Daniel zaproponował, że ją podrzuci, choć Helen mieszka nad pubem Pod Mewą, a to tylko dziesięć minut spacerem. Nie pada już ani deszcz, ani śnieg z deszczem, lecz chmury ciągle wiszą nisko i w każdej chwili może znowu zacząć. Nie mogę się powstrzymać od rzutu oka na molo, ale prócz plastikowej reklamówki szarpanej wiatrem nic tam nie ma.

Odrywam wzrok od morza i widzę, jak Daniel wycofuje. Koła jego samochodu wygarniają żwir z podjazdu, a mnie przeszywa nagły strach, że tam, w aucie, toczy się rozmowa o mnie. Dlaczego w towarzystwie Helen za każdym razem czuję się tak nieswojo? O co chodzi? Może o to, że mój urok nigdy na nią nie działał, zawsze była na niego odporna. Albo o to, że za czasów szkolnych – niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, na jakie cięte riposty i dowcipne uwagi się zdobywałam – ona i tak chłodno i obojętnie świdrowała mnie tymi swoimi niezwykłymi oczami. Jakby wiedziała, że jestem tylko oszustem, że w środku nie ma potwierdzenia dla tego, co na wierzchu. Nigdy nie zmieniła do mnie nastawienia. Mimo moich wysiłków lubiła tylko ciebie. Podejrzywałam, że to dlatego, że byłam ładna i miałam zamożnych rodziców, a ty wyglądałaś przeciętnie, tak samo jak ona. Choć ta teoria legła w gruzach, gdy wróciłaś ze studiów, zmieniona w pięknego łabędzia. A Helen mimo to chciała się z tobą przyjaźnić.

Wzdrygam się na widok postaci przyczajonej za moim samochodem. Mrużę oczy i przysuwam twarz do szyby. To ta kobieta z mieszkania piętro niżej. Co ona robi? Zdaje się, że grzebie w śmieciach. Przyglądam się, jak wyciąga z kosza gazetę i kopertę, a może to tylko kawałek papieru, jedno i drugie mokre i pogniecione. Wsuwa je sobie pod płaszcz i wraca do domu.

Odwracam się od okna. Mam gdzieś Helen i tę babę z dołu. Muszę porozmawiać z jedną osobą – z Leonem. Bo myślę, że zdradziłaś mu naszą tajemnicę. Nie winię cię za to. Wiem, że nic nie mogłaś na to poradzić. Dlatego naciskałam, żebyś z nim zerwała. Hm, niedokładnie. Były też inne powody. Ale ty nie chciałaś. Zakochałaś się w nim tak samo jak ja. Zawsze gustowałyśmy w podobnych facetach.

Krażę po osiedlu jak chłopak, który chce wyrwać dziewczynę i łazi z nadzieją, że może jakąś spotka. Jeżeli Lorcan jest na dworze, to modlę się, żeby nie rozpoznał mojego samochodu. Ale podjazd przed jego domem jest pusty, a stare zardzewiałe renault stoi, jak stało, na ceglach. W okna nie da się zajrzeć, bo płot jest za wysoki. Mam tylko widok na białą drewnianą elewację i dwa

prostokątne okna na górze. Przypominają oczy patrzące na mnie zza okularów. Jedno musi chyba należeć do pokoju, a drugie – do łazienki, sądząc po matowej szybie. Czy właśnie w tym pokoju zatrzymał się Leon? Mrużę oczy, by dojrzeć zasłonki. Czyżby różowe?

Wyłączam silnik i czekam. Na szczęście deszcz zmył z maski większość śladów po jajkach, choć resztki jeszcze się trzymają.

Zastanawiam się, czy warto zaryzykować i narażając się na gniew Lorcana, zastukać w tylne, kuchenne drzwi. Muszę się spotkać z Leonem. Dowiedzieć się, czy to on podrzuca mi te listy. Jeżeli tak jest i chce mnie wystraszyć, to może sobie pogratulować. Udało mu się.

Po chwili do nagrzonej kabiny zaczyna wnikać chłód. Nie wiem, jak długo tu wytrzymam. Leon równie dobrze może się wcale nie pojawić. A w ogóle to po co miałby wychodzić na dwór w szare, lodowate niedzielne popołudnie? Na pewno siedzi przed telewizorem.

Kończy mi się cierpliwość i wysiadam z samochodu. Wóz albo przewóz. Pcham furtkę i idę przez ogródek do kuchennych drzwi. Mimo brawury serce łomocze mi pod czerwonym płaszczem, ciąsniej opatulam się szalem. Jakbym intuicyjnie chciała zasłonić się przed tym, co mnie zaraz spotka. Zgodnie z tym, czego się obawiałam, drzwi otwiera Lorcan.

– Czego chcesz? – warczy. Jego ogromna sylwetka wypełnia całą framugę, zasłania widok na kuchnię.

– Na pewno nie kłopotów – mówię pojednawczo. – Jest Leon?

– Jeżeli chodzi ci o Sophie Collier, to nie, nie ma go – odpowiada niechętnie.

– Mam tego dość. – Dla podkreślenia swoich słów, niewyraźnych i śmierzących przetrawionym alkoholem, poprawia sobie szelki drelichowych spodni.

– Nie chodzi – kłamię. – Daj spokój, Lorcan. Znamy się nie od dziś. Chcę z nim tylko pogadać. Jestem sama. Bez Daniela. – Staram się, by zabrzmiało to zachęcająco, ale bez podtekstów.

Posyła mi jedno ze swoich lubieżnych mrugnięć.

– Aha, rozumiem. – Poklepuje się po wydatnym brzuchu. – W takim razie wchodzi. – Odsuwa się, by mnie przepuścić, a ja niepewnie wchodzę do kuchni. – Steph? Leon? – drze się. Zapach z jego ust omal nie zwała mnie z nóg. Odsuwam się od niego jak najdalej, krawędź kuchennego blatu wbija mi się w plecy.

Do kuchni wchodzi Steph. W każdym razie tak zakładam, bo z całą pewnością nie jest to dziewczyna o kręconych włosach i zaciętej twarzy, którą pamiętam z dawnych lat. Osoba stojąca przede mną jest tak gruba, że nie do poznania. Ma niezadbane, poprzetykane siwizną włosy i nieumalowaną twarz.

Steph chodziła do klasy wyżej i zawsze spoglądała na mnie z pogardą, dosłownie jak na śmierzące gówno. Należała do dziewczyn, które nie znoszą konkurencji.

Teraz jednak ciepło się do mnie uśmiecha.

– Frankie, cześć, co u ciebie? Kopę lat.

Odpowiadam jej niepewnym uśmiechem. Zastanawiam się, czy to ma być jakiś żart. Udaje miłą, by dać mi złudne poczucie bezpieczeństwa, a po chwili – kopa w dupę? Nagle przypominam sobie, że już dawno nie jesteśmy nastolatkami, tylko kobietami dobiegającymi wieku średniego. Ona ma dorosłe dzieci. Wszystko się zmieniło.

– Zostawiam cię w dobrych rękach. – Lorcan szczyrzy do mnie zębami. – A sam wybywam do pubu.

Steph go ignoruje. Włącza czajnik. Przyglądam jej się z ciekawością. Czy ze wszystkimi kobietami, które zostają w Oldcliffe, dzieje się to samo? Wychodzą za mąż, tyją i przestają farbować włosy? W głębi duszy wiem, że jestem niesprawiedliwa. Kiedyś Steph prezentowała się fantastycznie, mimo tanich ciuchów, za to teraz wygląda na dużo szczęśliwszą. Zniknęły ta wiecznie ściągnięta brew i cięte odzywki. A tusza dodała jej łagodności. Ciekawe, czy przemyka oko na romanse Lorcana, czy po prostu już się nie przejmuje.

Odwraca się do mnie i wręcza mi kubek z herbatą. Proponuje cukier, ale dziękuję.

– Chodź, usiądziemy – mówi.

Idę za nią do salonu i przysiadam na skraju kanapy.

– Leon! – woła. – Frankie do ciebie przyszła!

Nie wyobrażam sobie, jak musi wpływać na Leona pobyt tutaj, w tym domu, po tylu latach. Chyba przytłaczająco. I deprymująco. A poza tym ciekawe, co się z nim przez ten czas działo. Gdzie pracuje.

– Co u ciebie? – pyta Steph, ściskając palcami swój kubek.

– Wszystko w porządku, dzięki.

– Słyszałam o twoim tacie...

Już sobie wyobrażam, jak wszyscy o tym plotkują.

– To musiał być dla was okropny szok. A mama, jak się trzyma?

– Ciężko jej.

– Jasne.

– A u was co? – pytam, żeby zmienić temat.

Nie chcę rozmawiać o tacie. Nie czułby się dobrze, będąc tematem plotek. Zniknęliśmy stąd wieki temu, ale wspomnienia szybko nie umierają. Mój tato był tu nie tylko zwyczajnym miejscowym biznesmenem, ale też zasiadał w radzie miasta i „maczał palce w rozmaitych sprawach”, jak często powtarzał. „Idę pogadać z jednym panem o jego psa”, mówił, kiedy byłam małą, poklepywał się po nosie i śmiesznie mrugał. Za pierwszym razem, kiedy tak powiedział – a mogłam wtedy mieć z sześć lat – całe popołudnie siedziałam przyklejona do szyby i czekałam na jego powrót, przekonana, że naprawdę przyprowadzi do domu

szczeniaka. Kiedy dorosłam, zrozumiałam, że było to tylko powiedzonko, które oznaczało, że ma coś do załatwienia. W całym Oldcliffe nie było chyba osoby, która by nie wiedziała, kim jest Alistair Howe.

Steph się śmieje.

– Oj, na nadmiar czasu nie narzekam przy piątce dzieci. Nasza Caitlin właśnie urodziła, więc jestem babcią, wyobrażasz sobie? Czterdzieści jeden lat, i proszę. Babcia.

Uśmiecham się uprzejmie, pytam o Caitlin i jej dziecko. Steph z kolei, jak się spodziewałam, pyta mnie o to samo, a ja odpowiadam jak zawsze – że nie, niestety nigdy mi się nie udało zostać mamą.

Kątem oka widzę cię i odwracam głowę. W progu stoi Leon.

– O, Frankie, ty znowu tutaj?

– Ja... yhm – odkasłuję. Nagle robi mi się nieswojo. Może to był błąd, przychodzić do nich. – No tak. Zastanawiałam się, czy miałbyś ochotę na drinka.

Jest zdziwiony. Spogląda na zegarek.

– Jest dopiero druga.

– No to może na lunch? Padam z głodu.

– Może ci coś szybko przygotować? – proponuje Steph i zrywa się z kanapy.

Leon lekceważąco macha ręką.

– Daj spokój, masz dość na głowie, Steph. Pójdziemy. Mamy sporo do pogadania, co, Frankie?

Rzuca to lekko, unosząc przy tym jedną brew, ale ja słyszę podtekst, którego z pewnością nie zauważyła Steph. Bierze mnie pod rękę i wyprowadza z pokoju.

– Zaczekaj tu – nakazuje.

Stoję niezdarne w wąskim holu, podczas gdy on ściąga z poręczy schodów kurtkę przeciwdeszczową. Narzuca ją na plecy, wsuwa ręce w rękawy i ruchem głowy nakazuje mi iść za sobą. Potem praktycznie siłą wypycha mnie za drzwi.

– Au, nie tak mocno – protestuję, gdy prowadzi mnie przez furtkę. – Nie musisz mnie tak szarpać.

– Co tu robisz? – pyta ostrym tonem.

– Chciałam się z tobą spotkać.

– Widzieliśmy się wczoraj. Po co znowu przyszłaś? – Jego niebieskie oczy patrzą bezwzględny, lodowatym spojrzeniem.

– To ważna sprawa. Ale tu ci nie powiem. Możemy gdzieś usiąść?

W pierwszej chwili spodziewam się, że odeśle mnie do diabła. Wstrzymuję oddech, a gdy Leon z rezygnacją kiwa głową, wypuszczam powietrze z ulgą. Kieruję pilota w stronę samochodu, naciskam guzik, Leon otwiera drzwiczki pasażera i wsuwa się na beżowy skórzany fotel. Po drodze do centrum próbuję na niego ukradkiem nie popatrywać.

Parkuję naprzeciwko głównego mołu i błotnistej plaży. Jest odpływ, ale tu

i tam na ciemnym piachu skrzą się małe jeziora. W tym momencie chmury nagle postanawiają eksplodować i zaczyna się ulewa. Deszcz bębni w przednią szybę i karoserię, zamazuje nam widok. Atmosfera w samochodzie robi się ciężka, nieprzyjemna. Gaszę silnik.

– O co w tym wszystkim chodzi, Frankie? Nie mam siły ani ochoty w nic z tobą pogrywać. – Odwraca do mnie głowę, ma zmarszczone czoło.

Nie lubi mnie, to przynajmniej pewne, Soph. Rozpoznaję to po napięciu jego ramion, nieruchomym, niechętnym spojrzeniu i grymasie niezadowolenia, którego wcale nie próbuje ukryć. Wczoraj zachowywał się wobec mnie przyzwoicie. Pewnie musiał. Ale dziś pozory życzliwości zdecydowanie znikły.

Nie wybaczył mi.

– Frankie? – Jego niecierpliwy ton przywołuje mnie do rzeczywistości.

– Przepraszam. – Zmieniam pozycję. Otwieram usta, żeby się odezwać, ale żadne słowa nie przychodzi mi do głowy. Co powiedzieć?

– Czy to ty przysyłasz mi anonimy i próbujesz mnie wystraszyć? – Naprawdę nie da się tego inaczej ująć.

Jest wyraźnie zbity z tropu.

– O czym ty gadasz?

W skrócie wyjaśniam, o co chodzi.

– A po co miałbym to robić?

– Nie wiem – kłamię. Nie mogę mu powiedzieć o Jasonie, jeżeli nie wie. Jeżeli ty mu nie powiedziałaś.

Leon ściga brwi. Ma ciemne wory pod oczami i zmarszczki.

– Co się dzieje, Frankie? Chcesz mi coś powiedzieć?

Czuję, że oblewam się rumieńcem.

– Nie, no jasne, że nie.

Deszcz przestaje padać równie gwałtownie, jak zaczął.

Zapada między nami niezręczne milczenie. Jak mogłam sądzić, że jestem w tym człowieku zakochana? Byłam wtedy taka próżna, taka naiwna. Przez lata sądziłam, że mnie odrzucił. Od tamtego czasu w moim tak zwanym luksusowym życiu zdarzyły się, rzecz jasna, znacznie gorsze rzeczy. Na przykład rozpad małżeństwa, odkrycie, że nie mogę zajść w ciążę, odnalezienie twoich szczątków.

– Niedługo będę się stąd wynosił – mówi Leon, sięgając do klamki. – Mam nowy kontrakt. Tym razem w Dubaju.

– Świetnie – odpowiadam.

Mruży oczy, jakby wątpił, że mówię szczerze.

– Nie mam pojęcia, kto ci podrzuca te listy i mąci w głowie, Frankie. Może to ma coś wspólnego z twoim tatą.

– To nie ma nic wspólnego z moim tatą.

Uśmiecha się, ale nie oczami. W tej chwili dostrzegam w nim to samo

okrucieństwo, które ma w sobie Lorcan. Co ja mogłam w nim widzieć? A ty?

– Czytałem o nim. W gazecie. Miły człowiek.

– Owszem, miły. – Jestem na granicy płaczu. – Ale to wszystko nieprawda.

Wszystko.

Wzrusza ramionami.

– Ja tam nie wiem.

Nagle ogarnia mnie przemożna chęć, by go uderzyć. Zaciskam pięści.

– Wynoś się – mówię.

– Z przyjemnością. – Otwiera drzwiczki, ale nie wysiada. Zamiast tego gapi się na mnie i perfidnie wykrzywia usta. – Nie mogłaś znieść tego, że ją kochałem, prawda?

– To nie była miłość – wypalam. – Prawie jej nie znałeś. To było tylko ślepe zauroczenie, nic więcej.

Leon smutno kręci głową.

– Żal mi ciebie. Prawie czterdzieści lat, a wciąż nieszczęśliwa. Zawsze pragnęłaś tylko tego, czego akurat nie mogłaś mieć.

– Nieprawda. – Ale myślę o Danielu, o jego dawnym oddaniu. Wtedy mogłam go mieć. I teraz chcę go mieć, ale nie mogę. Jest za późno.

Leon uśmiecha się szyderczo.

– Wierz sobie, w co tam chcesz, Frankie. Zawsze taka byłaś.

Trzaska za sobą drzwiczkami. Patrzę, jak kuląc się pod uderzeniami wiatru, oddala się deptakiem. A potem opieram głowę na kierownicy i zaczynam płakać.

Niedziela, 3 sierpnia 1997

Nie mogę spać. Dopiero szósta, ale muszę to napisać, może dzięki temu zrozumieć, co się dzieje w mojej pokręconej głowie.

Leon przyszedł do mnie we wtorek wieczorem, zmartwiony, że się na niego gniewam. Unikałam go w obawie, że pocałunek z ojcem Frankie będę miała wymalowany na twarzy. Za każdym razem, kiedy wspominam to zdarzenie (a prawie nie robię niczego innego, mam tę scenę stale przed oczami), tonę w wyrzutach sumienia i zbiera mi się na mdłości. Od dnia, kiedy to się stało, nie widziałam się z Leonem, ale zdawałam sobie sprawę, że nasze spotkanie jest nieuniknione, nie da się go wiecznie odraczać.

Zjawił się koło siódmej i poszliśmy razem do miasta. Oboje milczeliśmy, atmosfera była drętwa, napięta. Trzymał mnie za rękę, chyba bardziej z obowiązku niż z potrzeby serca. Miałam ochotę ją zabrać, ale to byłoby niegrzeczne. Słońce wciąż paliło i ludzie smażyli się na plaży, wyciskając z tubek resztki kremu z filtrem. Puby pękały w szwach, co chwila ktoś wychodził na dwór z kuflem piwa i papierosem. Diabelski młyn się kręcił, światełka migały, dzieciaki wrzeszczały z uciechy na zjeżdżalni, a później na pewno żałowały tej zabawy, bo na łokciach i nogach robiły im się bolesne poparzenia.

Doszedłszy do wejścia na miejskie molo, zatrzymaliśmy się niepewnie przy stoisku z lodami. Dokładnie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mnie, stał cukierkowo różowy hotel Frankie. Wyobraziłam sobie Alistaira. Ciekawe, co robi. Czy o mnie myśli? Wspomina ten pocałunek? Żałuje go tak samo jak ja?

Miałam taki mętlik w głowie, że omal wszystkiego z siebie nie wyrzuciłam. Tu i teraz, przed Leonem.

Tamtego feralnego dnia przez resztę zmiany udawało mi się unikać ojca Frankie. Wpadliśmy na siebie raz, na półpiętrze. Ja dźwigałam kosz brudnych ręczników, on szedł z filiżanką kawy. Próbowaliśmy się wyminąć, oboje w tym samym momencie zrobiliśmy krok w bok, jakbyśmy tańczyli jakiś taniec ludowy, i powiedzieliśmy „przepraszam”. Ogólnie żenada. Normalnie, w innych okolicznościach, pewnie bym tylko parsknęła śmiechem, ale wtedy nie pozwoliło mi na to skrępowanie. Uciekłam co sił w nogach.

Od tamtej pory go nie widziałam. Frankie mówiła, że wyjechał odwiedzić swojego ojca, może to prawda, ale z całą pewnością mnie unikał.

– Wciąż się na mnie gniewasz? – przerwał mi rozmyślenia Leon. Oparł się o murek dzielący deptak od plaży, miał poważną, a nawet zmartwioną minę. – Od soboty nie chcesz mnie widzieć.



– Nie, nie o to chodzi.

Złapał mnie za rękę.

– Przepraszam. Zareagowałem za ostro. Przeprosiłem Lorcana, a on mnie. Przyznał, że zachował się jak dupek i że sobie zasłużył.

– Nikt nie zasługuje na to, żeby mu złamać nos, Leon.

Słyszałam – oczywiście od Frankie – że Lorcan musiał jechać do szpitala na rentgen.

– W dzieciństwie dwa razy miał złamany, tak często wdawał się w bójki. Więc tym razem niewiele mu było trzeba.

– A, więc w takim razie nic się nie stało?

– Nie no, stało się. Czuję się okropnie. Naprawdę cię przepraszam. Po prostu chciałem cię obronić. Wkurzyłem się, że się do ciebie dobierał. Nie zniósłbym tego, w niczym wykonaniu.

Kiedy objął mnie w pasie, przyszło mi do głowy pytanie, czy któregoś dnia i ja stanę się celem jego pięści. Czytałam kiedyś, że dzieci agresywnych ojców znajdują sobie agresywnych partnerów, choć mój tata nigdy nie podniósł na mnie ręki. Może by do tego doszło, gdybyśmy dalej razem mieszkali. Leon wydaje się taki łagodny, miły i czuły, taki... miękki. To pewnie typowe. Na początku wszyscy są uroczy i oddani. Natarczywi. Władczy.

– Mój ojciec był wstrętny, lubił bić mamę – wypaliłam. Prawie nikomu tego przedtem nie mówiłam.

Leon zrobił wielkie oczy. Dopiero teraz zrozumiał.

– A niech to szlag. Dlatego tak zareagowałaś?

Odsunęłam się od niego.

– Nie. Po prostu to, co zrobiłeś, było złe.

Zwiesił głowę, a brązowe loki osunęły mu się na czoło i przysłoniły oczy.

– Wiem. Przepraszam.

Podszedł do mnie i delikatnie oparł mi ręce na biodrach.

– Nie chcę się z tobą kłócić. Od dawna przy nikim tak się nie czułem.

– Nawet przy Frankie? – Wcale nie miałam zamiaru zadawać tego pytania, ale zrobiłam to z nadzieją, że Leon zrozumie, do czego piję. Przygotowałam się na odpowiedź.

– Przy Frankie? Nic mnie z nią nie łączyło. O czym ty gadasz?

Więc mu powiedziałam. Wszystko. To, co mówiła, jak razem tańczyłyśmy tej pierwszej nocy w Piwnicy – że nie dawał jej spokoju i nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie jest zainteresowana jego uwagą. Z każdym moim słowem twarz mu tężała, a gdy skończyłam, dosłownie kipiał złością.

– Naprawdę tak ci powiedziała?

Skinęłam głową.

– Popieprzona kłamczucha! – krzyknął z takim gniewem, że aż się

wzdrygnęłam.

– To nieprawda?

Jego dłonie zsunęły się z moich bioder.

– Było zupełnie na odwrót. To ona za mną łąziła, kokietowała. Ja ją olewałam. Nie dawała mi spokoju. Jak jakaś psycholka.

Czy Frankie naprawdę by tak kłamała? A może to Leon zmyśla?

Zaproponowałam spacer wzdłuż brzegu. Zdjęłam klapki i szłam boso po miękkim, ciepłym piasku, a Leon został w adidasach. Znałam go dopiero od miesiąca, a Frankie – całe życie, ale idąc u jego boku, plecami do słońca, zdałam sobie sprawę, że wolę wierzyć jemu niż jej.

– Wiesz co? Nigdy bym się z tobą nie umówiła, gdybym wiedziała, że się jej podobasz.

– Serio? – Zrobił rozczarowaną minę.

– No, obowiązuje chyba niepisana zasada? Że nie podrywa się chłopaka przyjaciółki?

Leon wzruszył ramionami.

– Może i tak. W takim razie cieszę się, że ci nie powiedziała.

Uśmiechnął się do mnie, jego gniew gdzieś się rozwiął. Usiedliśmy w osłoniętym miejscu, za oślizgłą skałą, mocno pachnącą wodorostami. Trwał zachód słońca – nad horyzontem unosiła się wielka ognista kula. Aż oczy bolały od patrzenia.

Leon wziął mnie za rękę.

– Sophie, kocham cię, mimo że znamy się dopiero półtora miesiąca.

Pomyślałam o czekającej mnie w poniedziałek rozmowie kwalifikacyjnej w londyńskim wydawnictwie Little Leaf Publishing. Jeżeli dostanę tę pracę i wyjadę, to czy nadal będziemy razem? A jeżeli będziemy, to czy da się przeżyć całe życie w kłamstwie, z olbrzymią tajemnicą? Nie wspominając o tym, że już zdążyłam go zdradzić. Już. I to w dodatku z facetem, który mógłby być moim ojcem.

Próbował wciągnąć mnie sobie na kolana, ale stawiałam opór.

– Co się dzieje? Nic do mnie nie czujesz?

Miałam łzy pod powiekami.

– Czuję. To samo co ty.

– W takim razie o co chodzi? Widzę, że coś cię męczy. Możesz mi wszystko powiedzieć, Soph.

Uhm, tylko jak? Przecież go poniosło, kiedy jego brat klepnął mnie po pupie. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby się dowiedział o ojcu Frankie.

Dzieliły nas same kłamstwa i tajemnice.

– Nie jestem pewna, czy chcę się poważnie angażować – powiedziałam wykrętnie. – Jak tylko dostanę pracę, wyjeżdżam stąd. Wiesz o tym.

Pogłaskał mnie po głowie. Na jego twarzy malowała się ulga.

– Nie przejmuj się na zapas. Kto wie, co przyniesie przyszłość. Ja w każdym razie się cieszę, że na razie tu jestem, z tobą.

Pocałował mnie powoli, zmysłowo, tak że wszystkie wątpliwości i obawy odeszły w kąt – tam gdzie powinno być ich miejsce.

Pamiętam, jak myślałam, że Leon jest taki piękny i taki cudowny i że ma niesamowity gust muzyczny. Większość czasu spędzał samotnie w pubie Pod Mewą, przy stoliku w kącie, gryzmołąc wiersze w swoim notesiku. Ręce miał poplamione atramentem, a włosy miękko opadały mu na twarz. Stanowił całkowite przeciwieństwo chłopaków z Oldcliffe, którzy tylko żłopali piwo i uważali, że są fajni, bo lubią Oasis, natomiast o wszystkim, co bardziej awangardowe, z pogardą mówili, że to „dla pedałów”. Kiedy z nim pierwszy raz rozmawiałam, w Piwnicy, miałam wrażenie, że zagląda mi tymi swoimi oczami prosto w duszę. Możesz to uznać za głupie, Soph. Bo Leon zakochał się właśnie w tobie. Tak? Czy to było tylko zauroczenie? No i zawsze wyczuwałam w nim coś niebezpiecznego. Nadal wyczuwam. Może właśnie na tym polega jego urok.

Cała drzę. Mocno ściskam kierownicę, boję się, że zaraz zwymiotuję. Biorę parę głębokich wdechów i patrzę prosto przed siebie, przez przednią szybę, starając się skupić na dalekiej sylwetce wyspy Flat Holm, która majaczy na horyzoncie.

Popełniłam wtedy trochę błędów. Obie popełniłyśmy. Myślałam, że uda mi się od tego uciec, a w Londynie – stać się innym człowiekiem. Lepszym. Londyn to doskonale miejsce, by zaczynać od nowa i stawać się tym, kim wolałoby się być, w przeciwieństwie do tego, kim się naprawdę jest. No bo kto by chciał, żeby wiecznie kojarzono go z siedmiolatkiem, który posikał się w majtki podczas lekcji, czy osiemnastolatkiem, który porzygał się na ulicy? W Oldcliffe, będąc niepełnoletnim, nie dało się po kryjomu niczego wziąć lub się napić. Zawsze ktoś musiał wiedzieć. W miasteczku roiło się od podglądaczy – takich, co sekretnie zerkają przez szparę w zasłonach – więc każdy twój ruch był zauważony i omówiony. Chciałam się od tego uwolnić, Sophie. Chciałam się znaleźć daleko od współczujących twarzy i smutnych spojrzeń, które otaczały mnie po twoim zniknięciu. „O, idzie przyjaciółka Sophie Collier. Nie chciałabym być na jej miejscu”. Ludzie plotkowali, gapili się. I przestałaś być moją starą dobrą Sophie, zamiast tego zostałaś „tą biedną Sophie Collier”. Tragiczną ofiarą. Chciałam zacząć od nowa. Coś w tym złego?

Ale przeszłość nie daje mi spokoju. Ty nie dajesz mi spokoju.

Mam prawie czterdzieści lat. Nie jestem już Frankie Howe. Jestem Francesca Bloom – tak, nadal używam nazwiska po mężu. Odniosłam sukces, sprawuję kontrolę. Mam olśniewające życie. Tak mnie widzą w Londynie i bardzo mi się to podoba. Zrobię wszystko, żeby już tak zostało.

Biorę się w garść. Wysiadam z samochodu i przechodzę na drugą stronę ulicy do Tesco Express, spożywczaka, który pojawił się w miejscu dawnego Safeway. Wiem, że mam czerwone, zapuchnięte oczy, bladą twarz i obrzmiałe

wargi. Wiatr i deszcz poskręcały mi włosy, a dzinsy są już brudne. Unikam kontaktu wzrokowego z personelem rozkładającym towar na półkach i pryszczatą dziewczyną przy kasie. Całe szczęście, że przynajmniej oni mnie nie pamiętają, bo kiedy tu mieszkałam, musieli być jeszcze w pieluchach. Łapię z lady chłodniczej jakiś gotowy posiłek – już prawie czwarta po południu, a ja nawet nie jadłam śniadania. Biorę też dwie butelki wina. Wszystko wkładam do koszyka.

Płacę i lecę z powrotem do samochodu. Plastikowa siatka buja mi się na łokciu, butelki uderzają o biodro. Mam nadzieję, że nikogo nie spotkam, choć ulice są puściusienkie. Mój samochód jako jedyny stoi na parkingu przy deptaku. Wygląda samotnie i przyciąga uwagę – błyszczą czarną karoserią i nowymi tablicami. Wślizguję się za kierownicę i zatrzaskuję drzwi. Odgradzam się od miasta i od razu mi lepiej, w ciasnej, znajomej kabinie czuję się dobrze, bezpiecznie. W miękkim kokonie range rovera nic złego nie może mnie spotkać.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Daniela i nie zrelacjonować mu rozmowy z Leonem. Na pewno by mi współczuł, bo sam nie cierpi Leona, ale prawie natychmiast odrzucam tę myśl. Nie chcę przysparzać mu problemów. Stawać między nim a Mią. I tak już nabroiałam.

Powoli jadę przez miasteczko. Na ulicach pusto. Niebo ciemniejsze, po kolei zapalają się światła w hotelach, pensjonatach i pubach, a mokre ulice, kałuże na jezdni i chodniku wypełnia ciepły pomarańczowy blask. Wielkie miejskie molo też jest oświetlone, i to rzęsiście – w morze wychodzą zielone i żółte świetlne maziaje. Pamiętam, że w dawnych czasach nasze miasto najbardziej podobało mi się nocą – na tle przepastnego ciemnego nieba zawsze wyglądało odświętnie, uroczyście. Odbierałam to jako pozwolenie, a nawet zaproszenie, by wyjść z domu i dobrze się bawić.

Deptakiem idzie grupka ludzi, śmieją się i żartują. Dwóch facetów i dziewczyna. Zmierzają w stronę przejścia dla pieszych, więc zatrzymuję się, by ich przepuścić. Jeden z mężczyzn, bardzo wysoki szatyn o falujących włosach, podnosi rękę, by mi podziękować, ale nawet nie patrzy w moją stronę. Jest za bardzo zajęty gadaniem z tym drugim, prawie równie wysokim jak on. Obaj trzymają za ręce dziewczynę, która idzie między nimi. Serce mi wali. To Daniel. I – Leon?

Dziewczyna, szczupła i młoda – na pewno dużo młodsza ode mnie – jest ładna, ma długie ciemne włosy. Puszczą ich ręce i biegnie naprzód, a potem odwraca się i robi głupie miny. Nawet nie zgaduję, co do siebie mówią, bo czuję się jak we śnie. Albo raczej – w koszmarze. Czy to naprawdę Leon? Jeżeli tak, to co robi w towarzystwie Daniela? Przecież się nienawidzą. Zawsze się nienawidzili. A ta dziewczyna to kto? Mia?

Patrzę, jak wchodzi do baru Pod Mewą. Sprawiają wrażenie superprzyjaciół. Siedzę jak skamieniała, jestem w szoku. Wciąż stoję na przejściu dla pieszych

z rękami kurczowo wczepionymi w kierownicę, choć tamci już dawno zniknęli za drzwiami pubu. W końcu z tyłu nadjeżdża jakiś samochód i zaczyna trąbić. Niechętnie ruszam. Znowu jestem na skraju płaczu. Uświadamiam sobie, że teraz już nikomu nie mogę ufać.

Nawet Danielowi.

Parkuję przed Willą Beauforta. Pali się światło w mieszkaniu na dole, a zasłony są rozsunięte. Widzę żółte ściany i migotanie ekranu telewizora. Powinnam się przygotować na kolejną bezsenną noc, nad ranem dziecko pewnie znowu zacznie wrzeszczeć.

Jestem ociężała ze zmęczenia. Najchętniej wcale bym nie wysiadała, tylko ruszyła prosto na autostradę M4 do Londynu, ale wiem, że tego nie zrobię. Nie mogę wyjechać. Jeszcze nie teraz. Za dużo tu niedokończonych spraw.

Wysiadam z samochodu. Jak dobrze, że przestało padać. Marzę tylko o tym, żeby wziąć prysznic i iść do łóżka. Zamierzam podgrzać sobie w mikrofalce gotowe spaghetti bolognese, napić się wina i zasnąć. Rano wszystko wyda mi się prostsze. Spodziewam się, że prędzej czy później spotkam się z Danielem, choć jutro poniedziałek i nie wiem, jak to się zgra z jego pracą.

Przekręcam klucz i wchodzę na klatkę. Zapalam światło. Drzwi właśnie się zamykają, gdy z zewnątrz dolatuje do mnie moje imię. Przytrzymuję drzwi ręką, odwracam się i zamieram. Ktoś stoi na końcu podjazdu. Ktoś w długim płaszczu i mocnych, turystycznych butach. Serce mi łomocze. To ta sama osoba, która mnie wczoraj śledziła. Teraz podchodzi bliżej i zdejmuje kaptur. Światło ze środka oświetla jej twarz i długie jasne włosy. Wstrzymuję oddech.

To ty, Soph.

Nikt inny.

– Frankie – mówisz jeszcze raz, tak cicho, że nie jestem do końca pewna, czy się naprawdę odezwałaś. Stoisz jakieś dziesięć metrów ode mnie, ale widzę, że nic a nic się nie zmieniłaś. Wciąż młoda, nawet młodsza, niż cię pamiętam, i...

Nie ma innej możliwości – muszę patrzeć na twojego ducha. Wydaję mimowolny, niekontrolowany krzyk. Sama jestem zdumiona, gdy go słyszę. Zatraskuję drzwi i opieram się o nie plecami. Trzęsę się na całym ciele, nogi się pode mną uginają i osuwam się na podłogę. Jak to możliwe, że tu stoisz? Czego chcesz? Próbujesz mnie ostrzec? Albo przestraszyć?

Drzwi mieszkania na dole otwierają się gwałtownie i staje w nich starsza, siwa pani.

– Co się stało? Dobrze się pani czuje? – pyta. Ma miękki akcent z Yorkshire i łagodne spojrzenie.

Nie wytrzymuję napięcia i wybucham płaczem. Ona do mnie podbiega.

– O Boże, cała się pani trzęsie. Co się stało? Biedactwo.

Przykuca obok, bo kulę się na podłodze, ale nie jestem w stanie jej

odpowiedzieć. Przez parę minut nie mogę złapać tchu i rozpaczliwie szlocham, a potem wskazuję ręką za siebie.

– Duch, duch... – jąkam się. Takiego przerażenia nie czułam od chwili twojego zaginięcia.

Kobieta próbuje mnie uspokoić. Głaszcze mnie po rękę, dopóki nie przestaję płakać, a potem pomaga mi się podnieść. Mam słabe, drżące nogi, chwieję się i muszę się na niej wesprzeć.

– Przepraszam – mamroczę skrzepowana.

Ona wyciąga z rękawa i podaje mi chusteczkę. Wydmuchuję nos, ocieram oczy, muszę wyglądać potwornie.

– Ktoś tam był... na dworze... ktoś. Wystraszyłam się, to wszystko.

Kobieta marszczy brwi i poprawia okulary.

– Ktoś był na dworze? – powtarza z obawą i mimo moich protestów nieznacznie uchyla drzwi, po czym wystawia głowę przez szparę. – Już nikogo nie ma, skarbie. – Zamyka drzwi i odwraca się twarzą do mnie. – Jestem Jean.

Przedstawiam się. Czuję się jak idiotka.

– Bardzo się przeraziłaś. Wejdiesz do mnie na chwilę? – Pokazuje na swój apartament, a ja nagle pragnę się w nim znaleźć, byle tylko mieć jakieś towarzystwo. Kobieta jest w wieku mojej mamy, może trochę starsza.

Ale przecież jest tu z rodziną. Już i tak wystawiałam się na pośmiewisko.

– Miałam ciężki dzień – mówię i dotykam ręką głowy, żeby to podkreślić. – A pani jest tu z rodziną. Nie chcę przeszkadzać.

Jean znowu marszczy czoło i mocniej naciąga rozpinany sweter na wystający brzuch. Spozrzegam, że ma na nogach puszyste kapcie króliczki.

– Nie jestem tu z rodziną, skarbie, tylko sama, przyjechałam do brata. Leży w szpitalu, robią mu bajpasy. I mów mi po imieniu.

Gapię się na nią i czuję, jak mnie mrozi od środka. Krew łomocze mi w uszach.

– Jak to, ale przecież... dziecko! Słyszałam, jak w nocy płakało dziecko! Przez dwie ostatnie noce.

– Dziecko? Jestem już na to trochę za stara – śmieje się Jean. – Moje dzieci dawno wyfrunęły z gniazda. A wnuków się jeszcze nie dorobiłam, ale syn niedawno się ożenił, więc trzymamy kciuki.

– Ale... przecież... słyszałam – mówię słabo.

– Może to z innego mieszkania? – sugeruje niepewnie Jean, co mnie wcale nie dziwi, biorąc pod uwagę grube ściany i to, że mieszkamy w szeregowcu.

Więcej niespodzianek nie zniosę. Czuję się, jakbym przechodziła załamanie nerwowe. To wszystko mnie przerasta; przyjazd tutaj, zwłaszcza tak szybko po wylewie taty. Nie chcę cię znowu oglądać, Soph. Mimo że tak bardzo cię kochałam.

Wzięłam prysznic, ubrałam się w szlafrok, zjadłam gorące danie i wlałam w siebie butelkę wina, po czym klapnęłam przed telewizorem. Durna gadanina prowadzącego teleturniej przynosiła mi dziwne ukojenie. Musiałam zasnąć, bo wyrwa mnie ze snu odgłos przypominający walenie pięściami w drzwi. Zrywam się i rzucam do okna sprawdzić, czy to nie dzieciaki, które wcześniej obrzuciły mój samochód jajkami, ale nie, na podjeździe stoi tylko jakiś facet i gapi się na budynek. Jest ciemno, twarzy nie widać, ale z sylwetki przypomina mi Leona. Czego chce? Mrużę oczy, żeby trochę lepiej widzieć. Facet cofa się o parę kroków i wchodzi w blask lampy.

To nie żaden Leon. To Mike.

Co on tu robi? Stukam w okno i gestem nakazuję mu podejść do drzwi. Naciskam domofon i go wpuszczam. Jestem ciekawa, po co jechał taki kawał drogi.

Wchodzi na piętro i szczerzy się do mnie w uśmiechu. Jest w roboczych ciuchach, ma szarą cerę, zmęczone oczy i pył w potarganych włosach.

– Mike? – Nie powinno go tu być. Należy do innego życia. Tego drugiego.

Podbiega i zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku. Pachnie placem budowy i zimnym powietrzem.

– Co ty tu robisz? – mówię prosto w jego ramię.

Puszcza mnie.

– Mogę wejść? Długo jechałem. Marzę o kawie.

Odsuwam się niechętnie i wpuszczam go za próg. Kieruje się prosto do kuchni i włącza czajnik.

– Co się dzieje, Mike? – Chcę mu powiedzieć, że wtargnął na moje terytorium, ale w porę gryzę się w język; w głębi duszy, egoistycznie, cieszę się z jego obecności. Po tym koszmarze, który dziś przeżyłam, trudno mi zaprzeczyć, że nie pragnę towarzystwa. Namiastki normalności.

– Gdzie masz kubki?

Każę mu się przesunąć i robię nam kawę. Potem prowadzę go do salonu i siadamy na kanapie. Szczelnie opatulam się szlafrokiem. W piecyku niby się pali, ale już przygasa.

– Więc? – pytam, naciskając guzik na pilocie, by wyłączyć telewizor. – Wszystko gra?

Mike jest wyraźnie skrępowany.

– Wiem, że się rozstaliśmy, ale martwię się o ciebie, Fran. Przeżyłaś szok, dowiedziałaś się, że twoja przyjaciółka nie żyje. A potem nagle dzwonisz i zrywasz przez telefon. Dziwne to było.

Podnoszę rękę.

– Słuchaj, przykro mi, ale nie zmieniłam zdania.

Jeżeli uraziłam go tymi słowami, nie daje tego po sobie poznać. Dodaje



tylko:

– Tyle się wydarzyło, najpierw tata, teraz ta przyjaciółka. Chciałem się tylko upewnić, czy się dobrze czujesz. Wcale nie jesteś taka silna, jaką udajesz. Ale ty nikogo do siebie nie dopuszczasz. Nie przyjmujesz pomocy. – Upija łyżeczek kawy.

Gapię się na jego robocze buty. Rozumiem, co mówi, i wiem, że to prawda. Od kiedy tu jestem, czuję, że rozpadam się na kawałki, że podsykana latami pewnością siebie teraz obraca się w proch. Może przed przeszłością naprawdę nie da się uciec.

– Źle wyglądasz. Na wykończoną.

– Miałam ciężki dzień, to wszystko.

Przysuwa się bliżej i pyta łagodnie:

– Czemu tu jesteś? To ci nie służy. Twój tata sporo przeszedł. Powinnaś być przy nim, on cię teraz potrzebuje. Wracaj do domu, Fran. Wróc ze mną.

Jestem bliska łez.

– Nie mogę. Jeszcze nie.

Mike wzdycha.

– Czemu?

– Bo Daniel też mnie potrzebuje. Chce, żebym z nim w środę poszła na policję, zidentyfikować... – Łza cieknie mi po policzku.

– Nie może sam?

Podnoszę na niego wzrok. Jestem przerażona.

– To byłoby trochę bezduszne, nie sądzisz?

Mamrocze coś prosto w kubek. Przeprosiny.

– Nie ma kogoś innego, kto mógłby z nim iść?

Myślę o Mii. Poleciałaby z nim jak na skrzydłach, to jasne. Sęk w tym, że to ja chcę z nim iść. Nie wiem czemu. Może muszę się na własne oczy przekonać, że to na pewno ty, Soph. Że to twoje szczątki odnaleziono. A może chcę się czuć potrzebna Danielowi. Nie potrafię tego wyjaśnić ani tobie, ani Mike'owi. Wiem tylko, że wyjechać z Oldcliffe nie mogę. Jeszcze nie teraz. Nie mogę, dopóki cię w końcu nie pożegnam.

– Nie, poza mną nikogo. – Upijam kawy i przelykam ją razem z kłamstwem.

Mike wyciąga rękę i dotyka mojego ramienia.

– Ciągle cię kocham, Fran. Nie jestem gotów się poddać.

Odsuwam się poza jego zasięg.

– Nie mogę, Mike. Nie teraz, kiedy tyle się dzieje.

Wstaje i podchodzi do okna. Zastony wciąż są rozsunięte.

– Co za odosobnione miejsce. Wyobrażam sobie, że musisz się tu czuć samotnie – mówi dziwnym głosem. – I straszno tutaj. – Odwraca się do mnie z nadzieją w oczach. – Nie jestem w stanie zrozumieć, czemu chcesz tu tak długo siedzieć. Może jednak dasz się przekonać i rano wrócisz ze mną do domu?

Odnoszę wrażenie, że chce mnie wystraszyć i tym sposobem nakłonić do wyjazdu. Nagle uderza mnie myśl: a może to Mike podrzucił te listy? Żeby mnie stąd wykurzyć? Nie, to absurd. Nawet mu nie wspominałam, gdzie się zatrzymam. Gapię się na niego i powtarzam sobie w duchu: „Spokojnie, spokojnie”. Chyba wpadłam w paranoję. Mike nigdy by czegoś takiego nie zrobił. W dodatku on nic nie wie o Jasonie ani w ogóle o naszej przeszłości.

Niedziela, 3 sierpnia 1997

Byłam głupia, sądząc, że między mną a Alistairem będzie po staremu. Ten pocałunek zmienił wszystko.

Gdyby chcieć to wyjaśnić, trzeba by bardzo dużo opowiedzieć. To skomplikowane, co czuję do ojca Frankie. Przez lata starałam się wyprzeć własnego, ale czasem wracają do mnie urywki wspomnień, zwłaszcza nocą, w snach, a raczej – koszmarach. Jego ciemne oczy, które zawsze patrzyły ze złością lub rozczarowaniem spod ciężkich, na wpół przymkniętych powiek. Nietypowy, trudny do zrozumienia akcent. Czarna kurtka z błyszczącymi wstawkami na ramionach. Najlepiej zapamiętałam wstawki na plecach, bo niezliczoną ilość razy ustawiał się do mnie tyłem – kiedy wpadał z innego pokoju lub z hukiem zamykanych drzwi wychodził z domu.

Alistair stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Był typem taty, o jakim zawsze marzyłam. Uśmiechnięty blondyn o doskonałych manierach, zawsze gotów powiedzieć dobre, życzliwe słowo. Uwielbiał córkę nad życie, co przejawiało się w tym, że zawsze znajdował dla niej czas i cierpliwie odpowiadał na jej pytania. W czasach, gdy byliśmy nastolatkami, niekiedy wydawał mi się niesprawiedliwy, na przykład gdy chciał wywołać w niej poczucie winy za to, że wychodzi wieczorem. Stawał wtedy w progu jej pokoju, patrzył, jak się szykujemy, wkładamy buty czy czesemy włosy, i pytał głosem rozkapryszonego dziecka: „Dokąd się wybieracie? Znowu zostawiacie mnie samego?”. A gdy odpowiadałyśmy, że tak, był rozczarowany. Próbował obrócić to w żart, potraktować lekko, ale nawet jako szesnastolatka widziałam, że to wymuszone. Potem Frankie obowiązkowo musiała do niego podejść, objąć go i obiecać, że wróci wcześniej i zdąży jeszcze pograć w jakąś planszówkę. Ta jej bezwarunkowa gotowość, by go zadowolić, z jednej strony strasznie mnie drażniła, a z drugiej sprawiała, że skręcałam się z zazdrości.

Zawsze nam się dobrze gadało. Gdy ze mną rozmawiał, w jego głosie pobrzmiwała flirciarska nutka, nieobecna, kiedy zwracał się do Frankie. Byłam nim zauroczona, ale zbyt młoda, by na poważnie zdawać sobie z tego sprawę. Wiedziałam tylko, że go lubię, że mi się podoba i że wolałabym zostać i pograć z nim w planszówkę, niż wałęsać się po mieście z Frankie. No ale nie mogłam jej tego powiedzieć. Uznałaby to za obciach i ohydę, gdybym się przyznała, że jej tata jest w moim typie.

Ale po pamiętnym pocałunku moje uczucia do niego całkowicie się zmieniły. Sama myśl o tym, co zaszło, napawała mnie wstrętem. Był ode mnie

o dwadzieścia siedem lat starszy. Należał do pokolenia dorosłych.

A dziś sprawy zaszły jeszcze dalej.

Przez cały tydzień udawało mi się go unikać. Wiedziałam, że coś się między nami zmieniło, że przekroczyliśmy granicę, zza której nie ma powrotu. Że Alistair już nigdy nie będzie dla mnie po prostu tatą Frankie. Lecz kiedy zadzwoniła do mnie Maria z pytaniem, czy nie wzięłabym dzisiaj dodatkowej zmiany, nie zauważyłam w tym nic groźnego. Alistair spędzał cały tydzień u swojego ojca, a nawet gdyby pojawił się w hotelu, to przecież prędzej czy później i tak musiałabym się z nim spotkać.

Ścieliłam łóżko w pokoju jedenaście, dokładnie wkładając brzegi narzuty pod materac, tak jak uczyła mnie Maria. W pokoju było duszno, bo mieścił się na poddaszu, pod skośnym dachem. Byłam spocona, koszulka lepiła mi się do pleców. Dobrze, że ubrałam się w krótkie spodenki. Nachylałam się w najlepsze nad łóżkiem, gdy ktoś uderzył mnie w pośladek. Wyprostowałam się, zszokowana. Klaps był mocny, boleśnie piekła mnie skóra. W pierwszej chwili myślałam, że to Frankie się wygłupia, ale nie – obok szafy stał Alistair i szczyrzył do mnie zęby, jakby wymierzanie ostrych klapsów w pupę należało do jego szarej codzienności.

– Niezły tyłek – rzucił ku memu przerażeniu.

To, że niechcący się z nim pocałowałam, nie upoważniało go do takiej poufałości. Próbowałam obrócić to w żart, choć serce waliło mi jak oszalałe. Odwróciłam się, by pracować dalej, i zaczęłam strzepywać poduszki. Miałam nadzieję, że zrozumie aluzję i sobie pójdzie. Niestety, tak się nie stało. Obląpił mnie od tyłu w pasie i zaczął całować w szyję.

– Och, Sophie – wymamrotał głosem ochryplym z pożądania. – Nie mogę przestać o tobie myśleć.

Próbowałam się wyrwać.

– Alistair... przestań.

Przekręcił mnie przodem do siebie i położył mi ręce na biodrach.

– Nie mów mi, że tego nie pragniesz, bo wiem, co do mnie czujesz – rzekł pospiesznie i przycisnął wargi do moich. Wydarzenia nabierały tempa.

– Puść mnie. – Z całej siły odepchnęłam się od jego piersi.

Zatoczył się do tyłu, a w jego zielonych oczach błysnęło zdumienie.

– Co robisz? – rzucił w panice, kiedy zrozumiał, że się pomylił. – Sophie, myślałem, że czujesz to samo.

Zgarnęłam włosy z twarzy. Byłam zakłopotana.

– Alistair, ja mam chłopaka. Jesteś ojcem mojej najlepszej koleżanki. W dodatku żonatym...

Znowu do mnie podszedł. Teraz na jego twarzy malowała się tylko łagodność.

– Wiem, wiem, mnóstwo rzeczy nam nie sprzyja. Ale nie mogę przestać

o tobie myśleć. Kiedy cię widzę tu, w hotelu, w tych króciutkich szortach...

Przełknęłam ślinę. Miałam ohydny smak w ustach. W co ja się najlepszego wpakowałam przez ten porąbany, nieprzemyślany pocałunek?

– Chcę cię dotykać, obejmować, całować. Chcę się z tobą kochać.

Gdyby nie obrzydzenie, chyba parsknęłabym śmiechem. Ojciec Frankie? Tak do mnie mówi? Nie, to jakiś absurd.

– Alistair, ten pocałunek to była pomyłka...

Odsunął się i spojrzął na mnie bez zrozumienia.

– Jak to?

Dlaczego on tego nie pojmuje?

– Nie czuję tego co ty. Przykro mi.

– Ale przecież ci się podobałem, sama mówiłaś. Przez tyle lat. Nawet Maria to widziała, droczyła się ze mną o to. A potem, kiedy wróciłaś ze studiów, jak piękny łabędź, w którego zmienilo się brzydkie kaczątko...

Wyobrażał sobie, że niby co? Pójdę z nim do łóżka? Będziemy mieli romans? Tu, w pokoju numer jedenście, podczas gdy gdzieś obok kręca się jego żona i córka? Gapiłam się na niego z niedowierzaniem. Wydawało mi się, że odjęło mu rozum.

– Owszem, jako nastolatka byłam tobą zauroczona – przyznałam w końcu. – To była taka głupia szkolna miłość. Już dawno minęła.

– Tydzień temu mnie pocałowałaś, Sophie.

– Ile razy mam to powtarzać, Alistair? Zaszła pomyłka. Było mi smutno. Miałam doła. Nie powinnam była do tego dopuścić i przepraszam, jeżeli mnie źle zrozumiałaś.

Było mi potwornie głupio uczestniczyć w tej rozmowie. To przecież ojciec Frankie, na miłość boską, to on powinien zachować się jak dorosły, a nie ja. Czemu nie rozumie, że tamta chwila po prostu nie miała racji bytu?

Niestety, efekt, który osiągnęłam, był odwrotny do zamierzonego. Alistair zareagował tak, jakbym wymierzyła mu policzek.

– Wiem, że mnie kochasz, Sophie – powtórzył pospiesznie. – Wiem, że czujesz to samo. Tylko masz wyrzuty sumienia. To zrozumiałe. Właśnie dlatego jesteś taką fantastyczną dziewczyną. Dlatego cię kocham.

Kocha mnie? On? Chyba nie mówi serio? Jak mam mu wytłumaczyć, że to, co czuje, nie jest miłością, tylko pożądaniem, chwilowym zauroczeniem? Pewnie nie kocha się z Marią tak często, jak by sobie życzył, i nagle, gdy całuje go młoda dziewczyna, dostaje świra i od razu twierdzi, że to miłość.

Ale ja twardo stałam na ziemi i pokręciłam głową.

– Przykro mi, kocham Leona – oświadczyłam.

– Leona? Tego gówniarza, z którym cię widziałem na plaży? Toż to jeszcze dzieciak.

– Tak, Alistair, tak samo jak ja – westchnęłam.

– Ty jesteś kobietą, Sophie. I potrzebujesz prawdziwego mężczyzny.

Flaki mi się wywracały od tej całej rozmowy. Odsunęłam się od łóżka i podeszłam do małego mansardowego okienka – musiałam natychmiast zaczerpnąć powietrza. Widać stąd było miejskie moło i plażę, szczelnie zapełnioną ludźmi. Miałam ochotę otworzyć okno i zacząć krzyczeć. Nie, nie bałam się, nie czułam się zagrożona, raczej totalnie zażenowana. Och, ile bym dała, żeby siedzieć teraz na plaży z Frankie, zachowywać się jak zwyczajna dziewczyna, a nie tkwić tu z nagrzanym facetem w wieku mojego ojca.

– Alistair... Przepraszam, że wprowadziłam cię w błąd – powiedziałam, nie odrywając wzroku od widoku za oknem. Byłam bliska płaczu.

Drzwi tak huknęły, że aż podskoczyłam. Kiedy się odwróciłam, Alistaira już nie było.

Poniedziałek

Kiedy budzę się następnego ranka, obok mnie leży skulony Mike. Do niczego między nami nie doszło, Soph. Nie chciałam z nim spać, uznałam, że to nie fair. Po prostu potrzebowałam komfortu. Tylko tyle. Widzisz w tym coś złego?

Kiedy wykapana i ubrana wychodzę z łazienki, Mike jest w salonie i rozpala w piecyku. Ma na sobie mój jasnofioletowy szlafrok, oczywiście o wiele za krótki, rękawy sięgają mu do łokcia, a całość kończy się nad kolanem.

– Brr, jak tu zimno – mówi niepotrzebnie, zdmuchując zapalnik. – Co chcesz dziś robić? Na zwiedzanie za zimno. Nigdy tu nie byłem, więc...

– Mike.

Słyszając ostrzegawczy ton mojego głosu, podnosi wzrok. Na jego twarzy maluje się rozczarowanie.

– Co, będziesz mi kazała wyjechać, tak?

– Przykro mi.

– I nie wrócisz ze mną do domu?

– Muszę jeszcze zostać parę dni. Nie dłużej.

Opadają mu ramiona.

– Ciekawe, czemu mam wrażenie, że jestem wykorzystywany, co, Fran? Przyjechałem tu z nadzieją, że sobie to i owo wyjaśnimy. Pozwoliłaś mi zostać, więc myślałem, że może zmieniłaś zdanie. Co do mnie.

Zbliżam się do niego o krok.

– Wcale cię nie wykorzystałam... – zaczynam, ale nawet w moich własnych uszach te słowa brzmią pusto. Oczywiście, że go wykorzystałam. Od początku pobytu w Oldcliffe tak dobrze nie spałam. Nie przeszkadzały mi nawet wrzaski tego dzieciaka w środku nocy. W ramionach Mike'a czułam się bezpiecznie – mimo wszystkich wątpliwości, które mnie wczoraj nękały.

Spytałam, skąd się dowiedział, gdzie się zatrzymałam. Odparł, że znalazł karteczkę, na której zanotowałam sobie adres, zostawiłam ją na stole w kuchni. Owszem, pamiętam, że zapisywałam adres, ale byłam pewna, że po wklepaniu go do telefonu zgmiotłam karteczkę i wyrzuciłam ją do śmieci. Czyżby Mike przeszukał kosz? Miga mi przed oczami obraz Jean myszkującej w śmietnikach na podwórku. Czego ona tam szukała?

Przestępuję z nogi na nogę. Czuję się niezręcznie. Przez kremowe zasłony sączy się słabe światło poranka. Wokół butelki pinot noir utworzyła się niewielka kałuża wina. Wygląda jak krew.

– Idę pod prysznic – mówi szorstko Mike. – A potem znikam ci z oczu.

Podchodzę do okna w wykuszu, odsuwam zasłonę. Niebo jest gęste od białych chmur, ale przynajmniej nie pada. Na przedniej szybie i na dachu mojego



samochodu zebrał się szron. Unikam patrzenia w stronę molo, bo nie mogę znieść myśli, że cię tam zobaczę. Że tam stoisz i mnie obserwujesz.

To raczej nie depresja – mój stan nie przypomina tego, czego doświadczała mama – być może smutek i poczucie winy, wywołane twoją śmiercią, powodują u mnie jakieś omamy. Od czterech dni, czyli od telefonu Daniela, nie jestem w stanie przestać do ciebie mówić. A może tu chodzi o powrót do Oldcliffe. To miejsce jest z tobą nierozzerwalnie związane – z naszym dzieciństwem, szkołą, młodymi latami, Jasonem i twoim zniknięciem – więc to chyba w pełni naturalne, że wciąż o tobie myślę, prawda? Nie przypominam sobie, czy kiedyś w ogóle byłam w Oldcliffe bez ciebie. No oczywiście, zanim się tu przeniosłaś, ale to trwało krótko, a potem, kiedy zniknęłaś, a my przeprowadziliśmy się do Londynu, ale to trwało jeszcze krócej. Przez parę pierwszych miesięcy po twoim zaginięciu żyła jeszcze nadzieja, że się nagle pojawisz, pokornie przyznasz, że pożarłaś się z mamą, miałaś doła po rozstaniu z Leonem i po prostu na parę dni się zmyłaś. Ale nie, tak się nie stało. Nie pojawiłaś się. Aż do teraz.

Mike przychodzi do kuchni, gdzie na siłę zjadam płatki z mlekiem. Wygląda świeżo, ma na sobie czysty sweter i dżinsy.

– To jak, mam naprawdę jechać? – pyta.

Przełykam.

– Przykro mi.

– Nie wydaje mi się, żeby ci było przykro.

Biorę głęboki wdech.

– Nie prosiłam, żebyś przyjeżdżał.

Gapi się na mnie bez słowa zranionym wzrokiem.

– Trudno uwierzyć, jaka potrafisz być bezwzględna, Fran. Zgadzam się z tobą, ten związek nie ma sensu. Jak się wreszcie zdecydujesz i wrócisz do domu, już mnie tam nie zastaniesz.

Spuszczam wzrok. Kiedy go podnoszę, Mike'a już nie ma. Słyszę tylko trzask zamykanych drzwi.

Zawsze mówiłaś, że źle traktuję swoich chłopaków, Soph, i miałaś rację. Ale nie raniłam ich naumyślnie. Moje związki zawsze nieźle się zapowiadały i świetnie prosperowały aż do momentu, gdy facet się we mnie zakochał, bo wtedy – w moim przekonaniu – stawał się roszczeniowy, domagał się uwagi i tracił na atrakcyjności. Wyjątek stanowił Christopher. Mój były mąż na zawsze zachował niezależność i nigdy zbyt nie łaknął mojej uwagi. Uhm, tak, i w końcu wylądował w łóżku z inną.

Może tak samo stałoby się z Leonem, gdyby się we mnie zakochał. W chwili obecnej nienawidzi mnie i mną gardzi, o czym przekonałam się wczoraj. A twój brat? Czy gdyby teraz odwzajemnił moje uczucia, też zaczęłabym go źle traktować? Pewnie powiedziałabyś, że tak, i przypomniała mi, jak się do niego

odnosiłam, kiedy byliśmy młodzi. Wiem, Soph, i wcale nie jestem z tego dumna. Lubię myśleć, że się zmieniłam, tyle że na razie nie spotkałam właściwej osoby, która pomogłaby mi to potwierdzić. Nie nabrałaby się na moje sztuczki. Być może tą osobą jest właśnie Daniel.

No, przynajmniej tak sobie myślałam do wczoraj. Jestem pewna, że to on był z Leonem. A może się myliłam?

Muszę wyjść z tego mieszkania, bo nadal pachnie tu Mikiem. Narzucam płaszcz, obwiązuję się szalem. Kładę rękę na klamce i mentalnie przygotowuję się na najgorsze. Czy znajdę na wycieraczce kolejny list lub znaczący prezent? A może znowu będziesz na mnie czekać na końcu podjazdu? Kto wie. Niepewnie naciskam klamkę i na palcach podchodzę do schodów. Na dole mieszka tylko Jean, ale wczoraj tak się przed nią zbłąźniłam, że wolę nie ryzykować spotkania. Mrużę oczy. Próbuje dojrzeć, czy coś leży na wycieraczce przy drzwiach lub wystaje ze skrzynki na listy. Nic nie widzę. Ulga jest tak wielka, że na moment robi mi się słabo. Cichutko zamykam drzwi i schodzę po schodach. W połowie drogi stoję jak wryta – Jean właśnie wychodzi z mieszkania. Stoi tyłem do mnie i pochyla się nad wycieraczką, coś z niej podnosi.

Odchrząkuję. Słyszając to, Jean prostuje się i odwraca. Ma kaptcie na nogach. W rękę trzyma zwiniętą gazetę z ciemno poplamionym brzegiem.

– Dzień dobry, Francesca, skarbie. Właśnie wyszłam wziąć gazetę. – Na dowód swoich słów macha do mnie rulonem. Czy to moja chora wyobraźnia, czy naprawdę ma przebiegłą minę? – Ktoś musi to prenumerować, bo w zeszłym tygodniu też dostałam. – Kręci głową. – Nie rozumiem, po co tak tracić pieniądze? No ale skoro już przynieśli, to chętnie przeczytam. Lubię wiedzieć, co się dzieje, choć mieszkam pięćdziesiąt kilometrów stąd. – Śmieje się.

Nagle dostrzegam w jej drugiej ręce coś z różowego plastiku.

Zbiegam z paru ostatnich stopni. Stoję teraz naprzeciwko niej.

– Co to? Lalka? – Wskazuję na jej lewą rękę.

Marszczy brwi i ze zdumieniem patrzy na swoją dłoń, jakby się zastanawiała, skąd się w niej wzięło to, co trzyma.

– Tak.

– Ale... wczoraj mówiłaś, że żadne dziecko tu nie mieszka.

Jest zbita z tropu.

– No właśnie sama nie pojmuję... znalazłam ją. Leżała na wycieraczce, obok tej gazety.

Gapię się na nią z niedowierzaniem. Po co ktoś podrzucałby tu lalkę? Listy i nieśmiertelniki rozumiem, zawierały przekaz osobisty, skierowany do mnie – a w zasadzie do nas, Soph. Ale to? Naprawdę bez sensu. No chyba że Jean kłamie i rzeczywiście w jej mieszkaniu przebywa jakieś dziecko. Ale z drugiej strony po co by kłamała?

– Nieważne, muszę się zbierać. Zaraz lecę do Grahama. – Upycha lalkę w kieszeni swetra i z gazetą pod pachą wycofuje się do mieszkania, starannie zamykając za sobą drzwi.

Jestem zbyt wstrząśnięta, by podjąć jakieś działanie. Przez parę minut stoję i jak zahipnotyzowana gapię się na drzwi, które zamknęła mi przed nosem. Muszę stąd wyjść.

Na dworze jest lodowato, wiatr chłosta mnie po policzkach. Już mam wsiadać do samochodu, gdy spostrzegam, że prawe lustro jest stłuczone. Biorę głęboki wdech. Wygląda, jakby ktoś w nie walnął pięścią. Ze środka, na kształt pajęczyny, rozchodzą się rysy. Czy to Mike? Nie, na pewno by czegoś takiego nie zrobił. Jednakże... kiedy ode mnie wychodził, był taki zły...

Może Mike ma rację i powinnam zwinąć manatki i wrócić do domu. A jeżeli podczas mojej nieobecności Daniel się dowie, co się z tobą stało? Wsiadam za kierownicę i włączam ogrzewanie. Przyglądam się, jak powoli topnieje lód na przedniej szybie. Potem wycofuję spod domu. Cały czas towarzyszy mi przecucie, że zaraz zobaczę cię we wstecznym lusterku. Nagle rzuca mnie do przodu. Samochód z obrzydliwym łoskotem uderza w coś, co było na drodze.

O Boże. Czy to ty?

Drżącą ręką zaciągam ręczny i wyskakuję z kabiny. Uff, to tylko śmietnik. Ktoś celowo postawił mi go na drodze czy po prostu nie zauważyłam? Z trudem przesuwam go na bok. Żeby to zrobić, muszę go przeciągnąć przez śmieci, które się wysypały. Na pojemniku wypisano farbą słowa: WILLA BEAUFORTA. Ja na razie nie wynosiłam śmieci, więc te tutaj muszą należeć do Jean. Czy była tu rano i znów grzebała w kontenerze? Otrzepuję płaszcz, przestępuję nad kartonem po jajkach i paroma puszkami, po czym wsiadam do samochodu.

Muszę wydostać się z Oldcliffe, choćby nawet na parę godzin. Skręcam w lewo i zjeżdżam z góry na szosę wzdłuż morza. Stare moło mam po prawej. Jadę przez miasteczko.

Minąwszy ostatnie domy, czuję, jak uchodzi ze mnie napięcie. Znowu mogę normalnie oddychać. Nie mam pojęcia, dokąd zmierzam. Odbijam na autostradę i wkrótce znajduję się na rondzie z tablicą informacyjną. Wybieram szosę M5 na Bristol. Muszę spędzić parę godzin w mieście. Bristol mam najbliżej.

Ostatnim razem byliśmy w Bristolu razem, Soph. Jeździłyśmy tam czasem pociągiem, na zakupy. W Oldcliffe nie było żadnych sensownych sklepów z ciuchami – no, chyba że dla starszych pań po pięćdziesiątce. Godzinami łążyłyśmy po Broadmead, dzielnicy handlowej, a na koniec zawsze lądowałyśmy na Park Street, żeby zajść do sklepu muzycznego Rival Records.

Włączam radio i na dźwięk *Begging You* zespołu Stone Roses wpadam w chwilowe oszołomienie. Uwielbiałaś tę piosenkę. Rzucam krótkie spojrzenie na radio i ściągam brwi. Kto mi ustawił stację Radio 2, skoro zawsze słucham Classic

FM? Ty byś tego nie zrozumiała, nie cierpiałaś muzyki klasycznej. Ja też – wtedy. Ale teraz lubię, bo mnie uspokaja. Ale ta piosenka, Soph, właśnie ta, natychmiast przenosi mnie w tamte czasy. Nagle jestem w Piwnicy, tańczymy razem na ciasnym parkiecie, czuję zapach dymu, potu i stłoczonych ciał. Wracają do mnie wszystkie doznania – adrenalina buzuje we krwi, muzyka wibruje w całym ciele, alkohol niweluje zahamowania, wyrzucam w górę ręce, światła błyskają przez dym. Wspomnienie jest wręcz namacalne. Znowu mam dwadzieścia jeden lat. Nie mogę oddychać. Serce zaczyna mi walić i muszę poluzować szal. Wyciągam rękę i gaszę radio.

Centrum Bristolu jest praktycznie nie do rozpoznania. Wybieram zły zjazd z autostrady i próbuję znaleźć drogę przez nowo powstałe dzielnice. Ulice wokół teatru Hippodrome zostały zamknięte dla ruchu, nad wodą pojawiło się mnóstwo barów i kawiarni, jest też ogromne centrum handlowe Cabot Circus, a w nim, nie uwierzysz, luksusowy dom towarowy Harvey Nichols! Och, Soph, ależ byśmy tu szalały. Chociaż wątpię, przecież w tamtych czasach nie mogliśmy sobie na wiele pozwolić. Nie byłam tu od lata, kiedy zaginęłaś. Znalazłaś tę pracę w wydawnictwie, miałaś zostać asystentką w redakcji, byłaś przejęta i chciałaś sobie kupić parę lepszych ciuchów. Pamiętam to ukłucie zazdrości, gdy planowałaś przeprowadzkę do Londynu. Miałaś zamiar mnie opuścić, więc wlokłam się za tobą jak struta. Zaliczyłyśmy Oasis i French Connection, a potem chyba wszelkie możliwe sklepy, a ja z każdym kolejnym czułam się coraz gorzej. Wreszcie w Kookaï, gdzieś pomiędzy półką z bojówkami a wieszakiem z koszulkami na ramiączkach, odwróciłaś się do mnie i spytałaś, o co chodzi. Kiedy się w końcu przyznałam, uściskałaś mnie i powiedziałaś, że jeżeli mam ochotę, możemy jechać razem. Wspólnie wynająć mieszkanie i będzie super. We dwie opuścimy Oldcliffe. Takie miałyśmy plany!

Ale dwa tygodnie później ty już nie żyłaś.

Kawiarnia przy Park Street jest duża, nowoczesna i anonimowa. No i ciepła. Zgodnie z tym, co mówią w radiu, doświadczamy właśnie nagłego ochłodzenia.

Wybieram stolik przy oknie z widokiem na ruchliwą ulicę. Tuż obok, za szybą, przechodzą ludzie z torbami pełnymi zakupów, w ciepłych szalach i czapkach wciśniętych głęboko na uszy.

Nadrabiam zaległości – odpowiadam na mejle i sprawdzam nieodebrane połączenia. Nagle przychodzi esemes od Daniela: „Gdzie jesteś? Byłem u ciebie, nie otwierasz. Ściskam. D”.

To zabawne. Po paru dniach jesteśmy już tak zaprzyjaźnieni, że ściska mnie przez telefon. Tymczasem do piątku nie miałam bladego pojęcia, czy on w ogóle żyje i gdzie się podziewa. Daniel twierdzi, że wytropił mnie przez hotel, chociaż w zasadzie to nie wiem, bo dzwonił do mnie na numer prywatny. No ale on jest dziennikarzem. Ma swoje sposoby, dojścia, potrafi znajdować informacje

niedostępne dla zwykłych ludzi. Twój brat jest znacznie bardziej obrotny, niż pamiętam, i nie powinnam o tym zapominać tylko dlatego, że zwraca się do mnie „lady Frankie” i ciepło wspomina naszą młodość.

Ignoruję jego wiadomość i wracam do przeglądania mejli.

Przerywa mi telefon od mamy.

– Cześć, mamó – mówię cicho, żeby nie zakłócać spokoju pozostałych klientów.

– Frankie, wydzwaniam do ciebie od paru dni... – Z miejsca przystępuje do ataku, nawet nie pyta, co u mnie. – Dalej jesteś w Oldcliffe?

– W tej chwili w Bristolu, ale ogólnie tak, w Oldcliffe. Tam nie ma zasięgu...

– Wszystko jedno – wtrąca się. – Dzwonię, bo na pewno cię to ucieszy. Tacie się poprawiło. Czy to nie świetna wiadomość? Mówiłam ci, że się nie podda, mówiłam. Zobaczysz, on z tego wyjdzie.

– Cudownie, mamó. Bardzo się cieszę. Ale w kwestii prawnej to niczego nie zmienia, prawda? Wciąż czeka go ta rozprawa, jeżeli mu się poprawi.

– Musisz o tym? Ojciec jest niewinny. Wszyscy o tym wiemy. Ledwie to wszystko ogarniam, Frankie. Teraz, kiedy wyjechałaś tak daleko, całe trzy godziny drogi, to już naprawdę... czysty egoizm. Nie masz...

Zamykam oczy i słucham tyrady, która spływa po mnie jak woda po kacze. Już potrafię nie brać sobie jej słów do serca, nauczyłam się. Wiem, że wieczny stan niepokoju w połączeniu z depresją sprawiają, że mama dotkliwie rani. Jasne, że martwi się o tatę, bez niego by sobie nie poradziła. Wytrwała z nim całe życie – trzeba jej to przyznać. O ciebie nie pyta, ba, nie pyta nawet o hotele. Po udarze taty przestały ją interesować. Od dwóch lat, kiedy to oboje częściowo przeszli na emeryturę, rodzice zajmowali się głównie uczestnictwem w luksusowych rejsach i podróżami po świecie, na co pozwalały im przychody.

Byłabyś zdumiona, z jakim zacięciem ostatnio oddaję się pracy, Soph. Okazuje się, że prowadzenie biznesu mimo wszystko daje mi zadowolenie. Nigdy nie sądziłam, że praca może zastąpić rodzinę, życie prywatne, ale teraz jestem zdania, że chyba tak. Od rozpadu małżeństwa po prostu biegłam dalej, nie zatrzymując się, nie myśląc o przyszłości, żyjąc z dnia na dzień, coraz bardziej pogrążając się w pracy, a od czasu do czasu pozwalając sobie na przelotny, niezobowiązujący romans. Teraz wiem, że żyłam tylko częściowo, czekałam, jakbym zawsze wiedziała, że w końcu trafię tu, gdzie jestem. To było w jakiś sposób nieuniknione.

– Nieważne. Muszę już wracać do ojca. Zadzwoiłam do ciebie, bo myślałam, że będziesz chciała wiedzieć.

– Za parę dni wracam. Mam nadzieję. Pozdrów tatę...

Mama rozłącza się bez pożegnania.

Zamawiam drugie cappuccino. Już mam dzwonić do menedżera hotelu, Stuarda, żeby spytać, co nowego, gdy komórka wibruje mi w ręku. Tym razem Daniel. Zastanawiam się, czy nie odrzucić połączenia i nie potrzymać go jeszcze trochę w napięciu. Mam nadzieję, że myśli, że uciekłam do Londynu. A gdybym to zrobiła, ciekawe, czyby się przejął? Chce tylko, żebym mu pomogła się dowiedzieć, co naprawdę się z tobą stało. Ale dziś nie jesteśmy bliżej rozwiązania zagadki niż w piątek. Po szóstym dzwonku mięknię i jednak odbieram.

– Frankie? – Daniel jest zdenerwowany.

– Myślałam, że jesteś w pracy.

– Jestem w pracy – mówi i na potwierdzenie w tle rozlega się dzwonek telefonu. Wyobrażam sobie tętniącą życiem redakcję, choć widziałam to miejsce tylko raz, jeszcze w szkole. Na pewno i tam sporo się zmieniło. – A ty, gdzie się podziewasz?

– W kawiarni. W Bristolu.

– W Bristolu? Czemu?

Wzdycham.

– Musiałam wyjechać z Oldcliffe. To miejsce mnie przytłacza.

– W Oldcliffe nie ma nic przytłaczającego – odpowiada obronnym tonem.

Milczę. Nie ma sensu się z nim sprzeczać. Zaraz, co to ja myślałam? Że nigdy nie byłabym szczęśliwa, wracając na stałe do rodzinnego Oldcliffe-on-Sea, podczas gdy Daniel uwielbia to miejsce. Więc w zasadzie świetnie się składa, że jest z tą całą Mią. Bo i tak by nam się nie ułożyło.

– Wszystko w porządku, Franks?

Czuję, jak narasta we mnie irytacja. To wszystko jego wina. Niepotrzebnie mu zaufałam.

– Nie, nie w porządku – syczę do słuchawki. – Widziałam cię. Wczoraj wieczorem. Z Leonem.

– Z Leonem? – pyta z niedowierzaniem. – Nie widziałem się wczoraj z Leonem.

Biorę głęboki wdech i energicznie mieszam kawę.

– Widziałam cię, Daniel. Na pasach, tuż przed moją maską. Z Mią. Szliście do Pod Mewą. Myślałam, że nienawidzisz Leona. Wyjaśnij mi, o co chodzi?

– Masz rację, nienawidzę. Na pewno nie poszedłbym z nim na piwo. Rzeczywiście, byłem w barze, ale z kumplem z pracy. Pracuje u nas jako korektor, od niedawna. Umówiłem się z nim do pubu.

– Jak się nazywa?

Czy on kłamie?

– Rob. – Ani się zająknie.

Czyżbym się pomyliła? Naprawdę wyglądał jak Leon. A może widziałam go tylko oczami wyobraźni? Tak jak widuję ciebie?

– A jak wygląda?

Mimo hałasującego ekspresu do kawy słyszę w głosie Daniela stłumioną irytację.

– Czy ja wiem? Wysoki jest. Ma ciemne włosy, kręcone.

Jak Leon? Chcę zapytać, ale nie robię tego.

– Poza tym to nie była Mia – dodaje ze smutkiem. – Z Mią mi się nie układa. To była Trish, recepcjonistka z biura.

W duszy słyszę słowa, których nie chce powiedzieć. Wiem, że nie układa mu się z Mią przeze mnie.

– Nie cierpię Leona – wybucham. Upokorzenie, którego wczoraj od niego doznałam, wraca ze zdwojoną siłą. Opowiadam Danielowi o naszej rozmowie w samochodzie.

– Nie powinnaś była się z nim sama spotykać – mówi. – Jeszcze nie wiemy, czy to nie on odpowiada za śmierć Soph. To może być morderca, Frankie. Niezależnie od urody.

To, że w jego głosie wyłapuję skrywaną nutkę zazdrości, wywołuje u mnie dreszczyk triumfu.

– Nie interesuje mnie jego uroda. Już nie – odpowiadam. – I masz rację. Rzeczywiście mógł ją skrzywdzić. Założę się, że ma coś wspólnego z jej zniknięciem.

Jak mogłam zwątpić w Daniela? Przecież należy do porządnych facetów, z gruntu przyzwoitych, o mocnym kręgosłupie. Może za czasów szkolnych faktycznie ostrzej pogrywał i lubił sobie trochę popić, ale z zasady nie zachowywał się w sposób przykry ani niemiły. Nigdy nie zabijał pajaków, mimo że potwornie się ich bałyśmy, i był wobec ciebie nadopiekuńczy. Jedyne mężczyzna w domu – zawsze mogłaś na niego liczyć. Byłam o to zazdrosna, też chciałam mieć starszego brata, który by się o mnie troszczył. Zresztą Daniel zrobiłby wszystko dla każdego. Dla mnie też. Żałuję, że osiemnaście lat temu zupełnie tego nie doceniałam.

W słuchawce zapada cisza. Gdyby nie odgłosy z tła – dzwonienie telefonów, szmer rozmów – sądziłabym, że Daniel się rozłączył. W końcu podejmuje rozmowę:

– Słuchaj, ktoś dzwonił do redakcji. Rozmawiał z jednym z dziennikarzy. Nie zostawił numeru, zasugerował tylko, żebyśmy pogadali z Jezem.

– Z Jezem? To on tu ciągle mieszka?

Nie myślałam o Jezie całe lata. Imponował wszystkim dziewczynom, głównie dlatego, że był didżejem, ale poza tym ćpał i brakowało mu oleju w głowie.

– Tak. Chociaż wieki go nie widziałem. Nie wpadłem na to, żeby się z nim skontaktować w sprawie Sophie, ale wtedy, tamtego wieczora, to on stał za konsolą. Mógł coś zauważyć.

Zaczynam kasłać i muszę upić łyk kawy, teraz już letniej. Drapie mnie w gardle. Mam nadzieję, że się nie rozłożę. Pobyt w tym niedogrzanym mieszkaniu raczej mi nie służy.

Daniel dodaje z powagą:

– Ten, co dzwonił, zostawił wiadomość. Mamy się spotkać z Jezem w rzeźni, o drugiej.

Jego kolejne słowa sprawiają, że oblewam się zimnym potem.

– Twierdzi, że dysponuje ważnymi informacjami. I że jeżeli nie stawimy się na spotkanie, od razu idzie na policję.



Poniedziałek, 4 sierpnia 1997

Przez resztę dnia starałam się unikać Alistaira. Zostałam w jedenastce jeszcze dobry kwadrans, do końca swojej zmiany. Szczęśliwie, kiedy zesłam na dół, w jadalni krzątały się Frankie z mamą, sprzątały po śniadaniu. Frankie niosła stos tłustych talerzy. Z tego na wierzchu zwisał kawałek bekonu. Natychmiast zrobiło mi się niedobrze.

– Sophie, gdzie byłaś? – spytała Maria.

Gapiałam się na nią bez słowa. Jej piękna twarz była zarumieniona, a ciemne loki wymykały się spod opaski. Choć przyjechała do Wielkiej Brytanii w wieku dwudziestu paru lat, nadal mówiła z lekkim włoskim akcentem. Czułam, że pąsowieję. Wystarczyło, że na nią spojrzałam, a już zalała mnie fala potwornego wstydu. Całowałam się z jej mężem, który wyznał mi miłość i próbował pocałować mnie po raz drugi. Jakże to wszystko popaprane.

– Źle się czuję, pani Howe... – Zawsze zwracałam się do niej w ten sposób. Wyczuwałam, że tak sobie życzy. Alistair nalegał zaś, bym mówiła mu po imieniu. Twierdził, że kiedy nazywam go panem, strasznie staro się czuje. Jak własny ojciec. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że chciał, abym go traktowała po partnersku, jak równego sobie. Nie jak ojca. A zwłaszcza nie jak ojca najlepszej koleżanki.

– Co się dzieje? – warknęła.

Nie sposób powiedzieć o pani Howe, że została obdarzona instynktem opiekuńczym. Oczywiście kocha Frankie, i to gorąco, choć Frankie nie zawsze to dostrzega. Twierdzi, że mama zawsze ją poniża, ale ja widzę, że chce dla niej jak najlepiej. Nie należy jednak do mam, które lubią się przytulać. Jest ostra i trzeźwo myśląca. W przeciwieństwie do mojej mamy. Moja mama spędza całe dnie w pracy, ale kiedy już wróci, najbardziej lubi leżeć ze mną i Danielem na kanapie, przed telewizorem.

– Czuję się chora – odparłam zgodnie z prawdą – a moja zmiana i tak się właśnie skończyła.

– W takim razie idź już do domu – odrzekła, pociągając nosem, odwróciła się do mnie plecami i zagoniła Frankie do kuchni. – Do zobaczenia jutro.

Frankie rzuciła mi zatroskane spojrzenie znad ramienia matki, ale nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy. Zdradziłam ją. Zdradziłam je obie.

Najszybciej, jak się tylko da, ze zwieszoną głową i brodą prawie przyciśniętą do klatki piersiowej, jakbym chciała się skulić i stać niewidoczna, przeszłam przez jadalnię do holu. Obym się tylko nie natknęła na Alistaira. Niestety, gospodarz

właśnie stał przy wejściu.

Blokował drzwi. Miałam ochotę wrzeszczeć. Ale nie mogłam – Maria mogłaby usłyszeć.

– Co tam mówiłaś? – spytał, lustrując mnie chłodnym, oskarżycielskim spojrzeniem zielonych oczu.

– Powiedziałam Marii – podniosłam na niego wzrok – to znaczy pani Howe, że źle się czuję. Zresztą i tak właśnie zmiana mi się skończyła.

– Będziesz milczeć, prawda? – Spuścił głowę.

– Oczywiście, że będę – odparłam i dodałam jeszcze ciszej: – Ale musisz zrozumieć, że to była pomyłka.

– Wiem. Przepraszam.

Ogarnęła mnie niewysłowiona ulga. To była tylko chwila szaleństwa, i z mojej, i z jego strony. Głupi pocałunek, nic więcej. Nic wielkiego się nie stało.

Przesunął się o krok w moją stronę. Owionął mnie piżmowy zapach wody kolońskiej i aromat kawy w jego oddechu. Najwyraźniej wyczuł, że tracę przy nim pewność siebie, bo wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po głowie.

– Och, Soph – westchnął głosem pełnym... czego? Tęsknoty? Żalu?

– Alistair – powiedziałam błagalnie – muszę wracać do domu.

– Mogę cię odprowadzić? – spytał, cofając rękę.

– Nie. – Chciałam się znaleźć jak najdalej od niego.

– Ale przecież źle się czujesz. Chcę być pewien, że bezpiecznie dotarłaś. Co w tym złego? Odwiozę cię. To zwyczajna rzecz.

– To dziesięć minut pieszo – protestowałam. Prawie płakałam. – Dziękuję, przejdę się. – Czułam, jak osuwają się na mnie wyłożone wzorzystą tapetą ściany holu, jak mnie przytłaczają, a za chwilę ścisną. Śmierdziało stęchlizną i jajkami na bekonie.

– Nie pozwolę ci iść – oświadczył i wydał wargi. Widziałam już tę jego minę – zaciętość i upór w dolnej połowie twarzy. Przypomniało mi się, że tak samo wyglądał tamtej nocy, gdy zginął Jason, kiedy zabronił nam iść na policję. – Nie wypuszczę cię stąd, dopóki się nie zgodzisz. Nie ma sensu dyskutować, Sophie.

Zastanawiałam się, czy nie zacząć krzyczeć. To by zaalarmowało Marię i Frankie. Już widziałam ich miny, oczy jak spodki, otwarte usta, twarze zamarłe z przerażenia. Ale co potem? Co bym powiedziała? Że Alistair się do mnie dobierał, próbował pocałować, twierdzi, że jest we mnie zakochany? Czy że to ja zaczęłam, pierwsza go pocałowałam? Oskarżyłyby mnie, że go sprowokowałam, dałam mu nadzieję? Potrafiłam sobie wyobrazić poczucie krzywdy i urazę w oczach Frankie i jej mamy. Hm, mogło nawet dojść do rozwodu, a wszystko przeze mnie.

– Alistair... – Próbowałam pójść inną drogą. – To by głupio wyszło, gdybyś mnie odwoził. Co by powiedziała pani Howe?

Zbył to prychnięciem.

– Absurd. Maria życzyłaby sobie, żebym cię podrzucił. Przeciwnie, głupio by wyszło, gdybym cię nie odwiózł. Jesteś chora. Naprawdę marnie wyglądasz.

Czułam, że nie mam wyboru. Za wszelką cenę musiałam stamtąd wyjść. Pozwoliłam więc zaprowadzić się do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, bliżej deptaku i morza. Alistair wziął mnie pod rękę i przyciągnął do siebie tak, że stykaliśmy się biodrami. Mijali nas ludzie – roześmiani, weseli. Rodziny z dziećmi. Pary cieszące się pięknym słońcem. Każdy nieznamy wziąłby nas za ojca z córką. Alistair zatrzymał się przed swoim czarnym bmw.

– Wsiadaj – rzekł z uprzejmym uśmiechem, podprowadziwszy mnie pod drzwi pasażera. Uśmiech ten był dziwny, nie obejmował oczu. Rozważałam ucieczkę. Całą sobą nie chciałam się znaleźć w tym samochodzie.

Alistair wycofał i ruszył w kierunku osiedla. Panował spory ruch, samochody wjeżdżały do miasteczka i wyjeżdżały z niego, ludzie, objuczeni torbami zawierającymi ręczniki, kremy do opalania, dziecięce wiaderka i łopatki, ciągle przechodzili przez ulicę, żeby się dostać na plażę. Niebo było bladoniebieskie, upstrzone cieniutkimi, przezroczystymi chmurami. Wszyscy się uśmiechali i odpoczywali, a ja siedziałam sztywna z napięcia i przerażenia.

Z początku Alistair wcale się do mnie nie odzywał. Nie odrywał wzroku od jezdni, tylko w milczeniu przestawiał stopę z gazu na hamulec. Za każdym razem, gdy ktoś przecinał nam drogę przed nosem, cicho przeklinał.

– Cholerni turyści – wzdychał co chwila. – Zatykają całe miasto.

– Szybciej by było, gdybym poszła pieszo – powiedziałam.

W samochodzie działała klimatyzacja, czułam jej podmuch na bosych palcach stóp. Po chwili ramiona pokryły mi się gęsią skórą. Z lusterka dyndał pachnący piżmem odświeżacz powietrza w kształcie sygnalizatora świateł. Od jego intensywnego zapachu zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze.

– Martwię się o ciebie – rzekł, a potem wyciągnął rękę i położył dłoń na moim kolanie.

Natychmiast ją zepchnęłam.

– Przestań!

Zacisnął usta.

– Przepraszam, nie miałem zamiaru. Ale, Soph, daj spokój. Okłamujesz samą siebie, że nic do mnie nie czujesz. Przecież tu jesteś, tak czy nie?

– Nie miałam wyboru. – Czemu nic do niego nie dociera? Żołądek mi się zacisnął, a uda kleiły do skózanego fotela.

– Cha, cha, wybór ma się zawsze! – roześmiał się. Ten śmiech miał w sobie coś nieprzyjemnego, jakieś groźne brzmienie, które rozeszło się echem po wnętrzu auta i unosiło w powietrzu jak gęsta, niepokojąca chmura. – Wiem, co do mnie czujesz – oświadczył w końcu – i nie dam ci spokoju, dopóki nie przyznasz mi

racji.

Gapiałam się na niego z niedowierzaniem. Z wściekłości paliło mnie w środku. Kipiałam. Jak on śmie!

– I co wtedy? Pójdziemy powiedzieć Marii? I Frankie? Zostawisz dla mnie rodzinę? Założymy razem nową, będziemy mieć dom? Jak to sobie wyobrażasz? Że co się stanie?

Alistair zrobił wielkie oczy. Mnie też zaskoczył ten mój wybuch. Zwykle kierowałam się zasadą, którą wpoila mi mama: najpierw pomyśl, potem powiedz. Teraz jednak gotowałam się ze złości i po prostu to z siebie wyrzuciłam.

– Nie chcę zostawiać rodziny – odparł. – Kocham ją.

Odetchnęłam z ulgą.

– Świetnie. Więc rozumiesz, o co mi chodzi.

Niestety, jego kolejne słowa przyprawiły mnie o dreszcz.

– Nie. Bo ciebie też kocham.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Co? Więc chcesz mieć ze mną romans? Mam być twoją kochanką?

Pokręcił głową.

– Nie mów z takim obrzydzeniem. Co poradzę, że czuję to, co czuję?

– Ale... – zaczęłam rozpaczliwie. – Alistair, to był tylko pocałunek. Jeden. Przez pomyłkę. Jesteś ojcem mojej przyjaciółki. Znamy się od lat. A zachowujesz się, jakby...

– Jakby co?

– Jakby ci odbiło.

– Zawsze coś między nami było, tylko o tym nie wiedzieliśmy. Aż do teraz.

Miałam ochotę wrzeszczeć. Jak mu wyjaśnić, że mu odwaliło? Nagle ktoś wyszedł nam przed samą maskę i Alistair musiał gwałtownie zahamować. Przed nami uformował się zator, samochody posuwały się w żółtym tempie. Wymacałam klamkę i szybko przesunęłam palce na jej ruchomy element. Trudno opisać ulgę, która mnie ogarnęła, kiedy stwierdziłam, że drzwi nie są zamknięte na centralny zamek. Zanim Alistair zdążył się zorientować, otworzyłam je i wyskoczyłam na ulicę.

– Nie jestem zainteresowana! Wybij to sobie z głowy – syknęłam. Samochód przed nami właśnie ruszył, więc o ile ojciec Frankie nie zamierzał porzucić swojego pojazdu na środku ulicy, nie mógł puścić się za mną w pogoń. – I zostaw mnie w spokoju – dodałam i zatrzasnęłam drzwiczki, po czym wbiegłam prosto na deptak, a stamtąd na plażę, gdzie już na pewno nie mógł mnie dorwać.

Dziś nie poszłam do pracy. Wykręciłam się chorobą. Zadzwoiłam i powiedziałam, że dopadł mnie wirus żołądkowy. Nie zniosłabym kolejnej konfrontacji z Alistairem, nie wiem, jak spojrzalabym w oczy Frankie i jej mamie. Muszę trzymać się z dala od hotelu, dopóki Alistair nie odzyska zdrowego

rozsądku.

Szczelniej otulam szyję, poprawiam szal, żeby zasłaniał mi usta i lepiej chronił przed przenikliwym wilgotnym chłodem, który wdziera się w każdy zakamarek. Przy każdym wydechu wypuszczam białą chmurkę, jakbym wydmuchiwała dym. Pamiętasz zimą, w drodze do szkoły? Wydychając powietrze, udawałyśmy, że trzymamy papierosa. Zawsze chciałyśmy się wydawać dorosłe... ale nikogo nie zbajerowałyśmy.

Mróz skrzypi mi pod butami, czuję się niepewnie na nierównej, pokrytej lodem powierzchni. Na opustoszałym parkingu słychać każdy mój krok. Gdzie ten Daniel? Umówił się ze mną na drugą, jest prawie piętnaście po. Powinien już dawno być.

To miejsce przyprawia mnie o ciarki – nawet bardziej niż stare molo. Pokryty niskimi zaroślami teren służy za dziki parking, nad nim góruje rozwalający się most kolejowy, po którym dawniej jeździły do pobliskiego miasteczka pociągi z lokomotywą parową, a nieopodal stoi brzydki budynek z lat pięćdziesiątych, mieści się w nim rzeźnia. Turyści się tu nie zapuszczają, nie trafiliby, bo miejsce leży na uboczu, na końcu ślepej ulicy. Nawet ja o nim zapomniałam, dopiero Daniel mi przypomniał. Przyjeżdżałam tu parę razy z Jezem, żeby uprawiać seks w jego podrasowanej fieście z przyciemnianymi szybami. Wówczas drżeliśmy na samą myśl o pracy w tej rzeźni, wśród kwików świń i tak dalej. Jez miał zamiar zostać sławnym didżejem i wprawiać w szal tłumy pod prażącym słońcem Ibizy. Pewnie się nie spodziewał, że tu skończy. Patrzę na budynek rzeźni przed sobą, masywny i przysadzisty, na obrzuconych kremowym tynkiem ścianach widzę brudne zacieki. Unosi się tu jakaś złowroźna aura, jakby krew, flaki i przeraźliwy strach przenikały przez ściany, naznaczając całą okolicę śmiercią.

Waham się, co teraz robić. Wrócić do przytulnej, zacisznej kabiny range rovera czy dalej stać na zimnie, sama jak kołek? Już mam wsiąść do samochodu, gdy rozlega się łomot stalowych drzwi i pojawia się w nich jakaś postać. Jestem za daleko, by stwierdzić, czy to Jez. Człowiek jest drobny, niewysoki, szara mycka na głowie przysłania mu włosy. Stoi plecami do mnie i przez parę kolejnych minut walczy z ciężkimi drzwiami. Nie może dociągnąć ich do futryny, żeby zasunąć zamek. Potem zarzuca plecak i rusza w moją stronę. Wtedy rozpoznaję tę twarz, niegdyś piękną, i bystre piwne oczy. Dramatycznie się zestarzał, ma zapadnięte policzki i twarz tak pociętą zmarszczkami, że dałabym mu znacznie więcej niż czterdzieści jeden lat. Przypominam sobie plotki o twardych narkotykach i alkoholizmie. Podchodzi do mnie ze zmarszczonym czołem, a ja instynktownie się cofam. Nagle zaczynam się bać tego mężczyzny, tej starszej, obcej wersji Jeza. Wygląda dużo bardziej prymitywnie niż kiedyś, to było do przewidzenia, ale mimo

to doznaję szoku. Ma w sobie coś, czego osiemnaście lat temu zupełnie nie było widać. Zatrzymuje się naprzeciwko mnie i bierze gwałtowny wdech.

– To ty – mówi, lustrując mnie wzrokiem. Patrę na siebie jego oczami: drogi, czerwony wełniany płaszcz o eleganckim kroju, czarne dżinsy i buty na obcasach. – Masz krótsze włosy – dodaje i niepewnie ich dotyka. Sięgają mi tuż za ramiona, nie tak jak kiedyś, do połowy pleców. – Podobno włączysz się po mieście z Danielem Collierem i doprowadzasz wszystkich do szału, węszysz i wypytujesz. – Pociąga nosem, a potem wyciera go wierzchem dłoni. Skupiam się na tym, by nie okazywać emocji. – Po co sobie zawracasz głowę? Przecież ona nie żyje.

Słyszając, że nie żyjesz, ciągle na nowo przeżywam wstrząs. Nie chcę tu być bez Daniela, sterczeć na pustkowiu w krzakach z facetem, którego nawet nie rozpoznałabym na ulicy.

– To Daniel szuka informacji... – mówię w końcu.

– Yhm! Nie wiem po co. Myśli, że jestem głupi, w tym sęk. Ale nie jestem. – Gapi się na mnie, jakby oczekiwał, że podejmę temat.

– Wiem, że nie jesteś, Jez. To ty do niego dzwoniłeś, do redakcji?

– Do redakcji, do redakcji – warczy. – Myśli, że może tu wracać i szpanować, bo ma trochę kasy i dobrą robotę. Znam Daniela od lat, razem chodziliśmy do szkoły. Kiedyś był taki jak my wszyscy.

– Wciąż taki jest – rzucam, bo nie mogę się powstrzymać. – Nie widzisz? Kocha to miasto.

Mam ochotę dodać, że nie mam bladego pojęcia czemu, ale nie dodaję.

Jez prychnie i kropelka śliny z jego ust ląduje mi na policzku.

– Nie bądź śmieszna. Oczywiście, że nie jest. Wrócił – ile? – pięć minut temu i wszystko na nowo rozbabrał. Ciekawe, że nikt nie wpadnie na to, żeby jego spytać, co robił tamtej nocy.

Skóra na głowie mi cierpnie.

– Jak to, co masz na myśli?

Rozgląda się, jakby się spodziewał zobaczyć Daniela, choć jesteśmy sami.

– Widziałem go. Tamtej nocy – mówi zniżonym głosem.

Wzruszam ramionami.

– No to co? Przecież nie twierdzi, że go tu nie było. Też go widziałam. I ciebie, i Helen, i Leona. Wszyscy byliśmy w Piwnicy.

Wydaje z siebie gardłowy dźwięk, coś między śmiechem a warknięciem.

– Później, dużo później. Wracałem do domu. Widziałem go. Z Sophie. Przy wejściu na stare molo. Kłócili się. Coś do niego wrzeszczała. Potem widziałem, jak go popycha. Wołałem do nich, czy wszystko w porządku, ale nie zwrócili uwagi. Pewnie nie słyszeli. Zresztą byłem wykończony, po robocie. Więc poszedłem dalej, do domu. Nie zaprzątałem sobie tym głowy, w końcu to brat i siostra. Każdy się czasem kłóci z siostrą.

Robi mi się lodowato.

– Mówiłeś komuś? No wiesz, wtedy? Policji?

Wzrusza ramionami.

– A co, miałbym wpędzać w kłopoty jednego z najstarszych kumpli? Poza tym nie sądzę, że on to zrobił. Założyłem, że to był wypadek, i wydarzył się później. A w ogóle to wyleciało mi to z głowy. Dopiero teraz sobie przypomniałem, jak tu przyjechał i zaczął węszyć.

Ściągam brwi.

– Nie wierzę, Daniel nie skrzywdziłby Sophie. Za nic w świecie. A jeżeli nawet, to czy kręciłby się po mieście i zadawał wszystkim pytania, co się mogło z nią stać? Nie. To bez sensu.

Jez znowu wzrusza ramionami.

– Czy to nie oczywiste? Dla zmyłki. Żeby prawda nigdy nie wyszła na jaw.

Śmieję się. Śmiech jest wymuszony, trochę piskliwy i szybko rozchodzi się w zimnym popołudniowym powietrzu.

– To absurd.

A potem uderza mnie inna myśl.

– A nie sądzisz, że to mógł być Leon? A nie Daniel? Z oddali można ich nawet pomylić. Obaj są nieprzeciętnie wysocy, mają podobne włosy. W ciemności trudno ich rozróżnić, prawda?

Jez jeszcze raz wzrusza ramionami, jakby ta rozmowa nagle wydała mu się nudna.

– Nie wiem. Zgłosiłem to na policji. Daniel już nie jest moim kumplem jak kiedyś.

Odciągam szal od szyi, bo czuję, że się zaraz uduszę. Brakuje mi powietrza.

– Ufam Danielowi. Całkowicie – mówię stanowczo, choć w tej chwili nie jest to już prawda. – On by nic Sophie nie zrobił – powtarzam.

Gapię się na Jeza z obrzydzeniem i nie mieści mi się w głowie, że kiedyś całowałam się z tym prostakiem głoszącym absurdalne tezy. A teraz jeszcze wypaplał wszystko policji i wezmą się za Daniela, a on już tyle przeszedł. Nie mam pojęcia, co zrobi, jak się dowie, że jest podejrzany.

Podejrzany. To nieprawda. Obie to wiemy, prawda, Sophie? Twój brat nigdy by cię nie skrzywdził. Muchy by nie skrzywdził, a co dopiero ciebie.

– Czy to ty anonimowo dzwoniłeś do redakcji i wyznaczyłeś Danielowi to spotkanie? Co miałeś zamiar mu zrobić, Jez? Zwabić go tutaj i przedstawić mu zarzuty? I co wtedy, ulżyłoby ci? Poczuliś się bardziej męski?

Jez patrzy na mnie spode łba, na jego twarzy maluje się odraza.

– To prawda, co o tobie mówią, Frankie. Jesteś twarda i nieżyczliwa. Pasujecie do siebie, ty i Daniel. Jesteście siebie warci. Oboje tacy sami.

– Dlaczego, bo mamy aspiracje? Bo do czegoś dążymy? Co w tym złego? –



Jestem taka wściekła, że zapominam się bać.

Naciąga myckę głębiej na czoło, brwi mu się przy tym ściągają i wygląda jeszcze groźniej. Wzdycha, a ja odkrywam, że wcale nie jest na mnie zły. Nie na mnie. Po prostu na życie, że ułożyło mu się tak, a nie inaczej.

– Nic – odpowiada i zwiesza ramiona. Nagle maleje, staje się bezbronny, do tego stopnia, że aż mam ochotę go uściskać. Och, gdybyś go teraz mogła zobaczyć, Soph. Gdybyś tylko widziała, co z nim zrobiły lata picia, narkotyków i rozczarowań. Jakiego dokonały spustoszenia.

– Przepraszam, Frankie – dodaje.

Jestem zdumiona. Ma teraz łagodny głos, jakby opuściły go niechęć i gorycz. Wyciągam rękę i dotykam jednej z jego zniszczonych dłoni.

– Nie chciałem ci tego wszystkiego mówić. Zawsze byłaś w porządku, wiesz? Lubiłem cię.

Uśmiecham się. Nagle czuję się skrępowana, przypominam sobie te nasze niezdarne obmacywanki po pijanemu, w samochodzie.

– Ja ciebie też.

Pociera sobie policzek ciemny od popołudniowego zarostu. Dostrzegam sińce pod jego oczami, zapadnięte policzki.

– Spieprzyłem sobie życie. Ale powoli staję na nogi. Chciałbym cofnąć czas, wiesz?

Założę się, że patrząc na mnie, Jez tego nie dostrzega – pewnie myśli, że mi się udało, mam ekstrasamochód, drogie ciuchy – ale ja wiem, że niczym się od siebie nie różnimy. Dokładnie rozumiem, jak się czuje.

Kiedy podjeżdżam pod dom, niebo ciemnieje, choć dopiero minęła trzecia. Od pożegnania z Jezem co chwila sprawdzam komórkę, ale Daniel nie dał znaku życia. Spodziewam się, że w takim razie zobaczę go pod domem, ale nie, nie czeka. Wchodzę na klatkę. Jestem przekonana, że tamtej nocy Jez nie widział Daniela, musiało mu się coś pomylić. Daniel twierdzi, że ostatni raz widział cię o wpół do dwunastej i że „po prostu zniknęłaś” z klubu. Może Jez zmyślał, żeby narobić zamętu, a teraz żałuje?

To miasto całkowicie wysysa ze mnie energię. Nagle dopada mnie absurdalna myśl: a może Daniel nie pojawił się dziś na spotkaniu, bo go aresztowano? Opieram się o drzwi, wzrok przyzwyczajają się do mroku. Jeszcze cztery dni i wracam. Znowu przesunę cię na tył głowy i będziesz się przepychać do przodu tylko czasami – kiedy usłyszysz w radiu twoją ulubioną piosenkę lub zobaczę w tłumie długonogą, szczupłą blondynkę. Nie zrozum mnie źle – myślę o tobie, ale nie codziennie. Nie tak obsesyjnie jak teraz, gdy po latach znów trafiłam do Oldcliffe.

Krok za krokiem, powoli idę na górę. Oczami duszy widzę Daniela w pokoju przesłuchań, a przed nim, przy stole, dwóch policjantów ze styropianowymi

kubkami z kawą, jeden stara się być miły i go zbajerować, żeby coś powiedział, a drugi jest oschły, bezwzględny, próbuje go złamać. Uh, chyba naoglądałam się za dużo seriali policyjnych.

Kiedy już prawie jestem na piętrze, z mieszkania naprzeciwko mojego, które podobno stoi puste, dochodzi jakiś hałas. Zamieram za drzwiami i nasłuchuję. Może zostało wynajęte. Jest poza sezonem, ale to możliwe – trafiają się goście, choćby Jean. I ja. Nasłuchuję jeszcze chwilę, wyteżam słuch, nie jestem do końca pewna, co właściwie spodziewam się usłyszeć. Już chcę zrezygnować i podejść do swoich drzwi, gdy ciszę przerywa kolejny hałas. A jeżeli to włamanie? Szperam w torbie, wyciągam telefon, by wybrać numer alarmowy, ale... Nie mogę zadzwonić na policję. Bo co bym powiedziała?

Z telefonem w rękę stukam do drzwi, a mentalnie przygotowuję się na nieprzyjemności.

– Halo! – krzyczę, przysuwając głowę bliżej drzwi. – Jest tam kto?

Panuje absolutna cisza. Pukam jeszcze raz, mocniej. Drzwi ustępują pod naporem moich knykci. O, były tylko przymknięte. Może ktoś ma zaraz przyjechać? Pewnie mieszkanie jest wynajęte od poniedziałku do piątku. Wystarczy lekkie pchnięcie i drzwi uchylają się szerzej. Odslaniają kawałek korytarza. Jest bardzo podobny do mojego: lśniąca dębowa podłoga, ozdobne stiuki, wysoki sufit. Powtarzam „halo”, ale nikt nie odpowiada. Niepewnie przestępuję przez próg.

– Jest tu kto? – pytam znowu i czuję się jak idiotka.

I nagle, nie wiadomo skąd, z przeraźliwym piskiem wypada na mnie coś rudego, futrzanego i chudego, z wyszczerzonymi zębami. Cofam się, oszołomiona, a oszalały kot wystrzeliwuje na klatkę. Cała się trzęsę, serce mi wali, czuję, jak krew pulsuje mi w uszach. Kot musiał być tu uwięziony, choć dam sobie głowę uciąć, że do takich eleganckich apartamentów nie wpuszczają zwierząt.

Biorę się w garść i na paluszkach wchodzę do salonu. Na policzku czuję chłodny powiew. Przez otwarte okno do pokoju wpada wilgotne letnie powietrze. Nawet się porządnie nie rozglądam, bo mój wzrok od razu przyciąga bałagan na podłodze przy stoliku obok kanapy. Leży tam w połowie cały, a w połowie rozbity wazon. Drobnutkie szklane odłamki połyskują na ciemnym drewnie podłogi. To musiał być ten hałas, który słyszałam. Kot najwidoczniej dostał się tu przez uchylone okno, choć nie mam pojęcia jak, skoro lokal znajduje się na pierwszym piętrze.

Szybki rzut oka na pokój potwierdza, że nie ma tu żadnych przedmiotów osobistych. Wątpię, czy ktoś tu obecnie przebywa. Przechodzę do sypialni – łóżko równiutko zasłane, w szafie pusto. Żadnych ubrań na drążku. Może była tu sprzątaczką, wietrzyła i zapomniała zamknąć okno?

Wracam do salonu. Zastanawiam się, co zrobić z tym stłuczonym wazonem.

Schylam się, podnoszę fragment rozbitego naczynia i natychmiast go puszczam, bo niespodziewanie rozcina mi palec. Leci mi krew, więc wkładam palec do ust, żeby ją zatamować. Ostrożnie przestępuję przez skorupy, chcę dostać się do okna i je zamknąć. Dopiero wtedy dostrzegam komputer. Ekran jest pusty, czarny. Do urządzenia podłączono drukarkę, jej zielone światełko mruga do mnie w zapadającym mroku. Marszczę czoło. Obok drukarki leży znajoma brązowa koperta A4. Biorę ją do ręki, krew z rozciętego palca brudzi róg papieru, i gwałtownie wciągam powietrze. Jest zaadresowana do mnie.

Poniedziałek, 11 sierpnia 1997

Sprawa z Alistairem wymyka mi się spod kontroli. Nie wiem, co robić.

Już tydzień minął, odkąd czmychnęłam z jego samochodu niczym przerażony kot. Od tamtego dnia nie chodziłam do pracy, symulowałam chorobę. Nie miałam wyboru, musiałam się od niego odizolować, nawet kosztem utraty pensji, na co w obliczu przeprowadzki do Londynu tak naprawdę nie mogłam sobie pozwolić.

Mama pracowała na nocną zmianę, więc codziennie do obiadu odsypiała, a ja po cichu kręciłam się po domu. Nie chciałam jej mówić, zadawałaby pytania. Miała niezwykle uczciwe podejście do pracy, nie cierpiała symulantów i leserów. Daniel też odsypiał, ale kaca, a nie nocne zmiany.

Kiedy w ostatni poniedziałek zadzwonił Leon z pytaniem, czy nie dałabym się wieczorem wyciągnąć do pubu, nawet słowem nie wspomniałam mu o rzekomej chorobie. Spotkaliśmy się na rogu przy markecie Co-op, Leon wziął mnie za rękę i razem poszliśmy do Pod Mewą. Wciąż było ciepło. Niebo przecinały różowo-pomarańczowe smugi, fale spokojnie uderzały o brzeg, ale mnie daleko było do spokoju. Sama myśl o Alistairze, jego nachalnych wargach i zapewnieniach o miłości, wystarczała, bym czuła się jak zdrajca, mimo że uczucie nie wyplętywało z mojej strony.

W pubie panował spokój, usiedliśmy więc przy oknie wychodzącym na morze. Było już po ósmej, ale na plaży stało parę grupek obserwujących zachód słońca, a deptakiem spacerowała starsza para. Popijając cydr, czułam, jak schodzi ze mnie napięcie. Skupiłam się tylko na Leonie. Z zainteresowaniem słuchałam jego relacji z dnia w pracy i z kłótni brata ze Steph po powrocie do domu. Nasze splecione dłonie leżały na stoliku, a mnie co chwila przechodził elektryzujący dreszcz.

– Chcesz przyjść do mnie na noc? – spytałam ku własnemu zdumieniu. Do tej pory nie zdarzało mi się ignorować ścisłej, narzuconej przez mamę zasady zabraniającej przyprowadzania gości na noc. – Mama jest w pracy, a Daniel nic nie powie. Zresztą jak go znam, i tak wróci dopiero nad ranem.

– Nawet nie wierzę, że mnie pytasz – odparł z uśmiechem. – To co, idziemy?  
– Wstał z rozmachem, omal nie wylewając swojego piwa.

Roześmiałam się i też się podniosłam. Leon przyciągnął mnie do siebie nad stolikiem, położył mi rękę na szyi pod włosami i pocałował tak powoli i z namysłem, że aż zakręciło mi się w głowie. Musiałam się przytrzymać stołu, żeby się nie zachwiać. Ogarnęła mnie nagła fala pożądania. Kochaliśmy się do tej

pory tylko parę razy, wykorzystując każdą szansę na intymne spotkanie, ale nasze kolejne zbliżenia trwały coraz krócej, oczywiście ze względu na okoliczności. Już sama myśl o całej nocy z Leonem, kiedy nikt nam nie przerwie powolnego poznawania się nawzajem, nieźle mnie nakręciła.

Sięgając do krzesła po dzinsową bluzę odwieszoną na oparciu, znieruchomiałam. Zrobiło się już ciemno, niebo przybrało odcień przydymionego granatu, a mimo to widziałam atramentową postać, która przygląda mi się z przeciwnej strony ulicy. Jej twarz kryła się w cieniu, ale po posturze, fryzurze i prostej linii nosa poznałam kto to. I wiedziałam, że jestem doskonale widoczna, jaskrawo oświetlona, niczym aktorka na scenie. W roli głównej.

Nie miałam pojęcia, ile tam stał i co widział. Czy na jego oczach całowałam się z Leonem, tak długo i namiętnie? Nieważne, w każdym razie tam był. Jego obecność mówiła sama za siebie. Nie było przed nim ucieczki. Mogłam dalej symulować chorobę, ale on mi przypominał, że czeka.

Odwróciłam się plecami do niego. Powoli, zdecydowanie.

– Coś się stało, Soph? – spytał Leon, okrążając stolik. – Strasznie zbladłaś.

Skinęłam głową i zmusiłam się do uśmiechu.

– Nie, tylko przez chwilę jakoś dziwnie się poczułam.

Leon oplótł mnie ramieniem w talii i wyprowadził z pubu. Alistaira już nie było. Przez całą drogę do domu miałam jednak wrażenie, że nas obserwuje. Oglądałam się za każdym samochodem w obawie, że to jego bmw, a kiedy okazywało się, że nie, oddychałam z ulgą.

Kiedy tylko przemyciłam Leona do domu, od razu wymiotłam Alistaira z pamięci. Tak jak się spodziewałam, Daniela nie było. Przynajmniej raz mogliśmy z Leonem poczuć się swobodnie. Kochaliśmy się dwa razy – pierwszy raz gorączkowo, pospiesznie, ale drugi... Potem, leżąc wtulona w jego ramię, miałam ochotę ze wszystkiego mu się zwierzyć. Czułam się z nim tak blisko, że nie chciałam przed nim niczego ukrywać. Wiedziałam jednak, że to niemożliwe.

W końcu zasnęliśmy, a o świcie obudziły nas kroki na schodach. Wyrwałam Leona ze snu szturchnięciem i kazałam mu się schować do szafy, na wypadek gdyby mama wsadziła głowę do mojego pokoju. Musiała jednak być wykończona, bo usłyszałam tylko odgłos spuszczonej wody, cichy trzask zamykanych drzwi jej pokoju i lekkie skrzypnięcie materaca pod ciężarem spracowanego ciała. Tłumiąc chichot, wydobyłam Leona z szafy. Siedział w niej skulony i nagi pod moimi ubraniami, a sukienka w kwiatki, w której byłam trzy lata temu na czyimś ślubie, wisiała mu nad samym czołem.

– Sophie Collier – szepnął, kiedy czule objęci znowu leżeliśmy w łóżku. – Kocham cię. Tak bardzo, że nie do zniesienia.

To była szczególna noc. Leon wyszedł ode mnie dopiero po siódmej, żeby jeszcze się przebrać i zdążyć do pracy.

Tego samego dnia, przed południem, kiedy wychodziłam z pobliskiego sklepiku na rogu z siatką pełną zakupów, ktoś zawołał mnie po imieniu. Odruchowo się odwróciłam. Przy krawężniku cicho warczał silnik bmw Alistaira, okno w drzwiach kierowcy było opuszczone, a ojciec Frankie patrzył na mnie błyszczącymi oczami, z uśmiechem. Tost, którego zjadłam na śniadanie, cofnął mi się do gardła.

– Myślałem, że chorujesz – zawołał, nie zważając na zdziwione spojrzenia dzieciaków, które szalały na deskorolkach koło śmietników. – Ale na mój gust wyglądasz całkiem nieźle. A nawet powiedziałbym, że doskonale. – Wskazał na moje nogi, a ja instynktownie obciągnęłam spódniczkę.

Zapieкло mnie pod powiekami, czułam, że zaraz się rozplaczę. Były to jednak łzy gniewu i wściekłości.

– Mam dzisiaj wolne, więc odpieprz się i zostaw mnie w spokoju! – zawołałam piskliwie, ponownie wzbudzając zainteresowanie skaterów. Jeden z nich, na oko szesnastolatek, w bluzie z kapturem i za dużych džinsach, coś głośno krzyknął.

Twarz Alistaira pociemniała.

– Jeżeli się jutro nie pojawisz, jesteś zwolniona – wycedził.

– Słyszałeś, co powiedziała! Odpieprz się od niej, gościu! – zawołał inny chłopak, o twarzy zrytej trądzikiem i z kolczykiem w brwi. – Nie chce z tobą gadać, prostaku. Nie dotarło?

Alistair, nie spuszczając ze mnie wzroku, zamknął okno. Ze sztywno zaciśniętą szczęką i wzrokiem wbitym w przednią szybę wcisnął gaz i ruszył z piskiem opon.

– Hej, wszystko gra? – zapytał mnie Kolczyk.

Skinęłam głową. Byłam wdzięczna tym skaterom za interwencję.

Następnego dnia rano, w środę, rozważałam, czyby znowu nie zostać w domu, ale wiedziałam, że jeżeli tak zrobię, mogę pożegnać się z pracą w hotelu. Nie mogłam sobie na to pozwolić, potrzebowałam kasy. Zwłaszcza jeżeli się okaże, że dostanę posadę w tym wydawnictwie i będę musiała się przenieść do Londynu. Nie ma mowy, żeby mama dała mi pieniądze na kaucję, bym wynajęła sobie jakieś lokum. Sama muszę o to zadbać. Nie było wyboru.

Poza tym doszłam do wniosku, że w hotelu, gdzie w zasięgu wzroku i słuchu znajdują się jego żona i córka, Alistair raczej nic mi nie zrobi. Może przyjmie wreszcie do wiadomości to, co tak niegrzecznie dałam mu wczoraj do zrozumienia.

Niestety się myliłam.

Na początku udawało mi się go unikać. Pomogłam pani Howe ogarnąć kuchnię po śniadaniu, zamieniłam parę uprzejmych słów z gośćmi, którzy wciąż siedzieli w jadalni nad talerzami z gumowatym jajkiem, i przez cały czas nie traciłam czujności – rozglądałam się za Alistairem i nasłuchiwałam jego głosu.

W środy Frankie ma wolne, wiedziałam więc, że jej nie będzie. Maria mówiła, że córka jeszcze nie wstała, a ja byłam ciekawa, co robiła przez te dni, kiedy mnie nie było. Prócz mnie nie miała w Oldcliffe wielu przyjaciół.

– Przejdiesz się zmienić pościel w siódemce, dobrze – odezwała się Maria za moimi plecami.

To nie było pytanie. Spojrzałam na jej zgarbioną sylwetkę, okrągłe ramiona, gęste ciemne włosy, takie podobne do włosów mojej przyjaciółki.

Bez słowa skierowałam się na piętro, do wielkiej szafy, która służyła jako magazyn czystej pościeli. Stała za załomem korytarza, na samym końcu. Wspięłam się na palce, by sięgnąć na górną półkę, na której znajdowały się poszwy na największe kołdry, gdy ktoś objął mnie w talii. Od razu rozpoznałam ten zapach. Piżmo i papierosy. Zrobiło mi się niedobrze. Wykręciłam się z uścisku, ale nie miałam dokąd uciekać. On wiedział to równie dobrze jak ja. Może nawet specjalnie się tu na mnie zaczął. Prócz nas, pracowników, nikt tu nie zaglądał.

Odepchnęłam jego ręce i odwróciłam się twarzą do niego.

– Czemu nie dasz mi wreszcie spokoju?

Wydał wargi i zrobił nadąsaną minę, taką samą, jaką pamiętałam z dzieciństwa: obrażony chłopiec, który właśnie się dowiedział, że nie dostanie cukierka. Ten sam wyraz twarzy przybierał, gdy Frankie chciała wieczorem wyjść, zamiast siedzieć z nim i grać w planszówki.

– Wczoraj nie byłeś dla mnie za miła – rzekł marudnie.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Modliłam się, żeby nadeszła Maria, ale gdyby nawet wybrała się na piętro, i tak by nas nie zauważyła, bo staliśmy za zakrętem.

– Muszę taka być, Alistair, ponieważ nie chcesz mnie zrozumieć. Nie jestem zainteresowana.

– Myślę, że zmienisz zdanie.

– To myśl – odparłam i przepchnęłam się obok niego, ale złapał mnie za rękę.

– Zawsze dostaję to, czego chcę, Sophie. Nie tak, to inaczej.

Czyżby mi groził?

– Nie w tym przypadku – syknęłam, strząsając z siebie jego rękę. – Wychodzę stąd, Alistair. Nie zniosę tego ani chwili dłużej.

I ruszyłam na chwiejnych nogach, ale podbiegł za mną i zawołał prosząco:

– Soph, czekaj. Nie idź. Przepraszam.

– Zostaw mnie – warknęłam. – Mam tego dość. Widziałam cię, jak mnie podglądałeś. Dlaczego nie dasz mi spokoju? Chyba masz obsesję.

Na jego twarzy pojawiła się panika.

– Cii, cii, już dobrze. – Przyłożył palec do ust. – Nie krzycz tak.

– Zaraz powiem Marii! – Emocje wylewały się ze mnie wartkim, wezbranym

strumieniem. – Powinna wiedzieć, co z ciebie za drań. Zasluguje na to. – Doszłam już do schodów.

Spojrzenie Alistaira pobiegło w górę, gdzie mieścił się pokój Frankie. Pewnie się martwił, czy jej nie zbudzimy. A co niby planował? Całować się ze mną w bielizniarce?

– Proszę cię, Sophie. Już zostawię cię w spokoju. Przepraszam. Wszystko mi się pomieszało.

– Mam taką nadzieję, Alistair. Masz czterdzieści osiem lat, na litość boską. Przepraszam, że cię pocałowałam, to się nie powinno było zdarzyć. Zapomnij o tym.

I zbiegłam ze schodów. Nie wróciłam do kuchni, do Marii, która z pewnością będzie się dziwić, czemu nie zmieniłam pościeli w pokoju siódmym. Nie. Cichaczem skierowałam się do wyjścia i wypadłam na dwór. Zatrzymałam się dopiero w bezpiecznej odległości od Alistaira.

Teraz wiedziałam, że moja noga nigdy już tam nie postanie.

Mama dzwoni, muszę odebrać, skończę później.



Parkuję przed redakcją lokalnej gazety w dzielnicy przemysłowej na obrzeżach miasteczka. Na widok astry Daniela odczuwam ulgę. Na fasadzie budynku z lat sześćdziesiątych wisi szyld z wielkim napisem: THE OLDCLIFFE ADVERTISER. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy jako piętnastolatki przychodziłyśmy tu na praktyki szkolne, pamiętasz, Soph? Ciągnęło cię wtedy do dziennikarstwa, ale z tobą już tak było, ciągle zmieniałaś zainteresowania. Wiedziałaś tylko, że chcesz robić w życiu coś kreatywnego. Ja nie miałam bladego pojęcia, co chcę robić, a na praktyki wybrałam się z nadzieją, że będzie fajnie. W każdym razie zostałyśmy rozdzielone, ja przez większość czasu odbierałam telefony, a ty chodziłaś z dziennikarzami obserwować sprawy sądowe.

Od chwili, gdy znalazłam kopertę, paręnaście razy dzwoniłam do twojego brata, ale bez skutku – nie odbierał. W rozpacz i poczucie bezradności wsiadłam w samochód i tu przyjechałam. Myślałam, że może go zastanę. Za żadne skarby świata nie zostałabym teraz sama w mieszkaniu.

Na drżących nogach idę do redakcji. W recepcji nikogo nie ma, więc wchodzę do otwartego newsroomu. Pałą się jarzeniówki pod sufitem, a nad klawiaturą pochyła się tylko jedna głowa – kobieta z luźnym końskim ogonem zebrany u nasady szyi. Na mój widok podnosi głowę i pytająco się uśmiecha. Jest młoda, ma góra dwadzieścia pięć lat, i wygląda znajomo.

Przedstawiam się.

– Mam na imię Trish – mówi. Tak, to przecież ją widziałam wtedy z Danielem. – Właśnie otrzymaliśmy coś ważnego, więc obrabiam zdjęcia.

To może wyjaśniać, czemu Daniel nie pojawił się na spotkaniu z Jezem.

– Daniela też nie ma? Widziałam jego samochód.

Dziewczyna marszczy czoło.

– Nie, gdzieś tu przed chwilą... – zaczyna, ale przerywa jej dzwonek telefonu. Odbiera, bezgłośnie szepcze do mnie „przepraszam” i odwraca się bokiem, by nagryzmolić coś na podręcznej karteczce. Korzystam z okazji i podchodzę do jedyne go wydzielonego stanowiska pracy w całym biurze. Na zamkniętych drzwiach widzę napis: REDAKTOR NACZELNY, co oznacza, że to musi być gabinet Daniela. Wchodzę, ale nie ma go w środku, choć komputer jest włączony.

Zaintrygowana, podchodzę bliżej. Jestem ciekawa, nad czym Daniel obecnie pracuje. Rzucam okiem na monitor i instynktownie unoszę rękę do ust. W przeglądarce otwarty jest artykuł o uszkodzonych ludzkich stopach wyrzuconych przez morze na plażę północno-zachodniego Pacyfiku. „Stopy się zachowały – czytamy – dzięki temu, że chroniło je obuwie, mocne buty do

wędrówek lub adidasów, które oparły się zębom padlinożerców. Stopy mogły więc należeć do ciała, które znajdowały się w wodzie przez wiele lat, a nawet dziesięcioleci”.

– Frankie?

Prawie podskakuję, tak mnie zaskoczył.

– Co ty tu robisz? – Daniel przepycha się obok mnie do biurka, sięga po myszkę i zamyka stronę, a potem świdruje mnie badawczym spojrzeniem spod zmrużonych powiek. – Grzebiesz w moim komputerze?

Kręci mi się w głowie.

– Nie grzebię. Był włączony. I poczekaj, czemu czytasz o wyrzuconych przez morze stopach?

– Bo chcę zrozumieć, jak to możliwe, zanim... no wiesz, przed środą. – Nie patrzy mi w oczy, przesuwa papiery na biurku.

Wygooglował „ludzkie stopy wyrzucone przez morze”, by się bliżej przyjrzeć temu, co z ciebie zostało, Soph. To jakaś makabra. Nagle ogarnia mnie wściekłość. Co on sobie myśli? W co się ze mną bawi?

– Gdzie ty w ogóle byłeś? – krzyczę. – Przecież mieliśmy się spotkać z Jezem, razem! A ty się nie zjawiłeś...

Patrzy na mnie z poważną, nieodgadnioną miną.

– Do redakcji wpłynęła ważna informacja... Byłem zaaferowany. – Trze oczy. Chyba jest wykończony. Po raz pierwszy do mnie dociera, z jaką odpowiedzialnością wiąże się jego praca.

– Mogłeś chociaż zadzwonić...

– Naprawdę przepraszam.<sup>[P]</sup><sub>[SEP]</sub>– Mam ci jeszcze coś do powiedzenia – dodaję i mówię mu o Jean, lalce i kopercie. – Było na niej moje nazwisko i naprawdę się wystraszyłam. Mógłbyś ze mną wrócić? Boję się, sama tam nie pójdę.

– Ty się boisz? No, lady Frankie, jestem pod wrażeniem. Nieczęsto przyznajesz się do takich rzeczy. Daj mi dziesięć minut. Zaraz wróci mój zastępca i przejmie temat, wtedy pojedziemy.

Wracamy do Willi Beauforta. Z obawą wskazuję palcem na apartament pod trójką i dokładnie relacjonuję przebieg zdarzeń. Daniel ściąga brwi, ale nie komentuje. W milczeniu podchodzi do drzwi, które teraz są zamknięte, i naciska kłamkę. Tak jak poprzednio, ustępują bez trudu. Daniel woła „halo” i znika w mieszkaniu. Za bardzo się boję stać sama, więc idę za nim. Wszystko wygląda identycznie jak godzinę temu, nic się nie zmieniło.

– Nie ma niczyich rzeczy – mówię. – Zdaje się, że nikt tu nie mieszka. Mam wrażenie, że ktoś korzysta z tego apartamentu, żeby pisać do mnie te wstrętne anonimy. Wiesz, kto jest właścicielem?

Daniel stoi plecami do mnie, nachyla się nad biurkiem przysuniętym do okna w wykuszu. Podnosi kopertę i pyta:

– Taka sama jak te, w których dostawałaś listy?

Cmokam niecierpliwie i odpowiadam, że tak, oczywiście, przecież mówiłam. Daniel uważnie przygląda się kopercie, obraca ją w rękach. Ma zagadkowy wyraz twarzy.

– Mówiłaś, że widziałas na niej swoje nazwisko, a ta jest pusta.

Wyrywam mu kopertę. No jasne, na brązowym papierze A4 nic nie ma.

Daniel jest podenerwowany.

– Wyciągasz takie wnioski na podstawie zwyczajnej brązowej koperty? Niczym się niewyróżniającej, powszechnie dostępnej?

– Ale... – Nic z tego nie rozumiem. Gapię się na kopertę, jakbym się spodziewała, że za chwilę pojawią się na niej moje dane. – Nie wiem. Na pewno widziałam swoje nazwisko... – Rzucam kopertę w stronę Daniela, ale on nawet nie wyciąga po nią ręki i papier bezwładnie spada na podłogę. Padam na kolana i gorączkowo zaglądam pod biurko. – Może tamtą gdzieś zwiąło – mówię, na próżno rozglądając się tu i tam. Wstaję i otrzepuję spodnie.

Daniel patrzy na mnie z niepokojem. Na jego twarzy maluje się niedowierzanie. Czuję, że zbiera mi się na płacz.

– Była tu, słowo daję – powtarzam cicho.

– Och, Franks. – Daniel łagodnieje i podchodzi bliżej. – Martwię się o ciebie. Jesteś wykończona.

– Nic mi nie jest. – Pociągam nosem i gęsto mrugam, by powstrzymać łzy. Tłumaczę sobie, że nie mogę się teraz załamać, skoro już tyle wytrzymałam, ale w głębi duszy marzę, by się ukryć w ramionach Daniela, schować głowę pod klapę jego czarnego paltka. Tak długo byłam silna. Jeszcze tylko trochę, Soph.

Odwracam się od Daniela i ocieram łzy rękawem, ostrożnie, żeby nie rozmazać tuszu, i nagle... zamieram.

– Wazon... – mówię, nie odrywając wzroku od stolika przy kanapie. – Wazon... zniknął.

– Jaki wazon?

Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale czuję, że ogarnia mnie przeraźliwy strach.

– Wazon... tu był... kot go strącił. Spadł i się rozbił. Ale teraz go nie ma, ktoś go sprzątnął. Ktoś tu był i go sprzątnął, i wtedy zabrał kopertę. – Słyszę własny głos, jest piskliwy, nie cierpię tego, podobnie jak nie znoszę tego, że wydobywa się właśnie ze mnie.

– Frankie, gadasz bez sensu.

Odwracam się na pięcie i patrzę mu prosto w oczy.

– Nie widzisz? Ktoś ze mną igrza. Próbuje mnie zastraszyć. Czemu?

Bierze mnie za łokieć i delikatnie prowadzi do drzwi.

– Chodźmy stąd – mówi przyciszonym głosem. – Nie powinniśmy tu

w ogóle wchodzić.

Niedobrze mi się robi, ale nie protestuję. Idę za nim do mojego apartamentu. Nagle ogarnia mnie nieuzasadnione przeczucie, że podczas mojej nieobecności ktoś w nim był. Jak wariatka latam z pokoju do pokoju, zaglądając do szafy i pod meble.

– Franks, oszalałaś? Co cię opętało?

Na głos Daniela przystaję i dziko odwracam się w jego stronę.

– Mówiłaś, że pozostałe apartamenty stoją puste. Ale to nieprawda. Wiesz, że co noc słyszę płaczące dziecko? To budynek szeregowy, Daniel. Odgłosy mogą dochodzić zewsząd. Sąsiadka z dołu mówi, że nie od niej, ale dziś rano widziałam ją z lalką pod pachą. Mam wrażenie, że ktoś... – tłumię szloch – ktoś zna moje słabości, czułe punkty. – Teraz już nic nie mogę na to poradzić, zalewam się łzami, gorącymi i pełnymi złości.

– Franks...

Daniel jest wstrząśnięty, ale ja już się nakręciłam. Wylewam z siebie wszystkie obawy i emocje, które do tej pory z powodzeniem skrywałam. Nie kontroluję tego, co mówię.

– Ja ją widzę! Widzę Sophie! Ona mnie obserwuje, jest na moło, idzie za mną do domu, stoi na podjeździe, woła mnie po imieniu. Chce ze mną rozmawiać, może próbuje mnie ostrzec? A teraz proszę, w mieszkaniu naprzeciwno ktoś się pojawił. I pisze do mnie ohydne anonimy... nie mogę... nie wiem, co robić... – Ukrywam twarz w dłoniach, jestem zażenowana własnym wybuchem. Zwykle świetnie się trzymam, potrafię nad sobą panować, nawet w bardzo stresujących sytuacjach, więc dlaczego tutaj czuję się tak, jakbym się miała zaraz rozpaść na tysiąc małych kawałków?

Daniel nic nie mówi, tylko mnie przytula. Przez parę minut moczę mu łzami koszulę, a potem jakoś biorę się w garść.

– Przepraszam – mówię po chwili, pociągając nosem. Nie patrzę mu w oczy.

– Przepraszam, że to powiedziałam. O Sophie. Wiem, że to niemożliwe, to tylko moja wyobraźnia.

– Franks – mówi Daniel w moje włosy. – Wydaje mi się, że w mieszkaniu naprzeciwno nikogo nie ma. Nie potrafię wyjaśnić ani wazonu, ani koperty, ale nic nie wskazuje na to, żeby ktoś tam przebywał. – Odsuwa się ode mnie i czułym gestem ociera mi oczy. – Przepraszam, że cię na to naraziłem. Nie powinienem był cię prosić, żebyś tu wracała. Nie miałem pojęcia, ile cię to będzie kosztować. A to, co powiedziałaś o Sophie... rozumiem. Mnie się latami wydawało, że ją widzę. Tak się dzieje, gdy umiera ktoś, kogo kochasz.

Nie mogę mu powiedzieć, że chodzi o znacznie więcej. Że kiedy cię widzę, wydajesz mi się równie prawdziwa jak on teraz. Że to nie tylko kwestia czyichś długich blond włosów lub szczupłych nóg, które przywołują wspomnienia. Nie.

Osoba, którą widzę, to ty. Rzeczywista ty. Wiem to na pewno – tak samo jak wiem, jak mam na imię. Chociaż nie jestem pewna, dlaczego tu jesteś. Czy to zemsta za to, że wtedy nie przysłałam ci z pomocą? A może próbujesz mnie ostrzec? Pomóc mi? Nigdy nie wierzyłam w duchy, to była twoja specjalność. Ale teraz... teraz...

Daniel całuje mnie w czubek głowy i odsuwa.

– Nastawię wodę. Wszystko się ułoży. Mam dobre przeczucia. Chyba jesteśmy coraz bliżej odkrycia, co się stało z moją siostrą.

Wychodzi z pokoju, a ja zamykam się w łazience. Myję twarz, poprawiam makijaż i czeszę włosy, dopóki nie odzyskuję spokoju. Z lustra patrzą na mnie moje własne ogromne oczy. Po płaczu zielone tęczęwy wydają się jeszcze bardziej błyszczące.

Kiedy wychodzę, Daniel siedzi na kanapie. Zaciągam zasłony, rozmyślnie patrząc tylko na tkaninę, broń Boże za okno. Nagle stajesz mi przed oczami, ostro i wyraźnie, twarz i roześmiane szare oczy – a obraz jest tak rzeczywisty, że krzyczę z bólu i zdumienia, jakby ktoś ugodził mnie nożem. Zżera mnie poczucie winy. Że nie mogłam cię ocalić.

– Franks? – Głos Daniela przywołuje mnie do rzeczywistości.

– Już w porządku. – Uśmiecham się krzepiąco. Zapewne sądzi, że tracę rozum, więc nic więcej mu nie powiem. Pocieram się po brzuchu. – To tylko jakiś napadowy ból brzucha.

– Siadaj, na miłość boską, bo jeszcze mi tu padniesz na zawał. – Żartuje, ale słyszę w jego głosie troskę. Posłusznie sadowię się obok niego na kanapie i upijam łyk herbaty. Fu, słodzona, ale nie narzekam. Przyda mi się trochę energii do wzmocnienia skołatanych nerwów.

– Chcesz, żebym został na noc? – pyta. – Prześpię się na kanapie.

Korci mnie, by powiedzieć „tak”, wziąć go do swojego łóżka i się w nim zatracić, ale wiem, że nie mogę. W tej chwili trudno mi o rozsądek, ale on ma przecież dziewczynę. Słodki, kochany Daniel. Nie chciałabym go zranić, tak jak kiedyś.

– A Mia? – pytam.

– Zrozumie – odpowiada Daniel, ale po jego minie widzę, że kłamie.

Nie zrozumiałaby. Ja na jej miejscu bym nie zrozumiała.

Ściskam jego dłoń.

– Dzięki, Dan. Ale wiesz, oboje wiemy, że nie byłaby zadowolona. Nie chcę ci przysparzać kłopotów.

Siedzi u mnie jeszcze godzinę. Zamawiamy coś do jedzenia, potem on wychodzi zadzwonić, bo tu, w budynku, praktycznie nie ma zasięgu. Zostawiam drzwi uchylone i czaję się w kuchni, co chwila zerkając na schody i korytarz, na wypadek, gdyby ktoś wchodził do mieszkania obok. Daniel mi nie wierzy, ale ja dokładnie wiem, co widziałam. Jestem przekonana, że ktoś się tam kręci. Może nie

przez cały czas, może przychodzi tylko po to, by pisać te tchórzliwe listy, a potem się wymyka, pozostawiając brązowe koperty, a w nich obrzydliwe, podłe hasła. Nie rozumiem, co chce tym osiągnąć. Wystraszyć mnie i w ten sposób nakłonić do wyjazdu? Z chęcią spakowałabym się i uciekła do Londynu nawet w tej chwili. Ale nie mam zamiaru – jeszcze nie. Nie mogę pozwolić, by mnie złamało parę nieudolnych anonimów.

Wraca Daniel. Ma czerwony nos, a na jego ramionach i włosach bieleją płatki śniegu, które wyglądają trochę jak łupież. Rozmawiamy o wszystkim, byle nie o tobie. Pochłaniamy dostarczone dania i Daniel się żegna. Na sekundę przystaje przy drzwiach.

– Nie schodź ze mną na dół, sam się wypuszczę – mówi, widząc, że zaczynam wkładać buty. Cmoka mnie w policzek, a ja walczę z pragnieniem, by objąć go za szyję i pocałować.

Niechętnie zamykam za nim drzwi. W mieszkaniu natychmiast robi się pusto. Dorzucam parę drew do piecyka i wypijam kolejny kieliszek wina. Jutro znowu trzeba zrobić zakupy. Od kiedy tu przyjechałam, zdecydowanie za dużo piję. Myślę tylko o tobie, Soph. Nie o interesach, jak do tej pory. Wkręciłaś mi się z powrotem do głowy i okupujesz ją tak samo jak zaraz po swoim zniknięciu.

Od pierwszej nocy tutaj robię to samo – przynoszę sobie kołdrę i zwijam się pod nią na kanapie. Pościel wciąż pachnie Mikiem, a ja gdzieś w głębi duszy żałuję, że dziś rano go stąd odesłałam. Teraz przydałoby się towarzystwo.

Telewizor jako tako odbiera. Uspokaja mnie paplanina bohaterów dramatu kostiumowego. Dopijam butelkę wina i nie przebierając się w piżamę, zapadam w głęboki sen. Budzą mnie ryki dziecka. Jak z zegarkiem w ręku, myślę sobie, mrugam i spoglądam na zamazane zielone cyferki na wyświetlaczu odtwarzacza DVD. Jest druga. To się zawsze zaczyna punkt druga. Nasłuchuję, próbuję nie zwracać uwagi na gęsią skórę na ramionach i ciarki przechodzące po karku, jak wtedy, gdy ktoś delikatnie dmucha ci na gołą skórę. Płacz powtarza się rytmicznie. Na jakieś pięć minut ustaje, a potem znowu się zaczyna. Ustaje. Zaczyna się. Ustaje. Prawie jak...

Zeskakuję z kanapy i podbiegam do drzwi. Skąd dochodzi ten płacz? Staję na palcach i wyglądam przez wizjer. W korytarzu pali się ciemna żarówka, więc kąty kryją się w mroku, ale wmawiam sobie, że nikogo tam nie ma. Czy jestem na tyle odważna, by w środku nocy wyjść na klatkę? Zanim zdążę to dobrze przemyśleć, wracam do salonu po srebrny świecznik, ozdobę piecyka. Nie jestem pewna, w jaki sposób bym go użyła, ale z bronią w ręku czuję się bezpieczniej. To tak na wypadek, gdyby jednak ktoś się na mnie czaił. Ktoś, kto pragnie – jak twierdzi Daniel – zemsty.

Chwytam klucze do mieszkania leżące na granitowym blacie i zatrząskuję za sobą drzwi. Stoję na klatce, w skarpetach i ze świecznikiem w ręku. Wzdrygam się

na widok własnego odbicia w łukowatym oknie, ale potem parskam śmiechem. Wyglądam jak wariatka, Soph. Na głowie kołtun, a w oczach szaleństwo.

Zamieram. Raz, dwa, trzy... i dziecko znowu zaczyna. Tak jak wczoraj w nocy, i przedwczoraj, i jeszcze wcześniej. Na palcach podchodzę do drzwi apartamentu numer trzy. Tak, zdecydowanie płacz dochodzi stamtąd, nie z dołu, jak początkowo myślałam. Powolutku posuwam się do przodu, delikatnie popycham drzwi. Ustępują tak samo jak wcześniej. Płacz się nasila. Muszę to zrobić, muszę tam wejść. Zaciskam dłoń na świeczniku, wchodzę do małego przedpokoju i włączam światło. Wszystko wygląda tak samo jak przedtem, kiedy byliśmy tu z Danielem. Prócz tego, że słyhać przeszywający płacz dziecka. Jeżeli w tym mieszkaniu nie ma dziecka, to skąd bierze się ten dźwięk?

Z sercem w gardle zbliżam się do salonu. Wrzaski wzmagają się, zatykam uszy rękami. Rozglądam się po pokoju – ani śladu dziecka. I wtedy spostrzegam stojący przy oknie komputer. Z ekranu bije upiorny zielony blask. Kamienieję. Gapię się jak zahipnotyzowana na zielone fale i zygzaki przebiegające po czarnym tle. To nagranie. Nagranie drącego się wniebogłosy dzieciaka. Jakim trzeba być psycholem, żeby coś takiego wymyślić?

Sięgam po myszkę i próbuję to wyłączyć. Całkiem nieźle znam się na komputerach, ale tu chyba mam do czynienia z wyjątkowo wyszukanym sprzętem, bo mimo że naciskam odpowiednie klawisze, nie udaje mi się wyciszyć dźwięku. W porwywie złości z całej siły kopię w nogę biurka. Co tu się, kurwa, dzieje? W końcu udaje mi się trafić na regulator głośności i w pokoju zapada cisza.

Staję obok biurka. Ciemność otula mnie jak koc. Jedyne światło dochodzi z ekranu komputera.

Nagle rozlega się jakiś łomot. Podskakuję i nerwowo rozglądam się wokół siebie. Myślałam, że jestem sama, ale co, jeżeli się mylę? Jeżeli osoba, która nastawiła komputer, gdzieś tu czeka? Wzdrygam się i jak oszalała, trzaskając za sobą drzwiami, wybiegam z mieszkania. Drżącą ręką próbuję wcelować kluczem do zamka, a kiedy wreszcie mi się udaje, natychmiast wchodzę, zamykam drzwi i osuwam się na podłogę.

Co to wszystko znaczy, Sophie? Co tu się dzieje?

Muszę się zastanowić. Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, kto jest właścicielem mieszkania numer trzy, myślę, przeklinając w duchu to, że nie ma tu internetu. Pierwsza rzecz rano – idę do kawiarni, mówię sobie, po czym podnoszę się z podłogi i owinięta kołdrą, trzęsąc się na całym ciele, z powrotem układam się na kanapie. Chwytam się za pasmo włosów – nic na to nie poradzę, Soph. Kiedy mocno za nie ciągnę, czuję ulgę, a napięcie słabnie. Gapię się na ciemne, grube włosy, które zostają mi w palcach. Nie robiłam tego od lat. Nawet po rozstaniu z Christopherem.

No, przynajmniej zdołałam uciszyć to „dziecko”, myślę sobie i parskam

histerycznym śmiechem.

Drżącą ręką sięgam po telefon i wybieram numer Daniela. Mia będzie wściekła, że dzwonię do jej chłopaka w środku nocy, ale nie mogę inaczej – nie wytrzymam tu do rana. Modlę się, żeby w ogóle złapać jakiś zasięg. Z ulgą słyszę w słuchawce niski, zaspany głos. Zanim tracę zasięg, błagam go, żeby jak najszybciej przyjechał.



Poniedziałek, 11 sierpnia 1997

Jestem tchórzem. Od czasu, gdy nawiałam z hotelu, nie pokazałam się Alistairowi na oczy. Następnego dnia zadzwoniła Frankie. Chciała wiedzieć, o co chodzi. W pierwszej chwili mnie zmroziło – pomyślałam, że słyszała, jak wrzeszczałam na jej tatę na schodach. Ale nie, ona po prostu nie rozumiała, czemu uciekłam. Musiałam skłamać. Powiedziałam jej, że mam poważne problemy z żołądkiem i lekarz kazał mi dużo odpoczywać. Od tamtej pory siedzę w domu i czytam książki, przeważnie takie, które już kiedyś czytałam. Wiem, że to nie może trwać wiecznie i że w pewnym momencie będę musiała wyjść z domu. Często budzę się w nocy, zlana zimnym potem i przerażona, że Alistair czai się przed domem albo siedzi w swoim samochodzie. Nie mogę pozbyć się uczucia, że jest w pobliżu. I że mnie obserwuje. Wiem, że to chore, zwłaszcza że nie próbował niczego więcej niż mnie pocałować. Ale tak naprawdę nie boję się jego, tylko jego złudzeń, przekonania, że coś do niego czuję, podczas gdy ja w tej chwili żywię wobec niego jedynie odrazę. Na myśl o Alistairze przechodzą mnie ciarki.

W sobotę rano w salonie pojawił się Daniel z naręczem kwiatów. Siedziałam na kanapie pod kocem i udawałam, że jestem chora.

– Zobacz, co dostałaś. Leon musi być po uszy zakochany – powiedział i z uśmiechem wręczył mi bukiet.

Zmroziło mnie. Nie musiałam czytać dołączonej do kwiatów karteczki, od razu wiedziałam, że to nie od Leona. On nie miał forsy na zbytki, a zwłaszcza na takie imponujące kwiaty. Ostatnio parę razy do mnie dzwonił, ale prosiłam, żeby nie przychodził, bo może się zarazić. Nie widziałam go jednak od tamtej nocy, którą u mnie spędził, i oczywiście bardzo tęskniłam, choć z drugiej strony gnębiły mnie potężne wyrzuty sumienia i nie byłabym w stanie spojrzeć mu w oczy.

Kwiaty były przepiękne, bez dwóch zdań – ogromne aksamitne róże, nigdy nie widziałam takiej odmiany. Łzy napłynęły mi do oczu, nie łzy szczęścia, jak zapewne sądził mój brat, ale rozczarowania. Och, ile bym dała, by to Leon mi je przysłał!

„Wiem, że czujesz to co ja – przeczytałam na bileciku. – Nie poddam się”. Bez podpisu. Którego wcale nie potrzebowałam.

Daniel musiał zauważyć mój nastrój, bo przycupnął obok mnie na kanapie.

– Hej, mała, co się dzieje? Martwimy się o ciebie z mamą.

Pierwszy raz o tym słyszałam. Mama, prócz paru ukradkowych spojrzeń w moją stronę, nie dała niczego po sobie poznać. Słyszałam, że po powrocie z nocnej zmiany do mnie zajrzała, pewnie żeby sprawdzić co i jak, ale udawałam,

że śpię. A potem, kiedy wczesnym popołudniem wstała, ugotowała mi zupę. Twierdziła, że muszę coś jeść, choć na samą myśl o jedzeniu żołądek podchodził mi do gardła. Zaczynam się naprawdę czuć, jakbym miała grypę żołądkową!

– Nic takiego, to tylko ten wirus – odparłam, choć nie zabrzmiało to specjalnie przekonująco. Nikt nie zna mnie lepiej niż Daniel, nawet Frankie. – Przejdź, wstawię je do wody.

Odsunęłam się od niego i jego niewygodnych pytań z ciężkim bukietem w dłoni. Woda z łądyżek ciekła mi po rękę. W kuchni przystanąłam na chwilę nad koszem. Zastanawiałam się, czy od razu ich nie wyrzucić. Uderzył we mnie smród śmieci – gnijąca kapusta, resztki wczorajszego obiadu. Zebrało mi się na wymioty i musiałam się natychmiast odwrócić.

W kuchni zjawiała się mama w wytartym szlafroku. Włosy jej sterczały i narzekała, że nie może spać. Naturalnie zachwycała się kwiatami. Bo kto by się nie zachwycał. I oczywiście musiałam udawać, że to od Leona. Kłamstwo za kłamstwem, a za nimi jeszcze jedno kłamstwo. Wyjęła mi kwiaty z ręki, oznajmiła, że jestem blada jak ściana, i kazała mi się natychmiast położyć. Powiedziała, że sama wstawi kwiaty do wody.

Wczoraj po południu przyszedł Leon i Daniel natychmiast zaczął się z nim drażnić na temat kwiatów.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł szorstko Leon i spiekł raka.

Wciągnęłam go do środka, a Danielowi kazałam spadać.

– O co chodzi? – dopytywał Leon, kiedy już znalazł się w moim pokoju, gdzie o mały włos nie potknął się o stos książek piętrzący się przy moim łóżku.

– Ee, dostałam je od rodziców Frankie. A Daniel myślał, że od ciebie – odparłam nieuważnie.

Leon nie wyglądał na przekonanego. Raz po raz rzucał mi ukradkowe spojrzenie, jakby chciał sprawdzić, czy nie ściemniam. Kłamać to ja nigdy nie umiałam.

– Mizerna jesteś – stwierdził.

Rzeczywiście, z włosami zebranymi w koński ogon i bez makijażu kiepsko wyglądałam i doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Miałam cienie pod oczami i smutną, ściągniętą twarz. A ponieważ przez cały tydzień prawie nic nie jadłam, na siłę wciskałam w siebie ledwie parę łyżek zupy, dzinsy już na mnie wisały. Jeżeli nie przestanę chudnąć, niedługo zostaną ze mnie skóra i kości.

– Od razu się lepiej poczułam, jak przyszedłeś – wyznałam. – Stęskniłam się.

Leon przysiadł na krawędzi łóżka i spojrzał na mnie ze smutkiem. Od razu zrobiło mi się ciepło na sercu.

– Chciałem przyjść – rzekł obronnym tonem – ale trzymałaś się ode mnie z daleka. Martwiłem się, że czymś cię uraziłem. Tydzień temu. No wiesz, jak u ciebie nocowałem.

Nagle poczułam, że zaraz się rozpłaczę.

– Nic nie zrobiłeś nie tak. Nie chciałam, żebyś złapał ode mnie to świństwo, i tyle.

Wsunął kciuk w szlufkę moich dżinsów i przyciągnął mnie do siebie.

– Też się stęskniłem – powiedział i przechylił się do tyłu.

Potoczyliśmy się na łóżko, na moją narzutę w pierroty. Tyle mieliśmy do nadrobienia!

W tamtej chwili w moim sercu gościła pewność, że wszystko się ułoży. O ile będzie przy mnie Leon.

Wtorek

W snach nawiedzają mnie twarze. Twarze z przeszłości: twoja, Leona, Helen, Daniela, Jasona, a nawet jego siostry. Nie pamiętam, jak miała na imię, zapamiętała z pogrzebu tylko jej smutną, ściągniętą buzię i masę jasnych włosów. Lata o niej nie myślałam, ale powrót tutaj i anonimowe listy przywołały tyle bólu, tyle emocji. I tyle poczucia winy.

Śpię niespokojnie. Coś mi się śni, potem nagle się budzę. Z ulgą witam pierwsze przebłyski światła w szparze między zasłonami. Ze zdziwieniem stwierdzam, że jestem w sypialni. Dopiero po chwili przypominam sobie szalony telefon do Daniela o wpół do trzeciej nad ranem, jego ciężki, zaspany głos i swoją ulgę, gdy kwadrans później z rozczochranymi włosami i uśmiechem niedowierzania stanął w drzwiach, a ja ze zdumiewającą jasnością umysłu jednoznacznie stwierdziłam, że go kocham. Soph, to prawda. Zakochałam się w twoim starszym bracie. Przez kilka ostatnich dni był dla mnie prawdziwą ostoją. Teraz wiem, że to właśnie jego przez tyle lat brakowało w moim życiu. Gdyby spojrzeć na to uczucie, to chyba zawsze go kochałam, tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy. Trwałam w przekonaniu, że potrzebuję ambitnego, enigmatycznego indywidualisty. I za takimi się oglądałam – patrz Jez i Leon. I Jason. A tymczasem było na odwrót. Powinnam była szukać kogoś niezawodnego, solidnego, człowieka kotwicy. Tak bardzo się starałam uciec przed dawną Frankie, że nie zauważyłam, że wszystko, czego mi trzeba, mam pod nosem.

Ale wcale tak nie jest. Nigdy nie ma się wszystkiego, czego się potrzebuje. Ty o tym wiesz, prawda, Soph?

Odgarniam kołdrę, zdejmuję szlafrok z haczyka na drzwiach i zakradam się do salonu. Na kanapie skulony śpi całkowicie ubrany Daniel. Koc jest za krótki, nie zakrywa go całego i wystają mu nogi. Daniel ma spokojny wyraz twarzy, zamknięte usta, oddycha płytko. Korci mnie, żeby zgarnąć mu z czoła ten ciemny pukiel. Stoję i przyglądam mu się przez chwilę. Myślę o tym, jaką szczęściarą jest Mia, gdy nagle oczy Daniela się otwierają, natychmiast stają się okrągłe ze zdumienia, rozglądają się po pokoju i dostrzegają mnie w szlafroku, nieco rozchylonym, tak by odsłaniał kawałek dekoltu. Wiem, wiem, to tani chwyt. Ale znasz mnie, Soph. Aż tak bardzo się nie zmieniłam.

Daniel siada i z jękiem pociera się po pokrytej całodniowym zarostem brodzie.

– Która godzina?

– Po ósmej. Nastawię wodę. – Drepczę do kuchni, ale z salonu dochodzą do mnie jego protesty. Słyszę, jak odrzuca koc, wstaje i chodzi po drewnianej podłodze. Już coś go do niej gna. Nie pierwszy raz zastanawiam się, jak ona

wygląda, ta cała Mia. Daniel prawie o niej nie wspomina, ale to milczenie mówi dużo więcej, niż gdyby gadał jak nakręcony.

Pstrykam włącznik czajnika i czekam. Po paru sekundach Daniel się pojawia. Wypełnia sobą całe światło drzwi. Sterczą mu włosy z jednej strony głowy, pognieciona koszula wystaje z dżinsów.

– Przepraszam, Franks, będę lecieć. Przed pracą muszę jeszcze wstąpić do domu i wziąć prysznic.

Obiecuję, że zadzwoni później, teatralnym gestem, nieświadomy stanu mojego ducha, posyła mi w powietrzu buziaka, po czym znika. Mieszkanie bez niego w jednej chwili staje się puste i ogromne.

Biorę prysznic, ubieram się i wmuszam w siebie trochę owsianki. Co chwila zerkam na kuchenny zegar. Wskazówki poruszają się nieznośnie wolno. Dopiero wpół do dziewiątej. Muszę znaleźć jakąś kawiarnię z wi-fi, żeby sprawdzić, kto jest właścicielem mieszkania naprzeciwko. Nie sądzę, aby któraś kawiarnia w miasteczku była otwarta od świtu. Coś dziwnego się tu dzieje. Czemu ktoś miałby się tak ze mną bawić? I to płaczące dziecko... Zupełnie jakby ten ktoś wiedział, Soph. Ale skąd? Jak?

Kiedy Daniel pojawił się u mnie w nocy, płakałam i cała się trzęsłam. Rozejrzał się po tamtym mieszkaniu, a potem próbował mnie uspokoić. Usiedliśmy na kanapie, wziął mnie za ręce i powoli wyłożył, co o tym sądzi: komputer miał nastawione czasowe włączanie, ktoś zapomniał to wyłączyć i wcale nie było to działanie wymierzone we mnie, tylko zwyczajny zbieg okoliczności. „Może ktoś prowadzi jakieś badania albo pracuje nad filmem. Jest wiele powodów, dla których można mieć nagrany płacz dziecka”, argumentował.

Miał gotowe racjonalne wyjaśnienia. Ale ja w głębi serca wiedziałam, że to było skierowane przeciwko mnie. Widziałam tam kopertę ze swoim nazwiskiem. Co z tego, że później zniknęła.

Myślałam też o tym, co usłyszałam od Jeza. O oskarżeniach pod adresem twojego brata. Zapytałam Daniela wprost, ale mnie zbył. Powiedział, że Jez gada bzdury i że to nie on kłócił się z tobą na molo tamtej nocy, gdy zniknęłaś. Twój brat zawsze był taki czytelny, przezroczysty, myśli i uczucia miał wymalowane na twarzy. Mówił niecierpliwie, nie tracił ani sekundy, gdy chciał ogłosić nowinę. Biegunka słowna, tak to komentowałaś.

Ale wczoraj... Wiem, że coś przede mną ukrywał.

Płacz tego dziecka. Okrutna drwina, jakby ktoś celowo chciał mnie skrzywdzić. Mówiłam Danielowi, że bardzo pragnęłam mieć dziecko. Jest jedyną osobą w Oldcliffe, która o tym wie. Nurtuje mnie pewna myśl – tak okropna, że wciąż ją od siebie odpycham i nawet sama nie chcę jej ubrać w słowa.

Muszę ufać Danielowi. Pamiętam, jak bardzo mnie kochał, i wiem, że wciąż żywi do mnie sentyment. Muszę się trzymać tej myśli, Soph, bo poza nim nikogo

nie mam. Jestem sama.

Zamykam oczy i masuję czoło. Mam zamulony umysł, czuję nadchodzącą migrenę. Wiem, że to brak snu – efekt wielu nocy spędzonych na kanapie, po opróżnieniu butelki wina. Dalsza część tygodnia rozciąga się przede mną niczym zator na autostradzie. Nie mogę nawet wrócić do domu, no, chyba że mam ochotę dzielić mieszkanie z byłym chłopakiem – to znaczy, jeżeli Mike tam jest. Od czasu, kiedy wypadł stąd wczoraj jak burza, ani razu się do mnie nie odezwał.

Jednym łykiem dopijam kawę. Biorę laptop i telefon i wciskam je do dużej torebki. Przy drzwiach przystaję. Myśli mi galopują, nagle zaczynam się obawiać, co zastanę na klatce. Może osoba, która w nocy terroryzowała mnie tym chorym nagraniem, czeka i będzie mnie podglądać przez szparę w drzwiach?

Niepewnie uchylam drzwi na korytarz. Przez łukowate okno wpada słabe zimowe słońce, rozjaśniając mroczną zwykle przestrzeń. Drzwi do mieszkania numer trzy są zamknięte. Ciekawe, czy nadal tylko na klamkę. A może ktoś już tu był i zamknął je na klucz, na przykład rano, gdy spaliśmy. Na klatce schodowej nikogo nie ma, z ulgą wychodzę z mieszkania i zamykam za sobą drzwi.

Coś szeleści mi pod butem. Spuszczam wzrok i nieruchomieję. Zahaczyłam obcasem o szarobrazową kopertę. Schylam się, żeby ją podnieść, i w lewym górnym rogu od razu dostrzegam rozmazaną kroplę krwi. Wygląda jak makabryczny znaczek. Nie mam wątpliwości. To ta sama koperta, która wczoraj leżała na biurku, a potem tajemniczo zniknęła.

Rozdzieram ją i wyciągam pojedynczą kartkę.

OBSERWUJĘ

Przechodzą mnie ciarki. Gwałtownie odwracam głowę, jakbym się spodziewała, że przyłapię kogoś na gorącym uczynku. Ale nie, nikogo nie ma, są tylko zamknięte, pomalowane na biało drzwi ze srebrną trójką połyskującą w słabym słońcu.

– Kurwa mać! – przeklinam w ich stronę i dla podkreślenia wystawiam środkowy palec. Opieram się pokusie, by co prędzej zbiec na dół. Choć instynkt nakazuje mi to właśnie zrobić, schodzę powoli, spokojnie i zabraniam sobie myśleć o tym, że ktoś mnie śledzi, zaraz zepchnie mnie ze schodów, a ja spadnę i się zabiję. Kurczowo ściskam poręcz i walczę ze strachem.

Dopiero gdy mocno popycham ciężkie drzwi frontowe, przechodzę po zgrzytającym pod butami żwirze i wślizguję się do samochodu, pozwalam sobie na łyzy.

Nie będę temu dłużej zaprzeczać, Soph. Boję się. Ale tak na serio.

Jakimś cudem udaje mi się znaleźć otwartą kawiarnię z wi-fi. Mieści się przy bocznej uliczce z kocimi łbami, prawie za hotelem, w którym się wychowałam. Jest mała i praktycznie pusta. Choć leży daleko od plaży, siadam w kącie przy oknie, tak by słyszeć skrzeczenie mew i czuć zapach soli w powietrzu. Żebym

przypadkiem nie zapomniała, że jestem w Oldcliffe.

Kelnerka przynosi mi kawę, croissanta i próbuje wciągnąć mnie w rozmowę.

– Pani chyba nietutejsza, jeszcze pani nie widziałam – mówi z silnym akcentem z West Country, stawiając przede mną kawę z mlekiem.

Początkowo zamówiłam americano, ale spojrzała na mnie bez zrozumienia, więc poprawiłam się i poprosiłam o zwyczajną kawę. Dziwię się, że nie wie, kim jestem. Bo mam wrażenie, że już wszyscy wiedzą.

Stoi przy moim stoliku, wyglądem fartuch i lustruje mnie uważnym spojrzeniem. Próbuje mnie z czymś lub kimś skojarzyć, wiem o tym. Podnoszę na nią wzrok. Jest w moim wieku, ruda, piegowata. Mam jej imię na końcu języka. Czyżbyśmy znały się ze szkoły?

– Frankie? Jesteś Frankie, prawda? Tak myślałam.

Uśmiecham się. Usiłuję sobie przypomnieć jej imię.

– Jenny. Jenny Powell. Chodziłyśmy razem do klasy, pamiętasz? – Obraca w dłoniach notes i długopis, jej pogodna twarz nagle się zachmurza. Wracają do niej wspomnienia. I do mnie też, wspomnienia tego, jak ludzie na mnie patrzyli po twoim zniknięciu. – Coś okropnego – dodaje, potrząsając głową – z tą Sophie Collier. Wiesz, że ludzie nigdy się z tym nie pogodzili? A teraz podobno się potwierdziło, że nie żyje.

Patrzy na mnie i dalej kręci głową. Dostrzegam w jej oczach coś innego. Błysk zainteresowania, bo nagle pojawia się pole do plotek.

– Dlatego wróciłaś? Żeby się dowiedzieć, jak to było? – Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale ona jest pierwsza. – Ile to lat minęło... czekaj, czekaj. Osiemnaście?

Kiwam głową.

– Paskudna sprawa. – Nie spuszczać ze mnie wzroku, z namysłem gryzie długopis.

I nagle ją rozpoznaję. Już wiem, która to. Miała warkoczyki, tak ciasno zaplecione, że zawsze odnosiłam wrażenie, że jej matka robi to w porwywie złości – zbiera jej włosy i tak je naciąga, że żaden nie śmie się wymknąć. Przez to wyglądała surowo, poważnie. Przyjaźniła się z Helen i na pewno chętnie trzymałaby się blisko ciebie, gdyby nie ja.

– Naprawdę ją lubiłam – powiedziała prawie do siebie. – Zawsze była dla mnie taka miła. I dla Helen. Mimo że byłyśmy dziwaczkami! – Śmieje się, ale między słowami wyczuwam urazę.

Rzeczywiście, miałaś serce dla dziwolągów. Zresztą dopóki nie wzięłam cię pod swoje skrzydła, sama do nich należałaś.

– Tak, była kochana – mówię. – Wszyscy ją uwielbiali. – Zawsze uważałam, że jesteś dużo miłsza ode mnie. Nie zasługiwałaś na taki los, Soph.

Jenny w geście współczucia dotyka mojego ramienia. Najwyraźniej rzuca się



w oczy, że posmutniałam.

– Przepraszam – mówi cicho, łagodnie. – Na pewno musiało być ciężko tu przyjechać, za każdym rogiem wspomnienia i tak dalej.

Mówię jej, że tak. Tym bardziej że cały czas mi towarzyszysz, chociaż o tym jej oczywiście nie nadmieniam.

– Powinni już rozebrać to stare molo, tylko straszy – dodaje z uczuciem. – Nie wspominając o tym, że jest niebezpieczne. Nie rozumiem, czemu jeszcze stoi.

Wiem, że byś się z nią nie zgodziła. Kochałaś wszystko, co stare i związane z przeszłością.

– Też wołałabym na nie nie patrzeć.

Uśmiecha się do mnie współczująco i wreszcie zostawia mnie w spokoju, bo do kawiarni wchodzi kolejny gość.

Biorę łyk ohydnej kawy, zmuszam się, by ją przełknąć, po czym klikam na ikonkę połączenia z siecią i z ulgą stwierdzam, że mam internet. Wchodzę na stronę rejestru książ wieczystych i odszukuję zakładkę z informacją o własności. Dziwię się, jakie to proste. Wstukuję adres mieszkania numer trzy – miasto, ulica i tak dalej. Serce mi łomocze. Muszę uiścić niewielką opłatę. Sięgam po torbę, wydaję portfel. Oglądam się przez ramię, czy nikt mnie nie obserwuje, ale nie – w lokalu prócz mnie siedzi jeszcze tylko jeden klient, starszy pan pochylony nad gazetą. Szybko wpisuję numer karty i czekam, aż na ekranie wyświetli się żądana informacja. Mam spocone dłonie, kawa przelewa mi się w żołądku.

Biorę łapczywy oddech. Starszy pan podnosi głowę znad lektury. Robi mi się słabo, mam zamazany obraz, ale odczytuję dane właściciela.

Adres: lokal 3, Willa Beauforta, Hill Street, Oldcliffe-on-Sea, Somerset

Data nabycia: wrzesień 2004

Właściciel: Leon James McNamara

Wtorek, 12 sierpnia 1997

Te kłamstwa odsuwają mnie od Leona, wbijają się między nas klinem. Są toksyczne i wysysają z naszego związku całe dobro. Czuję się winna, bo sama wywołałam lawinę. Tym głupim, niedojrzałym zauroczeniem i rozbuchanym ego. Co ja sobie myślałam, całując się z Alistairem? Że co osiągnę? Schlebiło mi po prostu, że mnie pocałował. Jakbym się w końcu doczekała spełnienia odwiecznych nastoletnich marzeń. Owszem, marzenia się spełniły – ale chudej, pryszczatej dziewczynie, którą kiedyś byłam. Poczułam się lepiej, bo ktoś mnie pragnął. Idiotka. Nienawidzę się za to. W tamtej chwili – chwili czystego szaleństwa – wyszły na jaw moje kompleksy z całego życia, dotyczące wyglądu, Frankie, grania drugich skrzypiec. A teraz za to płacę.

Dzięki historyjce o wirusie grypy żołądkowej udało mi się całkiem długo unikać Alistaira, a wczoraj w porze lunchu dowiedziałam się, że dostałam tę pracę w wydawnictwie w Londynie, na Ealingu. Kiedy otworzyłam kopertę i przeczytałam list, poczułam taką ulgę, że od razu zalałam się łzami. Nadbiegła mama, na jej miłej twarzy malował się przestach, dopiero po chwili zorientowała się, że płaczę z radości. Kazałam jej i Danielowi obiecać, że na razie nikomu nie powiem.

Ten list zmusił mnie do wyjścia z domu, czego już od dawna potrzebowałam. Musiałam odzyskać starą pracę w smażalni. Nawet towarzystwo obmierzłego Stana wydawało się lepsze niż powrót do hotelu. Idąc deptakiem wzdłuż morza, próbowałam stłumić niepokój i poczucie zagrożenia, które cały czas mnie nie opuszczały. Alistair mnie nie śledził, nie dawał znaku życia, nie widziałam śladu jego obecności, a mimo to czułam się odsłonięta i wystawiona na widok, podenerwowana.

Na szczęście Stan przyjął mnie z powrotem. Podziękowałam mu. Cudownie, że znowu mogłam zacząć zarabiać. Musiałam jak najwięcej zaoszczędzić, skoro już wiedziałam, że czeka mnie przeprowadzka do Londynu.

Umówiłam się z Leonem na molo. Oszołomiona, wędrowałam przez miasteczko. Marzyłam o tym wyjeździe, a jednocześnie obawiałam się, jak to przyjmie Leon i co zrobi Alistair, kiedy się dowie. Co oznaczało, że nie będę mogła powiedzieć Frankie. Kolejne kłamstwo, ale co mam robić? Przecież od razu wszystko wygadałaby tacie.

Idąc deptakiem, usłyszałam, jak za moimi plecami zatrzymuje się samochód. Bez oglądania się zrozumiałam kto to. Było wczesne popołudnie, wszędzie pełno ludzi – siedzieli na murku odgradzającym chodnik od plaży, jedli lody lub słynne

kornwalijskie paszteciki, opalali się – wiedziałam więc, że nic mi nie grozi. Obowiązywał tu zakaz parkowania, lecz Alistair mimo to wysiadł z samochodu. Uważał, że jest ponad prawem? Nie zwolniłam, prężnie szłam dalej. Wiedziałam, że dzieli go ode mnie tylko parę kroków, odległość do pokonania bez najmniejszego trudu.

– Witaj, Sophie – rzekł, zrównując się ze mną. – Lepiej się czujesz?

– Znacznie lepiej – odparłam, nie odwracając głowy. Postanowiłam, że jeżeli będzie czegoś próbował, to zacznę wrzeszczeć, tu, na zatłoczonym deptaku, wśród miłych staruszków, młodych małżeństw i rozwiedzionych nastolatków.

– Rozumiem, że nie zamierzasz wrócić do hotelu. Brakuje nam ciebie.

Nie, nie wdaję się z nim w żadną rozmowę, postanowiłam sobie. Najlepiej go po prostu ignorować.

– Czyli nie – rzekł z żalem. – Szkoda.

Szłam dalej. Ignoruj go, ignoruj go, ignoruj go, powtarzałam sobie w duchu.

– Wiem, że mnie kochasz – rzekł. – I że chcesz ze mną być. Poczekam na ciebie, Sophie. Nie poddam się. Dostałaś kwiaty?

Ignoruj, ignoruj, ignoruj.

Będzie za mną szedł aż do starego moła? Co powie Leon, kiedy pojawię się w towarzystwie Alistaira?

– No bo wiesz – dorzucił takim głosem, jakby mówił o pogodzie – jeśli chodzi o mnie, to dałem już dowód swojej miłości do ciebie. Wtedy, w dziewięćdziesiątym drugim.

Świadomie nie łyknęłam haczyka, ale intencja była oczywista. Szantaż.

Parłam naprzód, nie zwalniając, i po chwili wyczułam, że Alistair już obok mnie nie idzie. Zerknęłam przez ramię. Został trochę w tyle, stał pośrodku chodnika i do mnie machał.

– Do zobaczenia! – zawołał radośnie.

Po pięciu minutach zatrąbił mijający mnie samochód. Nie musiałam odwracać głowy, wiedziałam, kto w nim siedzi.

Skręciłam za róg, opuszczając centrum miasteczka. Od razu zrobiło się dużo luźniej i ciszej. Dochodziły do mnie tylko skrzeczenie mew i łoskot fal bijących o skały. Bałam się, że Alistair gdzieś się zaczął, może zaparkował i teraz przygląda mi się zza przyciemnianej szyby. Z ulgą dostrzegłam w oddali sylwetkę opartą o lampę. Leon. Miałam nieprzepartą ochotę, by mu zaraz wszystko opowiedzieć. Ale się bałam. Bo jak by zareagował? Powiedziałaby Frankie, a wtedy ona już nigdy by się do mnie nie odezwała. Nie wybaczy mi, że całowałam się z jej tatą. Poza tym możliwe, że Leon wcale mi nie uwierzy. Pomyśli, że sama sprowokowałam Alistaira. A to jeszcze nie wszystko – zostaje sprawa Jasona. Ile tu kłamstw...

Na mój widok Leon natychmiast ruszył w moją stronę. Twarz mu pojaśniała,

jakby nie widział mnie nie wiadomo jak długo.

– Jak się czujesz?

– Nadal trochę słabo – odparłam zgodnie z prawdą, mocno się w niego wtulając.

– Ale tak serio? Cała się trzęsiesz.

– Nic mi nie jest – wymamrotałam z nosem wciśniętym w rękaw jego skórzanej kurtki. Pachniała dymem papierosowym i suchym lodem z Piwnicy.

Pocałował mnie w czubek głowy i odsunął od siebie.

– Chodźmy do mnie, dla odmiany teraz ja mam wolną chatę.

Złapał mnie za rękę i ruszyliśmy. Gadał bez przerwy, usta mu się nie zamykały. Chciałam mu powiedzieć o pracy w Londynie, ale – nie wiem czemu – nie mogłam tego z siebie wydusić. Leon był taki radosny, popsułabym mu nastrój. Łaknęłam normalności. Więc przez całą drogę do jego domu milczałam.

Poszliśmy prosto do jego pokoju. Włączył Lightning Seeds – płytę oczywiście, bo Leon kupował tylko winylowe. Leżałam z głową na jego piersi, zasłuchana w muzykę. Leciutkie skrzywienie igły działało na mnie kojąco, podobnie jak miły dotyk jego koszulki pod policzkiem. Przez okno, lekko przysłonięte czarno-szarymi zasłonami w pasy, wpadał promień popołudniowego słońca. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak bezpieczna.

Dźwignęłam głowę i oparłam ją na łokciu. Patrzyłam na twarz Leona, nieruchomą na poduszce. Zgarnęłam z niej włosy. Takie piękne, grube i ciemne włosy, pomyślałam, tłumiąc szloch. Leon czule dotknął mojego policzka.

– Dostałam tę pracę – powiedziałam nagle. – Niedługo mam zaczynać. – Skrzywiłam się, żeby mu pokazać, jak się denerwuję.

Leon zrobił wielkie oczy. A potem znenacka wydał radosny okrzyk, usiadł i mnie uściskał.

– Świetna wiadomość. Wiedziałem, że ci się uda. – Spoważniał i dodał: – Kiedy zaczynasz?

– Piętnastego września. – Nagle zrobiło mi się ciężko na duszy.

Zmarszczył czoło i zachmurzył się.

– Nie zrozum mnie źle, nie chcę być zaborczy ani natarczywy, bardzo się cieszę z twojego sukcesu, ale... myślałaś, co to dla nas oznacza?

Zwiesiłam głowę. Najśluszniej byłoby wykorzystać tę okazję i zakończyć nasz związek. Kochałam Leona, ale nasza relacja opierała się na kłamstwie.

– Chcesz zerwać? – rzucił z niepokojem. – Dlatego ostatnio trzymasz mnie na taki dystans?

– Nie. Nie wiem, Leon... jesteśmy razem dopiero dwa miesiące...

Oderwał ode mnie spojrzenie.

– Ale cię kocham – rzekł cicho, patrząc w ziemię.

Wiem, że to brzmi absurdalnie, bo znamy się tak krótko, ale też go kocham.

Nie mogę jednak kierować się emocjami. Trzeba podjąć decyzję na chłodno.

– Leon... ledwie się znamy.

– Nie kochasz mnie?

– Nie o to chodzi. Kocham. Ale to dopiero początek i jest tyle... no, tyle różnych... – Chciałam mu powiedzieć, że jest tyle rzeczy, których o mnie nie wie.

– Powiedziałem ci o sobie wszystko – oświadczył. – Nigdy cię nie oszukałem, Soph. Wiem, że przez swojego tatę nie ufasz facetom, ale ja taki nie jestem. Możesz mi ufać. – Chwycił obie moje ręce i wbił we mnie błagalne spojrzenie. – Nigdy cię nie zawiodłem. Przysięgam.

Jego zapewnienia, płynące z głębi serca, były tak szczere, że łzy zebrały mi się pod powiekami i musiałam przygryźć wargę, żeby się nie rozplakać.

– Wiem – odparłam cicho. – Ale ja ciebie zawiodłam, Leon. Zawiodłam cię i nie mogę tego dłużej ukrywać. Bo mnie to wykończy.

Otworzyłam usta, żeby mu wszystko opowiedzieć – o tamtej nocy, kiedy umarł Jason, o popołudniu w hotelu i pocałunku z Alistairem, o tym, że od tamtej pory Alistair nie daje mi spokoju. Wyobraziłam sobie ból i złość na twarzy Leona, jego nienawiść i zazdrość. Wyobraziłam sobie, że zerwie się z łóżka i natychmiast pójdzie rozprawić się z ojcem Frankie, może zaczną się bić. Że przyjedzie policja i zaaresztuje Leona za napaść, a mnie za zatajenie informacji o śmierci Jasona. Zamknęłam więc usta i połknęłam słowa, które cisnęły mi się na język. Jak mam mu to wszystko powiedzieć? Siedzę w tym za głęboko.

– Co to znaczy, że mnie zawiodłaś? – W jego oczach błysnęła groźna iskra. – Zdradziłaś mnie?

– Nie... no jasne, że nie...

Nie wydawał się przekonany. Tak jak mówiłam – kłamanie nie jest moją mocną stroną.

– Nie, tylko... Wiesz, nie mogę się teraz angażować. Tyle się dzieje. Mam się przenieść do Londynu. A ty musisz zostać tutaj i dokończyć praktyki. Lepiej się rozstać. Na chłodno.

Przez jego twarz przemknęła uraza. Serce mi pękało na myśl, że go krzywdzę. Ścisnął mocniej moje dłonie.

– Nie podejmujemy żadnych nieprzemyślanych decyzji. Wyjeżdżasz dopiero za trzy tygodnie. Zobaczymy, co do tej pory wyniknie. Wiesz, przez jakiś czas może dalibyśmy radę utrzymać związek na odległość... A jak skończę praktyki, będę mógł się przeprowadzić. Bo – głos mu się załamał i Leon odwrócił wzrok – bo nie chcę cię stracić.

Otworzyłam usta i znów je zamknęłam. W tamtej chwili miałam ochotę wtopić się w Leona całkowicie, tak aby przestać istnieć.

Więcej nie rozmawialiśmy. Słuchaliśmy płyty, aż się skończyła. Leżeliśmy przytuleni na jego łóżku, ja z głową na jego piersi, i oboje w głębi serca

wiedzieliśmy, że to się wkrótce musi skończyć. Że nasze dni są policzone.

Wnętrze kawiarni zamazuje mi się przed oczami. Muszę się przytrzymać stolika, kawa cofa mi się do gardła. Właścicielem mieszkania jest Leon. Skoro tak, to czy odpowiada też za nagranie z płaczem dziecka? I za listy? Przecież na pewno tam nie mieszka. Więc co robi? Chodzi tam, jak chce mnie trochę postraszyć? Podrzucić jeden z tchórzliwych anonimów? A potem wymknąć się do domu, do brata, żebym go nie przyłapała na gorącym uczynku? Co za żal. Jakie gówniarstwo. Mówiłam ci, Soph. Przestrzegałam cię przed nim.

Wtedy w samochodzie zachowywał się wobec mnie tak wrogo, lodowato. Nienawidzi mnie. Wiem o tym. Tylko nie rozumiem czemu. Co ja mu takiego zrobiłam? Przespaliśmy się ze sobą, owszem, raz jedyny. Powiedziałaś mi o Jasonie? Wini nas za to? No, w zasadzie czemu tu się dziwić, skoro okazało się, że ty nie żyjesz, wyładowuje się na mnie. Tak, to musi być to. Chodzi o Jasona.

Słabymi palcami wstukuję imię i nazwisko Leona w Google'a. Nie spodziewam się niczego zaskakującego, więc jestem tym bardziej zdziwiona, gdy otwiera się krótki artykuł z bristolskiej gazety. Parę akapitów, bez zdjęcia, ale mowa jest o sprzedaży udziałów Leona w firmie IT za „znaczącą sumę sześciocyfrową” w 2004 roku. Szybkie wyszukiwanie w serwisie obrotu nieruchomościami potwierdza, że apartament przeszedł w jego ręce w tym samym roku. A więc wynajmuje go turystom od dwunastu lat. Powiedział mi, że pracuje za granicą i nie mieszka tu na stałe.

Oszołomiona gapię się w telefon. Nie wiem, co robić. Spotkać się twarzą w twarz z Leonem? Natychmiast przypominam sobie jego wrogość, gniew i nienawiść w samochodzie w niedzielę. Nie chcę znaleźć się z nim sam na sam, to jakiś wariat, psychopata. Próbowałam cię przed nim ostrzec, ale mnie nie słuchałaś. Och, Sophie. Nie, nie winię cię. Bo kto by uwierzył, że pod płaszczykiem takiego ciacha kryje się potwór? Poza tym sama byłam w nim zadurzona, przynajmniej przez jakiś czas.

Teraz już nie. Teraz widzę w nim tylko brzydotę.

Znowu sięgam po telefon. Sprawdzam godzinę, jest dziewięta trzydzieści siedem. Daniel powinien już być w pracy. Zastanawiam się, czy zawracać mu głowę, i tak sporo już namąciłam. Ale co, mam to przemilczeć? Przecież to poważna sprawa. W zasadzie moja misja skończona – mogę wracać do domu.

– Wszystko w porządku? – Jenny z cierpliwym uśmiechem podchodzi do mojego stolika, ustawia się z boku i wykręca szyję, żeby zajrzeć w ekran laptopa. Z premedytacją go zamykam.

– W największym – odpowiadam.

Na widok niedopitej kawy, na której powierzchni unoszą się kółeczka

tlustego mleka, Jenny marszczy czoło.

– O, nie smakowała ci kawa? Tam dalej jest Costa Coffee, pewnie mają lepszą – mówi, sprząając filiżankę, i nadgorliwie ściera brązowy okrągły ślad z białego laminowanego blatu. Po ścierce pozostaje zapach wybielacza. – Miło było cię widzieć, Frankie – dodaje i znika za kontuarem.

Odbieram to jako sygnał do odwrotu, choć prócz starszego pana zagłębionego w lekturze gazety w lokalu nadal nikogo nie ma.

Lodowaty wiatr chłosta mnie w twarz. Poprawiam szal, podsuwam go wyżej pod brodę. Idę w stronę głównej ulicy, potykam się na kocich łbach i omal nie skręcam kostki. Te obcasy długo nie pociągną, jeżeli będę tyle chodzić po nierównościach. Kulę się przy wejściu do sklepu z tanimi ciuchami, dochodząca stamtąd głośna rytmiczna muzyka rani ucho, zwłaszcza o tak wczesnej porze. Grzebię w torbie w poszukiwaniu telefonu, palce mam zgrabiałe mimo skórzanych rękawiczek. Mija mnie młoda kobieta z wózkiem, w którym siedzi pulchna mała dziewczynka w różowej czapce, otulona polarowym kocykiem. Na mój widok gaworzy coś po swojemu. Serce mi się ściska na myśl o wszystkich poronieniach, utraconych dzieciach, i czuję pieczenie pod powiekami. Niechętnie odwracam wzrok od malutkiej i ściągam zębami rękawiczki. Ekran komórki rozmazuje mi się przed oczami, ale mrugam i biorę się w garść. Nie zadzwonię przecież do Daniela w takim stanie.

– Tak – mówi krótko, chyba jest zajęty. Słyszę szum w tle, dzwonienie telefonów, gwar rozmów. Jest w pracy. Och, jak ja tęsknię za pracą.

– Daniel? – chrypię.

– Franks? Wszystko w porządku? – Ma zaniepokojony głos.

– Przepraszam, wiem, że jesteś w pracy. Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę się z tobą zobaczyć. Sprawa jest pilna.

– Gdzie jesteś?

Wychodzę na ulicę i zadzieram głowę, by sprawdzić, jak nazywa się ten sklep.

– Fiz Fashions – odczytuję szyld. – Stoję przed sklepem. Na głównej ulicy. Możesz podjechać?

– Daj mi dziesięć minut.

– Zaczekam w samochodzie. Na parkingu przy dużym moło.

– To może Pod Mewą?

Zastanawiam się, ale na myśl o spotkaniu z Helen, a już, nie daj Boże, z Leonem czy Lorcanem, cała się wzdrygam. To przebrałoby miarę.

– Nie... wolę w samochodzie. Ale przyjedź szybko. To... pilne. Chyba wiem, kto zabił Sophie.

W słuchawce zapada cisza. Cichnie nawet szum redakcji, jakby wszyscy naraz umilkli, by zaczerpnąć powietrza. W końcu rozlega się głos Daniela:



– Serio? To... Ale jak to?

– Wszystko ci wyjaśnię, tylko tu przyjedź, jak najszybciej.

Rozłączam się, nie przestając myśleć o Leonie. O tobie. I o tym, by na zawsze wyjechać z Oldcliffe.

Wtorek, 12 sierpnia 1997

Jest późno, kiedy to piszę. Dziś poszliśmy z Leonem do Piwnicy, był studencki wtorek, dwa piwa w cenie jednego. Stresowałam się spotkaniem z Frankie i tym, że będę musiała jej powiedzieć o pracy w Londynie.

Ostatnio widziałam ją w niedzielę. Zajrzała do mnie, żeby sprawdzić, jak się miewam. Chciała wiedzieć, kiedy wrócę do pracy w hotelu. Powiedziałam jej, że nie wrócę, uzasadniłam to niechęcią do wczesnego wstawania, ale widziałam, że była urażona.

– No co ty, tak fajnie się razem pracowało – powiedziała z dąsem. – A teraz już cię prawie nie widuję.

Zaproponowałam jej, żeby się spotkać we wtorek w Piwnicy, i to ją trochę udobruchało.

W klubie panował dziś tłok – to z powodu taniego piwa, dla studentów dwa w cenie jednego. W kącie trzęsła głowami grupa fanów Nine Inch Nails. Dziś grał inny didżej, jakiś Tony (lub Tone, chyba tak wolał, żeby się do niego zwracać, ale co to za imię dla didżeja!), który najwyraźniej preferował cięższą muzykę. Nad ich brudnymi, tłustymi włosami unosiła się para z suchego lodu. Od tej mgiełki swędział mnie nos i łzawiły oczy.

– W porządku? – Leon przekrzykiwał muzykę. Staliśmy przy barze, otoczonym grubym wianuszkim spragnionych klientów. W tym tempie to my nigdy nie dostalibyśmy nic do picia.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, ale Leon patrzył na mnie poważnie. Oboje unikaliśmy tematu mojej nowej pracy. Udawaliśmy, że nie istnieje, choć oczywiście wiedzieliśmy, że prędzej czy później trzeba będzie go poruszyć. Coraz więcej rzeczy nas dzieli – tylko oddaliśmy się od siebie.

Tone puścił teraz Rage Against the Machine. Odwróciłam się i dostrzegłam wyłaniającą się pomiędzy tańczących Frankie. Wyglądała jak gwiazda popu. Miała na sobie prostą czarną minisukienkę i długie czarne botki.

– Soph! – zawołała i przepchnęła się łokciami przez tłum. Omal nie dostała w oko od gościa z długim, tłustym kucykiem, który akurat machnął głową. – Uważaj! – warknęła do niego, choć i tak muzyka całkowicie ją zagłuszała. – Do diabła z nimi. – Rzuciła mi się na szyję, a potem odsunęła się, żeby na mnie popatrzeć. – Jak żyjesz? Miałam nadzieję, że zmienisz zdanie w sprawie pracy. Brakuje mi ciebie.

– Wróciłam do starej roboty.

– Nie pojmuję, czemu wolisz sterczeć w tej cuchnącej smażalni –

stwierdziła.

– Już ci mówiłam, nie daję rady tak wcześnie wstawać.

– Nic nie słyszę! – krzyknęła, chwyciła mnie za rękę i odciągnęła. Rzuciłam Leonowi spanikowane spojrzenie, ale był zanadto zajęty przeciskaniem się do baru, żeby je zauważyć.

Nie miałam wyboru. Musiałam pozwolić Frankie przeciągnąć się przez tłum do podwójnych drzwi, a stamtąd do holu, gdzie mieściły się szatnie i wejścia do toalet. Było tu dużo ciszej, potężne przeciwpożarowe drzwi tłumiły hałas. Frankie włożyła rękę do torby i zaczęła szukać papierosów. Twierdzi, że jej nałóg ma charakter towarzyski i pali tylko na imprezach. Ja raz spróbowałam papierosa, w szóstej klasie, za szkolną szopą na rowery, żeby zaimponować Ianowi Harrisowi. Ale dym tak mnie gryzł w gardło, że zaczęłam kasłać, krztusić się i prychać, a chłopak już nigdy mi nie zaproponował wspólnego palenia.

– A więc? – zaczęła, kryjąc się w obłoku dymu. – Co się z tobą dzieje, Soph? Skręcałam się pod przenikliwym spojrzeniem jej zielonych oczu.

– Co: a więc?

– No, mów, o co chodzi. – Skrzywiła się. – Ostatnio mnie unikasz.

– Widziałyśmy się w niedzielę. – Gapiłam się na swoje buty. Klasyczne firmowe Gazelle Adidasa.

– Uhm, przez pół godziny i nie mogłaś się doczekać, aż sobie pójde. Niewątpliwie coś jest na rzeczy. Nie jestem głupia. – Znowu zaciągnęła się papierosem. – A poza tym, gdyby ci nie zależało, żeby mnie unikać, to po kiego diabła wracałabyś do tej cuchnącej smażalni? Mój tato płaci ci dwa razy więcej niż Stan.

– Uhm, akurat – mruknęłam z oczami wbitymi w podłogę. Udało mi się nie wzdrygnąć na wspomnienie Alistaira.

Wreszcie odważyłam się podnieść wzrok. Frankie przeszywała mnie złowrogim spojrzeniem. Jeszcze raz się zaciągnęła, po czym rzuciła niedopałek na podłogę, gdzie wylądował w kałuży czegoś, co mogło być lepkiem piwem, ale równie dobrze moczem, i zgmiotła go obcasem. Jej rysy złagodniały.

– Kiedyś wszystko mi mówiłaś, Soph – stwierdziła ze smutkiem. – A teraz nie. Zmieniłaś się.

Westchnęłam. Nie miałam pojęcia, jak zareagować. Bo niby czego ode mnie oczekiwała? Że na trzy lata zastygnę w bezruchu, a potem znowu wskoczę na swoje miejsce u jej boku?

– Frankie. Nie jesteśmy już dziećmi.

– Byłaś dla mnie jak siostra. Własnej nie miałam.

– Wiem... ale...

Ku memu zdumieniu w jej oczach zalśniły łzy. Nie sędzę, abym od roku 1986, kiedy to spadła z huśtawki i złamała obojczyk, widziała, jak płacze.

– Oj, Frankie, Frankie... – Podeszłam i wzięłam ją w ramiona. – Zawsze byłaś moją najlepszą koleżanką.

– Wiem, wiem, odbija mi, trochę się wstawiłam. – Pociągnęła nosem gdzieś na wysokości mojego rękawa, odsunęła się i otarła oczy. Rozmazał jej się tusz i jedna ze sztucznych rzęs trochę się odkleiła w kąciku oka. Wyglądała jak włochata gąsienica, która przycupnęła na jej powiece. To było tak absurdalne, że nagle zachciało mi się chichotać.

W tej samej chwili podwójne drzwi się rozchyliły, buchnęła piosenka zespołu Green Day i w holu pojawił się Leon. W każdej ręce trzymał butelkę cydru K. Wołałam inny, Diamond White, ale nie miałam serca mu mówić, tak długo czekał w kolejce. Podniósł głowę i rozpromienił się na mój widok.

– Proszę – rzekł i wręczył mi napój. – Uff, co za koszmarna muzyka.

Zauważył Frankie i lekko drgnął.

– O, cześć, Frankie. Nie miałem pojęcia, że dziś będziesz.

– Umówiłam się z Sophie, ale ona jak zwykle przyszła z tobą. Oczywiście w stu procentach ją rozumiem. – I błysnęła do niego białym, olśniewającym uśmiechem.

Od kiedy Leon się przyznał, że to Frankie się do niego przystawiała, a nie na odwrót, nie widziałam ich razem. Powiedział, że nie dawała mu spokoju. Ha, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jaki ojciec, taka córka! Jeślibym miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy Leon mi nie ściemniał, to w tej chwili całkowicie się rozwiały. Gdy tylko stanął w tych dwuskrzydłowych drzwiach, Frankie zaczęła go kokietować. Spuściła wzrok (co trochę dziwnie wyglądało przy oderwanej rzęsie) i nawijała na palec pukiel swoich grubych włosów. Leon w zauważalny sposób spiął się w sobie, jakby przygotowywał się na atak – skulił ramiona i zaplótł ręce na piersi w obronnej, ale zarazem buntowniczej pozie. Chyba byłam głupia, podejrzewając go o sekretne zaloty do przyjaciółki. I dopiero wtedy, gdy tak obserwowałam ich oboje, uderzyła mnie odkrywczą myśl: Frankie jest w nim zakochana. Zachowywała się przy nim dokładnie tak samo jak kiedyś przy Jasonie. Wcześniej wołałam się nad tym nie zastanawiać, może bałam się zanadto wchodzić w temat w obawie, że Leon nie mówi mi prawdy. Z jednej strony byłam zła – i nadal jestem – na Frankie za to wszystko, co mi o nim nagadała. Ale z drugiej rozumiałam, czemu to zrobiła. Sama miała na niego chrapkę, nie chciała, żeby zbliżył się do mnie. Czułam się okropnie, że od razu się tego nie domyśliłam.

Zaprzagnęłam jej powiedzieć, że mi przykro. Że gdybym tylko cokolwiek podejrzewała, nigdy bym się z nim nie umówiła. Ale przy Leonie oczywiście nie mogłam tego zrobić, podobnie jak dać Frankie do zrozumienia, że znam prawdę. Miała w sobie tyle dumy. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby musiała przyznać, że została odrzucona.

– Hej – zaczął Leon. Wyczuwałam jego skrępowanie. – Sophie już ci

przekazała wielką nowinę?

Frankie odwróciła się do mnie. Oczy miała okrągłe jak spodki.

– Jaka?

Miałam ochotę roztrzaskać mu butelkę na głowie. Wiedziałam, że prędzej czy później trzeba będzie jej powiedzieć, ale na razie odsuwałam od siebie tę chwilę. Musiałam się liczyć z tym, że wykabluje Alistairowi.

– E tam, zaraz wielką. – Próbowałam przybrać nonszalancki ton. – Dostałam tę pracę w Londynie. – I na podkreślenie swoich słów lekceważąco machnęłam ręką.

– O mój Boże! – Frankie aż podskoczyła. – Soph, ależ to cudownie! Gratulacje, cieszę się.

W jej entuzjazmie wyczuwałam coś nieszczerego. Tak, pod tymi okrzykami i radosnymi gestami kryło się rozgoryczenie, że jednak wyjeżdżam. Cóż, gdyby to ona opuszczała Oldcliffe, może towarzyszyłyby mi podobne uczucia.

– To to wydawnictwo, o którym wspominałaś? Na Ealingu?

Serce mi struchlało, że pamiętała. Im mniej wie, tym mniej dotrze do Alistaira.

– Tak, ale będę pracować w ich centralnym biurze. – Tym razem kłamstwo przyszło mi bez najmniejszego trudu. W końcu miałam już sporo praktyki.

Leon ściągnął brwi i patrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Pamiętam, że mówiłaś – zaczął, ale zanim zdążył dokończyć, szybko podeszłam do Frankie i jeszcze raz ją uściskałam.

– Będzie mi cię brakowało – zapewniłam. – A jak już się urzędę, koniecznie musisz mnie odwiedzić.

Później, w drodze do domu, Leon zapytał, czemu skłamałam.

– Bo nie chcę, żeby za dużo wiedziała – odparłam. Doszliśmy już na miejsce i zatrzymaliśmy się pod ścianą garażu.

Przez twarz przemknęło mu rozczarowanie.

– Ale czemu? Myślałem, że to twoja najlepsza psiapsiółka.

– Tak, ale... sam wiesz, jaka ona jest. Uwielbiam ją, ale z drugiej strony czuję, że muszę przeciąć pępowinę. Inaczej będzie u mnie siedzieć w każdy weekend! Dobra, w przyszłym tygodniu umówiłam się z nią na zakupy.

Leon spuścił głowę. Tarł czubkiem zamszowego buta krawężnik. Nie piliśmy dużo, ale wydawał mi się jakiś nieswój.

– O co chodzi? – spytałam.

Spojrzał na mnie ze smutkiem.

– Ta pępowina... dotyczy też mnie?

– Jasne, że nie. Ty możesz przyjeżdżać, kiedy chcesz. A jak skończysz staż, może też przeniesiesz się do Londynu?

Mimo kłamstw, które nas dzieliły, pragnęłam tego do bólu. W idealnym

świecie ruszylibyśmy do Londynu razem, urządzilibyśmy sobie życie całkiem od nowa, z daleka od tego miasta, od Alistaira i od ducha Jasona. Jak najdalej od tego wszystkiego, jeszcze raz od samego początku. Ale czy mimo to przeszłość będzie nas ścigać? Czy w ogóle nam się uda naprawdę przed nią uciec?

Błysk nadziei w jego oczach sprawił, że zapiekło mnie ze wstydu.

Leon delikatnie wziął mnie w ramiona i zaczęliśmy się całować. Nasze ciała stopiły się w jedno, byliśmy ze sobą tak blisko, jak się da bez zdejmowania ubrań. Trzymał mi ręce na pupie, a ja owinęłam go nogą. Ulicą nadjeżdżał samochód, w oddali słyszałam cichy odgłos silnika. Pochłonięta innymi doznaniem, nie skupiałam się na tym, ale gdy mijając nas, wyraźnie zwolnił, otworzyłam oczy. Na widok znajomej sylwetki bmw zeszywniałam. Zanim jednak zdążyłam zareagować, samochód przyspieszył i zniknął za rogiem.

Siedzę w range roverze i patrzę na główne moło. Niebo pociemniało, wiatr przybrał na sile. Chmury zbiły się w groźną szarą masę, jakby tam w górze przeciwko mnie spiskowały.

Nie czekam na Daniela nawet dziesięciu minut. Obserwuję, jak wysiada z astry i siłuje się z wiatrem, który szarpie połami jego długiego płaszcza. Puka w moje okienko i otwieram mu drzwi. Wsuwa się na siedzenie pasażera i chucha sobie w dłonie. Wraz z nim do kabiny wpada zapach morskiego powietrza.

– Cholera, co za lodownia – mówi, na co podkręcam ogrzewanie. – No to co się dzieje, Franks? Mów, o co chodzi. Jesteś bardzo tajemnicza.

Opowiadam mu wszystko, co odkryłam. Z każdym moim słowem jego oczy robią się coraz większe.

– Właścicielem mieszkania jest Leon? – pyta, marszcząc czoło. – Nie miałem pojęcia.

– A ja nie miałam pojęcia, że ty jesteś właścicielem mojego. – Łypię na niego złowrogo.

Wierci się na siedzeniu, jest wyraźnie skrępowany.

– Też je sprawdziłaś?

– No a co? Czemu mi nie powiedziałaś?

– Nie wiem. Bałem się, że wtedy nie zechcesz się w nim zatrzymać.

Jestem zbita z tropu.

– A czemu miałabym nie zechcieć?

– Żeby się nie spoufalać. No i ze względu na kasę. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby cię przyjąć za friko, ale dałem ci dobrą cenę. Niestety, dziennikarze cienko przędą, sama wiesz, a ja płacę czynsz tam, gdzie mieszkam i...

Podnoszę rękę.

– Mam gdzieś pieniądze – ucinam. – Wolałabym po prostu, żebyś był uczciwy.

Zwiesza głowę. Ciemna grzywka wpada mu do oczu.

– Przepraszam – mruczy.

Kręcę głowę. Coś mi tu nie gra.

– Czekaj, po co kupowałeś mieszkanie, z którego okien widać miejsce, gdzie zginęła twoja siostra? To nienormalne... upiorne.

Podrywa głowę.

– Nigdy tam nie mieszkałem. Kupiłem je parę lat temu. Pojawiło się na rynku nagle, kosztowało psie pieniądze, bo było do remontu. Ja wtedy nie mieszkałem w Oldcliffe, ale potrzebowałem dodatkowego dochodu. W sezonie je wynajmuję.

Kto by pomyślał, Soph? Twój brat stał się taki odpowiedzialny, że wykorzystuje każdą okazję, by ubić dobry interes?

– A wiedziałeś, że do Leona należy inne mieszkanie w tym samym budynku? Wbija we mnie szczerze spojrzenie.

– Mówię uczciwie, nie miałem pojęcia. Ale to miałoby sens, i to dokładnie z tego samego powodu. Leon mieszka za granicą i też chce mieć tu jakiś punkt zaczepienia.

– Nie sądzisz, że to trochę naciągane? – mruczę pod nosem, wbrew własnej woli.

Daniel rzuca mi neodgadnione spojrzenie. Czemu mam coraz większe wrażenie, że coś przede mną ukrywa? Twój brat zawsze był taki uczciwy, porządny – czarne to czarne, białe to białe. W sprawie uczuć, ale nie tylko. W sumie to w każdej sprawie.

– Uważam, że te anonimy pisał Leon – wypalam nagle. Nienawiść do Leona z godziny na godzinę głębiej zakorzenia się w moim sercu i pożera resztki miłości, którą kiedyś do niego czułam. – Daniel, to on na mnie czyha, ja to wiem. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Mów dalej.

– Sądzę, że to on tamtej nocy skrzywdził Sophie. Może przez przypadek, może celowo. Zerwali ze sobą, kto wie czemu. Potem widziałam ją w ubikacji, płakała...

Daniel ściąga brwi.

– Która to była godzina?

– Dokładnie nie pamiętam. Wszystko jest w zeznaniach, które składałam na policji. W każdym razie po północy już jej nie widziałam, nie przypominam sobie.

– A Leona?

– Jego też nie.

Daniel wzdycha.

– Zawsze twierdził, że wyszedł o jedenastej, a Sophie jeszcze została...

– Ale może gdzieś na nią czekał? Przecież mogli się pokłócić, a potem on ją zepchnął do morza.

– Ma alibi.

– Jakie? Od tego swojego wiecznie urzędnego brata?

– Od szwagierki. Steph. Twierdziła, że o wpół do dwunastej Leon był już w domu. Pamiętasz? I że długo się nie kładli, bo gadali, podobno się jej zwierzał, płakał w mankiet...

Przerywam mu parsknięciem pełnym dezaprobaty. Cisza w samochodzie trwa o ułamek sekundy za długo. Zastanawiam się, co też Daniel sobie myśli.

W końcu ciężko wzdycha i przeczesuje ręką włosy.

– Słuchaj, nieszczęśliwie lubię gościa. Ale sądzisz, że naprawdę byłby do



tego zdolny? Przecież widziałem, jak ją kochał. I jaki był załamany po zerwaniu. Nie widzę powodu, dla którego miałby to zrobić. Nie ma świadków. W ogóle nic. I pamiętaj, dzieciaki z plaży widziały dziewczynę, opis się zgadza, jak szła deptakiem sama.

– A mimo to uważasz, że jednak ktoś ją skrzywdził. W przeciwnym razie nie ściągałbyś mnie tu na siłę – mówię nakręcona.

Daniel mierzy mnie spojrzeniem. Na twarzy ma – nie miłość, nie sympatię – rozczarowanie.

– Frankie... – zaczyna, biorąc mnie za rękę. – Och, Frankie... – Obraca moją dłoń w swojej, jakby się zastanawiał, czy coś powiedzieć, czy przemilczeć.

Marszczę czoło.

– Co? – Dotykam jego twarzy i pytam delikatniej: – O co chodzi, Dan?

– Tyle czasu minęło – wzdycha, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Tyle lat. I tyle kłamstw.

Do czego on znowu zmierza?

– Co masz na myśli?

Gapi się na mnie jeszcze chwilę. Atmosfera w samochodzie gęstnieje. Zaczynam się bać.

– Po prostu chciałbym, żeby to się już skończyło – mówi, dalej patrząc mi w oczy. – A ty?

Ma rację. Ja też chcę, żeby to się wreszcie skończyło, Soph. Pragnę wyjechać z Oldcliffe. Znowu zacząć żyć swoim życiem. Chętnie wplotłabym w nie twojego brata, ale nie sądzę, żeby mi się to udało.

– Dan – powtarzam łagodnie i gładzę go po policzku – to się może skończyć. Wiemy już, że właścicielem mieszkania jest Leon, że to on podrzuca mi listy, a więc musi wiedzieć o Jasonie i...

Daniel gwałtownie się ode mnie odsuwa. Zabieram rękę, jakbym się sparzyła.

– Czemu uważasz, że to on? – pyta, wpatrując się w dal, we wzburzone morze.

– Sądzę, że Sophie mu się zwierzyła. Opowiedziała, co się stało z Jasonem. Więc ją zabił, a teraz igra ze mną. Na razie zwleka, ale mnie też zabije.

– Sądzisz, że chce cię skrzywdzić?

– A po cóż w takim razie by to wszystko robił? – wołam piskliwie. – Nagranie puszczone z komputera co noc. Przeszłam siedem poronień, Daniel. Siedem. Nie mogę mieć dzieci. A on... tak jakby o tym wiedział, jakby wiedział i mnie dręczył. – Cóż. Nie mogę się powstrzymać. Łza spływa mi po policzku.

Daniel przysuwa się i niezdarnym ruchem otacza mnie ramieniem. Dźwignia zmiany biegów wgniata mu się w biodro.

– Franks, tak mi przykro. – Trwamy tak w milczeniu przez parę minut,

a potem Daniel zabiera rękę, twierdząc, że mu zdrętwiała.

– I ta cholerna dźwignia mnie gniecie.

Mimowolnie chichoczę, a on wraca na swoje miejsce. Napięcie opada. Potem, już poważnym tonem, Daniel mówi:

– Powinniśmy iść na policję.

Myśl o powiadamianiu policji mnie paraliżuje, Soph. Kiedyś kochałam Leona. Tak jak ty. Naprawdę mam go wydać w ręce policji?

– Nie mamy dowodów – mówię.

– A komputer? I listy?

Zastanawiam się. Bolać mnie oczy.

– No tak. Ale czy to dosyć? Przecież mi nie groził. Na razie. Więc co może zrobić policja? Poza tym, kto w ogóle mi uwierzy?

– Nie wiem. – Daniel kręci głową. – Gdyby coś ci się stało, Franks, nigdy bym sobie tego nie darował.

Wiercę się na fotelu. Nie wiem, jak zareaguje na moje następne słowa.

– Wracam dziś do domu, Dan. Do Londynu. Nie spędzę w tym mieszkaniu ani jednej nocy dłużej, nie ma mowy. Nie obraź się, wiem, że ci zależy, ale trudno, za bardzo się boję. Zwłaszcza po tym, co było dzisiaj.

– Mógłbym z tobą zostać...

Byłam zdeterminowana, podjęłam decyzję, ale teraz, na myśl o tym, że nie będę go codziennie widywać, że się już pewnie nigdy nie spotkamy, chce mi się płakać. Wiem, że Daniel ma dziewczynę, lecz nie odbiera mi to nadziei. Mógłby przecież zmienić zdanie. Zdać sobie sprawę, że to ja jestem mu pisana, a nie ta Mia. I gdybym jednak została w Oldcliffe, a on u mnie przenocował, hm... to mógłby być krok w dobrym kierunku.

Przełykam ślinę i staram się uspokoić oddech.

– A co z Mią?

Twarz mu się zachmurza.

– Zrozumie – mówi sztywno. – Szczerze mówiąc, ona... – Kręci głową, jakby chciał z niej wytrząsnąć nieprzyjemną czy niestosowną myśl. – Nieważne. W każdym razie dziś w nocy możesz na mnie liczyć. A jutro idziemy na posterunek zidentyfikować szczątki. Jeszcze tylko jedna noc. Nie proszę o więcej.

– Dziękuję – mówię. Sięgam po jego rękę i dotykam jej. Przechodzi mnie dreszcz.

Szyja Daniela pąsowieje, po chwili rumieniec sięga jego twarzy.

– Okej – odchrząkuje i zabiera rękę. – Dobra, to co robimy w sprawie Leona?

Wtorek, 19 sierpnia 1997

Alistair wciąż mnie obserwuje. Wyczuwam to. Czasem w pracy podnoszę wzrok znad ryby, spoglądam w dal ponad głowami turystów na promenadzie i go widzę. Bywa, że ustawia się w kolejce po sercówki lub dorsza z frytkami i świdruje mnie tym swoim pożądlivym spojrzeniem. Raz, kiedy poszłam z Helen na lody na duże molo, siedział tam na ławce i udawał, że czyta gazetę.

– O, patrz, ojciec Frankie – rzekła Helen, przystanęła i przytrzymała mnie za ramię.

Alistair podniósł na nas wzrok, jakby wiedział, że o nim rozmawiamy, i posłał nam promienny uśmiech.

– Muszę przyznać – szepnęła głośno Helen – że jak na tatusia, całkiem apetycznie wygląda, co nie?

– Daj spokój – syknęłam i omijając go wzrokiem, pociągnęłam Helen do wyjścia.

Och, jak pragnęłam jej powiedzieć, że to psychopata, który nie rozumie odmowy, próbuje mnie pocałować, grozi mi, wkurza mnie i prześladuje. Ech, co tam, i tak by nie uwierzyła. Bo kto by uwierzył? Pozory mylą.

Alistair przyprawia mnie o ciarki. Tamtego popołudnia, kiedy łążyłyśmy z Frankie po sklepach i oglądałyśmy ciuchy, cały czas o nim myślałam. Frankie się uparła, żeby jechać do Bristolu pociągiem, a nie autobusem, i aż do Temple Meads narzekała, jaka jest biedna, że wciąż nie ma własnego auta.

– Tata obiecał mi samochód na dwudzieste pierwsze urodziny, ale jak na razie nic z tego nie wynikło – trajkotała, a ja wyglądałam przez okno i zastanawiałam się, jak tu pokierować rozmową, by nie poruszyć tematu mojego rychłego wyjazdu do Londynu.

Miałam nadzieję, że Frankie nie będzie mnie o to wypytywać. Im mniej wie, tym mniej dowie się Alistair. Ale nie. Nadzieja okazała się płonna. Przy wieszaku z bojówkami Frankie przypuściła na mnie atak. Nad głowami ryczała nam piosenka *Don't Look Back in Anger*.

– No dobra – zaczęła, macając materiał wyjątkowo ohydnych spodni moro. – Więc co z tą twoją pracą? Kiedy zaczniesz?

Próbowałam ją zbyć, za wszelką cenę nie dać po sobie poznać, że odliczam dni do wyjazdu.

– Piętnastego.

– To już za niecały miesiąc. Masz konkretne plany? Musisz się wcześniej wybrać na cały dzień do Londynu i poszukać pokoju. – Odwiesiła bojówki

i przesunęła się do wieszaka ze sztruksowymi minispódniczkami. – Mogłybyśmy pojechać w poniedziałek, jak sądzisz? Wiesz, zastanawiałam się i doszłam do wniosku, że fajnie byłoby wynieść się stąd razem. – Przeglądała spódnice, ale zdawałam sobie sprawę, że tak naprawdę wcale jej nie interesują. – Tata chce, żebym dalej pracowała u nich, ale ja wołałabym się przenieść do jakiegoś dużego hotelu w Londynie...

Musiałam jej przerwać, zanim będzie za późno.

– Frankie...

Zignorowała mnie. Odwiesiła kasztanową spódnicę na wieszak.

– Bo czego się tutaj nauczę, w takiej dziurze na zadupiu? – ciągnęła. – Już od dawna myślałam, żeby się stąd zwinąć, ale samemu to żadna frajda, no nie? O wiele lepiej zaczynać od nowa z przyjaciółką. Z tobą.

– Frankie... słuchaj...

Odłożyła inną spódnicę i odwróciła się na pięcie. Oczy jej błyszczały.

– Chcesz powiedzieć „nie”, prawda? Poznają to po głosie.

– Chodzi o Leona. On ma zamiar ze mną wyjechać.

– Leon? – spytała pogardliwie. – Będziecie razem mieszkać?

Zrobiło mi się niedobrze. Poczułam się tak, jakby nagle ktoś nałożył na mnie ciężką rycerską zbroję. Za dużo na mnie spadło – musiałam ciągnąć relację z Leonem, zadowalać Frankie i unikać Alistaira. Miałam ochotę się gdzieś zaszyć i już nigdy nie wychodzić z ukrycia.

– Jeszcze nie wiem, za wcześnie o tym mówić, ale na pewno się kochamy.

– Kochacie? – Wypowiedziała to słowo z taką mocą, że aż podniosłam wzrok. Była blada jak nigdy, ciemne brwi miała mocno ściągnięte. – Przecież ci mówiłam, żebyś na niego uważała.

Zagotowałam się ze złości.

– Gadasz bzdury.

– On ma obsesję, świruje na punkcie kontroli.

Miałam na końcu języka, że chyba pomyliła Leona z własnym ojcem, ale opanowałam się i odpowiedziałam zwykłym, obojętnym tonem:

– Nie ma żadnej obsesji, Frankie.

– A wtedy, w klubie, jak się pobił z bratem? Tylko dlatego, że mu się spodobałaś. Kto tak robi? No kto? Jest władczy i zazdrosny. Nie wspominając już o tym, że to kuzyn Jasona. Jak sądzisz, co zrobi, jak się dowie, że tam byłaś? Że zginął przez ciebie?

– Wcale nie przeze mnie! – sprzeciwiłam się tak głośno, że kobieta, która obok nas oglądała żakiet, podniosła głowę. Uśmiechnęłam się do niej przepraszająco i złapałam Frankie za rękę, żeby odciągnąć ją w inną część sklepu, gdzie było całkiem pusto.

– Właśnie że przez ciebie – syknęła Frankie. – I przeze mnie też, z naszej

wspólnej winy. Twój związek opiera się na kłamstwach, Soph. I dobrze o tym wiesz.

– Właśnie dlatego musimy się wyprowadzić – odparłam, zdobywając się na cierpliwość. Nienawidziłam się klócić. – I zacząć od nowa.

Frankie zrobiła wielkie oczy.

– A ze mną co? Zostawisz mnie samą?

Przypomniałam jej, że ostatnie trzy lata spędziłyśmy oddzielnie. Że kiedy ona wyjeżdżała z Oldcliffe, nie wzięła mnie ze sobą. Nie potrzebowała mnie w szkole z internatem, choć nikogo tam nie znała, a potem na studiach.

– Ale bez ciebie to już nie było to samo – wymamrotała.

Kiedy wyszłyśmy z Kookaï i Oasis z pustymi rękami, nasza wyprawa całkiem straciła blask. Postanowiłyśmy wracać do domu wcześniejszym pociągiem. Frankie całą drogę siedziała nadąsana.

– Wiesz, Soph – powiedziała, kiedy żegnałyśmy się przed wejściem na duże moło – wariowałam ze szczęścia, kiedy się okazało, że wróciłaś ze studiów. Myślałam, że będzie jak dawniej. Ale coś się zmieniło. Nie coś. Ty. Z tobą coś się stało. Najpierw rzucasz pracę w hotelu i już się nie widzimy, potem dostajesz posadę w Londynie i nawet słowa nie piśniesz. A teraz chcesz zamieszkać z Leonem, chociaż znasz go dopiero dwa miesiące. I w dodatku lekceważysz wszystko, co ci o nim mówiłam. – W jej głosie pobrzmiwała melancholia. – Mam wrażenie, że nie jesteś już tą samą osobą, którą kiedyś znałam.

Miałam ochotę zaprotestować, już otwierałam usta. Ale w sumie, czy nie mówiła prawdy? Frankie nie mogła przecież poznać prawdziwego powodu, dla którego ją odpycham.

Spojrzała na mnie ze smutkiem. Czekala, aż powiem coś na swoją obronę. A ponieważ milczałam, odwróciła się i odeszła.

Daniel ze stanowczo zaciśniętą szczęką wali kostkami dłoni w drzwi kuchenne Lorcana. Dałabym wszystko, żeby nie musieć tu być. Z całej siły wciskam się plecami w cyprysowy żywopłot, chciałabym, żeby mnie wchłonął i uwolnił od konieczności patrzenia w oskarżycielskie niebieskie oczy twojego chłopaka.

Nikt nie otwiera. Daniel wali teraz w szybę w drzwiach, tak mocno, że cała rama się trzęsie.

– Może Leon śpi, jest dopiero po dziesiątej – szepczę z nadzieją. – Przecież chwilowo nie pracuje.

W domu wyczuwa się pustkę, wszystkie okna są zasłonięte, nie ma żadnych oznak aktywności mieszkańców. Zza cienkich ścian nie dochodzą podniesione głosy ani w ogóle żadne odgłosy świadczące o czyjejś obecności.

Wiatr przybrał na sile. Powietrze jest ostre, a przez zbite szare chmury próbuje się przebić słabe słońce. Drzę i szczerzej owijam się płaszczem.

– Chyba nikogo nie ma – odzywa się niepotrzebnie Daniel. – Trzeba będzie jeszcze raz przyjechać. Choć nie mam ochoty oberwać od Lorcana, kiedy mnie tu zobaczy.

Gapię się na niego z przerażeniem.

– Myślisz, że by cię uderzył?

– No, przecież ostrzegał, żebyśmy się tu nie pokazywali. – Daniel szczerzy zęby, jakby się tym nie przejmował. – Franks, bez przerwy ktoś ma chęć mi przyłożyć. Ryzyko zawodowe – odpowiada ze śmiechem.

Idę za nim ogrodową ścieżką. Wiatr wpada mu pod płaszcz i wydyma go jak żagiel.

Daniel otwiera furtkę i zatrzymuje się w pół kroku. Prawie na niego wpadam. Na podjeździe stoi Leon. Wygląda na przemarzniętego, ma na sobie tylko rozchełstane czarne polo i skórzaną kurtkę, a na twarzy – dwudniowy zarost. Na jego widok żołądek wywraca mi się do góry nogami.

– Wy znowu tutaj? – warczy. – Czego tym razem chcecie?

Chowam się za Danielem, mimo że Leon na pewno mnie widzi.

Wiatr się wzmaga. Napiera na mnie od tyłu, pcha niczym niewidzialne ręce, które chcą mnie siłą przesunąć w inne miejsce. Wyjaśniając Leonowi, co odkryliśmy, Daniel musi go przekrzykiwać. Leon bez słowa przepycha się obok Daniela. Żeby go przepuścić, wchodzę na zarośnięty trawnik. Obcasy grzęzną mi w błocie i czuję, jak wilgoć przenika dolną część nogawek dżinsów.

Leon zatrzymuje się na ścieżce i mierzy nas lodowatym spojrzeniem. Na jego nadgarstku wisi jaskrawoniebieska reklamówka, a pod pachą trzyma zwiniętą

gazetę.

– Gównu was obchodzi, co robię we własnym mieszkaniu – mówi – ale jak już chcecie wiedzieć, to wam powiem. Wynajmuję je znajomemu, który pracuje nad krótkim filmem.

– Więc nagranie tego płaczu... – zaczyna Daniel.

– Nie mam pojęcia, o czym gadasz. Jak mówiłem, z mieszkania korzysta znajomy.

Marszczę brew. Coś tu się nie zgadza.

– Ale tam nie ma żadnych ubrań... ani nic w ogóle...

– Węszylaś, co? W ogóle nie powinnaś tam wchodzić. To się nazywa nielegalne wkraczanie na teren prywatny.

– Więc niech twój znajomy nie zostawia otwartych drzwi.

Łypie na mnie spod oka, ale nie odwracam wzroku. Nie dam się zastraszyć. Och, Soph, jak ja go nienawidzę. On mnie też, to jasne, co sugeruje, że wie o Jasonie. Bo w innym razie czemu by mnie tak nie cierpiał? Kiedyś się dogadywaliśmy, jeszcze zanim cię poznał. Byliśmy przyjaciółmi, można powiedzieć. Dopóki wszystkiego nie zepsuł. A jeżeli on wie o Jasonie, to możliwe, że kłamie w sprawie tego niby-znajomego, co wynajmuje od niego mieszkanie. Przecież sam może tam przychodzić i pisać anonimy, żeby się ze mną drażnić, dokuczać mi. Ciekawe, jaki będzie jego następny ruch.

– Czemu tu mieszkasz? – Daniel wskazuje brodą na dom. – U brata, skoro masz własne mieszkanie?

– Ale je wynajmuję. Ile razy mam powtarzać, że w tej chwili kumpel z niego korzysta.

Posyłają sobie spojrzenie, którego nie potrafię odczytać.

Daniel wchodzi na trawę i delikatnie ujmuję mnie za ramię.

– Chodź, Franks, idziemy. Nie ma sensu tracić czasu.

Leon przenosi wzrok ze mnie na Daniela i uśmiecha się z wyższością.

– No co? – warczy Daniel.

– Milutko. Pamiętam, że zawsze na nią leciałeś, mały Danny.

– Odpieprz się.

Leon wydaje z siebie ostry, okrutny śmiech.

– Mam nadzieję, że już się więcej nie spotkamy, Frankie – woła za nami, po czym oddala się ścieżką do domu.

Ja też mam taką nadzieję.

Samochód Daniela stoi samotnie w zatoczce parkingowej naprzeciwko dużego moła. Zatrzymuję się obok niego. Daniel milczy, nad czymś rozmyśla. Nie odezwał się do mnie, odkąd ruszyliśmy spod domu Leona.

– Wszystko w porządku, Dan? – Kładę mu rękę na ramieniu. Wciąż się na tym łąpię, Soph. Na dotykaniu go. Jego policzka, dłoni, ręki. Czegokolwiek się da.

Daniel kręci głową.

– Szczerze mówiąc, nie. Czuję się całkowicie wyprany. Nie mam pojęcia, co sobie wyobrażałem. Co miałem zamiar osiągnąć. Nie jestem dziennikarzem śledczym, na miłość boską. Jestem tylko redaktorem małego lokalnego tygodnika.

– Dan...

– Wiem. – Moja dłoń wciąż spoczywa na jego ramieniu, a on nakrywa ją swoją. – Jutro musisz jechać. Po prostu chciałbym się dowiedzieć, co tam się naprawdę stało. Sophie tak zwyczajnie nie spadła. To niemożliwe. Została zamordowana. Owszem, mam podejrzenia co do Leona, ale on się nigdy nie przyzna. I nie ma na to żadnych dowodów.

– A ten komputer?

Daniel się śmieje, ale jest to pusty śmiech.

– Komputer świadczy co najwyżej o tym, że Leon próbuje cię wystraszyć. Ale na pewno nie posłuży jako dowód w sprawie jego udziału w zabójstwie.

Siedzimy w ciszy, gapimy się na morze i ciemny garb wyspy Flat Holm majaczący w dali. Wiatr podrywa piach i ciska nim o nadbrzeżny murek.

Daniel zdejmuję dłoń z mojej dłoni i zdecydowanym ruchem stawia kołnierz płaszcza.

– Muszę wracać, robota czeka. Jak tak dalej pójdzie, to mnie wyleją. Później do ciebie zajrzę.

Na samą myśl czuję dreszczyk podniecenia. Nachyla się w moją stronę, muska mnie wargami w policzek, a ja przymykam oczy i wdycham jego zapach – piżmo i zimne lutowe powietrze. Myślę o tym, jak bardzo go pragnę. Jak nikogo dotąd.

Patrzę w ślad za nim. Okrąża swoją astrę, by się dostać do drzwi kierowcy, wiatr rozwiewa mu włosy, a ja chciałabym to wszystko naprawić, Soph. Och, jak chciałabym mu pomóc.

Ale wiem, że nie mogę.



Wtorek, 26 sierpnia 1997

Czasem się zastanawiam, co zrobiłabym inaczej, gdybym mogła zmienić bieg wydarzeń. Tak, żeby do tego nie doszło. Przez ostatnie dwa dni, czyli od czasu, kiedy to się stało, siedzę w pokoju i rozpamiętuję. Czy zaczęło się od tamtego pocałunku? Gdybym nie pocałowała Alistaira, to czy nie wpadłby w tę szaloną obsesję? A może to się zaczęło wcześniej? Może zwlekał, czekał, aż dorosnę? Czy też machina poszła w ruch tamtej nocy w 1992, kiedy razem z Frankie spowodowałyśmy śmierć Jasona?

Z trudem piszę te słowa. Targa mną tyle emocji. Załamanie, jakby coś we mnie umarło, gniew, że do tego dopuściłam, i wstyd. Tak, strasznie się wstydzę i czuję się jak idiotka. Wiem, że to, co on robił – śledzenie mnie, zaczepianie, napastowanie – nie było normalne, ale jaką wykazałam się głupotą, nie zdając sobie sprawy z jego prawdziwych intencji!

Nie wiem, co teraz robić.

Do bólu szorowałam się pod prysznicem, omal nie pozdzierałam sobie skóry, lecz dalej czuję się brudna, jakby nadal we mnie był, chociaż dokładnie się umyłam. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę tę twarz, to pożądliwe spojrzenie, czuję na sobie jego ohydne wilgotne wargi i ręce, i wtedy wszystko zaczyna się kołysać, jakbym była na łodzi, muszę lecieć do łazienki i wymiotuję, chociaż nic nie mam w żołądku.

W sobotę wieczór poszliśmy z Leonem do pubu. Nie było późno, kiedy odprowadził mnie do domu. Minęła dopiero jedenasta. Zawsze uwielbiałam takie wieczory – granatowe niebo i zapach świeżo skoszonej trawy unoszący się w ciepłym powietrzu. Trzymaliśmy się za ręce, gadaliśmy, w takich chwilach nietrudno uwierzyć, że wszystko się jakoś ułoży. Że poradzimy sobie w Londynie, z dala od tego miasta. Przed moim garażem pocałowaliśmy się na pożegnanie. Nie chciałam tam za długo sterczeć w obawie, że Alistair nas obserwuje, obiecałam więc, że zadzwonię jutro, otworzyłam furtkę i weszłam do ogródka na tyłach domu. Pamiętam, że na górze, u mamy, paliło się światło, choć zasłony były zaciągnięte. Mama wyjątkowo nie miała dyżuru. Daniel pewnie szwendał się gdzieś z kumplami. Rozmyślałam o Londynie, o Leonie, o tym, że zaczniemy wszystko od nowa, gdy nagle pod ścianą, tuż przy drzwiach kuchennych, dostrzegłam przyczajoną postać. Zmrużyłam oczy, by dojrzeć kto to, wtedy ta osoba podniosła głowę i już wiedziałam. To był Alistair. Kiedy zobaczył, że nadchodzę, wyprostował się. Nie mogłam uwierzyć w jego zuchwałość.

– Co ty tu, do diabła, robisz? – syknęłam.

Stał ze zwieszonymi ramionami i mimo półmroku widziałam cierpienie w jego oczach. Ogarnęła mnie panika.

– O co chodzi?

Przezcesał ręką jasne włosy.

– Przepraszam, że cię nachodzę – rzekł nabrzmiałym, ochrypłym głosem. Przez chwilę nawet podejrzewałam, że płacze.

– Co się stało? – Coś z Marią lub Frankie? Coś im jest? Dowiedziały się? To były moje pierwsze podejrzenia.

Pokręcił głową.

– Sophie, straszny ze mnie dureń. Tak się zachowywać. Z twojego powodu. Ja... – Zaciął się. – Ja po prostu chciałem cię przeprosić. Jestem żalonym podstarzałym facetem, który przeżywa kryzys wieku średniego. Ten pocałunek... Pozwoliłem sobie myśleć, że znaczył więcej.

Zerknęłam na okno mamy. Było otwarte. Ciekawe, czy słyszała.

Zniżyłam głos.

– Alistair, zapomnijmy o tym. – Chciałam go wyminąć, ale przytrzymał mnie za rękę.

– Soph, możemy porozmawiać? Proszę cię.

Odepchnęłam go.

– Alistair, jestem zmęczona. Muszę iść do domu.

Westchnął, a mnie – wbrew wszelkiej logice – zrobiło się go żal. Tak chciałam w niego wierzyć. Ze wszystkich sił pragnęłam, by wszystko wróciło do normy. By Alistair nadal odgrywał rolę mojego zastępczego ojca, autorytetu, mężczyzny, którego podziwiałam, a nie takiego, jakim się ostatnio stał: słabego, żalnego, beznadziejnego. Dałam się więc przekonać.

– Chodź, usiądziemy w moim samochodzie – wyszeptał. – Tam w spokoju porozmawiamy. – Wskazał na uchylone okno mamy. – Tu ktoś może usłyszeć.

Wzruszyłam ramionami i poszłam za nim. Jaką byłam naiwną idiotką.

Bmw stało trochę niżej, zaparkowane przy ulicy. Wślizgnęłam się na miejsce pasażera. Skórzane siedzenie było chłodne, miałam gołe nogi. On usiadł za kierownicą i oparł o nią czoło.

– Alistair – zaczęłam. – Czy możemy o tym zapomnieć i żyć dalej?

– Żyć dalej? – wymamrotał, nie podnosząc głowy. – Masz na myśli z Leonem?

– Nie, nie mam na myśli z Leonem. Mam na myśli, czy możemy dalej normalnie żyć?

Wtedy podniósł głowę i odwrócił ją w moją stronę. Miał czerwone obwódki wokół oczu. Poczulałam od niego alkohol.

– Piłeś?

– Trochę. Ale nie jestem pijany, Soph. Tylko smutny. Wiem, że mnie nie

chcesz, ale cały czas o tobie myślę. I zdaję sobie sprawę, że to niestosowne. Jesteś przyjaciółką mojej córki. A ja mam żonę, ale...

– Przykro mi, Alistair. Przepraszam za ten pocałunek i że pozwoliłam ci myśleć, że coś do ciebie czuję. Ale proszę... proszę, daj mi wreszcie spokój.

Gapił się na mnie w milczeniu i przez okropną chwilę miałam wrażenie, że zaraz zaleje się łzami. Ale nie zrobił tego. Przekręcił za to kluczyk i zanim zdążyłam zareagować, wdepnął gaz i ruszył. Wcisnęło mnie w fotel i szybko przypięłam się pasem.

– Alistair, opanuj się! Co ty robisz?

Mocno zaciskał szczękę. Ogarnęła mnie panika. Na pewno przekraczał dozwoloną prędkość, co on w ogóle zamierzał? Wjechać w jakąś ścianę, żebyśmy oboje zginęli na miejscu?

Nie zdejmując nogi z gazu, mknął przez miasto. Żołądek podszedł mi do gardła. Przyciskałam twarz do szyby w nadziei, że ktoś znajomy mnie zobaczy, rozpozna. Ale nawet gdyby, to jechaliśmy zdecydowanie za szybko, żeby dało się coś zrobić. Miasto o tej porze było już wymarłe, tylko przed Mewą stała grupka ludzi z kuflami w rękach i krótka kolejka przed budką z frytkami.

Próbowałam przemówić mu do rozumu, przekonać, żeby się zatrzymał, ale działał jak w transie. Wyjechał za miasto, na szosę wzdłuż wybrzeża, a potem skręcił w inną, prowadzącą przez las. W ciemności drzewa wydawały się złowrogie, ich gęste korony wisiały nad drogą niczym tunel. Nie było latarni, w oddali majaczyły tylko odblaski wyznaczające środek szosy. Było mi niedobrze.

– Alistair. – Próbowałam zachować spokój, nie dać po sobie poznać, że się boję. – Dokąd jedziemy?

Nie odpowiedział. Prowadził z zaciśniętymi zębami, nie odrywając oczu od szosy. I nagle, całkiem bez uprzedzenia, zjechał w bok. Bmw podskoczyło na wybojach. Byliśmy na drodze gruntowej, blisko rzeźni, w miejscu schadzek, tam gdzie jeżdżono uprawiać seks w samochodach. Na całym terenie znajdował się tylko jeden pojazd – biały van z zaparowanymi szybami, zaparkowany w rogu, w zaroślach. Alistair zatrzymał się jak najdalej od niego i wycofał za krzaki. Potem zgasił silnik, światła wyłączyły się same i zapadła nieprzenikniona ciemność.

Słyszałam tylko jego oddech. Szybki. Podniecony.

– Alistair. – Mój głos zabrzmiał słabo, cichutko. – Wracajmy do domu.

Odwrócił się do mnie.

– Pragnę cię tak bardzo, że nie jestem w stanie normalnie myśleć – rzekł. – Błagam cię, Soph. Prześpij się ze mną ten jeden jedyny raz, a zostawię cię w spokoju. Przysięgam. Będiesz z Leonem. Jeden raz i przestanę być od ciebie uzależniony. Każde z nas pójdzie własną drogą.

Gapiałam się na niego z niedowierzaniem.

– Nie mogę się z tobą przespać. Za kogo ty mnie masz, za prostytutkę?

Wyciągnął rękę i dotknął moich włosów. Uchyliłam się.

– Oczywiście, że nie, Soph. Ja tego nie powiedziałem. Wiem, że ci się podobam, ale jesteś porządna. Chcesz być lojalna wobec Leona. Ale ja nikomu nie powiem. Mam za wiele do stracenia. – Parsknął ostrym, nieprzyjemnym śmiechem. – Jestem żonaty, do kurwy nędzy. Tylko ten jeden raz. Błagam. Nie poproszę o więcej. – Mówił błagalnym, chrapliwym głosem. – Soph – powtórzył i zanim zdążyłam się zorientować, już na mnie leżał, wgniatał mnie w siedzenie, jego ciężar wypychał mi powietrze z płuc, tak że prawie nie mogłam oddychać. Usłyszałam zgrzyt odsuwanego suwaka, poczułam, że szarpie mi do góry sukienkę.

– Alistair, nie! – wrzasnęłam, ale on bez uprzedzenia rozłożył siedzenie i nagle opadłam plecami w dół.

– Sophie – wychrypiął z ręką w moich majtkach.

Próbowałam krzyczeć, ale drugą ręką zasłonił mi usta. Nie mogłam drgnąć. Przygniatał mnie całym ciężarem, słyszałam trzask rozdieranej tkaniny, zdarł ze mnie majtki i zsunął sobie spodnie. Wbił się we mnie z głośnym chrząknięciem. Poczułam rozrywający ból. Łza stoczyła mi się po policzku i wpadła do ucha. Zacisnęłam oczy, żeby na niego nie patrzeć, i powiedziałam sobie, że zaraz będzie po wszystkim. Naparł na mnie parę razy, ścisnął mnie za twarz i szczękę, gdy dochodził, a potem jęknął i oklapł. Otworzyłam oczy i stwierdziłam, że się na mnie gapi.

– Soph... – zaczął. Ręka, która przed chwilą ścisnęła mi twarz, teraz zaczęła gładzić mnie po głowie. – Och, Soph.

– Puść. Mnie. Zejdz – syknęłam.

Obciągnęłam sukienkę i odwróciłam głowę, by nie patrzeć, jak wkłada spodnie. Kiedy siedział już za kierownicą, pociągnęłam za dźwignię, by wyprostować oparcie.

Szyby były całkiem zaparowane. Każdy mógł nas wziąć za zwykłą parę, która kocha się w samochodzie.

– Przepraszam – rzekł, choć nic nie wskazywało na to, że żałuje. Włączył silnik.

– Chcę jechać do domu. – Postanowiłam, że się przy nim nie rozplącę.

Przez całą drogę milczał. Już nie jechał jak szalony. I co, warto było? Chciałam go o to zapytać. Warto było zostać gwałcicielem? Ale nie zapytałam. Nie ufałam sobie, wiedziałam, że jeżeli się odezwę, na pewno nie zapanuję nad głosem. Kątem oka zobaczyłam swoje rozdarte majtki. Leżały pod moimi nogami. Schyliłam się, podniosłam je i ukryłam w garści. Położyłam sobie dłonie na kolanach, żeby nie wykręcać palców.

– Słuchaj – zaczął, skręcając w moją ulicę – jeżeli komuś powiesz, będę twierdził, że to zaszło za twoją zgodą. Jasne? Twoje słowo przeciwko mojemu.

– Nie czujesz się nawet trochę winny? – spytałam, kiedy zatrzymał się pod

moim domem. Silnik wciąż cicho warczał.

Świdrował mnie natarczywym spojrzeniem.

– Ty mnie chyba nie rozumiesz. Zawsze dostaję to, czego pragnę. Nie przyznasz się, bo chcesz się uważać za dobrą dziewczynę, taką, która by nie zdradziła tego swojego gówniarza. Ale pragnęłaś tego równie mocno jak ja. I jeszcze do mnie wrócisz. Po więcej.

– Rzygać mi się chce – syknęłam, szarpnęłam za klamkę i omal nie wypadłam na chodnik.

Ale on się tylko uśmiechnął. W nikłym świetle wnętrza samochodu zobaczyłam ohydny, szaleńczy grymas na jego twarzy.

– Wmawiaj to sobie, Soph, jeżeli dzięki temu będzie ci lepiej.

Trzasnęłam drzwiami i ledwie zdążyłam zrobić krok, Alistair wcisnął gaz i z piskiem opon ruszył z rozgrzanego asfaltu.

Doszłam do ogródka i natychmiast wymiotowałam do śmietnika.

Nie ma sensu, żebym od razu wracała do apartamentu, wysiadam więc z auta i ruszam deptakiem. Wiatr szarpie mi włosy i wdziera się pod płaszcz, próbując wydać go jak balon. Poza mną prawie nikogo nie ma, co mnie wcale nie dziwi – jest zimny lutowy dzień. Siadam na murku i obserwuję, jak fale rozbijają się o żelazne podpory miejskiego molo. Pamiętasz, jak siadywałyśmy tu razem, Soph? W lecie? Spędzałyśmy tak całe godziny, jedząc paszteciki i nawijając o chłopakach. A potem, kiedy poznałaś Leona, już nic nie było jak dawniej. Szczerze mówiąc, to wszystko się zmieniło, jak wyjechałam do tej okropnej szkoły z internatem.

Jeszcze parę minut siedzę na bezlitosnym wietrze. Twarz tak mnie piecze, jakby ktoś mnie spoliczkował, a palce rąk i nóg drętwieją z zimna. Wreszcie wstaję i wracam do samochodu. Siedząc w jego zaciszu, dzwonię do Stuarta i pytam, jak interesy. Menedżer opowiada, że jeden z pracowników, Paul, znowu pomieszał coś z zamówieniami.

– To już drugi raz – dodaje z irytacją. – Te jego błędy sporo nas kosztują, i czasu, i pieniędzy.

Wzdycham.

– Masz moje błogosławieństwo, żeby go zwolnić – mówię. – Nie możemy sobie pozwolić na więcej pomyłek.

Stuart jest zadowolony.

– Super, do twojego powrotu wszystko załatwię.

– Wracam jutro – mówię, odsuwając na bok obawy i niepokój związane z perspektywą rozstania z Danielem.

Pora się stąd wynosić. To miasto mnie rozwała. Potem dzwonię do mamy i proszę o wiadomości o zdrowiu taty, ale od ostatniej nieznacznej poprawy, o której mi wczoraj opowiadała, nie ma żadnych zmian. Wyobrażam sobie mamę u jego boku, jak trzyma go za rękę i masuje nogi. Wzór kochającej żony. Czasem się zastanawiam, czy przypadkiem nie woli mieć z nim do czynienia teraz, kiedy jest bezbronny, całkowicie od niej zależny, nie może nawet odpysknąć. Ani jej zdradzać, ani krzywdzić. Mówię jej to samo co Stuartowi – że jutro wracam, ale po jej tonie zgaduję, że myślami jest już gdzie indziej. Przy swoich małżeńskich obowiązkach.

Nigdy nie rozumiałaś mojej relacji z mamą, prawda? Ze swoją łączyła cię mocna więź, zawsze byłyście blisko. Raz ci się zwierzyłam – umówiłyśmy się wtedy na wspólne nocowanie – jakie mam uczucia wobec mojej mamy. Spałyśmy obie w twoim łóżku, wołałam twój dom od mojego. Był o wiele przytulniejszy, no i nie kręcili się po nim obcy ludzie, nie porzucali wszędzie swoich bagaży.

W hotelu nigdy nie czułam się jak w domu. Byłam tam dosyć samotna, szczerze mówiąc. Tkwiłam w swoim pokoju na poddaszu, a rodzice byli wiecznie zajęci gośćmi, ciągłym sprawdzaniem, czy im niczego nie brakuje, czy mają czystą pościel, sprzątnięty pokój i podane śniadanie oraz kolację. Wieczorami leżałam w łóżku i przysłuchiwałam się stłumionym, dochodzącym z dołu rozmowom, śmiechom i pobrzękiwaniu kieliszków. Dla mnie hotele zawsze należały do sfery interesów, nie miały nic wspólnego z domem i rodziną, dlatego dziś nigdy się w nich nie zatrzymuję. Nie potrafię tam wypocząć. Po pierwsze, czuję się w nich jak w pracy, a po drugie, mam skojarzenia z dzieciństwa, kiedy z każdym gościem trzeba było się obchodzić jak z jajkiem.

U ciebie w domu czuło się kochającą rękę matki. Mnie mama traktowała bardzo powierzchownie. Owszem, dbała o mnie, troszczyła się, żebym miała co na siebie włożyć i co zjeść. Ale nie okazywała mi miłości. Nigdy nie postarała się mnie poznać. Nie zależało jej na mnie. Teraz rozumiem, że po urodzeniu mnie cierpiała na depresję i dlatego nie nawiązała ze mną silnej więzi. Ale mnie to nie przeszkadzało – miałam przecież tatę. On mi rekompensował chłód mamy. Jednak tamtej nocy, kiedy leżałyśmy obie pod twoją kołdrą, wyznałam ci, co podejrzewam – że mama kocha tatę o wiele bardziej niż ja i że jest zazdrosna o uwagę, którą tata mnie obdarza.

Zdawało się, że jesteś tym zdumiona.

– Jak to, mama jest zazdrosna o to, że cię tata kocha? – wyszeptęłaś.

– Nie wiem – wymamrotałam. Byłam skrępowana. Bo jak mogłaś to zrozumieć – ty, córka matki, która miłość do dzieci miała wymalowaną na twarzy i widoczną w każdym spojrzeniu?

Wtedy opowiedziałaś mi o swoim ojcu, że ledwie go pamiętasz i że najżywsze wspomnienie z jego udziałem dotyczy nocy, podczas której złamał twojej kochanej mamie nos i wszyscy troje uciekliście „na południe”. To był jeden jedyny raz, kiedy obie wyznałyśmy sobie takie rzeczy. Nigdy więcej nie poruszałyśmy tych tematów, ale ja nie zapomniałam.

Kiedy wreszcie wracam do mieszkania, jest już prawie wpół do czwartej. Niedługo przyjdzie Daniel. Biorę prysznic i przebieram się w ostatnią czystą parę dżinsów i obcisły sweter. Wolę nie sprawiać wrażenia, że za bardzo się starałam.

Nalewam sobie wina. Czuję się spięta, balansuję na krawędzi. Podświadomie coś mnie dręczy, i ma to związek z Danielem i Leonem. Przysiadam na starodawnym kaloryferze, takim, jakie mieliśmy w szkole, i cieszę się ciepłem, które przenika przez moje spodnie. Patrzę na biały samochód dostawczy powoli przejeżdżający ulicą i próbuję zebrać myśli.

Daniel mnie okłamał, twierdząc, że ten apartament należy do jego znajomego. Czemu nie powiedział, że sam jest właścicielem? Rozumiem, że wtedy krępowałby się ze mną rozliczać, ale ja z kolei o wiele chętniej zapłaciłabym jemu

niż obcemu. Cóż, nic na to nie poradzę, ale uważam, że był to zabieg celowy. Chciał mnie wprowadzić w błąd. Ale czemu? No i druga sprawa – to, jak się dziś zachowywał wobec Leona. Nie mogę jeszcze uchwycić, o co mi konkretnie chodzi, ale z całą pewnością było w tym coś nienaturalnego.

Wracam myślami do naszego pierwszego spotkania z Leonem. Hm, jakoś dziwnie wtedy do siebie podeszli, a Leon zwrócił się do Daniela „mały Danny”. Dawniej, w 1997, nigdy go tak nie nazywał. Nagle to wszystko wydało mi się jakies wymuszone. Jakby odegrane. I w ogóle to dlaczego Daniel miałby kupić mieszkanie na tym samym piętrze, a nawet korytarzu, co ktoś, kogo nienawidzi?

Czuję ból zbierający się za oczami. No tak, wino już uderzyło mi do głowy. Nigdy nie potrafiłam dużo wypić. Masz lekką głowę, mówiłaś. Łatwo cię wstawić. I z tego skorzystać.

Masuję miejsce między oczami z nadzieją, że uda mi się odpędzić ból. Nic tu się nie zgadza. Nic do siebie nie pasuje. Płacz dziecka, anonimy. Co to wszystko znaczy, Soph?

Z zamyślenia wyrzywa mnie grzechot listu wpadającego przez otwór w drzwiach. Odstawiam kieliszek, biegnę do przedpokoju i gwałtownie je otwieram. W samą porę, by przyłapać Jean na schodach.

– Jean?

Waha się, ale przystaje z ręką na poręczu i odwraca głowę.

– Dzień dobry, Francesco, jak się masz?

– To ty mi wrzuciłaś gazetę? – pytam i wymachuję nią niepotrzebnie wysoko. Pospiesznie spoglądam na przeciwległe mieszkanie, ale jest zamknięte.

Kiwa głową.

– Ja, dwie leżały na dole, więc stwierdziłam, że to pewnie dla nas, dla mnie i dla ciebie. Tylko lokalny szmatławiec, bezpłatny, ale zawsze warto zerknąć.

Marszczę czoło. Serio? Chciałoby jej się? Jean posyła mi matczyzny uśmiech, po czym schodzi na dół, zostawiając mnie zdumioną w drzwiach. Kompletnie zbita z tropu wracam do mieszkania. Rzucam gazetę na stolik przy kanapie. Zwinięty papier rozprostowuje się i zamieram. Biorę gwałtowny wdech.

Przed sobą mam zdjęcie taty, obok niego zamieszczony jest artykuł.

Chwytam gazetę. Od razu zwracam uwagę na to, że została specjalnie otwarta na odpowiedniej stronie, tak by materiał nie uszedł mojej uwadze. Szybko ją składam, chcę zajrzeć na stronę tytułową. To rzeczywiście bezpłatna gazeta, tyle że nietutejsza, ale z miejscowości niedaleko Bristolu, no i stara, sprzed trzech tygodni.

Wypadam z mieszkania i mimo że jestem boso, zbiegam po schodach.

– Jean! – krzyczę i walę pięściami w drzwi.

Otwiera mi. Ma zaciętą twarz, jakby szykowałą się na ciężkie przejście.

– Skąd to masz?



Otula się rozpinanym swetrem.

– Przecież mówiłam. Leżały w korytarzu, dwa egzemplarze, zaraz za drzwiami.

– Dlaczego bezpłatna gazeta z okolic Bristolu miałaby leżeć za naszymi drzwiami? W dodatku nieaktualna?

Jean wzrusza ramionami i szacuje mnie chłodnym spojrzeniem.

– A skąd miałabym to wiedzieć?

To ona? Czy to ona odpowiada za różne dziwactwa, które mi się przytrafiają, odkąd tu jestem?

– Kim pani jest?

Jej przyjemna, dobrotliwa twarz brzydko się wykrzywia. Jakby stała przede mną zupełnie inna osoba.

– Kim ja jestem, to nie ma znaczenia. Za to wiem, kim ty jesteś. Córką gwałciciela.

– Skąd... skąd pani wie?

– Wszyscy wiedzą.

– Jest niewinny.

– Uhm, a jakżeby inaczej. – Cedzi słowa. – Znam takich. Jak twój ojciec. Myślą, że się wywiną, że im ujdzie płazem. Nawet wylew symulują, żeby nie stanąć przed sądem. Toż to zwyczajny drań.

Jakbym dostała w twarz.

– Nic pani o tym nie wie.

– Oj, wiem, wiem. Od początku czułam, że jest w tobie coś dziwnego. To oglądanie się przez ramię, ta obsesja, że ktoś cię śledzi. Jakbyś była uwikłana w coś śmierdzącego. Pewnie chodzi o narkotyki. – Wykrzywia wargi. – Dzień i noc kręcą się tu mężczyźni. Jakaś dziewczyna się skrada. Czai się na schodach. Co z tego może być dobrego? Nic.

O czym ona mówi? Jaka dziewczyna? Ma na myśli ciebie?

– Dlatego pani grzebała w moich śmieciach? Żeby znaleźć jakieś brudy? A może narkotyki?

– Nie musiałam niczego szukać. Wszystkiego się bez trudu dowiedziałam tu, na miejscu, w sklepiku. Nie musiałam prosić, ten miły pan sam mnie uświadomił, że mieszkam w jednym budynku z córką gwałciciela. To on dał mi tę gazetę, jeżeli jesteś ciekawa. Dobrze wiedział, co o tym wszystkim pomyśle. Fuj, zaraza.

Ogarnia mnie lodowaty chłód.

– Kto?

– Nie przedstawiał się. Wysoki, ciemny. W twoim wieku. A teraz daj mi już spokój. – Jean rzuca mi złowrogie spojrzenie i zatraskuje drzwi przed nosem.

Opis wskazywałby na Leona.

Lub na Daniela.

Wchodzę na górę. Jestem przygnębiona, wciąż trzymam w ręku gazetę. Dolewam sobie wina i rzucam się na kanapę.

Kto byłby na tyle złośliwy, by poprosić Jean o przekazanie mi tej gazety?

Artykuł jest krótki, ale zawiera wszystkie kluczowe informacje. Mój ojciec, „dawniej znany lokalny hotelarz”, oskarżony o serię gwałtów, tuż przed rozpoczęciem procesu dostaje poważnego wylewu. Daniel musiał wiedzieć, i to od samego początku. Kiedy mówił, że przykro mu z powodu taty, myślałam, że ma na myśli wylew. Ależ byłam naiwna. Przecież jest dziennikarzem, na miłość boską, co sobie ubzdurałam? Nie przyszło mi do głowy, że wie o zarzutach przeciwko tacie?

W zeszłym roku z policją skontaktowała się jakaś młoda kobieta. Chciała pozostać anonimowa. Zeznała, że mój tata miał na jej punkcie obsesję, napastował ją, a potem zgwałcił. Miała wtedy dwadzieścia lat. Zdarzyło się to niecały rok po twoim zaginięciu. Złożone przez nią zeznania ośmieliły inne ofiary. Ojciec przyznał się do spotkań intymnych z tymi kobietami, twierdził jednak, że następowały one za obopólną zgodą. Mama mu uwierzyła. I ja też chcę mu wierzyć, Soph. Ale jest mi coraz trudniej. Czemu te kobiety miałyby kłamać?

Zaczyna się ściemniać. W salonie jest lodowato. Mam zimny czubek nosa. Dorzucam do ognia, którego trzask to jedyny odgłos w całym mieszkaniu. Panuje tu jakiś nienormalny spokój. Nie dochodzą hałasy z ulicy ani szum przelatujących samolotów. Włączam lampę i staję przy oknie w wykuszu. Daniel mówił, że postara się być przed trzecią, lecz do tej pory nie dał znaku życia. Na ulicach nie ma żadnego ruchu. Nad morzem wiszą ciemnoszare chmury, ciasno zbite, jakby ściśnięte.

Ta myśl kiełkowała mi w głowie od chwili, kiedy Daniel potwierdził, że to on jest właścicielem apartamentu. A może nawet jeszcze wcześniej – gdy zobaczyłam artykuł otwarty w jego komputerze.

Nie ufam już twojemu bratu.

Kątem oka łapię jakiś ruch na dworze. Wstaję i przyciskam nos do szyby, spodziewam się, że to Daniel. Ale to nie Daniel. To ty. Stoisz pod ścianą i na mnie patrzysz. Wiem, że to ty. Poznaję po kształcie podbródka, lekkim skłonieniu głowy, charakterystycznym ułożeniu włosów. Nosisz kurtkę z kapturem, jesteś młoda, masz gładką cerę i przejrzyste, błyszczące oczy. Pierwsza moja myśl to taka, że jednak żyjesz, że te szczątki odnalezione na plaży w Brean Sands nie są twoje. Tyle że to absurd. Przecież nie wyglądasz na czterdziestkę. Sprawiasz wrażenie młodszej niż w dniu, kiedy zginęłaś.

Soph, czuję twoją obecność od pierwszej chwili, kiedy tu jestem. Czy w mieszkaniu, czy na dworze, wiem, że za mną idziesz i że mnie nęcisz, kusisz, tylko nie mam pojęcia, w jakim celu.

– Czekał! – wołam, choć przecież wiem, że mnie nie słyszysz. Łapię palto, wciągam buty i na łeb na szyję rzucam się na dół, omal nie spadając ze schodów.

Muszę z tobą porozmawiać, zanim znowu znikniesz.

Bo wreszcie rozumiem, czemu tu jesteś. Już mnie nie zostawisz, prawda?  
Nie dasz mi spokoju, dopóki nie powiem prawdy o tamtej nocy.

Widzę cię, odeszłaś, ale w oddali błyska pomarańczowe wnętrze kaptura twojej oliwkowej parki, tej samej, którą nosiłaś za szkolnych czasów. Wymykasz mi się z rąk. Dlaczego nie zaczekasz? Wołam cię, ale nie zwracasz na mnie uwagi. Sophie! Potykam się, wykręcam kostkę. Cholera, obcas mi się złamał. Schylam się, podnoszę ostro zakończoną szpilkę i wsuwam ją do kieszeni płaszcza. Biegnę dalej, lekko utykam, bo mam teraz nierówno pod stopami.

Wiatr wieje jeszcze silniej. Jestem pewna, że słyszę za plecami głos Daniela, ale biegnę dalej, chcę cię złapać. Nie mogę znowu stracić cię z oczu.

Zatrzymuję się przy wejściu na stare moło, którego strzegą dwie lampy. Brakuje mi tchu. Gdzie ty jesteś? Rozglądam się, nie wierzę własnym oczom. Wyparowałaś?

I nagle cię spostrzegam. Zdołałaś przejść za barierkę, stoisz po drugiej stronie napisu WSTĘP WZBRONIONY, już na moło. Mam ochotę cię ostrzec, krzyknąć: „Uważaj, deski są przegniłe”, ale przypominam sobie, że przecież i tak już nie żyjesz. Czekasz na mnie i wiem, że chcesz, abym za tobą poszła. Gramolę się więc przez ogrodzenie, rozdieram płaszczyk o metalowy słupek, uderzam się w ramię, ale co tam, wszystko mi jedno. Muszę z tobą pogadać. Już się ciebie nie boję. Nagle stajemy twarzą w twarz. Moło ciągnie się za twoimi plecami, a na samym końcu rysuje się ciemny kształt pawilonu.

– Sophie...?

– Cześć, Frankie – mówisz cicho.

Wiatr natychmiast porywa twoje słowa. Czuję, że to sen, to nie może się dziać naprawdę. Jestem bardziej pijana, niż mi się wydaje? Bo przecież na zdrowy rozum wiem, że nie da się rozmawiać z duchem.

– Czego ode mnie chcesz?

– Chyba wiesz. – Twój głos brzmi inaczej, niż zapamiętałam. To mnie chwilowo zbija z tropu, rozprasza, muszę na nowo zebrać myśli. Parę razy mrugam, ale nie znikasz. Jesteś. Prawdziwa postać. Z krwi i kości.

– Frankie? – rozlega się głos. Wzdrygam się i odwracam na pięcie. Za moimi plecami stoi Daniel. On też pokonał barierkę. – Nie powinnaś tu wchodzić. Jest niebezpiecznie.

– Ty! – krzyczę i odgarniam włosy z twarzy. – To ty mnie okłamywałeś! Cały czas! Sam wysyłałeś mi te listy? Co się dzieje, Daniel?

Zbliża się do mnie powoli, z wyciągniętą ręką, jakby chciał ująć płochliwego konia.

– Wszystko ci wyjaśnię, tylko proszę, chodźmy stąd, tu jest niebezpiecznie...

– Nigdzie z tobą nie idę. Już ci nie ufam. Coś mi tu nie gra. To ty dałeś

gazetę tej Jean z dołu?

Wtedy robisz krok naprzód i pierwszy raz widzę, że trzymasz coś w ręku. Różowy notes w paski, stary, wytarty. Twój dziennik. Pamiętam go, nie rozstawałaś się z nim, zabierałaś go nawet do mnie na nocowanie. Wkładałaś go sobie pod poduszkę.

Daniel odwraca się w twoją stronę i nagle doznaję olśnienia. Jak to? On też cię widzi! A więc nie jesteś wytworem mojej chorej wyobraźni.

– Wiemy, co zrobiłaś – odzywasz się. – Mamy dowody, między innymi to. – Mówisz cudzym, nie swoim głosem. A kiedy podchodzisz jeszcze bliżej, stwierdzam, że oczy masz nie szare, ale niebieskie. Ciemnoniebieskie, jaskrawe, przenikliwe. Znam te oczy.

– Widzisz ją? – wrzeszczę do Daniela. – Widzisz Sophie?

Daniel mnie ignoruje.

– Frankie... posłuchaj mnie. Już nie musisz udawać.

– Co masz na myśli? – Czuję się jak w nierzeczywistym filmie.

– Wiem, że zabiłaś Sophie. Zabiłaś moją siostrę.

– Nie bądź śmieszny! – wydzieram się. – Jak to ja? A listy? Są od Leona. A nieśmiertelniki? Leon wiedział o Jasonie! Chciał mi zrobić coś złego, więc Sophie też pewnie skrzywdził. Próbuję ci to powiedzieć, odkąd tu wróciłam... próbuję ci powiedzieć...

Daniel gapi się na mnie z niedowierzaniem, a ja nagle opadam z sił. Ma rację. Już nie muszę udawać.

Na tym świecie są dobrzy i źli ludzie, Soph, a czasem zdarzają się ludzie tacy jak ja. Nie, zła chyba nie jestem. Tylko zrobiłam parę złych rzeczy. Nie wiesz, jak mi było ciężko dźwigać na barkach twoją śmierć. Przez osiemnaście lat. Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnęłam ją cofnąć. Z czasem stało się łatwiej, ale nigdy nie opuściło mnie poczucie winy z powodu tego, co się wtedy wydarzyło, Soph. Zawsze potrafiłam szufladkować. Schowałam więc swój czyn do szuflady, zatrzasnęłam ją, upchnęłam gdzieś z tyłu głowy i nie otwierałam. Aż do tamtego telefonu.

Dlatego tak nie chciałam tutaj przyjeżdżać. Każdy wie, że nie powinno się wracać na miejsce zbrodni. Ale przecież nie mogłam pozwolić, by Daniel węszył sam. Musiałam go powstrzymać, sprawić, by nie poznał prawdy, zmylić jego trop. No, prawdziwego tropu to w sumie nigdy nie było. Bez ciała nie ma przecież dowodów. Bo z samej stopy chybaby za wiele nie wywnioskowali. Myślałam, że Daniel, kiedy zobaczy twoje szczątki, wreszcie się z tobą pożegna. Miałam oczywiście nadzieję, że jego podejrzenia padną na Leona, ale w sytuacji braku dowodów będzie miał związane ręce. Szczerze mówiąc, te anonimy spadły mi prosto z nieba, stworzyły idealny pretekst, by skierować podejrzenia na Leona. Musiałam tylko powiedzieć twojemu bratu, co spotkało Jasona, i proszę: miałam

już motyw zbrodni. Sprawę przypieczętowałam, sama podrzucając sobie nieśmiertelniki – na wypadek, gdyby Danielowi przyszło do głowy wątpić, czy w anonimach rzeczywiście chodzi o Jasona.

Zastanawiałam się oczywiście, czy te listy dotyczą ciebie, ale powiedziałam sobie jasno: nikt nie ma pojęcia, co zrobiłam.

Nikt prócz Daniela.

– Cały czas wiedziałeś? – pytam go. Nie udaje mi się ukryć zdumienia.

Daniel wolno kiwa głową.

– Czemu podrzucałeś mi te listy?

– Nie podrzucałem...

– W takim razie kto? – Łomocze mi w uszach, przymykam oczy, jestem zdezorientowana. Czy to się dzieje naprawdę? Łapię się za pasmo włosów i szarpię, wyrywam je z cebulkami.

Zapędzili mnie w kozi róg. Nie mam żadnego ruchu. Kiedy otwieram oczy, stoi przy mnie Daniel. Odwodzi moją rękę od włosów.

– Sophie ci się zwierzyła, prawda, Frankie? – pyta łagodnie. – Tamtej ostatniej nocy. Była nieszczęśliwa, więc uciekła z klubu, ale ty ją dogoniłaś, tak? Powiedziała ci, co jej zrobił twój ojciec. I że jest w ciąży. Oskarżyłaś ją o kłamstwo, o romans ze swoim tatą. Czemu ją zabiłaś, Frankie? Żeby nikomu nie powiedziała?

Skąd on może to wiedzieć, Soph?

Wiatr gwiżdże nam w uszach. Stoisz przede mną, ale się nie odzywasz. Tylko wpatrujesz się we mnie z odrazą. I z nienawiścią.

– Frankie! – Głos Daniela jest natarczywy, gwałtowny. Twój brat łapie mnie za ramiona, obraca i ustawia twarzą do siebie. Patrzy na mnie z rozpaczą. – Błagam cię. Jeżeli w ogóle coś do mnie czujesz, zakończ już tę męczarnię. Mamy dowody, wiemy, że to ty. Ale chcę to usłyszeć z twoich ust, Franks. Chcę wiedzieć, czemu to zrobiłaś. Dlaczego chciałaś zabić swoją najlepszą koleżankę.

Szlocham i klapnę w jego ramionach. To prawie ulga – móc komuś powiedzieć.

– Przepraszam, Daniel. Nigdy nie miałam zamiaru cię skrzywdzić, ale ona wszystko mi odebrała. Najpierw Leona, a potem tatę. Mojego tatę. Który to mnie kochał najbardziej. Mama miała go gdzieś, ale mnie na nim zależało. A on ostatecznie wybrał ją, Sophie. Dlaczego musiała się zgodzić? Dlaczego?

Czuję, jak Daniel sztywnieje.

– Frankie. Ona się nie zgodziła. Została zgwałcona.

– Wszystko mi opowiedziała – krzyczę. – O pocałunku w pokoju, o tym, jak go sprowokowała. Podobał jej się i dała to po sobie poznać.

– Została zgwałcona – powtarza Daniel przez zaciśnięte zęby. – Groził jej, prześladował, nie dawał jej spokoju, a w końcu ją zgwałcił. I robiłby to dalej. Bo

kiedy zniknęła, zaczął gwałcić inne. To potwór.

– Ale to mój tata – zawodzę. Nie chciałam ci wtedy uwierzyć, Soph. Wszystko mi opowiedziałaś, a ja nie potrafiłam się z tym zmierzyć. Kiedy pół roku temu tata został aresztowany, zdałam sobie sprawę, że nie kłamałaś. Mój ojciec cię zgwałcił. Tak żałuję, że wtedy nie wierzyłam...

– A jeśli chodzi o mnie – ciągnie smutno Daniel – to naprawdę cię kochałem. Nie byłem dla ciebie wystarczająco dobry?

– Nie kochałeś. Po prostu ci się podobałam...

– Nie! – wrzeszczy, żeby przekrzyknąć wiatr. – Kochałem cię. Kochałem cię, bo byłaś zabawna, inteligentna, niezależna, zawsze chętna do zabawy. Kochałem też tę bezbronność, którą miałaś w sobie. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że brakuje ci pewności siebie.

Jaką byłam idiotką.

Teraz ty do mnie podchodzisz. Masz twarz wykrzywioną gniewem.

– To nie wszystko, prawda? Jest jeszcze Jason.

– Jason?

– Jego też chciałaś mieć, prawda? Ale nie mogłaś. Więc zepchnęłaś go do morza.

Zapomniałam, że opowiedziałam ci to wszystko tamtej nocy. Zanim zniknęłaś.

– Mówiłaś, że Jason to był wypadek, Franks – mówi stanowczo Daniel. – Że Sophie zepchnęła go niechcący. W kłótni. Ale to nieprawda, tak?

– Skąd ty to wszystko wiesz? – krzyczę.

– Chcę usłyszeć, jak to mówisz, Frankie. Już tu jedzie policja. Już wszystko wiedzą. Ale ja chcę to usłyszeć. Od ciebie. – Patrzy na mnie błagalnie.

– To był wypadek – przekrzykuję wiatr. – Sophie zemdłała. Próbowала się do niego przystawiać, ale mnie odrzucił. Pokłóciliśmy się. Nie chciałam go popchnąć. Byliśmy pijani. Stracił równowagę i spadł...

– Tak samo jak Sophie?

– To był wypadek – powtarzam i się załamuję. – Byłam jeszcze dzieckiem, Daniel... Nie miałam zamiaru zrobić nic złego. – To prawda, Soph. Wiem, że zawsze się zastanawiałaś, co się wtedy stało. Byłam zła, że mnie odrzucił, nie miałam pojęcia, że jest gejem. Ale na pewno nie chciałam go zabić. Patrzyłam, jak wpada do wody. Mogłam go ratować, ale postanowiłam tego nie robić. Wtedy się ocknęłaś i ci powiedziałam.

Odwracam się do Daniela.

– Więc cały czas udawałaś? Żeby mnie przyprzeć do muru? Myślałam, że coś do mnie czujesz.

Jest zawstydzony.

– Ze względu na naszą przeszłość postanowiłem rozstrzygnąć wątpliwości na

twoją korzyść. Wiem, że wypadki się zdarzają. Miałem nadzieję, że się jakoś wytłumaczysz. Okażesz skruchę. Pragnąłem doprowadzić do tego, że wyznasz całą prawdę.

– Po co? – śmieję się gorzko. – Przecież już wszystko wiedziałeś.

Odpowiada tonem, który daje mi do myślenia:

– Bo chciałem zrozumieć powody, dla których byłaś gotowa coś takiego zrobić. I być może utwierdzić się w przekonaniu, że jesteś taka sama jak twój ojciec.

Gapię się na niego z niedowierzaniem. Naprawdę tak sądzi? Że jestem taka sama? Tamtej nocy w Piwnicy, kiedy słyszałam, jak wymiotujesz w ubikacji, od razu wiedziałam, że nie jesteś pijana. Ta twoja bladość, te mdłości. Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić, o co chodzi. Byłaś w ciąży. Ale zanim zdążyłam zapytać cię wprost, uciekłaś. Wybiegłaś z klubu. Na deptaku załamanaś się i wszystko mi opowiedziałaś. O pocałunku, o napastowaniu, o gwałcie. Oczywiście nie chciałam ci wierzyć. Przecież to był mój ojciec, największy autorytet, mężczyzna, którego kochałam najbardziej na świecie.

Wydaje mi się, że z oddali słyszę wycie policyjnej syreny.

Dowody. Mają dowody, że nie żyjesz. Myślę o twoim adidasie, który został na molo. Wiedziałam, że powinnam była go wrzucić za tobą do morza, ale tego nie zrobiłam. Nie dotknęłam go. Byłam ostrożna. Wiedziałam o DNA – nawet wtedy.

– Jeżeli masz dowody – mówię do Daniela – to po co ci moje wyznanie? Do niczego się nie przyznam. Ani przed policją, ani przed sądem. Nie mogę iść do więzienia. Po prostu nie mogę...

Wysuwasz się do przodu. Wyglądasz na zadowoloną z siebie. Błyskasz do mnie zębami. Są niewielkie, ostro zakończone. Wcale nie przypominają twoich zębów.

– Już się przyznałaś – mówisz i wsuwasz rękę do głębokiej kieszeni kurtki. Wyjmujesz mały magnetofon. – Mam dyktafon. Wszystko zostało nagrane.

– Mia... – rozlega się ostrzegawczy głos Daniela.

Mia? Gapię się na ciebie. A więc to nie ty, tak? No jasne, że nie. Jak w ogóle mogłam tak sądzić? Co ja sobie myślałam?

Te oczy, te zęby. Ten głos. To nie ty.

– Kim jesteś? – warczę.

– Mam na imię Mia – odpowiada z irlandzkim akcentem.

– Dziewczyna Daniela? – Marszczę czoło. Ale jest taka młoda. Za młoda.

Śmieje się i kręci głową. Jej następne słowa zagłusza wiatr. Nagle rozlega się grzmot i zaczyna padać gwałtowny, wściekły deszcz. Jak ona śmie się ze mnie natrząsać, ta gówniara. Jak ma czelność tu stać i mnie oskarżać, buntować przeciwko mnie Daniela. Moglibyśmy być szczęśliwi, gdyby nie ona. Gdyby się nagle nie pojawiła i wszystkiego nie spieprzyła.



Narasta we mnie furia. Wypełnia mnie cała, zdaje się, że zaraz mnie rozerwie. Chcę jej zrobić krzywdę, tej dziewczynie. Chcę, by z jej twarzy zniknął ten szczwany, pewny siebie uśmiech. Teraz ja sięgam do kieszeni. Wyjmuję swój odłamany obcas, gdzieś w tle słyszę pełen przerażenia krzyk Daniela, który chyba domyślił się, co zrobię, zanim mnie samej przyszło to do głowy.

– Mia, uważaj! – W jego głosie słychać strach. I miłość.

Zalewa mnie zazdrość, rzucam się na nią, jednocześnie wyczuwając za plecami obecność Daniela. Chcę, żeby ta małolata natychmiast przestała istnieć. To pragnienie mną zawładnęło, jest przepotężne. Chcę ją zetrzeć z powierzchni ziemi.

Dziewczyna uskakuje bokiem i wpada w ramiona Daniela, a ja, bez jednego obcasa, chwieję się, potykam i z głuchym łupnięciem ląduję na kolanach. Co też przyszło mi do głowy? Przecież nie chcę jej skrzywdzić, nie chciałam cię zabić. Musisz mi uwierzyć, Soph, ja cię tak kochałam. Przepraszam...

Wichura i ulewa prawie zagłuszają skrzypnięcie. Mija parę sekund i przegniłe deski załamują się pod moim ciężarem. Słyszę syreny policji, są już blisko. Nie próbuję się ratować.

Przed oczami mam ich blade, wykrzywione przerażeniem twarze. Spadam prosto do rozniewanego szarego morza, które dziko kłębi się w dole.

Wtorek, 9 września 1997

„Zginęłam” w sobotnią noc.

Wszystko zaczęło się od dramatycznego zerwania z Leonem. Nie mogłam go dłużej okłamywać, więc postanowiłam to skończyć. Jego twarz, jego drgający podbródek, kiedy próbował nad sobą zapanować, żeby się nie rozplakać, pewnie na zawsze zostaną mi przed oczami.

Frankie poleciała za mną do ubikacji i zażądała wyjaśnień. Zamknęłam się w kabinie i wymiotowałam. Nie byłam w stanie stawić czoła ani jej, ani Leonowi, więc kiedy poszła przynieść mi wody, uciekłam z klubu. Zatrzymałam się dopiero przy wejściu na stare molo – i to tylko dlatego, że miałam straszną kolkę.

Zdyszana oparłam się o lampę i próbowałam uspokoić oddech. Cała się trzęsłam. Obtarłam sobie piętę, zrobił mi się pęcherz i tak mnie piekło, że musiałam zdjąć but. Wsunęłam go do kieszeni bluzy i pokuśtykałam na molo.

– Sophie?

Zmroziło mnie, ale na widok Frankie poczułam ulgę. Równie dobrze mógł to być Alistair. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak głupio postąpiłam, uciekając z klubu, na jakie naraziłam się niebezpieczeństwo.

– Co tu robisz?

Nie chciałam z nią rozmawiać. Jakimi słowami miałabym jej to wszystko wytłumaczyć?

– Czemu idziesz do domu? Dopiero wpół do dwunastej. W dodatku sobota! Zwariowałaś? Nigdy tak wcześnie nie wychodzimy. – Ciężko dyszała, no tak, przecież za mną biegła. W długich butach na koturnie nie było to wcale łatwe. Pamiętam, że miała na sobie te botki, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłam w Piwnicy na samym początku lata, które rozciągało się przed nami po horyzont i niosło mnóstwo możliwości. Jak to się stało, że wszystko potoczyło się w złą stronę?

Twarz miałam mokrą od łez.

– To długa historia.

– Jesteś w ciąży, prawda? Słyszałam, jak wymiotujesz. Coś się dzieje, Soph, i nie dam ci spokoju, dopóki mi nie powiesz. Byłam świadkiem, jak zrywasz z Leonem. Co się stało? Powiedziałaś mu o dziecku? – Podeszła do mnie. – Sophie! – Pociągnęła mnie za rękę tak mocno, że musiałam się do niej odwrócić. – Ty mnie w ogóle słuchasz?

– Oczywiście, że mu nie powiedziałam! – wrzasnęłam. – Co za różnica, jedno kłamstwo mniej czy więcej? A w ogóle, co cię to obchodzi?

Zmarszczyła czoło. Poznałam po jej oczach, że ją uraziłam.

– Jak to co? Jestem twoją najlepszą koleżanką. Wszystko sobie mówimy. Ale ty to przede mną ukryłaś. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży?

– Bo... – Łzy płynęły mi po twarzy gęsto, nieprzerwanie. Oddychałam z trudem, miałam wrażenie, że zaraz się uduszę. Zaczepnęłam powietrza. Musiałam jej powiedzieć prawdę. – Bo myślałam, że dziecko może być Alistaira. Ale to niemożliwe. Teraz wiem.

Twarz jej stężała.

– Jak to Alistaira? O czym ty gadasz?

– O twoim tacie! – krzyknęłam. – A myślałaś, że o kim?

Odezwała się niskim, groźnym tonem.

– Poszłaś z nim do łóżka?

Gapiałam się na nią w szoku. Już nie płakałam, łzy obeschły mi z przejęcia.

– Nie poszłam z nim do łóżka. On mnie zgwałcił!

Krew odpłynęła jej z twarzy, a ja poczułam się okropnie. Zachwiała się do tyłu, jakby dostała w twarz.

– Jak możesz? Jak możesz tak kłamać? Masz romans z moim tatą i nie chcesz się do tego przyznać! Dziwka z ciebie, Sophie Collier. Najpierw wzięłaś sobie Leona, a teraz mojego ojca.

– Alistair mnie zgwałcił, Frankie. Nie poszliśmy do łóżka. Przymusił mnie, zrobił to...

– Zamknij się. – Nie wrzeszczała, cedziła słowa lodowatym, ostrym tonem, którego jeszcze nigdy u niej nie słyszałam. – Nie chcę słuchać tych twoich oszczerstw. – Patrzyła na mnie dziko, dokładnie tak samo jak jej ojciec. Drżały jej wygięte w dół wargi.

– Frankie... proszę cię. – Zaszlochałam. Nienawidziłam się za to, co jej robię. – Nie oszukałabym cię w takiej sprawie...

Przymknęła oczy, jakby rozmyślała, i zaczęła szarpać się za włosy. Patrzyłam na nią z trwogą, zastanawiałam się, co zrobi, jak zareaguje. Otworzyła oczy i zbliżyła się do mnie.

– Nad tym molo – zaczęła – wisi jakaś klątwa, nie sądzisz? Tu zginął Jason...

Zmarszczyłam czoło.

– Co ma z tym wspólnego Jason?

– Raju, Sophie. Naprawdę jesteś taka głupia? A uważasz się za inteligentną. Jak zemdłałaś, zepchnęłam go do morza. Był taki nawalony, że nie miał żadnych szans. Pokłóciliśmy się, bo mnie odrzucił. A mnie się nie odrzuca.

– Zabiłaś Jasona? – Zabrakło mi tchu. Jakbym dostała kopa w brzuch i uszło ze mnie całe powietrze. Pamiętałam, że zemdlałam, a Frankie mnie ocuciła i zalana łzami powiedziała, że zdarzył się wypadek i Jason spadł z molo. W życiu bym nie podejrzewała, że maczała w tym palce.

Zaczęła krążyć. Była podniecona, zdenerwowana, jakby chciała napędce opracować plan działania. Potrząsała głową, ciągnęła się za włosy i gadała jak nakręcona:

– Nie powinnam ci była tego mówić... nie powinnam. Jestem zła za to, co powiedziałas o moim tacie i... nie miałam zamiaru zabić Jasona. To był odruch bezwarunkowy. On mnie odepchnął, byłam na niego wściekła. Pokłóciliśmy się i go popchnęłam. To się stało przez przypadek...

– Boże, Frankie! – wrzasnęłam.

Otarła łzy rękawem.

– Dlaczego musiałaś wszystko zepsuć? – zawyła. – Kochałam Jasona. Kochałam Leona. Kochałam moją tatę, a ty mi ich wszystkich zabrałaś!

Oniemiałam. Gapiłam się na nią bez słowa.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Dlaczego akurat ty? Co w tobie takiego jest? I co ze mną jest nie tak? Dlaczego nikt mnie nie kocha?

Wtedy zdałam sobie sprawę, że mimo swojej urody i przebojowości Frankie jest bardzo niepewna siebie. Stała przede mną taka bezbronna, taka zagubiona. Z jednej strony miałam ochotę jej powiedzieć, żeby przestała się zachowywać jak rozkapryszone dziecko, ale z drugiej pragnęłam ją przytulić. Szybko ruszyłam w jej stronę, a ona przestała krążyć.

– Jason mnie nie kochał. W każdym razie nie tak, jak myślisz. Był gejem. A Leon... Nie miałam pojęcia, że coś do niego czujesz.

Miała czerwoną, nabrzmiałą twarz, a pod oczami czarne smugi rozmazanego tuszu. Owszem, czasem się kłóciłyśmy, ale nigdy tak ostro.

– Nie chciałam ci mówić – wyznała. – Mimo wszystko mam swoją dumę.

– Ale Alistair... Frankie, musisz zrozumieć, on się zachowywał jak obłąkany. Nie chciał mnie zostawić w spokoju – zaczęłam i o wszystkim jej opowiedziałam. O pocałunku w hotelowym pokoju, o tym, jak za mną łąził, napastował mnie, a na koniec wywiózł i zgwałcił w samochodzie. Czułam taką ulgę, że wreszcie zrzucaam z siebie ten potworny ciężar, że nie zwracałam uwagi na efekt, jaki wywierały na niej moje słowa. Kiedy skończyłam, wyglądała jak pobita.

– Mój tata nigdy by czegoś takiego nie zrobił! – krzyknęła. – Czemu kłamiesz?

– Nie kłamię. W życiu nie skłamałabym w takiej sprawie. Wiesz o tym, znasz mnie. Przykro mi, Frankie. – Chciałam do niej podejść, ale odepchnęła mnie tak mocno, że zatoczyłam się do tyłu.

– Ty podła oszustko! – wrzasnęła. – Nie zbliżaj się do mnie. Nienawidzę cię. Nienawidzę!

– Frankie, błagam cię, posłuchaj...

Ona jednak nie słuchała. Wpadła w szal. Twarz wykrzywiona wściekłością,

łyzy na policzkach. Pchnęła mnie jeszcze raz, mocniej, i wtedy zauważyłam, że zaciska na czymś palce. To mógł być odłamek skały, kamień, kawałek drewna, nie wiem co, bo zanim zdążyłam się zorientować, uderzyła mnie tym w głowę. Straciłam równowagę, runęłam w tył i przez barierkę spadłam do morza.

Upadając, poczułam, że but wyslizguje mi się z kieszeni i z głuchym odgłosem łąduje na deskach.

Nie wiem, co mnie ocaliło. Może po prostu miałam szczęście, że po uderzeniu w głowę nie straciłam przytomności, że tej nocy fale nie były aż takie silne, że udało mi się przylgnąć do jednego z metalowych słupów, na których wspierał się pomost. A może chodziło o arogancję Frankie. Miała to już przećwiczone, założyła więc, że w ten sam sposób pozbędzie się i mnie. Ja jednak nie byłam pijana jak Jason, a do tego świetnie pływałam. Ukryłam się za słupem pomostu i odczekałam, aż Frankie dokładnie sprawdzi, czy mnie nie ma w wodzie. Potem zaczęła znowu krążyć, jakby się zastanawiała, co robić dalej. Korciło mnie, żeby do niej podpłynąć i zawołać: „A kuku, nic mi nie jest”, ale ona nagle odwróciła się i uciekła. I wtedy zrozumiałam. Wcale nie biegła po pomoc. Miała zamiar mnie zostawić na pastwę losu, tak samo jak zostawiła Jasona. Jak to możliwe, że do tego stopnia jej nie znałam? Że uważałam ją za swoją najbliższą przyjaciółkę, prawie siostrę?

Patrzyłam zza słupa, jak biegnie deptakiem w stronę miasta, do Piwnicy, jak gdyby nigdy nic, raz po raz symbolicznie wycierając ręce. Dobrze wykonana robota. Wiedziałam, że wślizgnie się w tłum i będzie udawała, że nigdzie nie wychodziła. Jaka świetna z niej aktorka.

Czy już wtedy plan zaczął rysować mi się w głowie? Nie wiem, nie jestem pewna. Wiem natomiast, że to dzięki Danielowi utwierdziłam się w przekonaniu, co robić. Kiedy podpłynęłam do brzegu i gramoliłam się po kamieniach, w mokrym, ciężkim ubraniu i jednym bucie, zobaczyłam wracającego do domu Daniela – samotną postać w czerni. Tak się złożyło, dzięki Bogu, że obejrzał się w moją stronę i mnie zobaczył, przemoczoną, wycieńczoną, kluczącą między przybrzeżnymi głazami, których ostre brzegi kaleczyły mi gołą stopę. Myślał, że wpadłam do wody, i natychmiast przybiegł mi pomóc. Pamiętam, że wtedy pomyślałam: szkoda, że nie utonęłam, przynajmniej Alistair by się ode mnie odzepił.

Trzęsłam się i płakałam, opowiadając mu przez łyzy tę nieszczęsną historię. Zaprowadził mnie na bok, do zatoczki, żebyśmy nie stali na widoku. Kiedy się dowiedział, co zrobił Alistair, miał ochotę go zabić. Rozdziawił usta na wieść o tym, że Frankie mnie zepchnęła, a wcześniej postąpiła tak samo z Jasonem. W kółko powtarzał, że jest w szoku, że nie może w to uwierzyć. Próbował mnie namówić, żebyśmy od razu poszli na policję, ale za bardzo się bałam. Bo nie było innych świadków, tylko jej zeznania przeciwko moim.

– Musisz złożyć doniesienie na Alistaira. Sophie, na Boga, on cię zgwałcił! A Frankie cię pobiła i zostawiła na pewną śmierć... – Daniel był popielaty na twarzy. – Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

– Policja też mi nie uwierzy – płakałam. – A Frankie i Alistair będą się nawzajem chronić. Oboje będą zeznawać przeciwko mnie.

Strasznie się trzęsłam, martwiłam się, że pod wpływem szoku nie potrafię racjonalnie myśleć.

– Masz – rzekł Daniel, zdjął kurtkę i zarzucił mi ją na ramiona. – Włóż to. Nie martw się... coś wymyślimy. Szkoda, że wcześniej mi nie powiedziałaś.

– A co mógłbyś zrobić? – szlochałam. – Z tego piekła nie ma wyjścia, Dan. Nic nie mówiłam, bo wiedziałam, że jestem w potrzasku. Myślałam, że oszaleję.

Dotknęłam swojego brzucha. Pomyślałam o rosnącym we mnie dziecku. To był co najmniej piąty tydzień, w każdym razie ciąża trwała już na tyle długo, by test ciążowy wyszedł pozytywnie, więc dziecko musiało być Leona. Ale póki nie ma na to dowodu, Alistair będzie sądził, że to on jest ojcem.

– Niech wszyscy myślą, że nie żyję – powiedziałam szybko, rozpaczliwie. – Niech Frankie uważa, że mnie zabiła. Inaczej się z tego nie wywinę. – I nie ochronię dziecka.

Daniel z początku się nie zgadzał. Nadal twierdził, że trzeba czym prędzej iść na policję. Udało nam się niepostrzeżenie dostać do domu, choć chyba przy wejściu na molo minęliśmy Jeza. Stał po drugiej stronie ulicy, ale sądząc po tym, że szedł zygzakiem, był tak napruty, że raczej nas nie rozpoznał.

Kiedy mama wróciła z pracy, wszystko jej opowiedzieliśmy. Płakała, złościła się, miała ochotę zemścić się na Howe'ach. Próbowwała mnie nakłonić, żeby zgłosić sprawę na policji, ale odmówiłam. Nie chciałam przez to wszystko przechodzić, a co gorsza, być świadkiem, jak Alistairowi wszystko uchodzi na sucho. Sprawa rozgrywałaby się na oczach całego miasteczka, przy okazji wypłynęłaby prawda o śmierci Jasona. Frankie i Alistair trzymaliby sztamę. Jak ojciec z córką. Zwaliliby winę na mnie, oboje podaliby wersję, że to ja zepchnęłam go z molo. Wylądowałabym w więzieniu.

Nie miałam wyboru. W końcu mama przyznała mi rację.

Wszystko poszło zaskakująco łatwo. Mama zszyła mi ranę na głowie. Danielowi udało się kupić bilet na prom do Dublina, który odpływał o świcie. Rozwiązanie okazało się świetne – podróż nie wymagała paszportu, nie zostawiałam więc żadnych śladów. Całe lato pracowałam, oszczędności trzymałam w szafie, w puszce po herbatnikach, więc dysponowałam środkami na życie. Z Dublina miałam się udać na południowe wybrzeże, do cioci, która mieszkała na farmie w odległym zakątku hrabstwa Kerry.

Kiedy mama z Danielem zawiadomili policję, że nie wróciłam do domu, byłam już w Irlandii. Bezpieczna. Z dala od Alistaira.

Wtorek, 12 czerwca 2001

„Nie żyję” już od czterech lat.

W kwietniu 1998 roku urodziłam dziecko, dziewczynkę. Ma na imię Mia i kocham ją nad życie. Nie przypuszczałam, że taka miłość istnieje – bezbrzeżna i bezkompromisowa. Po mnie Mia ma jasne włosy, a po Leonie – niesamowite oczy. Kiedy się urodziła, spojrzałam w te jaskrawoniebieskie oczy i od razu wiedziałam, czyja to córka. Byli do siebie podobni jak dwie krople wody.

Żałuję tylko jednego, Leona. Że nie poznał córki i że nie udało mi się oszczędzić mu podwójnego bólu: tego wywołanego moją śmiercią i spowodowanego świadomością, że go nie kocham. Kochałam go, i to bardzo. Mam nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy się o tym dowie.

Niektórzy mogą uznać mnie za tchórza, zarzucić, że nie zostałam i nie walczyłam. Cóż, bałam się i nie chciałam wiecznie żyć w strachu. Znalazłam rozwiązanie i skorzystałam z niego. Uciekałam już wcześniej, przed ojcem. W zasadzie uciekałam przez większość życia.

Jeżeli mam być całkiem szczerą, to był jeszcze jeden powód, dla którego wyjechałam. Nie chodziło tylko o Alistaira, ale też o Frankie. Była moją przyjaciółką i kochałam ją jak siostrę. Trudno mi przywołać choć jedno wspomnienie z dzieciństwa, w którym by się nie pojawiała. I wiem, że nie zasługuje na usprawiedliwienie – zostawiła mnie na pastwę losu, na pewną śmierć – ale wierzę, że na swój dziwny, pokręcony sposób też mnie kochała. Jest niestabilna psychicznie, to pewne i to mnie przeraża, ale gdybym poszła na policję, i gdyby nawet policja mi uwierzyła, to co dalej? Frankie poszłaby do więzienia, a ja, jak bym się z tym czuła? To, co mi wyrządziła, jest straszne. Przekreśliła moją przyszłość, przez nią nie mogłam być z Leonem. Ale nasza przyjaźń trwała tak długo... a w życiu nic nie jest tylko czarne lub tylko białe.

Moja ciocia Sarah zareagowała fantastycznie. Pomagam jej w gospodarstwie i ułożyłam tu sobie życie na nowo. Nikt się nigdy nie dopytywał, kim jestem. Kim byłam. Zawsze funkcjonowałam jako siostrzenica Sarah O'Donnell. Po jakimś czasie mama też opuściła Oldcliffe i zamieszkała z nami. Dobrze nam we trzy. Nasz główny cel to wychowanie Mii. W gospodarstwie czas płynie spokojnie i choć nie o takim życiu marzyłam, za nic w świecie nie zamieniłabym go na inne. Trochę piszę, wciąż mnóstwo czytam i otaczam się książkami. A co najważniejsze, Mia jest tu bezpieczna. I ja też.

Wtorek, 21 maja 2002

Dziś przeżyłam coś strasznego. Bezpieczne, poukładane życie omal mi się nie posypało.

Byłam w stajni. Przyszła mama, od razu rozpoznałam, że jest czymś

zdenerwowana. Miała rozczochrane włosy i słomę w swetrze.

– Leon przyjechał – syknęła. – Twierdzi, że podróżuje, był akurat w okolicy i pomyślał, że zajrzy i zapyta, co u mnie słychać. – Daniel przeniósł się do Londynu, a prócz niego i mojej mamy nie było nikogo, z kim Leon mógłby pogadać o mnie czy w ogóle o przeszłości. Poruszyło mnie, że pamiętał. Ale gdyby tylko wiedział, w co się pakuje...

– I co? – spytałam.

– Siedzi w salonie, zrobiłam mu herbatę.

Miałam ochotę parsknąć ironicznym śmiechem. To był jakiś absurd. Z drugiej strony natychmiast odezwał się uśpiony, ale wciąż obecny strach. Jeżeli Leon tak łatwo nas odnalazł, to samo może zrobić Alistair.

Nie pozwoliłam sobie dalej iść tym tropem. Leon nie przyjechał tu do mnie, tylko do mamy. Alistair nie miał takiej potrzeby – nie szukał mnie, bo myślał, że nie żyję. Wiedziałam, że oboje, i on, i Frankie, mają w sobie zbyt dużo buty, by w ogóle brać pod uwagę inną możliwość.

Było to spore ryzyko. Leon mógł nas wydać. A już wyraz twarzy mamy na wieść o tym, że chcę się z nim zobaczyć... to była czysta panika. Doszłam jednak do wniosku, że choć minęło tyle lat, Leon powinien wiedzieć, że ma córkę. Zasługuje na to. Chociaż raz chciałam być z nim szczerą. Musiałam.

Kiedy weszłam do pokoju, Leon siedział na wysłużonej kanapie i głaskał jednego z licznych psów cioci Sarah. Na stoliku obok stała nietknięta herbata. No tak, zawsze lubił letnią, przypomniałam sobie. Na dźwięk kroków podniósł wzrok. Spodziewał się zobaczyć mamę, ale kiedy zamiast niej ujrzał mnie, krew odpłynęła mu z twarzy. Wyglądał, jakby zobaczył ducha. W sumie nic dziwnego.

Prawie się nie zmienił – miał ciut dłuższe włosy i opaloną twarz, bo dużo podróżował, a w oczach coś, czego dawniej nie było: jakiś smutek czy udrękę. Na jego widok zaparło mi dech w piersiach, a wszystkie uczucia, które w moim przekonaniu dawno pochowałam, wróciły ze zdwojoną siłą.

Gapił się na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Sophie? – Wstał, zrzucając psa z kolan, i potrząsnął głową. Prawie widziałam znaki zapytania w jego głowie. Łzy zalśniły mu w oczach, ale chwilowe wzruszenie natychmiast ustąpiło miejsca wściekłości. – Może mi powiesz, o co tu, kurwa, chodzi?

Wzięłam go za rękę i pociągnęłam na kanapę.

– Tak mi przykro – odezwałam się przez łzy. Ale wiedziałam, że nie mogę płakać. Musiałam być stanowcza, rzeczowo mu wszystko wyjaśnić. Zasługiwał na to, by w końcu poznać prawdę.

– Wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz. Dlaczego mi to zrobiłaś? Przeszedłem przez piekło. – Wbił we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

Wtedy opowiedziałam mu o Alistairze, pocałunku, nękaniu i gwałcie.



– Byłam przerażona, Leon. Bałam się, że nigdy nie zostawi mnie w spokoju.

– Więc upozorowałaś śmierć? – Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. – Trzeba było przyjść z tym do mnie, Sophie. Ja już bym się z nim, kurwa, rozprawił. – Ścisnął mnie za rękę i oczy mu załśniły. Wiedział, że nie zapewnił mi skutecznej ochrony. Nikt nie mógłby mi jej wtedy zapewnić. Potem rysy Leona złagodniały. – Przechodziłaś przez to wszystko sama... a ja... szkoda, że nic nie zrobiłem. Mogłem z tobą iść na policję.

– Rozważałam to. Ale Alistair by zeznał, że to się stało za moją zgodą. A gdyby nikt mi nie uwierzył? Poza tym miał na mnie haka.

– Jakiego haka?

Spuściłam głowę. Włosy zasłoniły mi twarz.

– Byłam przy śmierci Jasona.

– Jak to? – zapytał Leon szorstko, ale nie puścił mojej ręki.

Wzięłam głęboki wdech i opowiedziałam mu o wydarzeniach tamtej nocy.

– Frankie mi wmówiła, że obie odpowiadamy za jego śmierć, ale to nie ja zawiniłam, tylko ona, Leon. Nie wiedziałyśmy, że Jason był gejem. Odrzucił zaloty Frankie, pokłócili się i ona go popchnęła. Wpadł do wody. I tak go zostawiła. Zresztą tak samo jak mnie. Przepraszam, że ci wcześniej nie powiedziałam... – Głos uwiązał mi w gardle.

Oczy Leona zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Co masz na myśli, że tak samo jak ciebie?

– No, próbowała mnie zabić. – Nadal czułam ból, kiedy o tym wspominałam. Zdrada Frankie zawsze będzie jak otwarta rana. – Powiedziała jej o Alistairze, nie chciała mi wierzyć. Zaczęła mnie oskarżać, że chcę jej odebrać ojca. Jest pomyłona, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Kłóciłyśmy się, uderzyła mnie w głowę czymś twardym, chyba kamieniem. Spadłam za barierkę, a ona sobie poszła... tak po prostu, zostawiła mnie z nadzieją, że utonę. Jak Jasona.

Leon był blady niczym płótno. Miałam wrażenie, że zaraz zasłabnie.

– Boże. – Wyjął rękę z mojej i zanurzył ją w zmierzwionych włosach. – Nie jestem w stanie tego pojąć. Szkoda, że mi od razu nie powiedziałaś, Soph. Jakoś bym ci pomógł. Kochałem cię. I nigdy nie przestałem. – Ukrył twarz w dłoniach i jęknął. Wiedziałałam, że nie potrafi zrozumieć, że wcześniej nie poznaliśmy prawdziwego oblicza Frankie. – Musimy iść na policję. To jej nie może ujść na sucho. Z jej winy zginął Jason...

Niepewnie położyłam mu rękę na ramieniu. Wiedziałałam, że trudno mu przyjąć tyle nowych, wstrząsających informacji.

– Nie możemy. Leon. Słuchaj. To była dla mnie jedyna szansa, żeby się stamtąd wydostać. I zacząć od nowa. Z dala od tego koszmaru. Był też inny powód. – Słowa utknęły mi w gardle. Rzeczowo i stanowczo, powtórzyłam sobie własne postanowienie. Musiał dowiedzieć się wszystkiego. – Byłam w ciąży.

Poderwał głowę. W jego oczach zobaczyłam nadzieję i strach. Nadzieję, że dziecko jest jego, a strach – że Alistaira.

– Dziecko było twoje, Leon. – Ujęłam jego rękę w obie dłonie i modliłam się w duchu, żeby jej nie wyrwał. Żeby został. – Masz córkę.

Płakał, kiedy mu o niej opowiadałam. O naszej ślicznej Mii – o tym, że nigdzie się nie rusza bez ukochanego misia, że długo ssała palec i że uwielbia książeczki o Charliem i Loli.

– Zaraz powinna tu być. Mama przywiezie ją ze szkoły.

Widziałam, że Leon pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Gdy stała przy babci i trzymała ją za rękę, wydawała się taka maleńka i bezbronna – z cienkimi blond warkoczykami, trochę rozczochranymi po całym dniu w szkole, z misiem pod pachą i niepewnością w oczach identycznych jak oczy jej ojca. Widziałam tę miłość na jego twarzy. Opuściły mnie wszelkie obawy. Ich miejsce zajęło przekonanie, że wszystko się ułoży, a Leon dochowa tajemnicy.

Wciąż mamy sobie dużo do opowiedzenia – trzeba wypełnić tyle luk, odzyskać stracone zaufanie. Ale mam nadzieję, że Leon z czasem mi wybaczy.

Epilog  
Sophie

Sobota, 12 marca 2016

Piszę to w pociągu, jadę się spotkać z Mią i Danielem. Miarowy, usypiający stukot kół mnie wycisza, za oknem migają brązy i zielenie, wiosenne słońce prześwieca przez nagie jeszcze gałęzie. W wagonie jest niewielu pasażerów; w rogu siedzi starsza pani pochylona nad robótką, w innym miejscu – chłopak ze słuchawkami na uszach, postukujący stopą w rytm muzyki, którą słyszę nawet i ja. Leon z nosem w książce rozparł się obok. Jego obecność dodaje mi otuchy, bo – mimo że staram się to zwalczyć – na myśl o powrocie do rodzinnego miasteczka czuję niepokój. Daniel powiedział mi przez telefon, że Oldcliffe z jednej strony się zmieniło, a z drugiej pozostało takie samo.

To prawda, wracam do Oldcliffe, po tylu latach. Nigdy bym nie przypuszczała, że przyjdzie taki dzień. Ale wszystko się zmieniło, a to dzięki mojej córce i bratu. Podobno piszą o tym w gazetach. Daniel podjął próbę zdemaskowania Frankie. Trudno go o to winić.

My z Leonem tuż po Nowym Roku wybraliśmy się do Paryża, do mojej znajomej Juliette i jej męża Oliviera. (Leon załatwił mi fałszywy paszport – na nazwisko, pod którym piszę). Poznałam Juliette dziesięć lat temu, na kursie kreatywnego pisanie, i bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Nie zaufałam jej od razu. Po tym, co mnie spotkało ze strony Frankie, nie sądziłam, że kiedykolwiek będę chciała mieć przyjaciółkę. Mia nie miała ochoty z nami jechać, wołała zostać z mamą. Cóż, była w klasie maturalnej, więc miało to ręce i nogi. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, co moja córka planuje podczas mojej nieobecności!

Do ucieczki za granicę skłoniła mnie niespodziewana wizyta policji. Parę dni po świętach pojawili się u nas funkcjonariusze, by porozmawiać z mamą o Alistairze Howe. Drzwi otworzył Leon. Ja byłam na piętrze i na dźwięk nazwiska Howe zamarłam. Mimo że minęło już tyle lat, niezmiennie wywołuje ono u mnie to samo uczucie – przerażenie. Schowałam się do kąta i bałam się wyjść, bo wiedziałam, że teoretycznie nie żyję. Słyszałam jednak każde słowo policjanta, wypowiedziane zresztą ze znajomym akcentem, charakterystycznym dla południowo-zachodniej Anglii. Okazało się, że Alistair jest oskarżony o gwałty na trzech kobietach, dokonane w latach 1996–1999. Na policję zgłosiła się osoba, którą zaatakował rok po mnie. Podobno zjawiała się w izbie przyjęć lokalnego szpitala z rozciętą wargą, którą zszywała akurat moja mama. Mama została wezwana na świadka i miała zeznawać przeciwko Alistairowi przed sądem.

Stałam bez ruchu, przysłuchiwałam się temu i narastał we mnie strach. W końcu stał się tak wielki, że obawiałam się, że mnie zaraz zmiażdży. Myślałam

tylko o jednym. Trzeba uciekać. Uciekać. Znowu uciekać.

Po wyjściu policji błagałam Leona, żebyśmy wybrali się do Francji. Leon objął mnie, przytulił i powiedział mi we włosy:

– Sophie McNamara, już nie musisz się go bać. Masz mnie.

Oczywiście formalnie nie byliśmy małżeństwem. Ponieważ oficjalnie zginęłam, nie mogłam wziąć ślubu. Ale żyliśmy jak mąż i żona i wszyscy nas za nich uważali.

– Nie chodzi tylko o niego. Jeżeli policja odkryje, że żyję, będziesz miał kłopoty. Tak samo mama i Daniel. Upozorowałam własną śmierć, z waszą pomocą. Czy to nie jest przestępstwo?

– Hm... – zastanawiał się. – Chyba tak, ale...

– Błagam. Po prostu jedźmy, zatrzymamy się na jakiś czas u Jules i Olliego, zawsze nas zapraszali. Sprawy trochę przycichną, to wrócimy. Mii też się przyda nieco oddechu.

Leon nie był przekonany. Powiedział, że zobaczy, co się da zrobić w pracy, ale w końcu się zgodził.

Pod koniec stycznia musiał jednak wrócić ze względu na obowiązki służbowe. Prosił, żebym z nim jechała, ale Jules zaręczała, że spokojnie mogę zostać. Prawda jest taka, że się bałam. Czego? Że Alistair stanie przed sądem, mama zostanie wezwana na świadka, a prawda o mnie wyjdzie na jaw. A Frankie? Wystarczy, że na farmie cioci pojawią się dziennikarze, a Alistair i Frankie dowiedzą się, gdzie mieszkam. Nie, nie mogłam ryzykować. Doszłam do wniosku, że najlepiej zrobię, jeżeli jeszcze przez jakiś czas pozostanę w ukryciu. Mia przyjechała mnie odwiedzić – wsiadła w pociąg Eurostar razem z Leonem. Była jakaś zamyślona, ponura. Zapytałam, o co chodzi, ale nie chciała nic mówić. Już się martwiłam, że to jakieś problemy sercowe lub, broń Boże, coś gorszego. Chciałam, żeby została z nami we Francji, ale odmówiła. Potem zadzwonił Daniel z informacją, że Alistair Howe miał udar. Nie potrafił powiedzieć, na ile poważny, ale znając Alistaira, wiedziałam, że raz-dwa stanie na nogi. Zostałam więc we Francji. Jeszcze tylko tydzień, mówiłam sobie, a tygodnie przechodziły w miesiące.

Dopiero dwa tygodnie temu dowiedziałam się, co się naprawdę dzieje.

Leon, Mia i Daniel przyjechali do Francji, by mnie powiadomić o śmierci Frankie. Usadzili mnie w urządzonej w starym stylu kuchni Juliette i zdali mi ze wszystkiego relację. Opowiedzieli o swoim planie, o wyznaniu Frankie i jej upadku ze starego moła, a ja gapiłam się na nich szeroko otwartymi oczami, z przerażeniem, a zarazem podziwem, że odważyli się przeprowadzić taką akcję.

Pomysł wyszedł od Mii i Daniela, którzy postanowili doprowadzić do tego, by Frankie przyznała się do winy. A wszystko zaczęło się od tego, że wkrótce po naszym wyjeździe do Francji moja córka natknęła się na mój stary dziennik.

– Zrobiłam to, bo strasznie dziwnie się zachowywałaś – wyjaśniła,

zaciskając przy tym szczękę i rzucając mi stanowcze spojrzenie. – Myślałam, że jestem adoptowana czy coś takiego. Było oczywiste, że macie z tatą jakiś sekret.

Kiedy powiedziała, że wie o gwałcie i o Alistairze, byłam na skraju załamania. Pożałowałam, że nie wyrzuciłam tego dziennika.

– Moje podejrzania miały sens – argumentowała. – Bo niby dlaczego nigdy się z tatą nie pobraliście? Dlaczego pisałaś pod pseudonimem? Żyłaś jak samotniczka, nikomu nie ufałaś. – Zwróciła się do Juliette, która siedziała z założonymi rękami i bez słowa przysłuchiwała się rozmowie. Kochana, lojalna Juliette. – Jesteś jedyną przyjaciółką mamy, Jules – mówiła skrepowana Mia, ocierając łzę rękawem. – Po prostu chciałam, żebyś znowu poczuła się bezpieczna, mamó. – Głos uwiązał jej w gardle, a ja zerwałam się z miejsca, żeby ją przytulić.

Dalej opowiadał Daniel. O tym, jak natknął się na ogłoszenie, że poszukują redaktora naczelnego do lokalnej gazety w Oldcliffe; że potem morze wyrzuciło szczątki młodej kobiety, która półtora roku wcześniej rzuciła się z mostu Severn Bridge. To podsunęło mu pewną myśl – trzeba wmówić Frankie, że ciało jest moje. Zdawał sobie sprawę, że trudno ją będzie nabrać, że ciało przetrwało tyle lat w nienaruszonym stanie, przeczytał więc trochę w internecie i tym sposobem trafił na informację o dryfującej stopie. Miał nadzieję, że Frankie się nie oprze i przyjedzie do Oldcliffe zobaczyć to na własne oczy. Przekonać się, że na pewno nie żyję. I że się jej upiekło.

– Chcieliśmy tylko, żeby się przyznała – mówił. Był blady, pod oczami miał głębokie cienie. Widziałam, ile go kosztowały te ostatnie tygodnie. Owszem, oddał mi sprawiedliwość, ale za jaką cenę? – Wiedzieliśmy, że mamy tylko parę dni. Leon się dowiedział, co knujemy, i zgodził się do nas dołączyć, choć głównie po to, żeby mieć na oku Mię. – Byłam mu za to szczególnie wdzięczna. Na samą myśl, że moja córka miałaby się znaleźć w pobliżu Frankie, oblałam się zimnym potem. Ta perspektywa nadal wywołuje u mnie ciarki.

– Tata wpadł na pomysł, że korzystając z jego mieszkania, trochę namącimy Frankie w głowie – relacjonowała z uśmiechem Mia. – Kilka razy poszłam do niej i poprzestawiałam parę rzeczy. Nagrałam też płacz dziecka; to było genialne, mamó. Naprawdę się wystraszyła. Ale inaczej to zrozumiała. Myślała, że chodzi o nią. Podobno nie mogła mieć dzieci. Siedem razy poroniła. Oczywiście, o ile można jej wierzyć. – Prychnęła z pogardą, ale mnie w głębi serca zrobiło się żal. Mia tego nigdy nie zrozumie, nie znała Frankie, zawsze będzie ją postrzegać jako złoczyńcę, zdrajczynię najlepszej przyjaciółki. Jest taka młoda, nie ma nawet osiemnastu lat, dla niej wszystko jest czarne lub białe. Dla mnie – nie. Podejrzewam, że dla Daniela również. Wszyscy doskonale wiemy, co kiedyś czuł do Frankie.

– Zasłużyła sobie, mamó – dodała Mia, widząc moją minę. – Ty przez nią też doznałaś urazu, który wpłynął na całe twoje dalsze życie. – Miała na myśli

padaczkę i nawracające migreny, na które cierpiałam od czasu pamiętnej nocy. Moja córka używała logicznych argumentów, by się usprawiedliwić, ale znałam ją i wiedziałam, że zawsze będzie się zmagać z poczuciem winy z powodu tego, co się stało z Frankie.

Dotarła do nas wiadomość, że Alistair w wyniku udaru zmarł i ostatecznie nie stanął przed sądem. Zarzucano mu sześciokrotne dopuszczenie się gwałtu, nagabywanie pięciu osób, napaść oraz porwanie. Po jego śmierci zgłosiły się jeszcze trzy kobiety, które dręczył w podobny sposób.

Daniel przekazał policji taśmę z nagraniem wyznania Frankie, złożył też dokładne wyjaśnienia. Okazało się, że skoro moja śmierć nie została upozorowana ze względu na korzyść majątkową, nie będziemy pociągani do odpowiedzialności.

Nadal nie posiadam się ze zdumienia, że wszyscy troje tak się dla mnie poświęcili. Szczęściara ze mnie, i tyle. Frankie nie zrujnowała mi życia, zostawiając mnie na pewną śmierć. Zrujnowała życie sobie.

Leon porusza się na siedzeniu obok. Wyciągnął przed siebie długie nogi, a nosem zarył w książkę. Teraz gwałtownie się budzi, wzdryga się i chrząka, po czym znów zapada w sen. Patrzę na niego z czułością. Tyle ze mną przeszedł, wytrwał przy mnie, nie zważając na nic. Miłość mojego życia. Kiedy mnie znowu odnalazł w 2002 roku i odkrył, że żyję i że ma córkę, już nas nie zostawił. Wybaczył mi. Na początku nie było mu łatwo, musiał utrzymywać nasz związek w tajemnicy przed rodziną, nikt nie mógł też wiedzieć o dziecku. W sumie dobrze, że nigdy nie był w bliskich relacjach z krewnymi, bo dzięki temu było nam trochę łatwiej. Przez tych pięć lat rozłąki oboje mocno się zmieniliśmy, ale nasza miłość odżyła i stała się jeszcze silniejsza niż wcześniej.

Frankie nadal jest uważana za zaginioną, lecz zdaniem policji to niemożliwe, aby przetrwała kąpiel w lodowatym lutowym morzu. Ciekawa jestem, kiedy jej ciało zostanie wyrzucone na brzeg. Jeżeli w ogóle zostanie. Cały czas dręczy mnie myśl, że jednak mogła przeżyć, tak jak ja. Czasem mi się też śni. Miota się w mętnej wodzie, woła o ratunek, płacze, przeprasza. Zastanawiam się, czy w ostatniej chwili rzeczywiście było jej przykro, czy żałowała swoich czynów, czy gdyby miała drugą szansę, postąpiłaby inaczej. Ja – tak, to wiem na pewno.

Pociąg powoli wtacza się na stację. Widok jest tak znajomy, że zatyka mnie z wrażenia. Na peronie stoi ten sam kiosk z gazetami i napojami, choć teraz jest pomalowany na zielono i ma nowy szyld, i są te same drewniane ławki, na których zawsze czekałyśmy z Frankie na pociąg. Prawie ją tu widzę, w sukience retro z lat sześćdziesiątych i wysokich butach, jak szarpie się za pasmo włosów.

I wtedy dostrzegam na peronie moją córkę. Trzyma Daniela pod rękę, uśmiecha się, a jej jaskrawoniebieskie oczy błyszczą ekscytacją. Wszystko, co było, muszę teraz odkreślić grubą linią. Skupić się na tym, co będzie. Wracam do Oldcliffe-on-Sea tylko na chwilę. Pożegnać się, ostatni raz. Z miasteczkiem

i z Frankie.

Potem świat stanie przede mną otworem.

Nie będę już żyć w tajemnicy. Przestanę uciekać.

Wreszcie jestem wolna.

## Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję Juliet Mushens, mojej niesamowitej agentce, za ogromne wsparcie, pomoc i wszystkie rady, których mi udzieliła, a także za znalezienie mi fantastycznej redaktorki, Maxine Hitchcock, którą pokochałam od pierwszego wejrzenia. I ona, i pozostali pracownicy wydawnictwa Penguin byli nieocenieni, jeśli chodzi o nieustającą zachętę do pracy, wszelkie porady, redakcję, korektę, projekt okładki, marketing i reklamę – słowem, wszystko, co niezbędne do wydania książki. Jestem pod wrażeniem waszej pracy!

Wielkie podziękowania należą się moim krewnym i znajomym, którzy wspierali mnie i zachęcali, kupili i przeczytali moją pierwszą książkę, polecili ją w swoich kręgach, pożyczili swoim krewnym i znajomym. Wasze wsparcie wiele dla mnie znaczy.

Dziękuję wszystkim, którzy odwiedzili mój profil na Twitterze i Facebooku i zostawili tam miłe słowo. Bardzo się cieszę, że się do mnie odezwaliście.

Dziękuję moim kochanym dzieciom, Claudii i Isaacowi (niestety, jeszcze duuużo czasu upłynie, zanim będziecie mogli przeczytać tę książkę), i mężowi. Ty pomagał mi rozpracowywać wątki, kiedy się zacięłam, przeczytał brudnopis, interesuje się wszystkim, co piszę, i nigdy nie szczędzi mi słów zachęty. Dziękuję, że od tylu lat mnie wspierasz i we mnie wierzysz (nawet kiedy mnie brakuje wiary w siebie). Ta książka jest dla Ciebie.



Przekład: Katarzyna Rosłań

Redakcja: Katarzyna Skwark

Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Anna Sidorek

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Biwa Studio/Stone/Getty Images

Fragment okładki książki *Siostry*: Cover layout design © HarperCollinsPublishers Ltd 2015; Cover photographs © Andy & Michelle Kerry/Trevillion Images (main image); © Alamy/BE&W; Vaida Abdul / Arcangel Images (yellow shoes).

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4638-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, lowercase sans-serif font. The letter "v" is slightly larger and more prominent than the others.

